

ŻYJE I WIE, GDZIE CIĘ ZNALEŹĆ

Fascynujący, trzymający w napięciu thriller psychologiczny
autorki bestsellera *Siostry*

ODWET



zemsta jest bliżej

niż myślisz

CLAIRE DOUGLAS

CLAIRE
DOUGLAS

ODWET

Przełożył Marian Leon Kalinowski



Tytuł oryginału: *Last Seen Alive*
Copyright © 2018 by Claire Douglas

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXX
Copyright © for the Polish translation by Marian Leon Kalinowski, MMXX

Wydanie I

Warszawa MMXX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Prolog

Część pierwsza. Kornwalia

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

Część druga. Tajlandia

23

24

25

26

27

28

29

30

Część trzecia. Bath

31

32

33

34

35. Beth

36. Libby

37

38

39. Beth

40. Libby

41. Beth

42. Libby

43

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Dla Claudii oraz Izaaka

Prolog

Miał takie ładne oczy; ich szczególny kolor oceanu był jego największym atutem. A teraz są bez wyrazu, niczym u porcelanowej lalki, zwrócone ku ciemniejącemu niebu, nie widzą niczego. Kamienny posązek, który upuściłam, toczy się w stronę zwłok mężczyzny, po czym wreszcie zatrzymuje się tuż obok jego uda.

Ogarnia mnie strach tak wielki, że przez dłuższą chwilę stoję jak wryta, zapatrzona na wgłębienie w czaszce i strumień krwi, która nagle wytrysła z tyłu głowy i zabarwiła trawę na czerwono. Potem klękam przy nim, na kolanach czuję wilgoć trawnika. Staram się nie dotknąć zwłok. Nie mogę zostawić dowodów.

Ukradkiem podnoszę wzrok. Od budynku dzieli mnie ponad sześćdziesiąt metrów, w niektórych matowych oknach wiszą rozsunięte zasłony, w innych są podniesione rolety. Czy ktoś mnie obserwował? Już myślę jak przestępca. Czy ktoś mnie widział w głębi ogrodu, pośród chwastów, w wybujałej trawie?

Czy ktoś widział, jak zabijam męża?

Część pierwsza. Kornwalia

Jamie nastawia radio na cały regulator, abyśmy mimo świszczącego wiatru usłyszeli Stone Roses. Gdy porusza głową w rytm muzyki, wygląda jak kiwający tą częścią ciała pies.

– O Boże, ale ta piosenka mi się podoba.

– Dobrze sobie... – przekomarzam się z nim, a po chwili na mojej twarzy pojawia się grymas, bo on zaczyna śpiewać.

Jamie zauważa moją minę.

– O co ci chodzi? Kiedy miałem osiemnaście lat, byłem wokalistą zespołu. – Szczypie mnie w udo, zapewniając tym żartobliwym gestem, że nie jest urażony. – A ty mogłaś być naszą fanką.

Już mam powiedzieć, że w jego życiu liczyła się wtedy Hannah. Jego fanką była pewnie *ona*. Ale nie chcę mu psuć humoru. Od dawna nie widziałam go w lepszym nastroju. Spoglądam na niego, żeby przyjrzeć się jego fizjonomii, znowu podziwiać wydatną szczękę powyżej długiej szyi, napawać się widokiem delikatnego jasnego owłosienia tuż nad guzikami koszulki polo, i czuję nagłe pożądanie. Kładę dłoń na swoim udzie, bo tam jeszcze spoczywa jego ręka, i zaraz łączymy palce. Patrzymy na siebie; Jamie uśmiecha się przy tym, ale po chwili znów kieruje wzrok w stronę pustego pasa, który mamy przed sobą.

– Nie mogę się doczekać, kiedy obejrzymy dom – mówię. – Jestem bardzo ciekawa, jak wygląda. Oby to nie była rudera.

Jamie unosi brwi.

– Rudera? Wątpię. Przecież Philip Heywood mówił... – Głos mojego męża brzmi tak, jakby wydobywał się ze słuchawki telefonu – ... o „imponującej nadmorskiej posiadłości z piękną panoramą zatoki” czy jakoś tak.

Reaguję śmiechem.

– To nie wydaje mi się możliwe.

Jamie przenosi rękę z mojego uda na kierownicę, żeby pokonać zakręt.

– Półwysep Roseland uchodzi za urokliwy.

– Można się tego domyślić po nazwie.

– Podobno pochodzi od gaelickiego określenia wrzosowiska: *rhos*.

– Skąd wiesz?

Jamie znowu unosi brwi.

– Cóż, jestem dociekliwy...

– Owszem – mówię z uśmiechem.

I zaraz podciągam wyżej kołnierz żakietu, by osłonić odkrytą szyję. Dawno temu miałam długie włosy, ale wciąż jeszcze zdarza mi się, zwłaszcza w zimniejszych miesiącach, tęsknić za ciepłem, jakie zapewniały skórze. Mimo że na maskę samochodu padają promienie słoneczne, a niebo jest błękitne, czuje się chłód, który nie pozwala zapomnieć o nieustającej groźbie kwietniowej ulewy. Nie mam jednak odwagi poprosić męża, aby zaciągnął dach, żeby nas ochronić. Jamie potrzebuje tego „urlopu” tak samo jak ja. Dziewięć pierwszych miesięcy małżeńskiego życia dało nam się we znaki.

Widzę w lusterku Ziggy’ego, naszego golden retrievera, który zajął całe tylne siedzenie, zamknął oczy i wystawił jęzor. Zabraliśmy go z konieczności. Młodsza siostra Jamiego, Katie, obiecała, że go przypilnuje, ale jak zwykle w ostatniej chwili zawiodła.

Czuję nawrót choroby lokomocyjnej, kiedy Jamie pokonuje kolejny zakręt, i skupiam się na tym, żeby głęboko oddychać i tym sposobem zwalczyć mdłości, a mój nos rozpaczliwie szuka nadmorskiego powietrza, które nam obiecano, wyczuwa jednak bardzo nieprzyjemny zapach rzepaku porastającego te żółte pola. Prawa ręka ciąży mi i swędzi pod gipsem, ale posłużyła przynajmniej jako dobra wymówka, żebym nie musiała prowadzić. Zresztą Jamie przestał mnie zachęcać do siadania za kierownicą. Odstąpił od tego krótko po tym, jak się poznaliśmy i niewiele zabrakło, żebym zabiła nas oboje – wjechałam na ruchliwą trasę przelotową, gdzie ledwo uniknęłam zderzenia z ciężarówką zmierzającą w przeciwnym kierunku.

Odległy punkcik powiększa się, przerywając monotonię jazdy podrzędną drogą: niczym dziecko zagubione w dziko rosnącej zieleni wyłania się niewielka stacja benzynowa.

– O tę stację chyba chodziło – stwierdzam podekscytowana, sięgając pamięcią do telefonicznych wskazówek, jakich dwa dni wcześniej udzielił mi Philip Heywood.

Jamie parkuje na podjeździe i wyłącza silnik, po czym cały świat na chwilę cichnie. To przyjemna cisza, do tej pory słyszałam tylko dudnienie głośnej muzyki i szum silnego wiatru. Nadmierny hałas mnie drażni,

wywołuje stres, ale Jamie jest zachwycony, kiedy słyszy muzykę nastawioną jak najgłośniej.

Mój mąż wychyla się teraz w stronę tylnego siedzenia, żeby zapiąć Ziggy'emu smycz.

– Libs, pójdziesz po klucz? Zatankuję, skoro już tu zajechaliśmy. A potem zaprowadzę Ziggy'ego na tamtą łączkę, żeby się załatwił. – Jamie wskazuje ręką bujną i niekoszoną trawę porastającą teren obok sklepu.

Za ladą stoi bardzo młody człowiek, pewnie dwudziestolatek. Gdy proszę o klucz do domu nazwanego Kryjówką, patrzy na mnie z wyrazem szczerego zdziwienia na twarzy noszącej ślady trądziku.

– Nic mi nie wiadomo o żadnym kluczu – mówi, dotykając pryszcza na szyi. – Przyprowadzę szefową. Jak się pani nazywa?

– Słucham?

Chłopak nie kryje zniecierpliwienia.

– Jak się pani nazywa?

– Ach tak. Libby...

– Nazwisko?

– Elliot... A właściwie Hall.

W pracy tak bardzo się przyzwyczaiłam do panińskiego nazwiska, że czasem zapominam, iż należę teraz do innej rodziny.

Ekspedient odchodzi na zaplecze, wymachując przy tym długimi rękami, jakby naśladował człekokształtną małpę; znika za szarymi drzwiami. Sklep jest mały, jego półki są aż po sufit zastawione puszkami tuńczyka, fasolki oraz maleńkich pomidorów. Jestem jedyną klientką. Z półki, którą mam przed sobą, ściągam opakowanie cukierków miętowych, zerkam też na wystawione słodycze, żeby kupić coś mężowi. Coś z kokosem, to jego ulubiony smak. Później obserwuję Jamiego przez okno: widzę, jak znów próbuje wsadzić do samochodu psa, który stawia opór. Nasz mini cooper jest jedynym autem na podjeździe.

Chłopak nie wraca, a ja zaczynam panikować, wyobrażam sobie, że wszystko jest wymyślnym podstępem i nie istnieje ani dom nad morzem, ani klucz. Ale do sklepu wtacza się puszysta tleniona blondynka, a z jej pulchnych palców kusząco zwisa klucz.

– Elizabeth Hall? – pyta z wyraźnym kornwalijskim akcentem.

Przytakuję, a ona wręcza mi klucz i na jej twarzy pojawia się uśmiech.

– Ma pani prawdziwe szczęście, że trafiła pani do Kryjówki. Piękne widoki. Choć sama nigdy tam nie byłam. Nie słyszałam, że wynajmują ten

dom.

Biorę klucz, dziękuję.

– Nie wiem, czy zwykle go wynajmują. Robimy zamianę.

Na jej twarzy maluje się zdumienie.

– Zamianę? Co za świetny pomysł! Czyli oni będą mieszkać u was podczas waszego pobytu w Kryjówce?

Wkładam kartę kredytową do czytnika.

– Tak. Tyle że my mamy tylko mieszkanie. W Bath.

– Słyszałam, że Bath to urocze miasto. Nigdy tam nie byłam. – Odrywa pokwitowanie z terminala, a ja wyjmuję kartę. – A ta zamiana to naprawdę świetny pomysł – mówi i zerka na mój gips. – Chyba miała pani wypadek?

Chętnie posłałabym ją do diabła i wiele lat temu na pewno bym to zrobiła. Ale tamten czas przeminął, w pracy nie śmiem tracić panowania nad sobą. Teraz też powściągam irytację. Nie ujawnię prawdy, bo musiałabym przez cały dzień odpowiadać na jej pytania.

– Poślizgnęłam się i złamałam rękę – kłamię, ale tylko w połowie. – Upadłam na boisku szkolnym. Jestem nauczycielką.

Kobieta reaguje grymasem.

– Och, okropna sytuacja. Przewrócił panią jakiś mały urwis?

Kręcę głową i zmuszam się do śmiechu, po czym wyjaśniam, że potknęłam się o skakankę, którą jedna z dziewczynek zostawiła na płycie boiska, i cofam się w stronę drzwi, żeby nie ciągnąć tej rozmowy.

– Jeszcze raz dziękuję – mówię, wymachując odebrany klucz, i pośpiesznie opuszczam sklep, udaremniając próbę zadania mi następnych pytań.

Przez przednią szybę samochodu widzę Jamiego, który niecierpliwie stuka palcami w kierownicę. Ostatnio często się kłócimy, na ogół o pieniądze, i dlatego nie chcę teraz naruszać niezbyt pewnej równowagi między nami, którą zdołaliśmy, jak sądzę, przywrócić po poronieniu. Siadam na miejscu pasażera.

– Przepraszam, że tak długo czekasz. Tamta kobieta zasypała mnie pytaniami.

Jamie posepnieje.

– O co pytała?

– O gips. O wypadek.

– Nie powiedziałaś jej chyba? – pyta Jamie, bardzo agresywnie.

– Ależ nie – mówię, zapinając pas bezpieczeństwa.

– To dobrze. Powinniśmy o tym zapomnieć. Dała ci klucz?

Pokazuję go. Jest połączony ze szklanym serduszkim, na które pada blask słońca.

Jamie się odpreża.

– Dzięki Bogu. Myślałem, że ktoś nas wprowadził w błąd. Jak to mówią, wszystko wydawało się zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe...

Przechyliam się w jego stronę i całuję go tuż pod uchem, wyczuwając wargami nieznaczny zarost. Cieszy mnie to, że Jamie tak się tym emocjonuje. Że zaczyna odzyskiwać dawny zapał. Podoba mi się ten jego życiowy entuzjizm, który zauważyłam już w dniu, kiedy go poznałam. Mój mąż jest optymistą, ale kiedy go zwolnili, musiał zacząć pracować na własny rachunek i ciągła troska o pieniądze pozostawiła pewien ślad – w ostatnich miesiącach obserwuję, że jego pogoda ducha zanika, jest jak moneta, która traci połysk.

Jedziemy wąską drogą między dwoma gęstymi żywopłotami, tu i ówdzie obsypanymi białym kwieciem, i nagle Jamie nieomal wykrzykuje:

– To na pewno tutaj!

W jego podnieconym głosie da się jeszcze rozpoznać wymowę typową dla południowo-zachodniej Anglii. Jamie wskazuje dom widoczny po przeciwnej stronie skrzyżowania w kształcie litery T. Podążam wzrokiem za jego palcem. Musiał się pomylić... Ten dom jest ogromny, większy nawet niż dom jego matki.

– To niemożliwe – odpowiadam, gdy Jamie skręca już na podjazd domu i słyszymy, jak pod oponami chrzęści żwir. GPS nosowym głosem informuje, że dotarliśmy do celu.

Samochód się zatrzymuje, a Jamie wyłącza silnik. Siedzimy onieśmieleni widokiem, milczymy, chłonąc obraz wolno stojącej prostokątnej budowli z okrągłą wieżyczką po jednej stronie; widzimy tradycyjne połączenie ciemnego kamienia ze szkłem. Do połowy murów sięga pnącze, które kojarzy nam się z brodą. Dom otulają drzewa i krzewy o listowiu w kilku odcieniach zieleni. W oddali, za posiadłością, widać jasnoniebieski fragment pobliskiego oceanu. Jedynymi dźwiękami są radosny świergot ptaków i niezbyt dobrze słyszalny szum fal. W nadmorskiej bryzie wyczuwam zapach soli przemieszany ze słabą wonią końskiego nawozu.

– Ale odludzie – stwierdzam, nagle trochę przytłoczona.

Wychowałam się w małym miasteczku, w niedużym domu na osiedlu komunalnym w North Yorkshire, ale prawie całe ostatnie dziesięć lat życia

spędziłam w dużym mieście. Przywykłam do sąsiedztwa. Kiedy są w pobliżu ludzie, czuję się bezpieczniejsza, mniej zalękniona.

mieszkanko w Bath, z mnóstwem zwierzęcej sierści i zapachem karmy dla psów, na taką posiadłość. Nie jest to nawet mieszkanie w stylu georgiańskim, czego można by się spodziewać po budynku w Bath, ale dom z późnej epoki wiktoriańskiej.

– Myślisz, że to był dobry pomysł, żeby zabrać Ziggy’ego? Nawet nie zapytałam o to Philipa.

W oczach Jamiego widzę przerażenie.

– O kurczę, Libs. Dlaczego się nie upewniłaś? Nie wiem, czy dobrze zrobiliśmy.

– Po prostu nie spodziewałam się aż tak wielkiego i eleganckiego domu. Philip mówił, że jest jeszcze w budowie. Uznałam, że te słowa należy rozumieć jako... – urywam, zauważywszy zadbaną roślinność, a konkretnie ciągi krzewów po obu stronach podjazdu – ...jako niepełne wykończenie.

Ledwo przekraczamy próg, moje obawy się potwierdzają. Nie należało przywozić tutaj psa. Przeważa biel: sof, dywanów i ścian. Wiem, że na pewno tu nabrudzimy, przez nasze bałaganiarstwo i brudne łapy Ziggy’ego. Pod drzewem, rosnącym daleko od nas, na skraju ogrodu, widzę co prawda trochę gruzu, ale poza tym nie ma śladów przebudowy.

Przejmuję rzeczy od Jamiego, zbyt niepewna siebie, żeby odważyć się puścić psa luzem. Gdy wchodzę do kuchni, mam wciąż wrażenie, że wkroczyliśmy na cudzy teren. Pomieszczenie jest olbrzymie, otwarte, z lśniącymi białymi szafkami i marmurowymi blatami. Dwuczęściowe drzwi wychodzą na duży ogród, poniżej którego ciągnie się rozległa plaża.

– Zajrzyj tutaj, Jay! – wołam z głową we wnętrzu lodówki w amerykańskim stylu, i już leci mi ślinka na widok takiej obfitości jedzenia. – Starczy tego dla dziesięcioosobowej rodziny.

Jamie staje przy mnie i zagląda do lodówki.

– O, jest pasztet, wędzony łosoś, wielki kawał stiltonu, no i patrz, ile piw rzemieślniczych! Niebo w gębie! – mówi z uśmiechem.

– Nasza lodówka jest prawie pusta – wyznaję zawstydzona, że zostawiłam kartonik mleka i trochę zwiniętej w rulon szynki. Nie przyszło mi do głowy, żeby wypełnić lodówkę zapasami.

– Nie przejmuj się, oni mają ważniejsze sprawy. – Jamie podchodzi do blatu i podnosi wyrwaną z notesu kartkę w linie. – Napisali, że możemy się częstować. Hojni są, nie? – Nie czekając na moją odpowiedź, pozbywa się

kartki i zaczyna wędrować po kuchni, dotyka kolejnych urządzeń, manipuluje różnymi gałkami i przyciskami. – Wow, ta kuchnia jest fantastyczna! – wykrzykuje, kiedy nad kuchenną wyspą naszym oczom ukazuje się dwudziestocalowy ekran telewizora.

Widzę, jak bardzo Jamie chciałby mieć tyle pieniędzy, by pozwalać sobie na supernowoczesne gadzety, i uśmiecham się w duchu.

– Później będziesz mógł się pobawić – mówię, odciągając męża od ekspresu do kawy, który wygląda jak statek kosmiczny. – Rozejrzyjmy się.

Spuszczam Ziggy'ego ze smyczy. Jamie ujmuje moją rękę i niczym nadpobudliwi nastolatkwie zaczynamy biegać po całym domu z radośnie szczekającym psem u naszych stóp.

Wszędzie są podłogi z litej dębiny, a w obszernym kwadratowym salonie widzimy schody na piętro, których szklana osłona sprawia wrażenie, jakby unosiły się w powietrzu. Pełne kolorów abstrakcyjne obrazy stanowią ozdobę pomalowanych na biało ścian i rzuca nam się w oczy olbrzymie zdjęcie kobiety, ukazujące tylko jej głowę i ramiona – to najpewniej Tara Heywood; na fotografii widać, że akurat cofnęła głowę i jej duże brązowe oczy są rozbiegane. Na piętrze zerkam przez uchylone drzwi do pierwszej sypialni, gdzie dostrzegam rozkładaną sofę i wyblakły staroświecki domek dla lalek. Półki wzdłuż jednej ze ścian są po brzegi wypełnione zabawkami – nie nowoczesnymi, jakimi bawiliby się moi podopieczni, raczej staroświeckimi i budzącymi niepokój. Kukiełki Punch i Judy przygniatają porcelanową lalkę bez jednej nóżki, a obok wypchanej łasiczki stoi brzydki klaun. To chyba nie jest pokój córeczki państwa Heywoodów? Gdybym była małą dziewczynką, miałabym tam koszmarne sny.

Dwie pozostałe sypialnie są większe, jest jeszcze tradycyjnie urządzone gabinet, z biurkiem obitym skórą. Wchodzę do środka. Przy ścianach stoją do połowy puste regały; widzę kilka romansów z zagiętymi rogami, instrukcję obsługi starego samochodu oraz encyklopedię. Zauważam jeszcze trzy wypchane zwierzątka: fretkę, lisa i gryzonia o smutnym wyglądzie, ni to szczura, ni to kreta.

Na końcu korytarza, w kolistej wieżyczce, znajduje się główna sypialnia. To niewątpliwie najobszerniejszy pokój, tworzący jedno pomieszczenie z łazienką i osobną garderobą.

– Wow, tu jest więcej miejsca niż w całym naszym mieszkaniu.

Stoję i gapię się w zdumieniu: a to na okna od podłogi do sufitu, a to na łożę z baldachimem (ze zwiewnego białego muslinu), a to na rozsuwaną

kabinę prysznicową. Zauważam inną, czarno-białą fotografię Tary, która też nie przedstawia całej postaci, ale tym razem kobieta ma poważniejszy wyraz twarzy. Podchodzę do okna i zerkam na rozciągającą się pod domem plażę. Nie widzę żywej duszy. Ale sielanka.

– Nie spodziewałam się takiej nowoczesności i takiego luksusu – mówię, gdy Jamie staje przy mnie. – Myślałam, że będzie to co najwyżej wiejski domek.

– Nie podoba ci się tutaj? – Jamie nie kryje zdziwienia.

– Ależ nie o to chodzi. Dom jest zdumiewający. *Naprawdę* zdumiewający, takie domy widuje się na filmach. Ten kosztował pewnie kilka milionów. Tylko że... ta zamiana chyba nie jest fair.

Jamie wzrusza ramionami i otacza mnie ręką.

– Nie zapominaj, że oni sami tego chcieli. To był *ich* pomysł.

– Wiem...

Jamie wzdycha.

– Jezu, Libs, po prostu mamy farta.

Spoglądam na jego twarz, dostrzegam wory pod oczami i szarą cerę i tłumię własne zażenowanie. Kornwalijskie powietrze będzie dla niego dobre. I mnie też posłuży. Nieśmiałym gestem, który Jamie zauważa, dotykam swojego brzucha.

– Tego nam trzeba – stwierdza. – *Tobie* tego trzeba. Po tamtym wypadku w szkole i poronieniu...

Zbiera mi się na płacz, ale mrużę oczy, żeby powstrzymać łzy. Nie potrafię myśleć o tamtych wydarzeniach. Przyjechałam tutaj, aby zapomnieć. I wydobrzeć.

– Tak – przyznaję niepewnym głosem. – Tu jest pięknie. *Naprawdę* mamy szczęście.

– I dbajmy o porządek. – Jamie robi znaczącą minę, w jego głosie słyszę rozbawienie.

To, że oboje jesteśmy bałaganiarzami, zachęca nas do wzajemnych żartów – jego *naprawdę* korci wmawianie mi, że ja jestem pod tym względem gorsza, a mnie bawią podobne zarzuty pod jego adresem.

Zerkam na niego; ciągle ubiera się po studencku, chodzi w wyblakłych dżinsach z dziurą na kolanie.

– Powinniśmy byli zdjąć buty – mówię, zerkając wymownie na jego zapuszczone converse'y. – I trzeba będzie uważać, żeby Ziggy miał zawsze

czyste łapy. Szkoda, że nie kupiliśmy skarpetek dla psów w tamtym sklepie z artykułami dla zwierząt.

Na myśl o Ziggym w puszystych skarpetkach zaczynam chichotać. Ziggy nigdy by nam nie wybaczył, że założyliśmy mu skarpetki.

Jamie wybucha głośnym, serdecznym śmiechem. Ten śmiech rozbrzmiewa w całym domu. A że od kilku miesięcy nie zauważałam u niego zbyt często takiej pogody ducha, moje serce też rośnie.

– Wiesz, co musimy zrobić? – pyta Jamie z przekorą i ujmuje moją rękę.

– Co takiego?

Ruchem głowy wskazuje łóżko.

– Trzeba będzie je ochrzcić.

Unoszę brwi.

– Tak uważasz? Teraz?

– A po co to odkładać?

Jamie, wyższy ode mnie o prawie trzydzieści centymetrów, zanosí mnie bez wysiłku na łóżko i po chwili zaczyna całować moją szyję, tak jak lubię. Obejmuję go nogami, tulę się do niego i jestem szczęśliwa; czuję rozkosz, jakiej nie zaznałam od paru miesięcy.

Tkwimy w łóżku bardzo długo, bez pośpiechu na nowo odkrywamy swoje ciała, jak na początku znajomości, zanim wzięliśmy ślub i pojawiły się komplikacje. Zanim wmieszała się rodzina, a w naszym wspólnym życiu cicho i niepokojąco swą obecność zaznaczyła Hannah. Kiedy jest już po wszystkim, przywieram do ramienia Jamiego. To, że muszę leżeć na prawym boku i unikać obciążania gipsu, wydaje mi się nienaturalne. Ten gips swoje waży i jest irytujący. Ale pociesza mnie perspektywa pozbycia się go za niecałe dwa tygodnie.

Przez dłuższą chwilę z zadowoleniem patrzę na zachodzące słońce, które rzuca cienie na trawnik. W końcu wyskakuję z łóżka okryta prześcieradłem, bo przecież w oknach nie ma zasłon.

– Dokąd się wybierasz? – pyta szeptem Jamie, aż po pachy okrywając się puchową kołdrą.

– Chcę pomyszkować w szafie Tary – oznajmiam, porozumiewawczo unosząc brwi.

– Libs! Nie możesz tego robić.

– Daj spokój. Sam pewnie jesteś ciekawy! Nie chciałbyś dowiedzieć się czegoś więcej o Philipie i Tarze Heywoodach?

Jamie wzrusza ramionami, na jego ustach widzę uśmiech rozleniwienia.

– Niekoniecznie.

– A ja chcę.

W zaimprovizowanej todze przechodzę do przylegającej do sypialni garderoby. Ziggy człapie za mną i rozciąga się na puszystym dywanie pośrodku.

Garderoba dorównuje wielkością sypialni w naszym mieszkaniu. Na jednej ze ścian widzę sięgające podłogi lustro, a tuż obok – krzesło z odchylanym przyciskiem oparciem. To pomieszczenie przypomina przymierzalnię w luksusowym sklepie. A nie jest to nawet główna rezydencja państwa Heywoodów, lecz ich dom letniskowy. Zaczynam się zastanawiać, jak może wyglądać ich najważniejsza posiadłość. Sięgam po stroje: długie suknie wieczorowe, letnie sukienki na ramiączkach, zwiewne spódnice, jedwabiste topy. Zdejmuję z wieszaka szmaragdową suknię, przykładam ją do ciała, przeglądam się w lustrze i stwierdzam, że jest dla mnie zdecydowanie za długa, bo nadmiar materiału wije mi się dookoła stóp. Jestem jak mała dziewczynka, która przymierza mamine stroje. Albo raczej chłopczyk, z moimi ostrzyżonymi na krótko włosami. Odwieszam tamtą suknię, po czym otwieram szufladę z bielizną. Znajduję zmysłowe stringi i koronkowe gorsety. Rozpoznaję jeden model Agent Provocateur. Wszystkie rzeczy są w najlepszym guście i kosztowały tyle, że nie byłoby mnie na nie stać. Nie widzę nic tandetnego.

Przechodzę do butów. Mają najróżniejsze fasony i kolory i tkwią w metalowych pudełkach wbudowanych w ścianę. Każda para to markowe obuwie; o niektórych z tych firm nigdy nie słyszałam. Kiedy przymierzam oryginalne czerwone szpilki, przychodzą mi na myśl moje rozdeptane baletki z Top Shopu. Szpilki w rozmiarze czterdzieści okazują się o wiele za duże na moje stopy, ja noszę raptem trzydzieści siedem. Zasmucona odkładam buty na miejsce.

– Nawet nie mogę sobie pożyczyć jej obuwia – marudzę, wracając do łóżka z baldachimem. – Ona jest jakąś olbrzymką. Albo supermodelką.

– Albo kosmitką – dodaje Jamie.

– Bardzo piękną kosmitką – mówię ze śmiechem. – A co z naszym życiem tutaj, na Ziemi?

Jamie bierze mnie w ramiona i szepcze z ustami przy moich włosach:

– Libs, w tym tygodniu świat jest nasz. Więc cieszymy się tym.

Nigdy nie wzięłabym pod uwagę urlopu, gdyby kilka dni wcześniej nie trafiła pod nasze drzwi pewna ulotka.

ZAMIANA DOMÓW. PILNE

Wraz z żoną Tarą pilnie poszukujemy lokum, w którym moglibyśmy spędzić tydzień, może dwa. Wasz dom byłby idealny, bo potrzebujemy mieszkania w okolicy szpitala, żebyśmy mogli odwiedzać naszą kochaną córeczkę, którą czeka operacja serca mogąca uratować jej życie. Chętnie udostępnimy w zamian piękny, niedawno wyremontowany dom w Kornwalii z widokiem na morze. Jeśli mogą nam państwo pomóc, prosimy o kontakt z Philipem Heywoodem.

U dołu kartki widniał numer komórki Philipa.

W pierwszej chwili zlekceważyłam ofertę. Chciałam czym prędzej wrócić do pracy. Byłam na zwolnieniu lekarskim dwa tygodnie po tamtym pożarze i poronieniu. Pani dyrektor Felicity Ryder zasugerowała mi płatny urlop do końca ferii, ale wolałam w ostatnim dniu semestru zobaczyć swoją klasę i życzyć dzieciom udanej przerwy wielkanocnej. Zależało mi na nich. Czułam się odpowiedzialna za ich edukację i żywiłam obawę, że nauczycielka, która mnie zastąpi, nie zrozumie tak dobrze jak ja, czego potrzeba tym uczniom. Tęskniłam zresztą za szkołą: za klasowymi dekoracjami, czyli jaskrawymi, barwnymi dziecięcymi malunkami, za atmosferą koleżeństwa w pokoju nauczycielskim, za okrzykami radości na boisku, za ploteczkami z młodą praktykantką Carą, która pracowała pod moją pieczęcią, a nawet za zapachem środka odkażającego na szkolnym korytarzu. I dlatego, wychodząc z domu, schowałam ulotkę do torebki i przez kilka godzin w ogóle o niej nie myślałam.

Widok śladów pożaru wytrącił mnie z równowagi: hol wprawdzie odnowiono i wymieniono podłogę, ale zapach spalenizny nadal się utrzymywał, jakby nie mogły go rozproszyć ani świeża farba, ani nowy parkiet. Stołówka, w której jak przypuszczano, pożar się rozpoczął, nadal była niezdatna do użytku. Kiedy przyłgnęłam twarzą do szklanych drzwi,

zobaczyłam czarną dziurę po piecach kuchennych. Był to przygnębiający widok. Dzieciom zalecono przynoszenie drugich śniadań, dopóki kuchnia będzie nieczynna, i teraz uczniowie siedzieli w klasach, gdy nadchodziła pora lunchu, pochyleni nad sokami w kartonach, humusem i ekologicznymi warzywami.

Gdy pod koniec tego dnia pojawili się rodzice, żeby odebrać swoje pociechy, gratulowali mi odwagi i pytali o Celeste, coś sobie postanowiłam. Mama Theo, pani Hunting, dotknęła ostrożnie mojego gipsu i powiedziała, że zasłużyłam na to, by gdzieś wyjechać i odpocząć.

– Tyle złego pani przeżyła, pani Elliot – stwierdziła, jakby przemawiała do osoby, której umarł ktoś z najbliższej rodziny. – Mogło się to wszystko bardzo źle skończyć. Gdyby nie pani pomoc, Celeste by zginęła. Strach pomyśleć.

Zrozumiałam, że pani Hunting ma również na myśli własne dziecko. Odruchowo dotknęłam brzucha, przypomniawszy sobie to, które poroniłam.

O pożarze pisały wszystkie gazety, co mnie wręcz przeraziło. W „Mailu” było nawet moje zdjęcie – otoczona dziećmi gram na gitarze, na oczy opada mi grzywka. Zdjęcie zrobiono prawdopodobnie wtedy, gdy zaczęłam tu pracować, a tylko taką fotografią dysponowała szkoła.

Relacja ze szkolnego pożaru nie wyszłaby poza łamy miejscowej prasy, gdyby nie to, że uratowałam powierzoną mi grupę dzieci, w tym Celeste Detonge, wnuczkę znanej aktorki teatralnej. Tamtego dnia w budynku szkolnym przebywał tylko ten jeden rocznik; zerówka i pierwsza klasa były na wycieczkach. Cara wpadła w panikę, ujrawszy dym wypełniający szkolny hol, gdzie ćwiczyłyśmy z dziećmi ustawianie się na apel, ale ja musiałam zachować spokój, mimo że wycie syren alarmowych natrętnie przypominało mi o innej sytuacji, o innym pożarze. Zdołałam jednak opanować przerażenie i skupiłam się na wydostaniu dzieci i Cary z płonącego budynku. Celeste potknęła się i przewróciła, musiałam więc jeszcze raz wbiec do holu; kiedy oślepił mnie dym, który wdychałam, również się przewróciłam. Odczułam upadek, ale zignorowałam ból, zdążyłam wziąć dziewczynkę na ręce i ocalić jej życie. Nie uważam się za odważną osobę. Postąpiłam tak, jak postąpiłby każdy w podobnych okolicznościach. Jestem nauczycielką, to moja życiowa rola, moja misja. Powierzone mi dzieci są dla mnie najważniejsze.

Kiedy prześwietlono mi rękę, zaczęłam krwawić. Do dwunastu tygodni zabrakło kilku dni.

– Czy wybiera się pani w jakieś miłe miejsce na Wielkanoc? – spytała mnie ostatnio pani Hunting. – Po takich przeżyciach należy się pani wypoczynek.

Jej życzliwe słowa przekonały mnie, że wyjazd byłby naprawdę wskazany. Oznaczałby rzeczywistą odmianę. Odkąd Jamie otworzył własną firmę, ciągle brakuje nam gotówki. Nie wyjeżdżaliśmy od naszej podróży poślubnej, która była raptem pięciodniowym pobytem na wyspie Wright. Po tym, co wydarzyło się w Tajlandii, bałam się zagranicznych podróży, przerażały mnie samoloty, żyłam w strachu, że zginę w katastrofie lotniczej. Z tego powodu spędzaliśmy długie weekendy albo nawet całe tygodnie w Anglii.

Gdy wracałam piechotą ze szkoły, przypomniałam sobie o tamtej kuszącej propozycji wyjazdu do domu w Kornwalii z widokiem na morze. Wyobraziłam sobie niewielki wiejski dom stojący w jakiejś wiosce rybackiej, jak ten w serialu *Doktor Martin*. Uznałam, że morskie powietrze dobrze zrobiłoby Jamiemu. Skoro pracuje w domu, to mógłby tam pojechać z laptopem. Zanim dotarłam do naszego mieszkania, zdążyłam przekonać sama siebie, że byłaby to odpowiedź na nasze modlitwy.

Usłyszałam, że Jamie rozmawia przez telefon w gabinecie, który urządził sobie w pokoju gościnnym. Włączyłam czajnik, droczyłam się chwilę z Ziggym, po czym zaczęłam przygotowywać obiad. Z jedną ręką na temblaku nie było to łatwe, ale Florrie, starsza siostra Jamiego, pomogła nam i przyrzędziła zapiekanekę z mielonego mięsa i ziemniaków z sosem, którą zamroziłam. Wyjęłam z zamrażarki porcję mięsa i od razu włączyłam piekarnik. Kiedy mięso się grzało, usiadłam przy kuchennym stole, żeby na laptopie wygooglować Philipa Heywooda.

Piszę jedną ręką i potrzebowałam na to więcej czasu, zirytowana ciągłą powolnością wynikającą z noszenia gipsu, ale w końcu zobaczyłam na ekranie kilku Philipów Heywoodów: amerykańskiego muzyka, australijskiego biologa i chirurga plastycznego pracującego w londyńskiej prywatnej klinice. Kliknęłam link do kliniki i pojawiło się zdjęcie mężczyzny około pięćdziesiątki, o szacownym wyglądzie. Ten Philip Heywood miał ciemne, krótko ścięte włosy, szpakowate po bokach, i nosił wąsy. Czyżby to był on? Trochę jeszcze poszperałam i znalazłam jego profil na Facebooku, ale miał takie ustawienia prywatności, że widać było tylko

dwie fotki profilowe. Na jednej zobaczyłam Philipa, jak na pustej plaży otacza ramieniem młodszą, bardzo atrakcyjną ciemnowłosą kobietę. Swoją żonę? Czy to zdjęcie zrobiono w Kornwalii?

Jamie jeszcze rozmawiał, wpisałam więc frazę „Philip Heywood Kornwalia”. Wyświetliła się fotografia z imprezy dobroczynnej w Truro; Philip, w czarnym krawacie pod szyją, otaczał ramieniem tę samą kobietę, którą widziałam obok niego na zdjęciu z plaży. Miała na sobie szmaragdową sukienkę bez ramiączek, a jej głowę otaczały spadające na ramiona kędzierzawe ciemne włosy. Podpis pod zdjęciem informował: „Chirurg Philip Heywood i jego żona Tara gorliwie wspierają akcje dobroczynne”. Przez dłuższą chwilę przyglądałam się ich wspólnej fotografii: uśmiechom od ucha do ucha, bieli zębów, doskonałej cerze. Sprawiali wrażenie, że są parą ludzi sukcesu i cieszą się szacunkiem. Gdy ich córeczka zachorowała, zapewne rozważali rezerwację w hotelu, ale nie znaleźli żadnego, który byłby blisko szpitala. Skoro pozwalali nam zamieszkać u siebie, z pewnością mogłam im zaufać i powierzyć swoje mieszkanie na tydzień lub dwa.

Spróbowałam innej frazy: „Philip Heywood córka”. Na ekranie pojawiło się zdjęcie Philipa, Tary i dwunasto-, no, może trzynastolatki o pięknym uśmiechu i rudawych włosach, z wyraźnymi oznakami zespołu Downa. Przebiegłam wzrokiem tekst towarzyszący fotografii – krótki artykuł o filantropijnym zaangażowaniu Philipa Heywooda. Rozczarował mnie brak czegokolwiek, co scharakteryzowałoby jego samego, pozwoliło poznać małżeńskie życie Philipa i wyjaśniło, jakim jest ojcem. Wyczytałam tylko tyle, że odnosi sukcesy jako konsultant i nie skąpi czasu na udział w akcjach dobroczynnych. Zanim dotarłam do końca tekstu, podjęłam decyzję.

Jamiego nie musiałam przekonywać aż tak długo, jak sądziłam. Przygotowałam swoją przemowę: tak czy inaczej jestem na dwutygodniowym zwolnieniu, nie będzie nas to nic kosztować, on zasługuje na wypoczynek, ale też zabierze ze sobą laptopa, bo tam na pewno jest wi-fi, sama nigdy nie byłam w Kornwalii, Heywoodowie sprawiają wrażenie ludzi godnych szacunku i budzą zaufanie, gdy się z nimi rozmawia, ich córeczka ma zespół Downa i jest poważnie chora – to oczywiste, skoro operacja miałaby ją ocalić, a my zrobimy dobry uczynek... Jamie siedział naprzeciwko mnie, swymi długimi palcami

ściskając kubek z kawą, i milczał. Kiedy skończyłam mówić, wstał, żeby włożyć kubek do zlewu, wzruszył ramionami i powiedział:

– Okej, jeżeli wszystko uzgodnisz, to pojedziemy.

Odczekałam do pory poobiedniej i gdy Jamie wyprowadził Ziggy’ego, sięgnęłam po komórkę. Philip Heywood odezwał się ciepłym tonem, z akcentem typowym dla Yorkshire. Po głosie wyczułam, że jest młodszy, niż mi się wydawało; zapytał, z jakiej części Yorkshire ja pochodzę. Tego mu nie wyjawiałam, dowiedział się tylko, że mieszkałam w różnych miejscach.

– Tydzień w państwa mieszkaniu będzie nam naprawdę na rękę – oznajmił z ulgą w głosie.

Ustaliliśmy, gdzie zostawimy klucze – on na stacji benzynowej obok domu, a my u sąsiadki Evelyn, piętro wyżej; obiecaliśmy sobie, że się dzwoniemy, jeśli pojawiłyby się jakieś problemy. Wybraliśmy oboje sobotę, od której dzieliły nas dwa dni. Bardzo podekscytowana odłożyłam telefon. Cóż miałyby się nie udać?

Przez panoramiczne okna, które zajmują prawie całą szerokość jednej ściany, widzę gwiazdy na czarnym tle nieba. Jakbym przebywała w swoim prywatnym planetarium. Leżąc, staram się wypatrzeć Oriona i Wielki Wóz, ale niestety nie rozpoznaję żadnych konstelacji. Przychodzą mi na myśl pocztówki, które budziły mój zachwyt, kiedy byłam może ośmioletnią dziewczynką, tak skomponowane, że należało na nich odnaleźć trójwymiarowy obrazek. Zdarzało się, że potrafiła mnie rozboleć głowa, zanim w gąszczu trójkątów i kwadratów natrafiłam na ukrytego tam jednorożca albo twarz kobiety.

Nadal trudno mi uwierzyć w nasz pobyt w takim pięknym domu, i to z plażą u stóp ogrodu. *Z plażą*. Uszczęśliwia mnie perspektywa czekającego nas tygodnia: romantycznych spacerów brzegiem morza z Jamiem i Ziggym tuż obok, relaksu w urokliwym ogrodzie z widokiem na wodę, krzątania się w supernowoczesnej kuchni zasługującej na publikację w magazynach o domach i ogrodach, które namiętnie kupuję. Teraz panuje cisza, do moich uszu dociera tylko szum fal, które rozbijają się o wyżej położone przybrzeżne skały.

Rozmyślałam o tym, jak Heywoodowie radzą sobie w naszym mieszkaniu. Czy są zawiedzeni? Pewnie tak, skoro przywykli do takiego luksusu. I przychodzi mi na myśl Tara, która, przyzwyczajona przecież do eleganckich ubrań, musi się pogodzić z pobylem w naszej sypialni, gdzie stoją sosnowe meble z drugiej ręki, od Sylvii. Chyba że niepokój o los córeczki tak ich absorbuje, iż to chwilowe lokum nie ma dla nich znaczenia, byleby mieszkali w pobliżu szpitala i swojego dziecka.

Jamie przeciąga się rozleniwiony i bez większego przekonania proponuje:

– Wstajemy?

– Która godzina? – Odsuwam się od niego i zerkam na zegarek. – O kurczę. Już po ósmej. Co zjemy na obiad? – Mam przed oczami obraz pełnej zapasów lodówki na parterze. – Zgłodniałam. I nie wszystko jeszcze obejrzelismy.

Palę się do dalszego buszowania po domu Heywoodów. Nigdy przedtem nie korzystałam z wynajętego na krótko mieszkania, z żadnego Airbnb czy

zamiany mieszkań. Nawet Jamie, który dorastał w zielonej dzielnicy klasy średniej pod okiem rodziców z uniwersyteckim wykształceniem, jest chyba pod wrażeniem tego, co już tutaj widział.

Spuszczam nogi z łóżka i czuję pod stopami ciepło desek podłogi (pod którą zapewne jest zamontowane ogrzewanie). W kącie sypialni odnajduję walizkę – tam, gdzie Jamie ją postawił – i wyjmuję z niej podomkę. Bez niej nigdzie się nie ruszam. Jamie nie rozumie, dlaczego przy byle okazji muszę ją wkładać – sam nawet nie ma szlafroka. Wkładam ją teraz: sprawna ręka ginie w rękawie, a na drugą, na temblaku, spływa miękki szary welur. Podomka była jednym z pierwszych prezentów od Jamiego, kiedy cztery i pół roku temu zaczęliśmy być ze sobą. Jamie często bywał w mojej kawalerce, gdzie widział moją mizerną, znoszoną podomkę z odstającą kieszenią, i trochę się z niej nabijał. Po dwóch dniach, w zimne niedzielne popołudnie, zaskoczył mnie takim właśnie prezentem. A ja wtedy się w nim zadurzyłam.

– Ziggy też będzie chciał coś zjeść. Biedaczek... Przez całe popołudnie żadne z nas nie opuściło tej sypialni.

Kiedy Jamie nie reaguje, odwracam się i widzę, jak nagi obmacuje ścianę.

– Co robisz?

– Szukam kontaktu. Nie widzę, gdzie tu się włącza światło. A nagle zrobiło się ciemno...

– Uroki wyjazdu poza miasto – stwierdzam refleksyjnie.

Nie rozświetla nam okna ani uliczna latarnia, ani żaden przejeżdżający samochód. Jest inaczej niż na naszej ulicy w Bath – tam ginie się w tłumie. Człowiek czuje się bezpieczny. Anonimowy.

Zaczynam chichotać.

– Co cię tak bawi? – W głosie Jamiego też słyszę rozbawienie. – To nie jest śmieszne, Libs. Nie mogę znaleźć cholernego kontaktu.

Mrugam, aby zobaczyć coś w ciemności i pomóc Jamiemu, ale mrok pochłania nas oboje, jakbyśmy znaleźli się w smogu. Na próżno ostukujemy ściany, a ja natrafiam ręką na coś twardego i zrzucam z łoskotem na podłogę jakiś przedmiot, postawiony chyba dla ozdoby.

– O kurczę!

Cofam się raptownie i dostrzegam nad głową kilka półek. Zerkam na to, co spadło. Mam wrażenie, że widzę jakiegoś ptaka. Robię głęboki wdech. Jamie natychmiast zjawia się obok.

– Co to?

– Chyba martwe zwierzę.

Jest duże, obrócone głową do podłogi i ma pióra. Jamie przykuca, żeby obejrzeć ptaka.

– To sowa.

Podnosi ją delikatnie i podchodzi do okna, trzymając sowę tak, aby padało na nią skąpe księżycowe światło. Spoglądam mu przez ramię i stwierdzam, że ptaszysko jest wypchane, czym jestem zaskoczona. Jamie patrzy ze zdumieniem na sowę, która przeraża mnie natarczywością swoich martwych oczu.

– Odłóż ją, Jay – syczę do męża, jakby lada chwila mieli się pojawić Philip i Tara.

– Ach tak, nie przeszkadza ci, że sama przeglądasz garderobę Tary, jej obuwie, przymierzasz sukienki...

– Nie przymierzyłam tamtej sukienki. Okazała się za długa. Sięgam tej kobiecie chyba tylko do pach.

Wypowiedziane słowa sprawiają, że parskam śmiechem, bo nagle uznaję całą sytuację za absurdalną. Cieszy mnie uśmiech na twarzy Jamiego, kiedy odstawia na półkę wypchaną sowę, czule głaszcząc jej łebek. Zwierzęta potrafią wzruszyć mojego męża, nawet te martwe.

– Myślę, że powinieneś coś na siebie włożyć. Przez to okno każdy może cię zobaczyć.

Sama przebiegam wzrokiem po jego gibkim i szczupłym ciele pogrążonym w szarości zmroku, ale jednak nadal rozpoznaję linię cienkich jasnych włosów od pępka po pachwiny. I czuję, że całą sobą go pożądam. Dzisiaj kochaliśmy się dopiero drugi raz, odkąd poroniłam. A teraz ciągle mi mało.

Jamie popisuje się muskulaturą torsu, jakby brał udział w zawodach kulturystycznych, i przyprawia mnie tym o śmiech.

– Jesteśmy na odludziu – stwierdza. – Kto miałby mnie zobaczyć?

Przewracam oczami, udając zirytowanie.

– Musi istnieć jakiś inny sposób, żeby włączyć to światło.

– Oczywiście! – wykrzykuje Jamie. – Włączanie dźwiękami. Widziałem to na filmach.

Klaszcze. Nic się nie dzieje. Klaszcze jeszcze raz, po chwili znowu, i nagle nad naszymi głowami rozbłyskują tak silne lampy, że można oślepnąć.

– Czy jest tutaj jakieś przyjemniejsze miejsce? – pytam, starając się mruganiem uwolnić od roju czarnych plam przed oczami.

– Skąd mam wiedzieć? – Jamie klaszcze dwa razy i znowu toniemy w ciemnościach. – A niech to... Dlaczego oni nie mają kontaktów jak wszyscy normalni ludzie?

Jamie sięga po dzinsy, które spadły za łóżko, a potem ruszamy po omacku na parter, przy czym on celowo mnie wyprzedza, sprowadzając ze schodów.

Gdy jesteśmy na dole, Jamie klaszcze i zaraz rozbłyskuje światło.

– Jest tu chyba jakiś pilot? – zastanawia się, dochodząc do kuchni. – Czuję się idiotycznie, kiedy ciągle klaszczę.

Idę za nim, a Ziggy depcze mi po piętach. Zatrzymuję się za rogiem, bo czuję, że łomocze mi serce. Drzwi wejściowe są otwarte na oścież i kołyszają się na zawiasach. Dookoła kostek wyczuwam przeciąg. I widzę, że Jamie też zauważył drzwi. Podchodzi do nich i zamyka je bez komentarza. Byłby zbędny.

– Zamknęliśmy te drzwi – stwierdzam na tyle spokojnie, na ile mnie stać.

Jamie sprawia wrażenie, że nie przejął się tą sytuacją, ale ja wiem, że to gra. Od czasu pożaru w szkole obchodzi się ze mną jak z jajkiem i zachęca raz po raz, abym porozmawiała z jego mamą albo kimś innym, kto prowadzi terapię, i sprawdziła, czy przypadkiem nie cierpię na zespół stresu pourazowego. Wiem, że nie. Czy to możliwe, skoro mam za sobą o wiele gorsze przeżycia, a jednak je przetrwałam?

– Chyba nie zamknąłem dokładnie drzwi. Pewnie wiatr je otworzył.

Wchodząc do kuchni, Jamie unika mojego wzroku. W milczeniu idę jego śladem i siadam obok wyspy; obserwuję, jak Jamie zamyka i otwiera szuflady, szukając pilota, i mam gonitwę myśli. Jak długo drzwi były otwarte? Przyjechaliśmy o szesnastej. Czy tyle godzin stały otworem? Każdy mógł tu wejść, ktokolwiek z ulicy. Ale uświadamiam sobie, że tutaj nie ma ulicy. Ta posiadłość różni się od mojego domu w Yorkshire, gdzie dorastałam, i od budynków na naszej ruchliwej ulicy w Bath – tam zawsze coś się dzieje, a to ktoś spaceruje, a to wracają dzieci z pobliskich szkół. Nawet w środku nocy przez zasłony w naszej sypialni przesącza się blask przednich świateł karetki pogotowia albo policyjnego radiowozu.

– Taak! – ogłasza triumfalnie Jamie, pokazując mi jakieś urządzenie elektroniczne. – Tego łobuza szukałem.

Dotyka kolejnych przycisków, wywołując migotanie świateł jak na dyskotecę w klubie robotniczym, do którego zabierał mnie tata, kiedy byłam dzieckiem.

Drzwi stały otworem kilka godzin. A nuż w środku jest ktoś obcy.

Prześladuje mnie ta myśl, sprawia, że jest mi niedobrze. Jamie będzie zirytowany, jeśli o tym wspomnę, wiem, że będzie. Powie, że to irracjonalne, i znowu zacznie namawiać mnie na terapię, a w miejsce atmosfery swobody i radości, która pojawiła się między nami po przyjeździe, wkradnie się napięcie. Staram się oddalić od siebie tamtą myśl, jednak utkwiała w mojej głowie, zapuściła korzenie i będzie coraz bardziej natarczywa, o ile nie znajdę sposobu, by ją unieszkodliwić. Dawniej byłam niezła w uwalnianiu się od destrukcyjnych myśli. Ale pożar sprawił, że nie potrafię się powstrzymać przed wyobrażaniem sobie rzeczy najgorszych i coraz trudniej jest mi myśleć pozytywnie.

Ziggy upomina się o swoje i patrzy na mnie błagalnie wielkimi piwnymi oczami.

– O mój Boże, przepraszam cię, Ziggy – mówię, zeskakując ze skórzanego barowego stołka z chromowanymi nogami. – Jay, gdzie zostawiłeś jedzenie dla Ziggy’ego?

– Hm – słyszę, ale Jamie nie unosi wzroku.

– Jedzenie dla Ziggy’ego? Gdzie ono jest?

– Ach tak, w szafce nad zlewem.

Szafki nie mają uchwyków, więc otwieram chłodne połyskliwe drzwiczki jednej z nich, naciskając je dłonią. Wsypuję całe opakowanie karmy do miski Ziggy’ego, odtrącając jego nos, a on natychmiast zaczyna pałaszować.

– Dobrze – mówi Jamie. – Teraz wiem, o co chodzi. Nie będziemy już siedzieć po ciemku, kochanie. – Patrzy na mnie radośnie, ale po chwili przestaje się uśmiechać. – Co cię trapi?

– Nic.

– Libby, widać po tobie strach. Czego się boisz?

– Chodzi o drzwi...

Domyślam się, że Jamie tłumaczy westchnieniem.

– Co z nimi?

– Bardzo długo były otwarte, Jay. Nie wiem dlaczego, ale wyprowadziło mnie to z równowagi.

Nie mówi mi, że popadam w paranoję. Nie musi, wyraz jego twarzy jest aż nazbyt wymowny. Wychodzi, niczego już nie komentując, a ja zostaję z Ziggyem i zastanawiam się, czy Jamie nie jest poirytowany, choć to do niego niepodobne. Zwykle jest naprawdę cierpliwy. Wymyślam scenariusze, w których mój mąż otrzymuje ciosy w głowę od włamywacza. Tymczasem słyszę tylko sapanie Ziggy'ego, który wcina swoje jedzenie. W końcu Jamie wraca do kuchni.

– Obszedłem cały dom, żeby cię uspokoić. I nic. Nie ma żadnych intruzów. Statystycznie jesteśmy tu bezpieczniejsi niż w Bath. Ale – na twarzy Jamiego pojawia się przelotny uśmiech – znalazłem jeszcze parę wypchanych zwierząt. Heywoodowie są chyba amatorami wypychania.

Takie rzeczy nie pasują do nowoczesnego wystroju, ale wzruszam ramionami i nie pokazuję po sobie, jak bardzo mi ulżyło, że nie ma tu żadnego szaleńca.

– Wiem, że się wygłupiłam...

Jamie otacza mnie ramieniem i przytula, całując moje włosy.

– Rozumiem. Ty stale walczysz albo uciekasz. Od czasu pożaru, Libs, jesteś ciągle spięta. Ale musisz wyluzować. I nie doszukiwać się we wszystkim potencjalnego zagrożenia. Twój stan jest jednym z powodów naszego wyjazdu. Byłoby dobrze, gdybyś zasięgnęła czyjejś opinii...

Mój mąż jest jak Sylvia.

– Jamie, moja rodzina nie jest podobna do twojej. Do ciebie i twojej mamy. Kiedy dorastałam, nie był mi potrzebny żaden cholerny osobisty terapeuta.

Jamie się cofa i unosi ręce w geście poddania się.

– Wiem... wiem. Ciebie wychowano inaczej. Ciągle mi to powtarzasz. Ale przypomniałaś mi, że mam wysłać esemesa do mamy i przekazać jej, że dojechaliśmy szczęśliwie. – Wyjmuje z tylnej kieszeni telefon komórkowy i zerka na ekran. Rzednie mu mina. – Super, brak zasięgu. – Podchodzi do lodówki i otwiera drzwiczki. – A tak w ogóle to co ugotujemy na wieczór? Jest tu mnóstwo świetnych ekologicznych przysmaków. Heywoodowie nas rozpieszczają.

Uśmiecham się, ale właściwie go nie słucham, bo znowu coś przyszło mi na myśl. Gdybym mu to wyjawiała, a nie mam odwagi, Jamie osobiście zaprowadziłby mnie do psychoterapeuty. Ale nie potrafię się od tej myśli uwolnić.

A nuż tamten szkolny pożar wybuchł nieprzypadkowo?

W niedzielę budzę się wcześnie, białe światło zalewa sypialnię. Nigdy się nie przyzwyczaję do braku zasłon w oknach. Zapominam o swoim dziwnym zachowaniu poprzedniego wieczoru, ukojona pogodnym porankiem, świergotem ptaków i delikatnym szumem morza. Zanim zasnęłam, wierciłam się bez końca, szukając najlepszej pozycji, żeby pograć się we śnie, bo nie przywykłam ani do zupełnej ciemności, ani do przytłaczającej ciszy. Kiedy się kładliśmy, księżycowy blask nie wnikał już do sypialni, było tak ciemno, jakbym miała zamknięte oczy. A przecież od czasu, gdy byłam małą dziewczynką, nie zasypiam bez nocnej lampki. Wieczorem mogłam nie tyle zobaczyć Ziggy'ego na naszym łóżku, ile wyczuć jego obecność. Nadstawiałam też uszu, aby wychwycić jakikolwiek dźwięk, ale słychać było tylko wiatr i huk morza w oddali. Nie docierał tu żaden hałas uliczny, dźwięk przelatujących samolotów, żadne głosy sąsiadów ani słabo słyszalna muzyka. Tylko przeciągająca się cisza. Cisza i ciemność, tak przytłaczające, że czuliśmy się jak jedyni ludzie we wszechświecie. Ulżyło mi, gdy nastał nowy dzień.

Jamie pochrapuje teraz tuż obok, a Ziggy drzemie na kołdrze; od ciężaru jego cielska cierpną mi nogi. Odpycham go delikatnie.

– Ziggy – syczę – na łóżku nie ma dla ciebie miejsca.

U siebie pozwalamy, żeby się wylegiwał, ale tutaj mam wrażenie, że nie powinien kalać nieskazitelnie białej pościeli Tary. Pies mnie ignoruje, raczy zrobić tylko tyle miejsca, żebym mogła wysunąć nogi spod kołdry.

Nad łóżkiem wisi olbrzymia fotografia ślubna Tary i Philipa. Są tacy zakochani i eleganccy: ona ma na sobie suknię do kostek, on szykowny, dobrze skrojony garnitur i jedwabny krawat w kolorze kości słoniowej. Tara patrzy na wyższego od siebie męża z wielką miłością, która maluje się na jej twarzy, a Philip spogląda na nią z góry z ciepłym uśmiechem. Czy Jamie i ja też tak wyglądaliśmy w dniu naszego ślubu? Czy byliśmy do siebie tak przywiązani? Na fotografii ślubnej tamci dwoje są o wiele młodszy niż na zdjęciu z gazety: w kasztanowych włosach Philipa nie ma ani śladu siwizny, Tara zachwyca doskonałą cerą, a jej brązowe oczy wydają się większe na tle szczuplejszej twarzy. Wyobrażam sobie, że są co najmniej piętnaście lat starsi od nas, mają pewnie teraz około czterdziestu pięciu, ale

ślub wzięli, jak sędzę, kiedy różnica wieku między nimi a nami nie rzucała się jeszcze tak bardzo w oczy. Chcę wiedzieć jak najwięcej o tej pięknej uprzywilejowanej kobiecie, współwłaścicielce domu, w którym zamieszkałam.

Czule całuję mordkę Ziggy'ego, a potem wkładam podomkę i idę do łazienki – cicho, żeby Jamie się nie obudził.

W łazience zerkam, nie bez pewnej zawiści, na klasyczną wolno stojącą wannę i lśniące chromowane kurki, podziwiam ekstrawaganckie świece, które roztaczają zapachy z półek na ścianie. Od dawna marzyła mi się choćby jedna taka świeca, ale są tak drogie, że nie mogłabym sobie na nie pozwolić. Wyobrażam sobie Tarę w kąpeli z bąbelkami, pogrążoną w lekturze książki na temat uważności, spowitą cudownym aromatem. Myję ręce, sięgam wyżej, zdejmuję z półki świecę i wdycham głęboko jej zapach. Rozpoznaję woń mandarynek i limonki. Podekscytowana czuję, że moje serce łomocze. Czy ktokolwiek zauważy brak jednej świecy? Jest ich tutaj co najmniej sześć. Więcej, niż Tara potrzebuje dla siebie. Pewnie zapomniała, ile kupiła, i nie przywiązuje do nich większej wagi, skoro trzyma świece w domku letniskowym. Zerkam niespokojnie w stronę drzwi, jakbym się spodziewała, że stanie w nich Tara. Ledwo, ale jednak, widzę stąd łóżce z baldachimem. Jamie wciąż śpi i jedną ręką zasłania oczy. Patrzę na świecę w swoich dłoniach. Cokolwiek bym sobie wmówiła, dopuściłabym się kradzieży. Z żalem odstawiam świecę na półkę.

Zaczynam myszkować w szafce pod umywalką, nie wiedząc tak naprawdę, czego szukam. Chyba jestem po prostu wścibska. Znajduję perfumy Toma Forda w turkusowej butelce. Otwieram je i spryskuję cytrynowym zapachem szyję oraz nadgarstki. Najpewniej tak właśnie pachnie Tara. Drogimi perfumami. Odstawiam butelkę na miejsce i w głębi szafki dostrzegam sporą torbę z przyborami do mycia. Już jestem gotowa po nią sięgnąć, ale słyszę głos Jamiego:

– Wszystko w porządku, Libs?

Zamykam czym prędzej szafkę i wracam do sypialni. Jamie opiera się na łokciu, a Ziggy jeszcze drzemie obok łóżka.

– Dlaczego widać po tobie, że coś przeskrobałaś? – pyta z uśmiechem Jamie. – Znowu skusiły cię stroje Tary?

Czuję, że się czerwienię.

– Daj spokój, Jay, po prostu robiłam siku.

Jamie się przeciąga.

– Wszystko mnie boli. Za miękkie to łóżko.

– Mówisz jak Złotowłosa¹. Zejdę na dół i zaparzę herbatę – zapowiadam, idąc już w kierunku drzwi, trochę zresztą poirytowana, że Jamie nie minął się zbyt z prawdą, gdy pozwolił sobie na żart na temat przymierzania strojów Tary.

Poranne słońce przesącza się przez ogrodowe drzwi do salonu, sprawiając, że pokój wygląda świeżo i czysto. „Nie chcę wracać do domu” – myślę, podchodząc do kominka, żeby obejrzeć wazon z prążkowanego szkła. Gdy dotykam wypchanego maskonura stojącego obok jeszcze jednej zapachowej świecy, cofam nagle rękę. Na widok wypchanych zwierząt przechodzą mnie ciarki; zwierzęta wyglądają jak żywe, a przecież są martwe, ich wpatrzone w jeden punkt oczy są pozbawione życia. Nie wierzę, że Tarze się podobają. Na ten pomysł wpadł raczej Philip. Ale jestem pewna, że z inicjatywy Tary pojawiły się w domu białe ściany, pledy, narzuty i poduszki. Przydała się kobieca ręka. Kto wie, czy wypchane zwierzęta nie są potrzebne Philipowi jako dowód upodobania wiejskiego stylu życia. A w rzeczywistości pewnie ich nie cierpi. One przecież zupełnie nie pasują do tego domu. Opadam na narożną sofę obitą białym płótnem, wyciągam się na niej i opieram głowę o puchowe jaśki. Oglądam rozłożone wzorzyste poduszki i dotykam szarego kaszmirowego pledu zarzuconego na tył sofy. Ciekawe, skąd Tara wzięła coś podobnego i czy mogłabym uzyskać podobny efekt u nas. Gdybyśmy mieli więcej pieniędzy, żeby unowocześnić nasze mieszkanie... Przydałoby się odświeżyć ściany, a sofa jest jednym z mebli, których pozbyła się Sylvia, dla nas zbyt wielka, zresztą już niemodna.

Chyba zasnąłam, bo budzi mnie głośna muzyka rockowa. Zaskoczona siadam z mocnym biciem serca. Na przeciwległej ścianie hałasuje telewizor, a ja rozglądam się za Jamiem przekonana, że to on musiał zejść na dół i go włączyć. Ale po chwili widzę go zbiegającego po schodach, ubranego w bokserki i koszulkę z krótkimi rękawami; włosy ma w nieładzie, po piętach depta mu Ziggy.

– Zmiłuj się, Libs, nie musiałaś tak głośno tego nastawiać! – wykrzykuje Jamie, żebym usłyszała go mimo hałasu.

– Ja... ja tego nie włączyłam... – W zdumieniu gapię się na ekran. Heavymetalowy zespół gra na żywo, muzycy podskakują na scenie, na twarzy wokalisty widzę spływający pot. – Telewizor sam się włączył.

Jamie, bardzo zirytowany, podchodzi do odbiornika.

– Gdzie jest pilot?! – krzyczy znowu.

– Nie wiem. Już mówiłam, że to nie moja sprawa – odcinam się. Jamie wie, że nie cierpię głośnej muzyki.

Ogłuchłam tak bardzo, że muszę stamtąd wyjść. I roztrzęsiona udaję się do kuchni, mocniej zawiązując podomkę, jakby była dźwiękochłonna. Dlaczego telewizor sam się włączył?

Karmię Ziggy’ego i zaparzam nam herbatę. To łatwe, bo nie potrzeba czajnika – tuż obok zlewu Heywoodowie mają kran z wrzątkiem. Ciągle słyszę muzykę rozbrzmiewającą w sąsiednim pomieszczeniu, dlatego rozsuwam, nie bez trudu, drzwi do ogrodu i idę tam, pod bosymi stopami czując zimne kamienne płytki. Z zewnątrz widzę, jak Jamie otwiera i zamyka szuflady szafki pod telewizorem, szukając sposobu, żeby ściszyć odbiornik. Przynajmniej nie mamy sąsiadów i nikt nie narzeka na hałas. Ziggy raczej się nie przejmuje całą tą sytuacją, skoro wychodzi za mną do ogrodu.

– W porządku – mówię i schylam się, żeby pies poczuł moją zdrową rękę na karku.

On z utęsknieniem zerka na trawnik.

– Okej, możesz tam wejść – oznajmiam, prostuję się i przyglądam, jak Ziggy idzie po mokrej trawie.

Sama dochodzę do krawędzi małego chodnika z płytek i tam się zatrzymuję. Na trawniku są ślady stóp. Dużych. Męskich. Odwracam się i sprawdzam, czy boczne wejście do ogrodu jest zamknięte. Wczoraj, kiedy przyjechaliśmy, zapamiętałam, że furka była zamknięta, bo chciałam mieć pewność, że Ziggy będzie bezpieczny w ogrodzie. A teraz widzę, że jest otwarta na oścież i rozkołysana, bo wieje lekki wietrzyk. Przychodzą mi znowu na myśl otwarte wczoraj drzwi do domu i po chwili czuję gęsią skórę na obu rękach.

Później, ale jeszcze tego samego dnia, Jamie uspokaja mnie kolejny raz, kiedy spacerujemy po plaży:

– Proszę cię, Libs, nie wpadaj znów w paranoję. Mówiłem ci...

Poczerniałe wodorosty chrzęszczą mi pod stopami. Plaża jest prawie pusta, czasem tylko mija nas ktoś spacerujący z psem. Ziggy z wywieszonym jęzorem biegnie przed nami wzdłuż brzegu i moczy sobie łapy. Wieje tak mocno, że muszę wcisnąć na głowę czapkę, która mi ciąży, bo doszyty do niej olbrzymi pompon sporo waży.

– Co mówiłeś? Że ślady stóp mogły być tam już od dawna? Wątpię. Przez ostatnie kilka dni mocno padało. A brama? A telewizor?

Jamie wzdycha.

– Telewizor ma regulator czasowy. Doszedłem do tego. Ale nie wiem, dlaczego był nastawiony tak głośno. Chyba że Philip i Tara lubią hałaśliwy rock.

– Taka muzyka raczej nie jest w ich guście.

Jamie przystaje i uwalnia moją rękę.

– Skąd miałabyś wiedzieć, czy takiej nie słuchają? Przecież ich nie znasz. I nie masz pojęcia, kim są.

Zbiera mi się na płacz.

– Ja nie mam pojęcia? Wiem o nich już bardzo dużo. Wiem, że gustują w ładnych rzeczach, biorą udział w różnych akcjach dobroczynnych, a Philip jest konsultantem. Chirurgiem. A Tara... zapewne panią domu. Piękną i troskliwą. Mają dziecko, które dotknęła ciężka choroba...

– Libby – mówi Jamie, podchodząc do mnie. – Wiem, że rozmawiałaś z Philipem przez telefon, oglądałaś ich fotografie, szperałaś w ich rzeczach, wiesz, co napisano o nich w gazetach, a my zatrzymaliśmy się w ich domu. Ale to dla nas obcy ludzie.

– Jestem tego świadoma.

– Tym lepiej. Bo jak sama wiesz, najpewniej nie są doskonali. Jak każdy z nas muszą srać i sikać.

Odpycham go.

– Och, nie bądź wulgarny, Jay.

– Mówię, jak jest. To tylko ludzie. Nie stawiaj ich na piedestale tylko dlatego, że są obrzydliwie bogaci.

Jamie ma rację, tak właśnie się zachowałam. Zawsze imponowali mi ludzie sukcesu, którzy żyją w luksusie i mają klasę. Może dlatego, że moim rodzicom ciągle brakowało gotówki, a mama była zmuszona sprzątać po domach, żeby związać koniec z końcem. Mówiła zawsze o „pani Haughton z Wielkiego Domu”, jakby ją szczególnie szanowała i miała za kogoś lepszego, bo tamta mieszkała w willi z pięcioma sypialniami. W milczeniu chwytam rękę Jamiego, a on patrzy mi w oczy o ułamek sekundy dłużej, niż trzeba, ale nie wraca do poprzedniego tematu. Oboje wchodzimy teraz do morza, mamy podwinięte nogawki spodni i w zatoczkach poniżej skał szukamy krabów.

Wracamy do domu wysmagani przez wiatr, z piaskiem we włosach i na skórze. Gdy jesteśmy wreszcie w sypialni, zrzucamy z siebie ubrania i razem idziemy w stronę kabiny prysznicowej; chichoczę, bo Jamie chwytą mnie wpół i całuje moją szyję. Wiem, że chce, abym przestała się bać. Zależy mu na tym. I stara się o to, odkąd poroniłam. Nieustannie próbuje mi ułatwić odzyskanie dobrego samopoczucia.

Poronienie doprowadziło mnie do rozpacz. Moja reakcja na utratę dziecka zaskoczyła chyba wszystkich.

– To po prostu komórki – pocieszała mnie Sylvia. – Płód był jak orzeszek.

– Straciłaś to maleństwo, ale pokazałaś, że jesteś naprawdę dzielna i nie ma w tobie egoizmu – nie omieszkała dodać Cara.

– Tak natura dała ci znać, że dzidzius nie miał się dobrze – wtrąciła Florrie, starsza siostra Jamiego.

Nigdy przedtem Jamie nie widział mnie w takiej emocjonalnej rozsypce. Mówił, że zawsze podziwiał we mnie niezależność. Moją siłę. Uwielbiał opowieści o tym, jak się podniosłam z „rynsztoka” (sam użył takiego określenia), jak zdobyłam wykształcenie i wymarzony zawód nauczycielki. Jak po śmierci rodziców wyrzekałam się wszystkiego, żeby samodzielnie ruszyć do Tajlandii. Moją piętą achillesową są jednak dzieci. Je właśnie kocham. I kocham to, że jestem ich nauczycielką, a zarazem tak rozpaczliwie pragnę zostać matką własnego dziecka.

A teraz jest między nami inaczej. Mogę się tego domyślić, że Jamie nie patrzy już na mnie tak samo. Jest bardziej opiekuńczy. W jego oczach jestem teraz kruchą istotą ze złamaną ręką i jałowym łonem. Na głośnie dźwięki reaguję palpitacjami, co dawniej mi się nie zdarzało. Jestem nerwowa, bliska paranoi. Przerażona. Czuję, że tracę kontrolę, że poukładany wcześniej świat stanął na głowie. Chociaż dołożyłam tylu starań, aby ten świat wykreować.

Dzwoni mi w uszach. Ogłusza mnie to, drażni i nuży jednostajnością niczym wiertarka pneumatyczna, ale brzmi znajomo – słyszę alarm przeciwpożarowy. Ogarnia mnie przytłaczająca panika, czuję jej ciężar na klatce piersiowej. *Pożar!* Muszę uciekać. Moje ciało oblewa zimny pot. Jestem w hostelu. Zrobiło się zbyt gorąco. A ciemność zastawia na mnie pułapkę, więzi. Do moich uszu docierają odgłosy bieganiny, ktoś krzyczy w języku, którego nie rozumiem. Słyszę wrzask. Dym wdziera się do mego nosa i płuc tak szybko, że brak mi tchu. Czuję na sobie cudze ręce i staram się ich pozbyć.

– Proszę mnie puścić! Proszę mnie puścić!

– Cii, Libby, obudź się... Wszystko w porządku.

Otwieram oczy i widzę, że Jamie patrzy na mnie, trzyma ręce na moich ramionach, a na jego twarzy maluje się zatroskanie. Leżę na sofie. W Kryjówce. Jestem bezpieczna... Jestem bezpieczna. Chyba zasnęłam... ale nadal słyszę tamten hałas.

– To tylko alarm przeciwpożarowy – wyjaśnia Jamie, jakby czytał w moich myślach. – Uruchomił się w kuchni. Byłem zajęty tostem – dodaje ze skruszonym uśmiechem. – Chciałem posmakować luksusowego pasztetu Heywoodów. Ale ten cholerny alarm jest zbyt czuły. Za chwilę przestanie wyć. Zdążyłem go wyłączyć.

Odpycham jego ręce. Jamie odsuwa się, jakbym go ugryzła.

– Miałaś koszmarny sen. Próbowałem cię obudzić.

Z trudem siadam.

– A ja sądziłam...

Alarm cichnie i po chwili moje serce zwalnia, mimo że jeszcze trochę dzwoni mi w uszach.

Jamie siada obok, ale mnie nie dotyka. Na talerzyku na stoliku do kawy dostrzegam dwa tosty ze zwęglonymi brzegami, za późno wyjęte.

– Libs, ty cała drżysz...

W ustach mam niesmak, a pod podomką czuję, że do ciała przywarł mi przeпоcony top.

– Myślałam, że jestem w tamtym hostelu – wyznaję zdezorientowana. I rozglądam się, aby nabrać pewności, że naprawdę znajduję się

w Kryjówce, a nie w Tajlandii. Tara posyła mi uśmiech ze zdjęcia na czarno-białym płótnie, które pokrywa przeciwległą ścianę nad telewizorem. Widok tej fotografii pozwala mi na powrót do teraźniejszości.

Mój podbródek dygocze. Nie chcę płakać.

Jamie zauważa mój stan i bierze mnie w ramiona.

– Och, maleńka.

Maleńka. Ostatnio nazywał mnie tak wiele lat temu.

– To było takie prawdziwe – szepczę przytulona do niego. W gardle ciągle czuję ból, jak gdyby rzeczywiście zatykał mnie dym. Odsuwam się od Jamiego i wstaję, przy czym odruchowo dotykam ręką szyi. Nie mogę jeszcze normalnie oddychać.

Podchodzę niepewnym krokiem do oszklonych drzwi, przekręcam klucz, aby otworzyć jedno skrzydło, i stoję pod bezgwiezdnym niebem, równocześnie podtrzymując złamaną rękę. Pozbyłam się temblaku, ale gips nadal mi ciąży. Zginam palec. Nie mogę się doczekać uwolnienia od tego cholernego gipsu.

Na zewnątrz jest bardzo ciemno. Takie nocne niebo widuje się tylko na prowincji, tak gęsta czerń na bezkresnym firmamencie, nieskażona niczym, ani spalinami, ani światłem ulicznych latarni. Wdycham głęboko tutejsze świeże powietrze. Na języku czuję smak soli, a do uszu dociera huk morskich fal. Kiedy tak tutaj stoję, w tej nieomal totalnej ciemności, uświadamiam sobie znów, jak daleko się znaleźliśmy. Jak daleko od cywilizacji. Ogarnia mnie nagle tęsknota do naszej ruchliwej ulicy w Bath, do tłumu ludzi, którzy hałaśliwie wiodą swoje codzienne życie. Tu, na tym pustkowiu, jest zbyt cicho. Zbyt spokojnie.

– Nigdy o tym nie mówisz. Co się właściwie wydarzyło w Tajlandii?

Zaskakuje mnie to pytanie. Usłyszawszy głos, odwracam się ku Jamiemu, który stoi w drzwiach w niewyraźnym świetle z głębi salonu. Nameńczył się, żeby wyregulować pilotem oświetlenie.

– Nie chcę przeżywać tamtej historii jeszcze raz – oznajmiam.

Jamie nie wychodzi do ogrodu.

– Ale tak się dzieje. Przeżywasz ją. Tak niedawno się wydarzyła. I pewnie przyszła ci na myśl, gdy szkoła stanęła w ogniu.

– Po prostu chcę o tym zapomnieć. Usunąć z pamięci. To moja samoobrona.

Nigdy nie wyjawiałam Jamiemu, co się zdarzyło. Co mnie spotkało. Mnie i Karen. Jamie wie, że moja przyjaciółka straciła życie. Wie, że ja miałam

szczęście, bo uciekłam. Czasami się niepokoję, ponieważ jest trochę spraw, o których mu nie opowiedziałam. A przecież nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic. A jednak mamy. Wiem, że on też nie o wszystkim mi mówi. Na przykład nie opowiada o swoim uczuciu do Hannah. Ukrywa pożyczkę zaciągniętą u swojej matki i sądzi, że ja nic nie wiem na ten temat. Tak jest dobrze. Rozumiem. Bo darzymy się nawzajem miłością i musimy sobie ufać. Mnie nie kręci bzdurna terapia małżeńska. Nigdy nie zajmę kozetki w gabinecie psychiatry, aby odpowiadać na pytania typu: „Jak się pani z tym czuje?”. To po prostu nie dla mnie. Jeśli o mnie chodzi, rzeczy minione należą do przeszłości. I tam powinny pozostać.

Kiedy następnego dnia budzę się po prawie bezsennej nocy, Jamie oświadcza, że spędzimy ten dzień poza domem. Nie musi tego wyjaśniać, ale ja wiem, że chce, bym odetchnęła od domu. O jego propozycji przesądziło zapewne moje rozdrażnienie z powodu alarmu przeciwpożarowego.

– Moglibyśmy się wybrać do St Mawes i obejrzeć zamek... Zbudował go Henryk VIII. Podobno warto – mówi przy śniadaniu Jamie. – A może wolałabyś latarnię morską w Lizard Point?

Jamie siedzi przy kuchennej wyspie, przyglądając się uważnie rozłożonej mapie i jednocześnie pałaszując płatki Shreddies. Gdy widzę jego upodobanie do takich dziecięcych dań (sama je tak nazwałam), nigdy nie potrafię się powstrzymać od uśmiechu. Jamie polubił także frosties. Nie wyjeżdża z domu, jeżeli nie ma ich zapasu.

– Jak daleko stąd do latarni?

– Nie więcej niż godzina jazdy.

Taka długa jazda samochodem nie jest zbyt kusząca. Wczorajsze mdłości jeszcze nie przestają dawać mi się we znaki, ale nie chcę popsuć Jamiemu frajdy. Lepiej zwiedzić latarnię niż błąkać się po zamku, gdzie jest dużo gruzu i okropna wilgoć. I dobrze będzie wyjechać z tego domu, chociaż naprawdę mi się podoba.

Spieramy się o to, czy zabrać Ziggy’ego, ale w końcu rezygnujemy, chociaż mam wyrzuty sumienia, widząc żal w wielkich brązowych oczach psa, kiedy ruszamy.

– Niedługo wracamy, Zigs – mówi Jamie.

Posyłam psu całusa, po czym Jamie zamyka drzwi. Zauważam, że ma niepewną minę.

– Myślisz, że będzie z nim okej? A jak nasra na meble albo przeskrobie coś innego?

– On wie, jak się zachować w mieszkaniu – odpowiadam ze śmiechem. Jamie odwleka swoje odejście od drzwi.

– Nie czuję się komfortowo, zostawiając go tutaj, Libs.

Wkłada klucz do zamka i drzwi znowu stają otworem. Ziggy skacze w naszą stronę.

Z udawaną rozpaczą przewracam oczami.

– Niech już jedzie z nami, ale zostanie w samochodzie, dopóki nie zwiedzimy latarni. A później zabierzemy go na długi spacer.

Jamie wraca po smycz.

– I nie zapomnij o misce z wodą! – wołam, pochylając się, żeby uspokoić Ziggy’ego.

Jest zimniej niż w dniu naszego przyjazdu – od morza wieje lodowaty wiatr, niebo ma ciemnoszary kolor. Mocniej zawiązuję szal na szyi, tymczasem Jamie umieszcza psa na tylnym siedzeniu.

– Nie opuszczaj dachu – ostrzegam, zajmując miejsce pasażera. – Marzną, a przez ten temblak nie mogę nawet założyć płaszcza, jak należy.

– Wcale nie zamierzałem opuścić dachu – wyjaśnia łagodnie Jamie i zerka na mnie z ukosa; pewnie chce sprawdzić mój nastrój.

Jestem gotowa wykrzyczeć: „Przestań obchodzić się ze mną jak z jajkiem!”. Ale nie mogę, bo wiem, że słowa Jamiego są wyrazem jego miłości. Tyle że nie cierpię, kiedy traktuje się mnie jak jakąś damulkę w opałach. Wiem, że obawa przed strasznymi tragediami mi nie pomaga, i dlatego gdy samochód pokonuje wąskie dróżki, postanawiam, że wezmę się w garść. Chcę zapanować nad absurdalnymi myślami. Pragnę, by Jamie widział we mnie tę silną, niezależną kobietę, w której się zakochał. Kobietę, która nie przejmuje się byle czym. Kobietę, którą jego matka określiła jako „przebojową” po pewnej burzliwej dyskusji z Katie na temat systemu oświaty.

Nie odzywamy się teraz do siebie. Zerkam na mijane szybko wiejskie dróżki, które cieszą oko na przemian zieloną i szarą barwą. Dalej, pośród łąk, widzę owce, ich runo wyglądające jak wata na tle soczystej trawy przypomina mi pewien dziecięcy rysunek. Jamie włącza radio na cały regulator, ale nie wtóruje piosenkarzom.

Kiedy skręca w prawo, dostrzegam latarnię morską, a obok niej spore białe budynki z parapetami pomalowanymi na zielono. Samochód szarpie

na wyboistej drodze dojazdowej, właściwie na asfalcie połączonym ze zwiem, co naraża mnie na jeszcze większe mdłości, aż wreszcie Jamie parkuje na miejscu postojowym.

– Dotarliśmy – mówi, wyłączając silnik. – Najpierw obejrzymy latarnię?

– Marzy mi się Starbucks – wyznaję.

Jamie przyjmuje to z uśmiechem.

– Nie sądzę, żeby tutaj była taka możliwość. Ale potem możemy skoczyć do kafejki.

– Zgoda. Czy dostanę tam karmelowe macchiato? Jak wiesz, nie wypiję kawy bez syropu.

Jamie ściska mnie za udo.

– Postaram się, żeby ci smakowało – obiecuje i wcześniejsze napięcie między nami wyparowuje. Obraca się w stronę psa. – A po powrocie pójdziemy na długi spacer, przyrzekam.

Zwiedzamy latarnię z przewodniczką imieniem Ruth, ładną i młodą dziewczyną o rudych spiralnych lokach. W niewielkim owalnym pomieszczeniu, gdzie jest aż dziewiętnaście innych osób, mam atak klaustrofobii. Nie minęły mi jeszcze objawy choroby lokomocyjnej, co gorsza, obok stoi niedomyty mężczyzna. Jamie jest zafascynowany historią latarni, którą opowiada Ruth. Przewodniczka prowadzi nas na górę rozklekotanymi schodami, aby pokazać piękną panoramę morza. Udaję entuzjazm, ale mam wrażenie, że jestem w pracy, na jednej z wielu szkolnych wycieczek.

W końcu zostajemy wypuszczeni na dwór, a ja mogę odetchnąć głęboko świeżym morskim powietrzem i uwolnić się od zapachu niemytych ciał oraz pokrytych od dawna kurzem pamiątek. Zapachy działają na mnie intensywniej niż wcześniej. Reaguję na wilgotną trawę, morskie powietrze, aromat kawy z pobliskiej kawiarenki, zapach owocowego szamponu we włosach mijanej kobiety. Tak dobre powonienie miałam dotychczas tylko raz, w ciąży. Czyżbym zaszła w nią znowu? Instynktownym gestem głaszczę się po brzuchu, ale w głębi duszy wiem, że ten stan nie jest prawdopodobny. Kochaliśmy się z Jamiem tylko raz, zanim przyjechaliśmy do Kornwalii. Wiem, że jedna okazja wystarczy, ale nie liczę na tak wielkie szczęście.

Pogrążona w myślach idę już po trawie i dopiero wtedy spostrzegam, że nie ma przy mnie Jamiego. Gdy spoglądam za siebie, widzę go w zwieńczonych łukiem drzwiach latarni, pochłoniętego rozmową z Ruth.

Jamie wsłuchuje się w jej słowa ze złączonymi brwiami, na jego twarzy widać skupienie. Chyba dopiero co wypowiedział jakąś zabawną kwestię, bo Ruth wybucha śmiechem, odrzucając głowę, po chwili dotyka ręki Jamiego i nieco dłużej niż powinna przesuwając palcami po rękawie jego wełnianej marynarki. Ona jest, jak sędzę, prawie dziesięć lat młodsza, ale Jamie ją kręci, to widać; rozważne kobiety tak mają. Jamie pociąga wymuszkaniem, fircykowatością, co działa na niektóre – na mnie też – przypomina Jarvisa Cockera, tylko młodszego i o jaśniejszych włosach. Do znoszonych džinsów włożył długą marynarkę i czerwony szalik. Wygląda jak profesor. Albo nie najmłodszy student.

Odrywam wzrok od stroju męża i ruszam powoli ku kawiarence, świadoma, że wkrótce do mnie dołączy. Tak się dzieje, ale Jamie jest zdyszany i ma rumieńce na policzkach.

– Wyobraź sobie – mówi bardzo szybko, przejęty całą sytuacją, przy czym ujmuje mnie za zdrową rękę i splata ją ze swoją – że potrzebowali w latarni trzech mężczyzn, zanim pojawiły się tam komputery.

– Nie miałam pojęcia.

Jamie często zarzuca mnie mało ważnymi, bezużytecznymi faktami.

– Przed laty pracowały tam tylko dwie osoby. Ale to się zmieniło. A dlaczego?

Wzruszam ramionami.

– Proszę cię, Libs. Zaangażuj się trochę.

Wzdycham.

– Okej, dlaczego?

Oczami wyobraźni widzę Jamiego, który zaciera ręce uradowany moją reakcją.

– Otóż, jak opowiada Ruth, dawno temu na wyspie oddalonej od wybrzeży Walii jeden z dwóch pracowników zmarł, chyba na zawał. A drugi tkwił potem samotnie z ciałem nieboszczyka. Trwało to wiele miesięcy.

Ku mojemu rozżaleniu zdążyliśmy minąć kafejkę i dojść do krawędzi klifu, gdzie zatrzymuję się, aby wygrzebać telefon z torebki i zrobić nim zdjęcie rozciągającej się poniżej zatoki. Niebo jest zachmurzone, wiatr rozwiewa nam włosy i szarpie okryciami, jakby chciał odwrócić naszą uwagę od widoków, które zapierają dech w piersiach. Gniewne morze ma niebieską barwę, jego spienione fale odbijają się od skał i rozbryzgują na

nierównej linii brzegowej. Ogłusza nas i hałaśliwy wiatr, i huk morza, przez co niemalże krzyczymy, żeby się słyszeć.

– Tamten człowiek bał się, że policja weźmie go za zabójcę, postanowił więc zachować zwłoki kolegi jako dowód swojej niewinności i wystawił je za okno – opowiada dalej Jamie.

– Coś ty! Dlaczego musiał wywiesić je akurat za oknem?

– Bo w latarni zabrakło dla nich miejsca. Była za mała. I chodziło o nieboszczyka, Libs. Ciało zaczęło się rozkładać, brzydko pachnieć. Daj, pomogę ci. – Jamie wyjmuję mi z rąk telefon; zauważył, że mam kłopot ze zrobieniem zdjęcia.

Drzę.

– Dzięki – mówię i kręcę nosem, bo dochodzi mnie ostry zapach soli morskiej i ryb. – Jak on wywiesił kolegę za oknem? – pytam. Zżera mnie ciekawość, a przecież nie powinnam zachęcać Jamiego.

On promienieje, oczywiście zachwycony, że może się pochwalić taką starą ploteczką.

– No cóż, przygotował prowizoryczną trumnę, włożył tam zmarłego i tak wywiesił go za latarnię. – Jamiego od dawna fascynują, wręcz chorobliwie, rzeczy dziwaczne, niesamowite. Z tego powodu zaprenumerował „Fortean Times”. – Ale kiepska pogoda sprawiła, że trumna się otworzyła, więc nieboszczyk po prostu tam wisiał, rozkład ciała postępował i zwłoki uderzały w okno, jakby zmarły chciał zwrócić na siebie uwagę kolegi. Potrafisz wyobrazić sobie coś podobnego? Żeby oglądać powolny rozkład zwłok przyjaciela...

Mierzi mnie ta historia.

– Rozumiem, Jay. Potrafię to sobie wyobrazić. Dlaczego ten, który pozostał przy życiu, nie sprowadził pomocy?

Jamie się dziwi, przewraca oczami, jakbym pytała o coś oczywistego.

– Bo nie mógł zostawić latarni bez obsady, prawda? Wysyłał sygnały alarmowe, na które nikt nie reagował przez kilka miesięcy. A widok zmarłego przyjaciela, który ciągle wisiał za oknem, musiał go pewnie doprowadzać do szaleństwa.

– Nie dziwi mnie to. Czy możemy zmienić temat?

Jamie uśmiecha się i mruga porozumiewawczo.

– Oczywiście.

– Czy o tym gawędziła z tobą Ruth? Kiedy reagowała śmiechem na twoje żarty i z tobą flirtowała?

Wymysknęły mi się te pytania i na twarzy Jamiego dostrzegam oznaki zdziwienia.

Wzrusza ramionami, jest w dobrym nastroju.

– Cóż, jeszcze działałam na kobiety. – Mruga do mnie porozumiewawczo.
– Co mam ci powiedzieć?

Żartobliwym gestem odpycham jego rękę.

– Tak, to właśnie uwielbiasz – stwierdzam ze śmiechem. – Ale nie zapominaj, że jesteś mój.

– Jak mógłbym zapomnieć?

Wspinamy się na szczyt porośniętego trawą stoku, żeby mieć lepszy widok na morze i postrzępione skały. Pod nami ciągnie się zygzakowata ścieżka.

– Czy to foka? – pytam, dając Jamiemu kuksańca i wskazując na ciemną plamę pośrodku morza, miejsce, w którym z wody coś wystaje.

– Nie, to po prostu skała – odpowiada, zerknąwszy z ukosa.

W ręce trzyma mój telefon, żeby zrobić jeszcze parę zdjęć. A ja słyszę za sobą grupę turystów, którzy rozmawiają po francusku. Patrząc Jamiemu przez ramię i zauważam mężczyznę około czterdziestki w szarym, zbyt dużym polarze z wysokim kołnierzem i w czarnej czapce bez daszka wciśniętej na głowę. Przypomina mi się pikowane przykrycie na imbryk, jakiego używała moja mama, kiedy byłam dzieckiem. Francuz ma na szyi aparat fotograficzny z obiektywem wyposażonym w zoom, jego twarz jest wzburzona, podobnie jak morze pod nami. Mężczyzna wydaje mi się w jakiś sposób znajomy. Skierował aparat w stronę Jamiego i ciągle trzyma go przy oku, jak natrętny paparazzi. Jamie nie zwraca na nic uwagi, bo dzieli się ze mną wrażeniami na temat filmu dokumentalnego o fokach, który oglądał wczoraj wieczorem, kiedy ja już spałam. Zachowanie Francuza mnie irytuje. Czyżby chciał mnie sfotografować? Albo Jamiego? Przemknęła mi przez głowę absurdalna myśl, że mam przed sobą policjanta lub prywatnego detektywa; już pocą mi się dłonie. Delikatnie kieruję Jamiego wyżej, na szczyt pokonywanego wzgórza, aby wmieszać nas w grupę turystów. Tęsknie zerkam na kafejkę, którą zostawiliśmy za sobą. Jestem spragniona kofeiny, ale teraz nie możemy się zatrzymać. Wśród osób idących za nami wypatruję Francuza z aparatem. Dostrzegam jego czapkę nad ramieniem wysokiej kobiety. Czyżby przestał na nas czyhać? Być może wcale nie w naszą stronę kierował przedtem aparat. Oddycham

z ulgą i znów spoglądam na Jamiego. Tamten człowiek nie jest oczywiście żadnym prywatnym detektywem. Kto miałby go wynająć? I po co?

Już mam spytać Jamiego, czy nie moglibyśmy wrócić na kawę, kiedy słyszę jego krzyk i widzę, jak upada w moim kierunku, popychając mnie do przodu. Dzieje się to tak nagle, że tracę nierówny grunt pod nogami i potykam się. Bardzo zależy mi na tym, by ochronić złamaną rękę, i pełna strachu o nią turlam się po wzgórzu na sam dół, aż do krawędzi klifu. Krew pulsuje mi w uszach, gdy wyobrażam sobie, jak spadam na rozciągające się pode mną skały, ale nie jestem w stanie się zatrzymać; jakbym była na bieżni, z której nie mogę zejść. Dociera do mnie krzyk i nie mam pewności, czy to nie krzyczę ja sama. Potem czuję, jak ktoś ciągnie mnie w tył za szalik owinięty wokół mojej szyi i chwyta mnie wpół. Dobrze znam te ręce.

– Już okej, Libs, mam cię – mówi Jamie głosem, w którym pobrzmiwa przerażenie. – Mam cię.

Jesteśmy w miejscu, w którym kończy się łąd; gdybym spadła dalej, byłoby za późno. Uginają się pode mną nogi, mam obolałą szyję w miejscu, gdzie zacisnął się szalik, kiedy Jamie mnie pociągnął. Pozwalam mu zaprowadzić się z powrotem na szczyt, gdzie jesteśmy bezpieczni na stabilnej nawierzchni, a potem schodzimy razem w dół, jakbyśmy byli złączeni. Cała drzę. Wokół nas zbierają się turyści, przerażeni tym zajściem i przejęci, czy nic mi się nie stało. Z pobliskiej kafejki nadchodzi starszy pan, który w milczeniu wręcza mi filiżankę herbaty. Przyjmuję ten gest i dziękuję, dzwoniąc zębami. Życzliwość tego człowieka i przeżyty szok sprawiają, że szklą mi się oczy.

– Libs, na miłość boską, mało brakowało, żebyś spadła – mówi drżącym głosem Jamie. – Bardzo cię przepraszam. Sam zostałem popchnięty prosto na ciebie.

Widać, że jest skonsternowany.

– Nie przejmuj się, na pewno nie chciałeś mnie zabić.

Sącząc herbatę i grzejąc rękę, która trzyma filiżankę, zdobywam się na uśmiech.

– To nie było zabawne – mówi Jamie, także z uśmiechem, ale zażenowania. – Cholera, to było straszne.

Turyści, upewniwszy się, że nie spotkało mnie nic złego, zaczynają się rozchodzić.

– Widziałeś, kto cię popchnął? – pytam pełna niepokoju.

Jamie marszczy brwi.

– Właściwie nie. Ale obok stał potężny, wysoki, szeroki w barach facet. Nie mam jednak pewności, czy to on.

– Miał na sobie czapkę bez daszka wciśniętą na oczy?

Jamie znowu marszczy brwi.

– Nie jestem pewien. Dlaczego pytasz?

– Zanim na mnie wpadłeś, zauważyłam kogoś z aparatem na szyi, kto robił zdjęcia.

– I co?

– On fotografował ciebie. Skierował aparat w *twoją* stronę, Jay.

Jamie idzie, powłócząc nogami, ma zdziwioną minę i odwraca ode mnie wzrok.

– Po co miałyby robić mi zdjęcia? – mamrocze.

Nie odpowiadam od razu.

– Nie wiem.

Wzdycham i wręczam mu filizankę. Pomaga mi wstać.

– Posłuchaj, Libs, to pewnie przypadek. Było dużo osób w jednym miejscu. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że tamten facet działał umyślnie?

Wbijam wzrok w ziemię, w głowie mam natłok różnych myśli.

– Nie jestem pewna. Nie, nie sądzę, żeby tak było. Tyle że... facet zainteresował się tobą.

Jamie reaguje głupawym uśmiechem.

– A może miał na mnie chrapkę. Tak jak Ruth.

Oczywiście wybucham śmiechem.

– Nie wygłupiaj się.

Jamie mnie przytula.

– Przemarzaś. Poszukajmy czegoś do zjedzenia, żebyś mogła się rozgrzać. A potem wracajmy do Ziggy'ego.

Kiwam głową i pozwalam poprowadzić się w stronę kafejki. Ale czuję się niezręcznie, kiedy wodzę wzrokiem po grupkach ludzi i samotnych osobach idących w kierunku latarni i parkingu. Nieważne, co mówi Jamie. Wiem, że nie mam paranoi. Było coś dziwnego w tamtym mężczyźnie i jego zainteresowaniu moim mężem.

Do Kryjówki docieramy o zmierzchu. Z drogi dojazdowej widzę, że w ogrodzie na tyłach domu rozbłysła lampa z czujnikiem ruchu i rozjaśniła trawnik. Na drzewa i krzewy padają cienie, jakby ktoś powlókł je czarną farbą.

Dlaczego te światła są włączone?

Kiedy Jamie kieruje auto na podjazd, przed domem też natychmiast zapalają się lampy.

– Dobrze się czujesz? – pyta Jamie, widząc, że ociągam się z wyjściem.

– W ogrodzie za domem są włączone światła. Widziałam je, gdy dojeżdżaliśmy.

Jamie marszczy brwi. Zastanawiam się, czy nie zgani mnie za strachliwość. Ale nie słyszę krytyki.

– To pewnie sprawka kota albo coś w tym rodzaju – mówi Jamie.

Po chwili otwiera samochód i wypuszcza Ziggy’ego, który pędzi w stronę domu, rozrzucając na boki pokrywający drogę żwir.

Idę w tym samym kierunku i próbuję zapanować nad dziwnym przeczuciem. Opatulam się płaszczem, żeby nie szarpał go wiatr, i rozglądam się dookoła – mój wzrok pada na krzewy i drzewa otaczające posiadłość oraz na wysokie ściany. Czy ktoś dostał się do ogrodu? Zbliżam się do jedyne go wyjścia wiodącego z domu i wodzę palcami po chropowatym drewnie, jakbym znała się na kryminologii. Nie ma zamka. Jeśli ktoś chciałby wejść, mógłby tego łatwo dokonać. Albo przemknąć od strony plaży... Nagle dopadają mnie mdłości, ale nie umiałabym określić, co je spowodowało – choroba lokomocyjna czy niepokój.

– Czego szukasz? – pyta Jamie, wyrastając tuż obok mnie.

Wzruszam ramionami.

– Sama nie wiem. Chyba dowodu...

Jamie wybucha sarkastycznym śmiechem.

– Dowodu? Jesteś panną Marple? Nie doszło tu do żadnego straszliwego morderstwa, Libs.

W jego głosie pobrzmiwa taka beztroska, że zaczynam przekonywać samą siebie, że nie mamy się czym martwić. Jamie ujmuje moją dłoń, po czym ją ściska, aby dodać mi otuchy.

– Przejdźmy razem za dom i sama zobaczysz, o co chodzi. Moja mama zainstalowała dla bezpieczeństwa światła w ogrodzie. Włączają się raz po raz; na ogół przyczyną są spacerujące koty z sąsiedztwa.

Jamie wypowiada te słowa ze spokojną pobłażliwością, jakbym była osobą w starszym wieku albo dzieckiem, które ciągle zawraca głowę. Prowadzi mnie za dom, pogrążony w całkowitej ciemności; światła rozbłyskują, dopiero gdy zbliżamy się do rozsuwanych drzwi. Jamie wyjmuje z kieszeni klucz, po czym je otwiera i wchodzi do kuchni. Ja pozostaję tam, gdzie jestem. Widzę z tego miejsca morze, szare i wzburzone po wchłonięciu resztek jasności. Półmrok pozbawia barwy wszystko dookoła. Ogarniam wzrokiem ogród, rattanowe meble i patio. Nic nie wydaje mi się tu zbędne. I nie po raz pierwszy wołałabym, żeby najbliższy dom był jednak mniej odległy.

Dostrzegam Jamiego przy kranie, zajętego parzeniem herbaty dla nas obojga; widać parę w chłodnym powietrzu. W nowoczesnej kuchni Heywoodów czuje się jak u siebie i widzę po nim, że jest naprawdę zrelaksowany. Ziggy upomina się o swój podwieczorek, szturchając łapą nogę Jamiego.

Oddycham głęboko z ulgą. Wszystko jest tak, jak należy. To kot włączył światła, nie jakiś intruz. I tyle. *Libby, nie musisz już o tym myśleć.*

Następnego dnia spacerujemy plażą, nasz pies biega obok, i rozmawiamy o Katie, młodszej siostrze Jamiego, która znowu nie może się dogadać ze swoim chłopakiem. Jamie, jedyny syn swoich rodziców, przyszedł na świat jako drugie dziecko z trojga, między dwiema siostrami, które ciągle uprzykrzają mu życie; raz są wobec niego nadopiekuńcze, a raz szukają pomocy, kiedy nie radzą sobie z kolejnymi mężczyznami.

Ojciec Jamiego zmarł, gdy syn studiował na uniwersytecie, jeszcze zanim się poznaliśmy. Partnerką Jamiego była wcześniej Hannah, jego miłość z lat dziecińczych. Od matki męża słyszę często, że Jamie złamał serce tamtej dziewczynie. Wyczuwam, że Sylvia pragnęłaby, żeby żoną jej jedyne go syna była właśnie ona, Hannah, i okazuje to, zapraszając ją – dziś samotną matkę chłopca – przy byle okazji, jakby należała do rodziny, a nie była partnerką Jamiego sprzed dziesięciu lat. To, że Hannah i Katie są najlepszymi przyjaciółkami, odkąd skończyły siedem lat, wcale mi nie pomaga.

Katie nigdy mnie nie polubiła. Domyślam się jej niechęci z tonu głosu, kiedy ze mną rozmawia: jest oschły i obojętny; zdarza jej się także nękać

mnie milczącym, pełnym dezaprobaty wzrokiem. Ja wolę tę niechęć ignorować, wiem, że Jamie mnie kocha, a wszelkie uczucia, jakie żywił wobec Hannah, niewątpliwie odeszły w niepamięć. Nawet żal mi tej kobiety, bo jej życie było koszmarne. Wyszła za hazardzistę, człowieka, który ją porzucił, gdy zaszła w ciążę. Dzisiaj Hannah jest spokojną osobą i ma szeroko otwarte, czujne oczy. Jej nieustającego uwielbienia dla Jamiego nie sposób nie zauważyć – widać je po niej, ilekroć patrzy na mojego męża. Bywają takie sytuacje, w których Jamie i Hannah siedzą obok siebie (gdy towarzystwo jest liczniejsze), a jej czteroletni synek Felix zostaje wciśnięty między nich, i wtedy można odnieść wrażenie, że są rodziną; czuję się wówczas zagrożona i mam żal do Sylvii o tak irytujący brak wrażliwości.

Oni wszyscy mieszkają blisko nas, na jednej ulicy, więc niełatwo jest mi z tym żyć. Ich osobowości i historie potrafią być męczące. Nic na to nie poradzę, że czuję się jak wyrzutek. Ja nie należę do żadnej zżytej grupy. Jedyńm bliskim mi człowiekiem jest mój mąż.

Ale w Kornwalii to wszystko nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Jesteśmy tu tylko my dwoje: ja i Jamie. Oddycham tutaj swobodnie.

W nocy padał deszcz i piasek jest jeszcze na tyle wilgotny, że nasze sportowe obuwie pozostawia ślady. Spacerujemy ręka w rękę, a Ziggy podskakuje przed nami. Z plaży widać Kryjówkę od tyłu, ale jest tak wysoko, że aby dotrzeć stąd do naszego ogrodu, trzeba by pokonać schody w skalnej ścianie – to jakieś sto stopni. Gdy spoglądam w górę, ku domowi, zamieram i wypuszczam rękę Jamiego ze swojej. Serce mi łomocze. Widzę, że tam, w naszym ogrodzie, stoi jakiś mężczyzna. I nas obserwuje.

– Jamie!

Jamie trochę mnie wyprzedził, nieświadomy, że nie idę już obok. Ale gdy odwraca się w moją stronę, szybko podchodzi do mnie.

– Co się dzieje?

– Ktoś jest w naszym ogrodzie. O tam, popatrz!

Tamten człowiek ma na szyi aparat fotograficzny. Po chwili przykładą go do twarzy. Czuję, jak wzbiera we mnie gniew. Jak on śmie!

Jamie unosi wzrok i zerka z ukosa.

– Co, do cholery...? – Marszczy brwi. – Kto to jest, do diabła?

Czapka. Aparat fotograficzny. Przerazona uświadamiam sobie, kim jest ten człowiek.

– Spotkaliśmy go wczoraj!

Jamie pędzi w stronę schodów, rozrzucając na boki mokry piasek.

– Hej! – krzyczy, choć jego głos zagłusza wiejący wiatr, poza tym wątpliwe, by z takiej odległości tamten w ogóle mógł go usłyszeć.

– Jamie! – wołam. – Daj sobie spokój! Wracaj!

Nie jestem pewna, co powinnam zrobić. Zadzwoić do kogoś? Z kieszeni wyławiam telefon. Ale oczywiście tu, na plaży, nie ma zasięgu. Do kogo miałabym zresztą dzwonić? Kto może nam pomóc? Pochylam się nad psem, żeby go pogłaskać. Ziggy jest czujny, uważnie obserwuje, nadstawia uszu. Tamten człowiek zorientował się pewnie, że Jamie biegnie w jego stronę, i nagle znika nam z oczu. A nuż odważy się zaatakować, kiedy Jamie dotrze na szczyt?

Wtem do akcji wkracza Ziggy – pędzi za Jamiem, szybko przeskakując stopnie schodów, i w kilka chwil dołącza do swojego pana. Jestem spokojniejsza, wiedząc, że Jamie ma psa przy sobie. Ziggy też jest spokojny, ale zaatakowałby, jeśliby Jamiemu coś groziło. Obaj znikają w ogrodzie.

Ja tymczasem tkwię w miejscu i szepczę modlitwę do Boga, istnienia którego nie jestem pewna: „Proszę Cię, Boże, proszę Cię, spraw, aby Jamiemu nic się nie stało”. Jestem zbyt wytrącona z równowagi, żeby się ruszyć. Taka ze mnie bohaterka, co przyznaję nie bez autoironii. Mam wrażenie, że jestem odślonięta, stojąc tak samotnie na pustej plaży, z jedynym towarzystwem w postaci kilku domów na szczycie wzgórza. Ślady łap psa przemieszane ze śladami stóp Jamiego są jedynym potwierdzeniem tego, że nie byłam sama. Męczy mnie panująca wokół cisza, którą zakłóca tylko szum fal.

Po chwili, która ciągnie się jak kilka godzin, ale w rzeczywistości trwa nie dłużej niż pięć minut, pojawia się Jamie. Schodzi po stopniach na plażę, za nim idzie poszczekujący Ziggy, a ja spieszę im naprzeciw.

– Wszystko w porządku? Czy to był tamten facet z wczoraj? – Padam Jamiemu w ramiona, a on całuje mnie w czubek głowy. – Naprawdę się martwiłam.

– Nie powinnaś biec ze złamaną ręką – przestrzega Jamie z ustami przy moich włosach. – Zanim dotarliśmy na szczyt, już go nie było. Sprawdziłem dom, ale niczego nie znalazłem. Nie próbował się włamać ani nic takiego. Moim zdaniem to był turysta, który szukał tu szczęścia. Tutejsze widoki są zachwycające.

Domyślałam się, że tuż nad moją głową Jamie się uśmiecha.

Robię krok w tył.

– Skąd masz pewność, że to turysta? Czy to nie za daleko dla turystów? Jestem pewna, że to był tamten facet z wczoraj. Miał na głowie tę samą czapkę.

– Mnóstwo ludzi nosi takie czapki, Libs...

– Tak... ale...

Jamie marszczy brwi.

– Dodam, że my też jesteśmy turystami. Jakkolwiek się zachowywał, pewnie przejeżdżał tędy i szukał ciekawych widoków. Sam nie wiem. Teraz nie ma po nim śladu.

– To niemożliwe, żeby zniknął ot tak! Dokąd miałby pójść? Od najbliższego domu dzieli nas co najmniej czterysta metrów. Wypatrzyłbyś go. A co, jeśli dalej czyha w krzakach...? – Każde kolejne słowo wypowiadam nieco głośniej.

Jamie kręci głową i unosi rękę, żeby zatrzymać mój słowotok.

– Być może jechał samochodem i pomyślał, że znalazł wolne miejsce...

– Ale przecież na podjeździe stoi nasze auto. Posłuchaj mnie, Jay, a jeśli to ten mężczyzna wczoraj cię popchnął...

– To niemożliwe. – Jamie zachowuje spokój, kiedy mówi, ale widzę, że szczęka mu drży. – Lizard Point jest kilka kilometrów stąd. I nikt mnie nie popchnął...

– Wspomniałeś, że poczułeś pchnięcie.

– Owszem, poczułem. Zebrał się tam tłum. Staliśmy wszyscy blisko siebie. Nie sądzę, żeby ktoś postanowił zrobić coś akurat mnie. – Kieruje wzrok prosto na mnie, zauważam w nim politowanie. – Wiem i rozumiem, dlaczego tak właśnie myślisz, Libs.

Odpycham go od siebie.

– Jay, nie wmawiaj mi znowu stresu pourazowego, proszę cię!

Zniechęcona unoszę ręce, ale już po chwili krzywię się z bólu.

– Powinnaś nosić temblak.

– Nie chcę. A ty zmieniasz temat...

– Nie ma się czym przejmować – stwierdza kategorycznie Jamie.

Chciałabym powiedzieć więcej, dużo więcej, ale wiem, że on odebrałby moje gadanie jako wynurzenia czepialskiej, może znerwicowanej żony, i dlatego milczę, idąc za nim niczym cień przez ogród ku domowi. Chociaż Jamie tego nie mówi, domyślam się, że jest rozczarowany, iż nie pozostawiłam w Bath neurotycznych reakcji po przeżytych pożarze, tylko

przywiozłam je ze sobą. Jamie liczył, że ten wyjazd podziała na mnie terapeutycznie. Cóż, *niewykluczone*, że w moim przypadku to są skutki stresu pourazowego. A może uroiłam sobie, że nęka nas tamten facet z wczoraj. Nie wiem, co myśleć.

Na ogół nie daję się wyprowadzić z równowagi. Od dawna mam się za ryzykantkę, osobę przebojową i niezależną. Taką, która nieźle sobie radzi.

Moje dzieciństwo nie było najlepsze. Niestety, miałam ojca alkoholika. Pił ciągle i prawie każdy wieczór spędzał w pubie, trwoniąc pieniądze, które w pocie czoła zarabiała mama. Tkwiłyśmy obie przed telewizorem w nędznie umeblowanym salonie, pogryzając paszteciki i chipsy z tacek leżących na naszych kolanach, i udawałyśmy, że nie siedzimy w napięciu, pełne strachu, że nagle w drzwiach pojawi się on, podchmielony, cuchnący alkoholem i papierosami.

Mama zmarła, kiedy miałam czternaście lat, i od tego momentu wszystko potoczyło się jeszcze gorzej. Ojciec tak mocno przeżywał żalobę, że przestał pracować, więc to ja musiałam utrzymywać nas oboje z mizernych weekendowych zarobków. Kiedy zapił się na śmierć, postanowiłam pozostawić za sobą całą przeszłość i opuścić swój dom. Zależało mi po prostu na tym, by znaleźć się jak najdalej od Yorkshire, od mojej miejscowości i poprzedniego życia.

Gdy po tamtym pożarze w hostelu wróciłam z Tajlandii, przeniosłam się do Middlesex i ciężko pracowałam, żeby skończyć studia. Zarabiałam, rozkładając towar na półkach supermarketów i stojąc za barem, gdzie napełniałam kufle piwa. Wszystko to robiłam z myślą o życiu lepszym niż wcześniejsza gehenna. Nie zamierzałam skończyć jak moja udręczona matka. Co mama pomyślałaby o moim losie? Lubię sobie wyobrazać, że byłaby ze mnie dumna.

Rzadko kiedy wspominam tamte lata. Jamie nie zna nawet połowy prawdy o nich. I nie musi znać. Za bardzo by go przygnębiła opowieść o moim dzieciństwie, tak różnym od jego młodszych lat. Prawdopodobnie byłoby mu trudno to wszystko zrozumieć. Czy w ogóle potrafiłby to pojąć?

Z dawnym środowiskiem straciłam kontakt dziewięć lat temu, gdy poleciałam do Tajlandii.

Zanim poznałam Jamiego w pewnym pubie w Bath, a miałam wtedy niespełna dwadzieścia pięć lat, odnosiłam wrażenie, że żyję już bardzo długo. Do Bath przyjechałam niedawno, podjęłam pracę jako nauczycielka

i prawie nikogo jeszcze nie znałam. Z koleżanką Carą tkwiłyśmy przy barze; ja opryskliwa, gromiłam wzrokiem każdego mężczyznę, który śmiał spojrzeć w moim kierunku, aż tu zjawił się Jamie i zapytał, czy może postawić mi drinka. Nie przejął się moją szorstkością. Ze zmierzwioną jasną czupryną i z życzliwością w oczach wydał mi się trochę podobny do mojej pierwszej miłości. Później usłyszałam od niego, że od razu mnie przejrzał, że moja opryskliwość nie przeszkodziła mu się domyślić, iż ma do czynienia z niepewną siebie małą dziewczynką.

– Wyglądałaś na tak kruchą, stwarzając pozory, że nic cię nie obchodzi, że zapragnąłem cię chronić – powiedział.

Jego ufność, jego optymizm dodały mi otuchy. Jamie Hall, potomek dużej, hałaśliwej, kłócącej się czasem o drobiazgi rodziny, dorastał w przestronnym domu i ukończył prywatną szkołę średnią. Żył całkiem inaczej niż ja. Ale oto także w moim życiu wszystko zaczynało się układać. Mimo warunków, w jakich dorastałam, poszczęściło mi się. Nie zginęłam.

Czuję, że Jamie świdruje mnie wzrokiem, kiedy jednym ze starych ręczników, które przywieźliśmy, wycieram łapy Ziggy'ego z mokrego piasku. Staram się nie patrzeć na niego, wolę skupić się na psie.

W końcu mam dość. Raptownie unoszę wzrok.

– O co chodzi?

– O ciebie – odpowiada Jamie. – Stoi z ramionami skrzyżowanymi na torsie i wysuniętą szczęką, jakby szykował się do walki. Jeszcze się nie rozebrał. Opiera się o kuchenną wyspę. – Tak nie może dłużej być. Porozmawiam z mamą. Poproszę, żeby poleciała jakiegoś terapeutę.

– Ani mi się waż rozmawiać o mnie ze swoją cholerną mamusią – ostrzegam. Wypuszczam Ziggy'ego i wstaję.

Burzy się we mnie krew, kiedy pomyślę, że Sylvia miałaby się dowiedzieć o moich problemach, a później użyć tego przeciwko mnie. Przechodzę obok Jamiego, żeby rozwiesić mokry ręcznik na kaloryferze.

– Libby – zaczyna znowu Jamie, z jakże dobrze mi znanym wyrazem determinacji na twarzy – coś jest z tobą nie tak. Wiem, nie jestem psychiatrą. Ale ty wszędzie upatrujesz niebezpieczeństwa. Odkąd doszło do pożaru w szkole, nie przestajesz myśleć o zagrożeniach. Zastanów się nad tym facetem. To mógł być ktokolwiek, ale ty jesteś pewna, że właśnie jego spotkaliśmy wczoraj w Lizard Point. W ogrodzie za domem zapaliło się światło, a ty od razu zakładasz, że pojawił się jakiś intruz...

– Ale przecież w naszym ogrodzie ktoś był! – wykrzykuje. – Dzisiaj. I mógł tam być także wczoraj.

Jamie unosi rękę.

– Wiem, ale ten dom jest na ogół pusty. Człowiek, o którym mówisz, uciekł na nasz widok. Za tym nie musi się kryć nic niesamowitego. Po prostu wszedł do ogrodu, żeby dokładniej obejrzeć plażę.

Albo nas?

Jamie mnie nie przekonuje, ale nie mogę nic powiedzieć, aby nie posądził mnie o to, że popadam w paranoję. Zdejmuję płaszcz i wieszam go na jednym z kuchennych krzeseł.

– Proszę cię. – Podchodzi do mnie. Po niedawnym spacerze ma jeszcze rumieńce. Kładzie dłoń na mojej. Czuję, że jego ręka jest zimna. – Liczę, że

odprężysz się na tyle, by urlop ci posłużył. Właściwie to oboje potrzebujemy relaksu.

Jest mi głupio. On też przejął się poronieniem, ale okazał współczucie *mnie*, sam ani razu nie narzekał.

– Przepraszam – szepczę. – Jestem zła na siebie samą, że tak to wszystko odbieram.

– Doskonale rozumiem dlaczego. Ale pozwól sobie pomóc.

Ma na myśli swoją cholerną matkę. Zagryzam wargi tak mocno, że czuję krew, jej metaliczny posmak. Jamie jest dobrym człowiekiem. Najlepszym. Naprawdę się przejmuje – mną i swoją rodziną – chociaż bywają takie momenty, że oczekiwałam od niego większej odwagi w stawianiu czoła zbyt wymagającej matce.

– Być może wyrwaliśmy się z miasta za wcześnie – mówię, podchodząc do kranu z gorącą wodą. – Z wiszącej wyżej szafki wydaję dwie filiżanki.

– Masz ochotę na herbatę?

– Chętnie.

Jamie przygląda się przez chwilę w milczeniu, jak umieszczam torebki w filiżankach, a potem odkręcam kran. Po chwili wydaję mleko z lodówki. Bez słowa stawia karton na blacie.

– Dzięki – mówię z uśmiechem. W jego oczach nadal widzę zatroskanie. A nasza mrukliwość już mnie nie irytuje. – Sama nie wiem, może ta okolica jest zbyt oddalona od miasta i dlatego się czegoś obawiam... – mówię, podając Jamiemu filiżankę.

Nie chcę mu patrzeć prosto w oczy, nie chcę widzieć rozczarowania na jego twarzy. Jamie od dawna nie był tak zrelaksowany, a ja psuję nasz urlop. Z zewnątrz dociera do mnie szum fal i skrzek mew.

Zawód, jaki przeżywa Jamie, słycać w jego słowach.

– Ale nie możesz pozwalać, żeby ten facet doprowadzał cię do takiego stanu, Libs.

Kręcę głową.

– Wiem. Przepraszam. Wszystko ci psuję – wyznaję skruszona.

– Nic mi nie psujesz. Kocham cię. I mamy tu ze sobą Ziggy'ego. On będzie nas chronić. Bo gdy szczeka, jest groźniejszy, niż kiedy miałby ugryźć – dopowiada Jamie ze śmiechem. – Odstraszy każdego intruza.

Zdobywam się na półuśmiech.

– I czyżbyś nie zauważyła, że ten dom jest jak Fort Knox?

Takim samym tonem ja próbuję czasem przekonać to czy inne dziecko w mojej klasie, że potwory ani wampiry wcale nie istnieją.

– Heywoodom najwidoczniej zależy na bezpieczeństwie. Przy drzwiach mają nawet kamerę. Widać każdego, kto ośmieliłby się czyhać na zewnątrz. Ale to nie znaczy – dodaje szybko Jamie, ledwo spostrzegł na mojej twarzy przerażenie, które musi być widoczne – że w tej chwili ktokolwiek nam zagraża.

Moje oczy biegną na monitor kamery, o którym mówi Jamie. Jest on podzielony na pół i pokazuje obrazy z dwóch kamer: jedną skierowano na podjazd od frontu, a drugą na ogród za domem. Ekran nie obejmuje jednak wszystkiego, nie uwidacznia ukrytych zakamarków ani ciemniejszych kątów. Na jedną kamerę zwróciłam uwagę wcześniej, ale wcale nie działa na mnie uspokajająco, raczej sprawia, że robię się bardziej nerwowa. Jaka byłaby moja reakcja, gdybym faktycznie zauważyła, że ktoś próbuje się włamać? Zasięg jest tu słaby, nie widziałam też żadnych kabli telefonicznych.

– Kochanie – mówi Jamie – jeśli naprawdę nie możesz się tutaj zrelaksować, a w końcu to był jeden z powodów naszego przyjazdu, powinniśmy wrócić do domu.

– Ale Heywoodowie...

– Co nas obchodzą Heywoodowie! Będą musieli poszukać sobie innego lokum. Ty jesteś dla mnie ważniejsza, Libs.

Myślę o Philipie, Tarze i ich poważnie chorej córeczce. Nie mogę im tego zrobić. Bo niby dlaczego? Dlatego że jakiś facet obserwował ptaki na ich terenie, chociaż nie powinien był się tam znaleźć? Raczej mało prawdopodobne, że to ten sam człowiek, którego widzieliśmy wczoraj w Lizard Point. Po prostu obaj mieli takie same czapki. A ja się ośmieszam. Psuję mężowi urlop. Podoba mi się tutaj, i Jamiemu też.

– Rozumiem. Kiedy wrócimy do domu, porozmawiam z kimś. Poszukam jakiejś poradni albo czegoś podobnego.

To mówiąc, uśmiecham się, bo nie chcę niczego przyrzekać i w głębi duszy wiem, że nigdy się na to nie zdecyduję. Dorastałam w rodzinie, która nie prąta publicznie swoich brudów. Moja matka trzymała się starej szkoły myślenia, jak mantrę powtarzała, że trzeba „cierpieć w milczeniu”. Sama wolała tak postępować, nie narzekała ani na swój los, ani na dokuczliwy ból w nodze. A później także w klatce piersiowej, kiedy zakrzep docierał do

płuc i w końcu ją zabił. Matka Jamiego myśli całkiem inaczej: jej zdaniem wyrażanie uczuć jest zdrowsze i często to robi.

– Obiecuję ci, że nie pozwolę, by spotkało cię coś złego – deklaruje poważnym tonem Jamie.

Zerkam na jego smukły tors wysokiego mężczyzny i chude, choć wyrobione ramiona pod T-shirtem. Jamie nie wygląda na osiłka.

Dostrzega, że mu się przyglądam. Ze śmiechem demonstruje bicepsy i przyznaje:

– Wiem, że żaden ze mnie Schwarzenegger.

– Podobasz mi się taki, jaki jesteś – odpowiadam cytatem z Łowcy androidów, ulubionego filmu Jamiego.

Mamy tak oboje: przywiązujemy wagę do niektórych powiedzonek z filmów, które razem obejrzelśmy z przyjemnością. Kiedy wyznałam, że nie przepadam za filmami science fiction, Jamie zabrał mnie na tamten popis reżyserskiego kunsztu. Postanowił sobie, że mnie przekona do tego rodzaju twórczości. I to osiągnął.

– Świetnie! – Teraz jest w lepszym nastroju, zrywa się z kanapy, po naszej krótkiej rozmowie tchnie większym optymizmem. – Pójdę po laptopa i trochę popracuję. Spędzimy ten wieczór w domu, skoro zbiera się na deszcz?

Wyglądam na zewnątrz i widzę szare niebo oraz kłębiące się chmury. Każdy ze spędzonych tu wieczorów – dotychczas były trzy – upłynął nam w domu. Jak dotąd odpowiadał mi relaks w luksusowym otoczeniu i wieczorne posiłki przy sterylnie czystym stole, do którego mogłoby zasiąść nawet dziesięć osób. Przyjemnie było sączyć dobrze schłodzone wino i obserwować, jak zapada zmrok, który sprawia, że przez okna nic nie widać, i każe myśleć, że jesteśmy sami na świecie. Ale tym razem chciałabym się wyrwać.

– Może pojechalibyśmy do Portscatho? Nie jeździliśmy jeszcze po okolicy, a to miasto leży najbliżej.

Jamie się krzywi.

– Szczerze mówiąc, jestem wykończony. I naprawdę muszę trochę nadgonić pracę, póki tu jestem. Nie wystarczy nam to, co mamy w lodówce? Jest za darmo – mówi ze śmiechem. – Jeśli chcesz, to przygotuję nam te smaczne parówki... Jeszcze się nie przeterminowały.

– Jeśli jesteś zmęczony, ja się nimi zajmę...

Jamie kręci głową.

– Nigdy nie pozwalasz mi pogotować. A byłem w tym całkiem dobry... kiedyś...

Jamie zdejmuję wreszcie okrycie i zabiera mój płaszcz z krzesła, na którym go zostawiłam, przy czym spogląda na mnie znacząco.

– Czy się nie mylę, że obiecaliśmy sobie dbać o porządek? Powieszę te płaszcze.

I wychodzi z pokoju.

Przyrządzam grube kiełbaski, smażąc je na fantazyjnej płycie zamontowanej na wyspie. Tymczasem Jamie wraca z laptopem. Widać po nim, że jest daleko myślami, kiedy próbuje utrzymać równowagę na barowym stołku naprzeciwko mnie.

– Co się dzieje? – pytam dosyć głośno, by Jamie usłyszał mimo skwierczenia kiełbasek.

– Nic.

Jamie dotyka raz po raz jednego z kluczy, a szczerozłota obrączka na jego palcu lśni, odbijając blask górnego światła. Widok obrączki, tego symbolu naszego małżeństwa, nadal mnie porusza. Jamie wciąż marszczy brwi.

– Chyba jednak nie całkiem nic... – Staram się mówić spokojnie.

– Mój laptop był wyłączony. A jestem pewien, że sam go nie wyłączyłem. Może się rozładował... – Głos Jamiego cichnie, kiedy naciśnięcie przycisku uruchamiania rozjaśnia ekran komputera.

Ścisza mnie w żołądku. Przewracam kiełbaski. Kropelka oleju pryska mi prosto w twarz.

– Au!

Trę to miejsce, czując już na policzku mały ślad poparzenia. Jamie zerka na mnie.

– Wszystko w porządku?

Kiwam głową. Nie chcę tego komentować. Nie chcę o niczym myśleć. Ale nie mogę się powstrzymać.

– Czy... czy podejrzewasz kogoś o grzebanie przy swoim laptopie?

Widzę, że go wkurzyłam. Jego twarz ciemnieje.

– Do cholery, Libby. Rozmawialiśmy przecież o tym. A teraz mam nadzieję, że żartujesz.

Chciałabym się roześmiać i zapewnić: „Ależ tak, to tylko żart”.

Ale nie zapewniam. Bo nie mogę.

Muszę mieć głupią minę, ponieważ w głosie Jamiego pobrzmiwa zniecierpliwienie, gdy dopowiada:

– Proszę cię, nie wspominaj, że twoim zdaniem tamten facet włamał się do tego domu.

– Ale czy nie powinniśmy tego sprawdzić? – Wyczuwam we własnym głosie narastającą histerię, niczym wzbierającą falę, która grozi zerwaniem zapory. – Przęłykam ślinę i biorę się w garść. Dodaję spokojniej: – Sam mówiłeś, że tamten człowiek po prostu zniknął. A może właśnie tutaj zniknął?

Jamie zamyka laptopa.

– Jakim sposobem? Nikt nie stłukł żadnego okna. Ani nie wyważył drzwi.

– Nie musisz się tak irytować. Nie potrafię zapanować nad swoimi przeczuciami, Jay.

Jamie bierze głęboki oddech.

– Zgoda. Chodźmy, rozejrzyjmy się, żeby cię uspokoić – mówi.

Widzę po nim, że bardzo chce okazać cierpliwość, wyjść mi naprzeciw. Zdejmuję patelnię z płyty i odstawiam ją na bok, po czym ruszam za Jamieem na górę; Ziggy depcze nam po piętach. Obchodzę z nim dom, czując się trochę niezręcznie, gdy bardzo dokładnie, wręcz demonstracyjnie sprawdza stan okien i drzwi.

– Jak widzisz, wszystko jest zamknięte – oznajmia, kiedy zeszliśmy już na dół, do holu. – Czy możemy teraz zjeść te kiełbaski?

Mój wzrok biegnie w kierunku drzwi, które sąsiadują z kuchennymi.

– Czy tędy schodzi się do piwnicy? – pytam.

– Tak sędzę...

Unoszę brwi.

– Chcesz, żebym tam zajrzał? – pyta Jamie z niedowierzaniem w głosie.

– Czemu nie.

Jamie wybucha śmiechem.

– Czyżby zżerała cię ciekawość, Libs? Bo chyba nie liczysz na to, że wytropisz w piwnicy intruza?

Wzruszam ramionami, nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. Nagle czuję nieodpartą potrzebę, żeby zobaczyć piwnicę w domu Tary i Philipa. Nie widzieliśmy jeszcze tej części domu.

Jamie teatralnie wzdycha, odwraca się ode mnie i chwyta za klamkę, próbując otworzyć drzwi. Porusza nią w górę i w dół. Nadaremnie.

– Zamknięte.

– Coraz bardziej mnie to intryguje. Dlaczego mieliby zamknąć piwnicę?
– pytam złośliwie.

I wkraczam do kuchni, bo przypominam sobie, że nad lodówką, na metalowym wieszaczku, wisi pęk kluczy.

– To pewnie ten. – Podaję mężowi jeden z kluczy.

Jamie bierze go ode mnie i wkłada do zamka; drzwi stają otworem.

– Zejdź pierwszy – proponuję, gdy jest już za progiem.

Wita nas przykry zapach pleśni oraz wilgoci; uświadamiam sobie w tym momencie, że dom jest pewnie bardzo stary i że przebudowa go uratowała, zanim dokonał swojego żywota. Czuć tu jeszcze coś ostrego, jakby nieco metaliczny zapach krwi, który ściska mi gardło. Zasłaniam nos rękawem. Do piwnicy prowadzą kamienne stopnie. Po lewej stronie, obok Jamiego, jest włącznik światła. Kiedy Jamie go naciska, pomieszczenie zalewa jasne oświetlenie z sufitu, jak na szpitalnych blokach operacyjnych. Ziggy tkwi przy moich nogach; chciałby wejść do piwnicy, ale go powstrzymuję, nie wypuszczając jego karku z rąk.

Jaskrawe światło sprawia, że mrugam oczami, bo widzę plamki. Piwnica robi wrażenie miejsca zbrodni.

Pomieszczenie ma kształt kwadratu, niski sufit i jest pozbawione okien. Pośrodku kamiennej podłogi stoi coś, co przypomina minioter operacyjny. Rozrzucono tam bez ładu i składu lateksowe rękawiczki, skalpel, żłobkowany nóż, a także jakąś zwierzęcą skórę. Tuż obok wisi gumowy fartuch.

Jamie zatyka nos, a ja powstrzymuję torsje.

– Ale tu śmierdzi – mówi Jamie i po chwili jego wzrok wędruje ku stojącemu w rogu wiadr.

Mdli mnie na widok jego zawartości.

– Czy to... – pyta Jamie, czkając – ...wnętrznosci?

Próbuję wydychać powietrze w rękaw, aby poczuć zapach wiśniowego płynu do płukania tkanin zamiast woni krwi i trzewi. Przychodzą mi na myśl wypchane zwierzęta, które widziałam na piętrze. Zakładałam wcześniej, że Philip kupił te okropne stwory.

– Brr... Do cholery, on jest taksydermistą. Ale mógł uprzątnąć trzewia przed naszym przyjazdem. Jakie to obleśne.

Mimo obrzydzenia Jamie pokonuje resztę schodków – górę bierze jego upodobanie do wszelkich makabrycznych rzeczy. Ostrożnie podchodzi do

leżącej na stole skóry zwierzęcia, jakby się bał, że je spłoszy.

– To zwierzę jest martwe, Jay, już cię nie ugryzie.

Jamie odwraca się w moją stronę i pokazuje mi język. A Ziggy mnie wymija, żeby dotrzeć do stojącego w rogu wiadra. Jamie chwytą psa za kark.

– O nie, tego nie tkniesz – mówi stanowczo. Potem znowu się odwraca i zerka na ścierwo, które zajmuje stół operacyjny. – Nie mogę się zorientować, co to jest. Kot? O Boże, mam nadzieję, Libs, że te zwierzęta nie cierpiały.

Drzę, stojąc ciągle na schodkach.

– Na pewno straciły życie wcześniej. Chyba że Philip Heywood jest seryjnym mordercą zwierząt.

– Daruj sobie żarty na ten temat – prosi Jamie.

– Wracajmy, bo oszaleję.

Jamie wskazuje dużą zamrażarkę stojącą w kącie.

– Myślisz, że tam są zwierzęta? Gotowe do wypchania?

Gdy otwiera drzwi zamrażarki, na twardą podłogę z hukiem spada na coś dużego, owiniętego w plastikową torbę. Ziggy odskakuje od Jamiego, żeby powęszyć. To coś to borsuk, plastikowa torba jest zaciśnięta na jego szyi, jakby ktoś go udusił.

– Jay, proszę cię, odłóż to! – krzyczę, na co Ziggy kładzie uszy po sobie.

Stoję raptem w połowie schodów, a zaczynam panikować, dopada mnie klaustrofobia. Przed oczami mam wizję innych zwierzęcych tusz wypadających z tej zamrażarki. Jamie podnosi torbę i ją odrzuca, wzdrygając się przy tym. Po chwili wraz z Ziggym szybko do mnie podchodzi.

– Przepraszam cię, kochanie, ale to jest dziwnie fascynujące, nie uważasz?

– Ależ skąd!

Zmierzając do schodów, Jamie potyka się i zahacza nogą o jakiś przedmiot, wysuwając go na środek pomieszczenia. Kojarzy mi się z metalową walizką. Jamie rozciera nogę i kieruje wzrok na walizkę. Jego nagłe zainteresowanie sprawia, że zamiera mi serce.

– Chodźmy stąd, Jay! – wołam.

– Zaczekaj – mówi i sięga do zamków walizy.

– Teraz ty jesteś wścibski – zauważam, siląc się na swobodny ton. Ale moje ciało ugina się pod ciężarem strachu. Co mój mąż znajdzie za chwilę?

Jamie otwiera walizę i słyszę, jak raptownie wdycha powietrze.

– O mój Boże... Libs. Nie zgadniesz, co oni tu mają. Sprzęt do kontroli i monitoringu. Kamery i takie rzeczy. Wygląda na to, że się nieźle wykosztowali. Wow. Po co im tyle tego? *Co to za ludzie?*

Zamykając piwnicę, Jamie pyta:

– Myślisz, że są szpiegami albo kimś takim?

Nogi się pode mną uginają.

– To nie serial szpiegowski – stwierdzam, po raz drugi grzejąc kiełbaski. Czuję, że niczego nie przełknę, napatrzywszy się na tę padlinę w piwnicy.

Mój umysł pracuje w przyspieszonym tempie. Na co Heywoodom tyle takiego sprzętu? I po co go tutaj trzymają? Jest wart parę tysięcy. Przewracam kiełbaski na patelni i dzikim wzrokiem rozglądam się dookoła. Czy w kuchni są kamery? I w ogóle w domu? Czy jesteśmy obserwowani? Słyszy się przecież o tym, że rodzice instalują w domach kamery, żeby szpiegować opiekunki swoich dzieci. A w jednym z kolorowych pisemek wyczytałam nawet, że właściciel wynajmowanego mieszkania ukrył kamerę w sypialni swojej lokatorki, żeby filmować jej miłosne igraszki z partnerem.

Nie, Tara nie posunęłaby się do tego. Ma klasę. Jest piękna. Nie ma w niej podłości, to wartościowa osoba. Ale Philip? Może upodobał sobie jakiś fetysz, o którym jego żona nie ma pojęcia? Być może nagrywa niczego niepodejrzewające osoby w kabinach prysznicowych i toaletach.

Tego samego wieczoru, nieco później, kiedy przygotowujemy się już do snu, poświęcam sporo czasu na oglądanie ozdób w sypialni: lustruję wypchaną sowę i fotografię na ścianie z myślą o ukrytych kamerach.

– Myślisz, że może być w lampie? – zagaduję Jamiego i zerkam na oświetlenie pod sufitem.

Jamie wzdycha.

– Nie podejrzewam Heywoodów o żadną utajoną perwersję.

– Czy to jednak nie dziwne? Tyle tego wszystkiego w piwnicy...

Jamie wyskakuje z dzinsów i rzuca je na krzesło przy oknie.

– Przynajmniej ten sprzęt zalega w piwnicy. A to dowodzi, że nie jest używany.

– Dlaczego w ogóle zaopatrzyli się w coś takiego?

Po tym pytaniu idę skorzystać z toalety. Siedząc na sedesie, znów spoglądam na półki zastawione kosztownymi świecami i zauważam coś jeszcze. Coś długiego i cienkiego, zakończonego otworem. Poprzednio

wzięłam tę rzecz za ozdobę. Ale czy nie jest to raczej kamera służąca Philipowi do filmowania mnie w toalecie?

– Jamie! – wołam.

Jamie wbiega do łazienki.

– Co się stało? O co chodzi?

Wskazuję na podejrzany przedmiot.

– Popatrz, o tam. Na półkę ze świecami. Co to jest?

– Nie możesz wstać i sama się przekonać? – Jamie reaguje zrzędlawie. – Tak głośno krzyknęłaś, że pomyślałem, że coś się stało.

– Obawiam się, że to kamera. Nie mogę się podnieść.

Podciągam ocieplane spodnie od piżamy, żeby uchronić się przed ciekawskim okiem kamery.

– Och, i z takiego powodu musiałaś głośno krzyczeć...

Jamie sięga po tamtą rzecz.

– Czy to o to ci chodzi?

Kiwam głową.

– O Boże, przecież to kamera, prawda? On pewnie nas filmuje, kiedy uprawiamy seks, bierzemy prysznic i w każdej innej sytuacji. To obrzydliwe...

Płoną mi policzki.

– To odświeżacz powietrza – mówi Jamie.

– Co takiego?

Dobre sobie...

– Odświeżacz powietrza. Spójrz – mówi Jamie i podsuwa mi to coś pod nos.

Czuję zapach lawendy. Jamie przewraca oczami, uśmiechając się przy tym.

– Takiego fikuśnego odświeżacza powietrza jeszcze nie widziałam. – Wybucham śmiechem i patrzę na męża, który odstawia przedmiot na półkę.

Jamie wychodzi z łazienki, z rozbawienia trzęsą mu się ręce. Nie pozwala mi zapomnieć o tym zdarzeniu, kiedy wchodzę do łóżka i chcę się przytulić.

– Och, ty głuptasku... – szydzi ze mnie. – Philip Heywood naprawdę nie jest zbrojcem. Czy teraz nie będziesz już niczego wymyślać?

– Nie będę – obiecuję, lgnąc do jego torsu.

– Tym lepiej.

Po dwóch kłaśnięciach Jamiego sypialnia pogrąża się w egipskich ciemnościach.

Nazajutrz zostawiam męża i psa, którzy jeszcze spokojnie śpią, i przechodzę do kuchni, żeby zaparzyć sobie filiżankę herbaty. Sączę ją, stojąc w piżamie przy drzwiach, i poprawia mi się nastrój. Nie mam się czym przejmować. Jamie ma rację. Mogę się odprężyć.

W oddali dostrzegam lśniąca powierzchnię morza i stadko ptaków lecące we wdzięcznym szyku w stronę słońca. Od miejsca, z którego pochodzę, dzieli mnie naprawdę wiele. Być może nigdy nie będziemy mogli po raz drugi zamieszkać w tak imponującym domu. *Och, Taro, ale z ciebie szczęściara, że masz to wszystko.*

Odchodzę spod drzwi i przygotowuję dla siebie tosta; chodzi mi po głowie przyjemna mrzonka, że ten dom należy do mnie, że to jest nasze życie. Czy po takim doświadczeniu będę potrafiła wrócić do Bath, do dwupokojowego mieszkania? Już jest środa. Zostały nam zaledwie trzy pełne dni. Rozglądam się po białych ścianach, szklanych półkach i szafkach na wymiar. Wszystko tu do siebie pasuje. Ta kuchnia zasługuje na fotografię w czasopiśmie o luksusowych wnętrzach. Kiedy Jamie wstaje, namawiam go, żebyśmy wybrali się do miasta i kupili trochę kwiatów na blat w kuchni; widzę tu białe kwiaty symbolizujące czystość, na przykład lilie albo róże. Temu domowi przyda się nieco frywolności. Chyba znajdę tu szklany wazon. I pomyślałam, że warto by zapalić jedną z tych drogich świec, które zgromadziła Tara. Czy miałyby do mnie o to pretensje? Kto wie, może się spodziewa, że po nie sięgniemy. W końcu je przecież udostępniła. Idę do pokoju dziennego i zdejmuję jedną znad kominka. Potem wracam do kuchni i grzebię w szufladach w poszukiwaniu zapalek. Maleńkie pudełko tkwi obok noży i widelców. Widzę, że tej świecy jeszcze nie zapalano, ale robię to i po chwili po kuchni rozchodzi się wykwinny zapach.

Rozsuwam drzwi do ogrodu. W nocy padało – powietrze pachnie jak świeże pranie. Siadam z kubkiem przy ogrodowym stole. Krzesło nie jest całkiem suche, dlatego czuję, że spodnie od piżamy nasiąkają wodą, ale koniecznie chcę tutaj siedzieć i wmówić sobie, że jestem na urlopie. Słyszę człapanie Ziggy'ego po kamiennych płytkach i szukam go wzrokiem. Ziggy siada obok i kładzie łeb na moich kolanach. Jamiego nie widać.

– To chyba niemożliwe, żeby tatuś jeszcze spał... – zastanawiam się na głos, targając aksamitne uszy psa.

Jest za piętnaście jedenasta, zakładam więc, że Jamie siedzi po turecku pośrodku łoża z baldachimem, stuka w klawiaturę laptopa i wysyła zaległe maile. Opóźnienia w pracy wytrącają go z równowagi tym łatwiej, że Jamie nie ma już nad sobą szefa, który suszyłby mu głowę.

Aby nie przeszkadzać mężowi, siedzę w ogrodzie; zamknęłam oczy, na twarzy czuję ciepło słońca, a w dole rozbrzmiewają odgłosy uderzających o brzeg fal. Z tej wysokości wyczuwam zapach morza przemieszany z aromatem świecy i nikłym śladem innego zapachu – piżma w połączeniu z potem.

Wtem jednocześnie następują dwa zdarzenia: słyszę trzask gałązki pod czyjąś stopą i szczekanie psa. Otwieram oczy i udaje mi się jeszcze zobaczyć plecy kogoś, kto znika na schodach między ogrodem a plażą. Wstaję tak raptownie, że krzesło się przewraca.

– Hej! – krzyczę.

Czy ktoś mnie obserwował? Biegnę trawnikiem, Ziggy pędzi za mną, zawzięcie szczekając; wilgotna trawa moczy brzegi nogawek mojej piżamy i kaptcie. Wściekła, zapominam o własnym bezpieczeństwie. Zerkam za furtkę: schodami zbiega jakiś mężczyzna. Nie przypomina osobnika z wczoraj, jest starszy i szczuplejszy, ma też kościste, krzywe nogi. Na czoło zsunął płaską czapkę, nosi woskowaną marynarkę i džinsy. W ręce trzyma laskę, chociaż nie sprawia wrażenia inwalidy. Gapię się zdumiona taką bezczelnością i obserwuję jego wędrówkę po piasku, na więcej mnie nie stać. Próbuję odgadnąć, co ten człowiek robi i dokąd zmierza. Czyżby skrócił sobie drogę na plażę, przechodząc przez nasz ogród? Czy to sąsiad? Dlaczego obcy ludzie z tej okolicy sądzą, że wolno im wkraczać na teren cudzej posiadłości? Może sobie na to pozwalają, bo dom zwykle nie ma lokatorów.

Pod wpływem adrenaliny i doznanego wstrząsu cofam się do domu. Wpadam do kuchni i pokoju dziennego, a potem na szklane schody. Jamie jeszcze smacznie śpi.

– Jamie! – Szarpie go, żeby się obudził. Jest prawie jedenasta, a to niesłychane, by spał do tej pory.

Natychmiast otwiera oczy i siada, rozglądając się. Jest w szoku.

– Co... co się dzieje?

Zasapana wyjaśniam sytuację.

– Może to sąsiad, chyba pół kilometra stąd jest następny dom. Zadzwoń do Philipa... – Jamie opada z powrotem na poduszki. Wygląda na

wyczerpanego. – Poza tym wszystko okej? – pyta.

Przeważnie wstaje wcześnie, nawet w weekendy jest na nogach dużo wcześniej niż ja, zajęty pracą na laptopie albo spacerowaniem z psem. Jamie nie dba o porządek i nie jest zorganizowany, ale za dnia się nie wyleguje. Teraz sterczą mu włosy, ma podkrążone oczy i bladą cerę, na skroni perlą się kropelki potu zwilżające grzywkę.

– Czuję się naprawdę chory, osłabiony. Jakbym miał kaca. I ten okropny niesmak w ustach.

– No ładnie... – kwituję jego słowa ze śmiechem. Ale po chwili marszczę brwi. – Wczoraj wcale dużo nie wypieś.

Dotykam jego skroni. Pod palcami wyczuwam rozgrzaną i lepłą skórę.

– Pęka mi łeb. Zostanę tutaj trochę, jeśli nie masz nic przeciwko, Libs. – Podciąga kołdrę i pomrukując, przekręca się na bok.

– Potrzebujesz czegoś? Tabletek przeciwbólowych? Wody? – pytam z troską.

Spod kołdry dociera do mnie „nie”, więc zostawiam Jamiego, próbując zlekceważyć niepokój, który we mnie narasta. Wieczorem zjadłam niewiele, nie tknęłam ani kiełbasek, ani piwa, po które sięgał Jamie. Butelki wyjmował z lodówki, oczywiście zamknięte. Zastanawiam się, czy coś nie było zepsute. Albo może przyjechał tutaj już chory. Znam go już prawie pięć lat i w tym czasie rozchorował się z przepicia tylko jeden raz.

Wracam do kuchni, napełniam miskę granolą i siadam na jednym ze stołków barowych, żeby zjeść. Postanawiam, że spróbuję dodzwonić się do Philipa, ale wątpię, czy odbierze, bo pewnie jest w szpitalu przy córeczce. Jak przypuszczałam, odzywa się poczta głosowa. Nie zostawiam wiadomości; wpatrzona w trzymaną komórkę rozważam, czy powinnam była go niepokoić.

Jeszcze przez pewien czas kręcę się po kuchni, ale irytuje mnie cisza, więc znowu zaczynam majstrować przy gałkach radioodbiornika. Próbowałam już rozgryźć, jak on działa, ale nadal nie potrafię złapać żadnej konkretnej stacji, słyszę tylko biały szum, co mnie wkurza, zatem wyłączam radio.

Stojąc nad zlewem, zajęta myciem kubka, zerkam na ogród i w tym samym momencie reaguję skurczem żołądka na widok faceta, który przechodził przez nasz ogród wcześniej. Stukam palcami w okno, ale on na to nie zważa i dalej idzie wzdłuż bocznej ściany domu.

Pędzę do drzwi, gdzie dostrzegam go jeszcze, kiedy skręca na nasz podjazd, żeby pójść dalej niż położoną dróżką. Wołam, żeby się zatrzymał, ale jest za późno, bo zdążył się oddalić.

Wracam wściekła do kuchni. Znowu próbuję zadzwonić do Philipa. Tym razem odbiera.

– Halo – wyszczekuje do słuchawki. Jest porytowany, bo chyba przerwałam mu coś ważnego; poprzednią rozmowę prowadził inaczej.

– Pan Philip Heywood? Mówi Libby Elliot... Właściwie Hall. Przebywam w pańskim domu.

– Pani Libby... – Jego głos natychmiast łagodnieje, po czym Philip z udawanym zainteresowaniem pyta, jak nam się mieszka.

– Świetnie...

Od razu przychodzą mi na myśl martwe zwierzaki i sprzęt do monitoringu. Czuję się tak, jakbym wiedziała o Philipie za dużo, jakbym podsłuchiwała jego prywatną rozmowę z Tarą. Czego on mógł się dowiedzieć na nasz temat, gdy zamieszkał u nas? Że bywamy niechlujni, że nie jesteśmy ani ludźmi sukcesu, ani krezusami, że nasze życie toczy się w gruncie rzeczy całkiem odmiennie niż ich?

Przełykam ślinę.

– Ale... raz po raz ktoś przechodzi przez ogród, pewnie w drodze na plażę.

I podaję rysopis mężczyzny, którego widziałam dzisiaj rano, choć nie mam pewności, czy tego samego człowieka spotkałam wczoraj.

– Ach tak, to tylko Jim, sąsiad. Nie warto się nim przejmować. Ten dziwak ciągle szuka skamielin i próbuje podglądać życie morskiej fauny – wyjaśnia ze śmiechem Philip. – Pod naszą nieobecność zerka na posesję, a my pozwalamy mu skracać sobie drogę na plażę, bo ze swojego domku nie ma bezpośredniego dojścia. I nie zawsze bywa dyskretny. – Następny wybuch śmiechu Philipa nie brzmi naturalnie. – Właściwie się cieszę, że pani dzwoni. Musieliśmy zmienić plany... – W jego głosie słychać wahanie. – Nasza córeczka wychodzi ze szpitala wcześniej, niż myśleliśmy. – Philip sprawia wrażenie, jakby się spieszył, jego ton jest mniej przyjemny. – Wiem, wiem, to świetna wiadomość. Do londyńskiego mieszkania wracamy dzisiaj wieczorem, najpóźniej jutro. Mogę zostawić państwa klucz u sąsiadki?

Londyn? Marszczę brwi, ciągle trzymając telefon przy uchu. Dlaczego więc Heywoodowie wybrali szpital w Bath, aby ich córka tam przeszła

operację serca, skoro mieszkają w tak ogromnym mieście jak Londyn? Czuję, że się czerwienię, bo tknęła mnie taka oto myśl: Philip chce czym prędzej opuścić nasze mieszkanie.

– To zapewne wielka ulga – mówię. – Bardzo się cieszę, że pańska córeczka odzyskuje zdrowie. Mam nadzieję, że mieszkało się państwu dobrze...

Powodem takiej paplaniny jest moje zażenowanie.

– Tak, świetnie, dziękujemy. Dojazd do szpitala był doskonały. Ale proszę nie spieszyć się z wyprowadzką. Zamówiłem ekipę, która posprząta państwa dom, na sobotę, mogą więc państwo zostać do tego czasu. A wracając, proszę zostawić klucz na stacji benzynowej. Jeszcze raz pani dziękuję... *Libby*. – Philip wypowiada moje imię tak, jakby sprawdzał jego brzmienie.

Telefon milknie.

Patrzę na komórkę nieco zakłopotana. Czy to prawda, że córeczka Philipa w cudowny sposób dochodzi do siebie po operacji serca ratującej jej życie? I skoro oni opuszczą nasze mieszkanie, dlaczego my mamy zostać w ich domu? Umawialiśmy się przecież na zamianę. Przychodzi mi na myśl, że Philip kłamał – może trafił na wygodniejsze lokum? To musi być to, inaczej zbyt wiele rzeczy nie miałoby najmniejszego sensu.

Z ulgą słyszę od Jamiego, że nie chce stąd wyjeżdżać. Ja też nie mam na to ochoty. Będzie mi brakować tego domu. Będę tęsknić do stylu życia Tary.

– Jest dopiero środa. Umowa obowiązuje do soboty. Nie obchodzi mnie, że oni chcą wyjechać wcześniej – oświadcza Jamie spod kołdry.

Wydaje się dziwnie zniewieściały w tym łożu z baldachimem w domu Heywoodów; to przez nadmiar białego muslinu na modłę new romantic z lat osiemdziesiątych poprzedniego stulecia.

– Czy to nie będzie jednak trochę dziwne? – pytam, siadając na skraju materaca. – Jeśli zostaniemy tutaj po ich odjeździe z naszego mieszkania. Zamiana straci chyba rację bytu.

– Jest mi to obojętne – mamrocze Jamie. – Czuję się naprawdę podle, Libs. Możesz zostawić mnie w spokoju?

Nakrywa się kołdrą aż po czubek głowy, spod materiału wystaje tylko skrawek jasnej czupryny.

– Cudownie – mówię łagodnym tonem, po czym wstaję i wychodzę do garderoby.

Walizki w ogóle nie rozpakowałam, świadoma tego, że moja odzież powieszona obok ubrań Tary wyglądałaby ubogo. Wkładam przez głowę sukienkę z bawełny i wsuwam na stopy buty firmy Birkenstock. Gdy wychodzę z garderoby, umyślnie głośno zamykam za sobą drzwi, zła, że Jamie ani myśli wstać z łóżka, przez co cenny dzień urlopu pójdzie na marne.

Ale zanim docieram do kuchni, żeby Ziggy dostał swoje psie śniadanie, ogarniają mnie skrupuły. Jamie nie należy do takich, którzy się wylegują. Chyba naprawdę czuje się kiepsko, skoro jeszcze leży w łóżku. Pewnie czeka mnie długi i nudny dzień. Odkąd Jamie zajął się jako wolny strzelec konsultingiem, spędzamy bardzo mało czasu we dwoje, a ja na domiar złego popsułam poprzedni dzień, zaprzatając sobie głowę intruzami.

Uklęłam zaabsorbowana przeglądaniem niewielkiego zbioru płyt DVD z wiklinowego koszyka pod telewizorem. Postanowiłam zabić czas, oglądając film; zajmie mi to pewnie ze dwie godziny. Ale nie znajduję niczego w swoim guście: albo już to oglądałam z Jamiem, albo natykam się

na francuskie filmy erotyczne czy typowe horrory. Nie kręcą mnie takie rzeczy.

Zamieram, usłyszawszy odgłos zamykania skrzynki na listy. Ziggy szczeka wniebogłosy i pędzi w stronę drzwi frontowych. Wstaję, żeby też do nich podejść. Ze skrzynki wystaje kilka kopert, a to oznacza, że zjawił się listonosz. Wyławiam z niej także elegancki folder reklamowy jakiejś skandynawskiej firmy, o której wcześniej nie słyszałam. Wybrałabym z niego wszystko: kanapy, stoły do jadalni i krzesła, ale ceny są astronomiczne. Zawiedziona zamykam katalog.

Pies krąży po kuchni, dając znać, że chce się załatwić.

– Chodź, Zigster, idziemy na spacer.

Przypinam smycz do obroży psa. Wiem, że z powodu mojej ręki w gipsie Jamie nie lubi, kiedy wychodzę z Ziggy sama – nasz pies jest olbrzymi jak na golden retrievera i na tyle silny, żeby mnie przewrócić, jeśliby nagle się zerwał. Ale perspektywa spaceru odludną plażą w pojedynkę jest kusząca. Poza tym odczuwam pilną potrzebę wydostania się z domu. Mimo jego piękna bynajmniej nie odpręża mnie pobyt w cudzej posiadłości, i to bez żadnych obowiązków, gdzie trawię czas na wylegiwaniu się na nieskazitelnej sofie Heywoodów, z obawą, że gdy jej dotknę, zostawię ślad. U siebie jestem ciągle zajęta: pracami domowymi, sprawdzaniem kartkówek, pisaniem sprawozdań oraz bieżących konspektów, przepierkami, robieniem porządków, gotowaniem. Myślałam, że polubię samo „bycie” bez ograniczeń czasowych i przeszkód, ale jestem już trochę znudzona, do czego przyznaję się bardzo niechętnie.

W weekendy Jamie i ja spacerujemy zwykle do centrum Bath albo wzdłuż kanału. Zaglądamy do butików i chodzimy po galeriach, kontemplując dzieła sztuki, zbyt dla nas kosztowne. U siebie jesteśmy stale otoczeni ludźmi, których absorbuje ich własna codzienność, nie zawsze spragnionych interakcji z nami, ale są w pobliżu. Nigdy nie myślałam, jak samotnym można się czuć na takim odludziu. Kto wie, może mam zbyt wiele skojarzeń z dzieciństwa, które spędziłam w małym miasteczku, tylko w towarzystwie ojca. Koleżanki i koledzy nie chcieli się ze mną zadawać, chłopcy nie zapraszali mnie na randki, bo wszyscy wiedzieli, że muszę opiekować się ojcem. Jedynymi ludźmi, których widywałam, byli ciągle ci sami nastolatki, którzy przesiadywali na skwerku naprzeciwko naszego domu, zajęci piciem cydru, paleniem i kręceniem się przy huśtawkach, a czasem też malowaniem graffiti na pobliskich garażach. Mówię

o zakapturzonych nastolatkach, na których widok każdy woli przejść na drugą stronę ulicy. Tata miał dla nich wyzwisko: społeczne gnojki. Kiedy po pijanemu człapał do domu, częstował ich obelgami. Wzięli kiedyś odwet: na naszych frontowych drzwiach namalowali graffiti, ordynarny rysunek penisa. Ale właściwie nie było powodów do obaw, że naprawdę zrobią komuś krzywdę. Choć mogli spuścić tacie niezłe lanie, nigdy tak nie postąpili.

Wychodzę od frontu, a nie przez ogród, bo nie jestem pewna, jak zamknąć z zewnątrz tylne drzwi.

– Musisz być grzeczny – uprzedzam Ziggy’ego surowym tonem, kiedy wyruszamy. – Żadnych ucieczek, pamiętaj, że mam sprawną tylko jedną rękę. I wracaj, gdy cię zawołam.

Ziggy stoi przy mnie z przechyloną głową i patrzy brązowymi ślepiami, jakby rozumiał wszystko, co do niego mówię.

Pogoda jest nieprzewidywalna: w jednej minucie czuję ciepło słońca na plecach, a w następnej – niebo ciemnieje i temperatura nagle spada. Trochę się obawiam, że mogłabym zobaczyć w pobliżu czającego się Jima, ale z ulgą stwierdzam, że go tu nie ma. Schodząc na plażę, próbuję – właściwie bez powodu – odgadnąć, w którym miejscu mieszka ten Jim. Pamiętam, że gdy parę dni temu dojeżdżaliśmy do Kryjówki, minęliśmy kilka wolno stojących domów – z plaży widzę tylne ściany niektórych z nich. Jest ich niewiele, stoją w sporej odległości od siebie, a między nimi dostrzegam zieleni, widzę też wierzchołek sterczącego klifu. Czyżby to Jim nas wczoraj obserwował?

Sylvia uznałaby zapewne, że miewam przywidzenia, bo nie otrząsnęłam się ze stresu po tamtym pożarze. Ona potrafi wszystko wytłumaczyć.

Spuszczam Ziggy’ego ze smyczy, po czym patrzę, jak hasa po plaży. Idę za nim, słysząc świszczący w uszach wiatr i huczące morze. Nigdy jeszcze nie byłam w Kornwalii, na półwyspie Roseland oczywiście też nie, ale zobaczyłam do tej pory wystarczająco dużo, by się przekonać, że jest tutaj pięknie. Wdychając morskie powietrze, żałuję wcześniejszych refleksji o nudzie. Poszcześciło nam się z tym urlopem.

Ziggy pędzi w stronę brzegu z wywieszonym jęzorem i uszami ściągniętymi do tyłu, łapami rozkopuje piasek. Ja wybieram drogę plażą, stąпам po mokrych wodorostach i skalnych bajorkach, w tej samotności czuję się tutaj odsłonięta. Szczęśliwie mam przy sobie Ziggy’ego. Wcześniej pies należał do Katie. Choć jej to odradzono, kupiła go, kiedy był

szczeniakiem, ale po Katie trudno oczekiwać odpowiedzialności. Uparła się, jak to ona, nikogo nie chciała słuchać i przywiozła szczeniaka do swojej kawalerki w centrum Bath. Dała mu na imię Zippy i zaczęła go traktować jak maleńkie dziecko. Ale w miarę jak pies dorastał, Katie nabierała wątpliwości, aż w końcu zniecierpliwiona, że nie może długo przebywać poza domem ani sypiać u koleżanek, zdradziła Jamiemu swój zamiar oddania Zippy'ego do schroniska. Jamie był na nią wściekły, jeszcze nie widziałam u niego takiej złości z jej powodu, a przecież na ogół Katie potrafi go sobie owinąć wokół swojego filigranowego paluszka z francuskim manikiurem.

– Nie możemy zatrzymać tego psa – oznajmiłam, kiedy Jamie wrócił wieczorem do domu i o wszystkim opowiedział, bo zrozumiałam, do czego zmierza. – Też mamy tylko mieszkanie, Jay.

– Ogród...

– Należy do Evelyn, a nie do nas – przypomniałam.

– Może pozwoliłaby nam z niego korzystać. – Na twarzy Jamiego malowała się nadzieja.

Syknełam.

– Może i tak, ale nie śmiałabym jej prosić. Stawianie jej w takiej sytuacji byłoby nie fair. Jestem pewna, że nie spodobałby jej się pies załatwiający się na całym trawniku, chociaż nie wytknęłaby nam tego przez uprzejmość.

– Nie widzę problemu – powiedział Jamie tonem nadąsanego nastolatka.

– Kto by to w ogóle zauważył... Jej ogród i tak jest paskudny. Zaproponowałam, że będę kosił trawę, ale ona nie chce o tym słyszeć.

Stał z zaciśniętymi po bokach pięściami i wyglądał tak, jakby zbierało mu się na płacz.

Lubiłam to jego miękkie serce. Czasem widziałam, że powstrzymuje łzy, kiedy ogląda w telewizji programy o zwierzętach.

– Nie mogę pozwolić, żeby Katie oddała psa – oznajmił cicho, przyglądając niesforną czuprynę. – On należy do naszej rodziny.

Podeszłam do niego i objęłam go w pole.

– Ach, Jay...

Jamie musiał się lekko przechylić w moją stronę, żeby przytulić głowę do mojego ramienia.

Oczywiście uległam i pies skradł nasze serca. Zippy – teraz już Ziggy, jak nazwał go jego nowy pan – zamieszkał z nami.

– Ten biedny pies nie może się wabić Zippy – stwierdził ze śmiechem Jamie, ale tak naprawdę zawsze chodziło mu po głowie, żeby nazwać domowego zwierzaka pseudonimem używanym przez swojego idola, Davida Bowiego.

Przyjeliśmy Ziggy’ego pod nasz dach ponad dwa lata temu i od tamtej pory żadne z nas nie wyobraża sobie życia bez niego.

Jamie... Spacerując po plaży, ciągle o nim myślę. Brakuje mi chodzenia w rytmie jego wydłużonych kroków i tęsknię za jego ciepłą dłonią obejmującą moją. Muszę skończyć z tą nerwowością i paranoją, spróbować się cieszyć resztkami tego urlopu. Wiem, że Jamiemu byłoby miło, gdybym poprosiła o pomoc jego matkę; jakaś część mnie pragnęłaby zapytać Sylwię o moje objawy, o to, czy nie cierpię z powodu stresu pourazowego, ale zarazem wiem, że te pytania nigdy nie przejdą mi przez gardło – przerodziłoby się to w seans terapeutyczny i Sylvia mogłaby ze mnie wydobyć o wiele więcej, niż byłabym gotowa ujawnić.

Zatrzymuję się, żeby spojrzeć w górę: na Kryjówkę, jej okna do ziemi i okrągłą wieżę. Jamie tam jest, leży w łóżku i czuje się okropnie. Muszę się upewnić, że już mu się polepszyło.

Wołam Ziggy’ego, który pluska się przy brzegu i rozpryskuje chłodną wodę, i ruszamy z powrotem do domu.

Kiedy jestem już na kamiennych schodkach, wyczuwam czyjąś obecność: wyżej stoi ze srogą miną Jim. Łomocze mi serce, gdy się zatrzymuję.

– O Boże – odzywam się, instynktownie osłaniając złamaną rękę. – Przestraszył mnie pan.

– Kim pani jest? – warczy w odpowiedzi. W jego głosie słychać wyraźny kornwalijski akcent.

Na szyi mężczyzny widzę lornetkę, a na twarzy wysmaganej przez wiatr irytację. Jim podpiera się laską, ma beret zachodzący aż na oczy, zauważam też jaśniejsze miejsce na filcowym kołnierzu jego tweedowej kurtki.

– Ja? – reaguję niemalże furją. Co za bezczelność! – Jestem Libby i zatrzymałam się na tydzień w Kryjówce. Z mężem Jamiem.

– Nie przypominam sobie, żeby pan Heywood zapowiedział państwa przyjazd. Od kilku miesięcy nikt tu nie mieszka. Trwały prace budowlane – mówi mężczyzna, patrząc na mnie wrogo. – Ta posiadłość nie należy do państwa. Jej właścicielami są Philip i Tara.

Tłumię westchnienie.

– Wiem – potwierdzam cierpliwym tonem. Zastanawiam się, czy ten człowiek nie jest szurnięty, jak mawiała moja mama.

– Po co pani tu przyjechała? – pyta Jim i zsuwa nakrycie głowy, taksując mnie wzrokiem. Ma zaskakująco niebieskie oczy.

Chciałabym mu powiedzieć, żeby zniknął i zajął się swoimi sprawami, ale wiem, że nie mogę sobie pozwolić na taką opryskliwość. Przychodzi mi na myśl rada ze studiów nauczycielskich – zachować spokój i profesjonalizm, cokolwiek by się działo. Nie tracić panowania nad sobą. Na mojej twarzy rozkwita więc uprzejmy uśmiech i informuję go o zamianie.

– Zależało im na tym, żeby zatrzymać się w pobliżu szpitala, w którym przebywa ich córka.

Wyblakłe oczy Jima się zwięzają.

– Córka? Przecież oni nie mają córki.

Prostuję się i mocniej chwytam smycz Ziggy’ego. Pies napina ją, bo chciałby mi uciec.

– Jak to? Oczywiście, że Heywoodowie mają córkę.

– W ogóle nie doczekali się dzieci. – Jim opiera się na lasce. – Philip nigdy się nie zająknął o waszym pobycie tutaj. Chyba miesiąc temu był na miejscu, żeby doglądać przebudowy. Dlaczego mnie wtedy nie uprzedził? Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się coś takiego. Trzeba pani wiedzieć, że pilnuję tego domu. Kiedy nie ma Philipa.

Jim zaczyna chodzić tu i tam i zdaje się coś mamrotać do siebie. Udziela mi się jego zdenerwowanie.

– Proszę do niego zadzwonić – radzę. – Wszystko odbyło się uczciwie. I doszliśmy do porozumienia zaledwie w ubiegłym tygodniu.

Kiedy Jim się zatrzymuje i na mnie patrzy, uświadamiam sobie, że on pewnie nawet nie ma numeru telefonu Philipa. Ot, Jim jest człowiekiem z okolicy, który lubi wtykać nos w nie swoje sprawy. A teraz mówi coś po cichu tylko do siebie, pokazując mi plecy, i zbiera się do odejścia.

I gdy widzę, że za chwilę wejdzie na naszą trawę, wołam:

– Hej, czy może pan przestać przechodzić przez nasz ogród? Przynajmniej póki my tutaj jesteśmy. Wyjeżdżamy w sobotę. Z góry dziękuję. Na pewno docenię pańską uprzejmość.

Jim odwraca się i czuję na sobie jego zimny wzrok.

– To nie wasz ogród. Będę więc robił, co uważam za słuszne. Przyjmuje polecenia od pana Heywooda, a nie od pani.

Jim groźnie wymachuje laską. Wzdrygam się przed jego złością. Otwieram usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale on idzie już dalej. Pozostaje mi wygrażanie jego plecami. Z łomoczącym sercem patrzę, jak przechodzi przez ogród i znika po przeciwnej stronie domu.

– Co za dupek! – mamroczę.

Byłabym gotowa pobiec za nim i uprzedzić, że jeśli znowu wkroczy na teren naszej posiadłości, wezwę policję, ale po chwili przypominam sobie, że Jim ma rację, że to nie nasz dom, tylko Philipa i Tary. Skoro im nie przeszkadza, że Jim chodzi po ich terenie, cóż ja mogę zrobić?

Idę poszukać Jamiego.

– Nie zgadniesz, co się stało! – wykrzykuję, wbiegając do głównej sypialni. – Dopiero co mieliśmy, Jim i ja, ostrą wymianę zdań. On twierdzi, że Heywoodowie nie mają córki. Dlaczego to powiedział...?

Urywam, bo zaskakuje mnie widok, który zastałam. Jamie leży w łóżku, jest niesamowicie blady, na jego twarzy i ciele lśnią gęste krople. W sypialni czuć odór potu i wymiocin.

– Jamie!

Czuję, jak ściska mnie w żołądku. Podbiegam do łóżka. Potrząsam Jamie, który po chwili otwiera oczy.

– Libs... – mówi chrapliwie. Słyszę jakby zgrzytanie i domyślam się, że usta Jamiego są suche, widzę też popękane wargi. – Pod łóżkiem jest pomarańczowa wiązana torebka... Pozbądź się jej...

Głos Jamiego słabnie, powieki opadają. Przerazona, widzę na nich niebieskie żyłki i ze zgrozą patrzę na jego woskową bladość.

– Będzie okej – mówię uspokajającym tonem, odgarniając mu włosy z czoła. – Będzie dobrze, nie przejmuj się.

Zmuszam się do zachowania spokoju, żeby przypomnieć sobie, czego uczyłam się na kursie pierwszej pomocy, i zachować się tak samo jak wtedy, kiedy mała Maya Price zemdląca w szkole i podejrzewano u niej zapalenie opon mózgowych albo kiedy Finlay Ward stracił przytomność, rozbijając głowę o drzewo. Wiem, że Jamie potrzebuje pilnej interwencji lekarza, ale nie mam pojęcia, gdzie jest najbliższy szpital i co gorsza, nie dowiozłabym go tam, choćbym znała adres. Biegnę na parter po telefon komórkowy, który został na kuchennej wyspie. Mechanicznie wystukuję dziewięć dziewięć dziewięć. Nie mam wyboru. Pokryta potem skóra Jamiego w połączeniu z widocznym delirium oznacza, że prawdopodobnie nastąpiło groźne odwodnienie z powodu dolegliwości żołądkowych.

Ku mojemu zdziwieniu karetka przyjeżdża już po kwadransie. Jamie trafia do niej na noszach, a ja wskakuję za nim. Gdy ratownicy zatrzaskują drzwi, dostrzegam Jima, który spomiędzy krzaków obok podjazdu obserwuje nas wyblakłymi i pełnymi wrogości oczami.

Trzymam Jamiego za rękę w drodze do szpitala i półgłosem dodaję mu otuchy, tymczasem załoga karetki podłącza mu kroplówkę i Jamie wymiotuje do kartonowego pojemnika. Podróż trwa około dwudziestu minut; mnie też robi się niedobrze z powodu szybkości, z jaką karetka pokonuje zakręty i wąskie drogi. Później siedzę wstrząśnięta w szpitalnej poczekalni, widzę, jak zabierają Jamiego na wózek, i z każdą upływającą minutą rośnie mój strach, aż ściska mnie w żołądku.

Logika podpowiada, iż Jamie wydobrzeje, że to po prostu jakieś zatrucie, ale mimowolnie przypominają mi się straszliwe opowieści o przypadkach odwodnienia skutkującego niewydolnością nerek, a nawet – choć rzadko – śmiercią. Zanim odrzucam takie skojarzenia, nasuwają mi się przerażające myśli, że musiałabym żyć dalej bez niego. Straciłam oboje rodziców, nie ukończywszy nawet dwudziestu lat. Nie mam dziadków, ciocie ani wujków. Jamie jest moją jedyną rodziną, tylko jego mam. Gdyby odebrano mi także męża, nie zniosłabym takiej straty.

Matka Jamiego nazywa podobne myślenie katastroficznym. Przyłapała mnie na nim, kiedy zbliżał się dzień naszego ślubu. Ciągle pytałam: „Co będzie, jeśli...?”, „Co będzie, jeśli zacznie padać?”, „Co będzie, jeśli zemdleję przed ołtarzem?”, „Co będzie, jeśli dopadnie mnie tego dnia jakaś niedyspozycja?”. Matka Jamiego udzieliła mi reprimendy przy nim i swoich córkach, strofowała mnie jak dziecko, czym mnie rozeźliła. Poczułam się niczym moi uczniowie, gdy ich ganię. Ale ona zauważyła moją zakłopotaną minę i widząc rumieńce na moich policzkach, postanowiła pocieszyć mnie łagodniejszym tonem: usłyszałam, że winne jest moje wychowanie i to, że moi rodzice umarli, gdy byłam młodziutka. Sylvia pokusiła się o psychoanalizę, a ja wzniosłam mur, jakbym była zamkiem, którego trzeba strzec.

Siedzę na twardym plastikowym krześle i mnę w zdrowej ręce chusteczkę, starając się przezwyciężyć panikę i płacz. W poczekalni jest tłum, przy czym każdą z tych osób dręczy niepokój, co widać po minach, po ruchach palców i nóg. Pielęgniarki przechodzą w tę i z powrotem z dokumentacją medyczną w rękach. „Jamie z tego wyjdzie” – powtarzam

sobie. Ale nie przestaję przywoływać widoku jego bladej i spoconej twarzy i ciągle słyszę majaczenie o schowanych pod łóżkiem torbach.

W końcu podchodzi do mnie młoda kobieta z wyrazem znużenia na twarzy, stukając niewielkimi obcasami o płytki. Kiedy się zbliża, zauważam, że ma zmarszczone brwi, i moje serce zaczyna bić szybciej. Na swetrze kobiety dostrzegam dziecięcą naklejkę – małego lwa z napisem: „Jestem dzielny”.

– Pani Hall?

Kiwam tylko głową i przystaję, żeby uścisnąć jej wyciągniętą rękę.

– Jestem doktor Carter. Pani mąż wraca do zdrowia. Wykonaliśmy kilka badań kontrolnych i ustaliliśmy, że przyczyną odwodnienia jest bakteria E. coli...

– Zatrucie pokarmowe?

Przypominam sobie o kiełbaskach, które Jamie zjadł pod wieczór. Nie mogłam ich tknąć po tym, jak wykryliśmy w piwnicy martwe zwierzęta.

– Pani doktor, wczoraj wieczorem mąż zjadł kiełbaski. Sądzi pani, że to one mu zaszkodziły?

Lekarka jest atrakcyjna: ma kasztanowe włosy upięte w luźny kok i cienkie okulary w drucianej oprawie, którymi onieśmiela, chociaż jest pewnie moją rówieśniczką.

– To niewykluczone – mówi. – Skazone mięso albo...

– Czy mogę zobaczyć męża?

Na twarzy pani doktor pojawia się uśmiech. Mam wrażenie, że poza szpitalem byłaby sympatyczną znajomą, z którą chętnie poszłabym na drinka.

– Oczywiście – zgadza się, przy czym lekko dotyka mojego ramienia.

Ruszam za nią do jednoosobowej sali.

Jamie siedzi na łóżku, podłączono mu kroplówkę. Bładość jeszcze nie ustąpiła, ale mój mąż wygląda już prawie tak jak na co dzień; o pomarańczowych torbach pewnie zapomniał.

– Przestraszyłeś mnie – mówię, próbując go przytulić, ale wychodzi mi to niezręcznie, bo mam rękę na temblaku, a jemu przecież postawiono przy łóżku kroplówkę.

Jamie całuje mnie w czubek głowy.

– Przepraszam – szepcze mi we włosy. – Ale, Jezu, nigdy w życiu nie czułem się tak źle.

Doktor Carter stoi obok.

– Zatrzymamy pani męża przez noc na obserwacji, ale rano powinien już dość do siebie i będzie mógł wrócić do domu.

Gapię się na lekarkę, rozdziawiwszy usta.

– Jak to... przez noc?

Cierpnie mi skóra na samą myśl o tym, że następną noc miałabym spędzić samotnie, i to w domu na odludziu, co gorsza, tak olbrzymim. Jamie i ja wymieniamy spojrzenia. Widzę, że się niepokoi.

– W porządku, pani doktor – zapewnia Jamie, prostując się, przy czym udaje, że jest w całkiem niezłej formie. – Mam się teraz lepiej. Zawsze byłem zdrow jak ryba. – Posyła mi za plecami lekarki znaczący uśmiech, po czym znów kieruje na nią wzrok. – To mój błąd, że nie piję tyle wody, ile trzeba. Mogę liczyć na wypis?

Pani doktor zaprzecza ruchem głowy, zdejmuje kartę pacjenta z łóżka Jamiego i coś na niej pisze.

– Przykro mi, Jamie, ale jeszcze pana nie wypuszczę. Wciąż potrzebuje pan solidnej dawki płynów. Czy jest jakiś problem?

Jasne oczy lekarki patrzą na mnie. A ja doceniam jej spokój i opanowanie. Profesjonalizm nie mniejszy niż mój przed kilkoma miesiącami. Ale potrafię zarazem spojrzeć na siebie jej oczami i zobaczyć porywczą, nerwową kobietę, która zbliża się do trzydziestki, tak bardzo znerwicowaną i niesamodzielną, że nie znieśnie jednej nocy bez męża.

Przełykam ślinę.

– Nie. Żaden – odpowiadam z nieszczerym uśmiechem.

– To dobrze – mówi doktor Carter, poprawia okulary i wsuwa kartę pacjenta na miejsce, po czym z ulgą wzdycha, myśląc już o następnym chorym.

Jamie ściska mnie za rękę.

– Jesteś pewna, Libs?

– Nie mam wielkiego wyboru. – Dostrzegam zaniepokojenie na jego twarzy, dlatego czym prędzej dopowiadam: – Jestem dużą dziewczynką, Jay. Zanim się poznaliśmy, żyłam w pojedynkę. Nigdy mi nie przeszkadza, że zostaję sama w naszym mieszkaniu, kiedy ty pracujesz. No i jest ze mną Ziggy. Nie zostawiłabym go na pastwę losu. Trzeba go przecież karmić... – Oddycham głęboko, po czym dodaje: – Wszystko się ułoży.

Jamie nadal ma zmarszczone brwi.

– Nasze mini zostało w Kryjówce. Będziesz musiała pojechać taksówką. Jesteś pewna, że tak będzie okej?

– Nie przejmuj się, Jay. Poradzę sobie.

Do Kryjówki przyjeżdżam niespełna pół godziny przed dwudziestą. Zapłaciwszy za kurs, wysiadam z pewną obawą, bo widzę przed sobą dom pogrążony w ciemnościach, wyglądający nieprzyjaźnie. Przypominam sobie o piwnicy ze zwierzęcymi skórami i zestawem narzędzi chirurgicznych i zaczynam drżeć. Nie pomagam sobie tymi makabrycznymi myślami. Sam dom nie jest groźny. Jest bezpieczny. „Inaczej Tara by tu nie zamieszkała” – przekonuję siebie. To oczywiste, że ona lubi wszystko, co w życiu najlepsze, że zależy jej na tych luksusach.

Gdy wchodzę na podjazd, rozbłyskuje lampa i na chwilę rozjaśnia okolicę. Kątem oka dostrzegam, że coś wisi na najbliższym drzewie. Coś koszmarnego i białego niczym kość. Wydaję okrzyk.

– Wszystko w porządku, droga pani? – pyta mnie taksówkarz, spostrzegłszy, że raptownie stanęłam.

Kierowca oparł ramię na opuszczonej szybie; podwinięty rękaw jego koszuli pozwala dojrzeć na nieopalonej ręce długie i ciemne owłosienie.

Podbiegam do samochodu i drżącym palcem wskazuję gałęzie drzewa.

– Proszę spojrzeć w górę. Co tam jest?

Odnoszę wrażenie, że to zniekształcona twarzyczka z ohydnie rozdziawionymi ustami, jakby śmierci towarzyszył krzyk.

Taksówkarz zerka niepewnie. Ma sympatyczną twarz, jaką mógł mieć mój dziadek, którego niestety nigdy nie poznałam; widać, że często się śmieje, nosi też bujną siwą brodę.

– Droga pani, wygląda mi to na owczy skalp. – W jego głosie nie słyhać przejęcia, można by pomyśleć, że zwisające z drzew skalpy zwierzęce to dla niego nie pierwszozna.

– Jestem pewna, że wcześniej nie było niczego na drzewie – mówię, czując suchość w gardle. – Przecież musiałabym coś takiego zauważyć...

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Na moje oko już trochę czasu toto wisi. Wygląda na zniszczone przez kiepską pogodę.

Kierowca obdarza mnie znaczącym uśmiechem i opuszcza szybę. Chętnie bym go poprosiła, żeby nie zostawiał mnie tu samej, ale biorę się w garść.

Znowu mi odbija. Ten skalp wisi tu najpewniej od lat. I nie ma żadnego znaczenia.

Widzę, jak taksówka odjeżdża, migocząc w ciemności tylnymi światłami, i znika mi z oczu. Drzę świadoma tego, że jestem zdana na siebie, a za jedyne towarzystwo mam odludną plażę i huczące fale. I Ziggy'ego, przypominam sobie. Przynajmniej pies mi pozostał.

Chcę jak najszybciej dostać się do domu. W pośpiechu majstruję przy zamku. Gdy otwieram drzwi, Ziggy przybiega, tak radosny, że prawie mnie przewraca. Klaszczę dwa razy, żeby zapalić światło, i głupio się z tym czuję; po prostu nie pamiętam, gdzie Jamie zostawił pilota. Światło zapala się nade mną, zalewając pomieszczenie blaskiem, dzięki czemu czuję się trochę bezpieczniej, chociaż dom nie przestaje sprawiać wrażenia opuszczonego. Czy naprawdę mogę spędzić tutaj całą noc sama? Myśli wirują mi w głowie, kiedy pochylam się nad Ziggym, żeby go przytulić. A może lepiej pojechać do hotelu? Ale czy mogłabym zabrać tam psa? Nie mogę zostawić go samego. Szturcha mnie już nosem, przypominając, że zgłodniał.

Dom się wyziębił i panuje w nim męcząca cisza, dlatego włączam telewizor, żeby był jakiś hałas w tle. Skupiam się teraz na obiedzie Ziggy'ego. Jestem zbyt zestresowana, żeby o tak późnej porze wziąć psa na spacer – na ogół wyprowadza go Jamie. Wypuszczony do ogrodu Ziggy harcuje na trawniku, czym uruchamia lampy, których światła kontrastują z ciemnością okolicy, zwłaszcza krzewów i żywopłotów, w których być może ktoś się czai; ja tymczasem popijam herbatę.

Ziggy wraca i wtedy dopilnowuję, żeby starannie zamknąć drzwi. To nie pierwszy raz, kiedy mam do Heywoodów pretensję o brak zasłon w oknach. Irytuje mnie ta myśl, że sama nic nie widzę przez olbrzymie szyby, ale ktoś może obserwować mnie z zewnątrz – na przykład tamten facet z Lizard Point albo dziwaczny, wścibski Jim. Przypomina mi się nasza wcześniejsza rozmowa i jego słowa o tym, że Heywoodowie nie mają córki. Dlaczego Jim o tym wspomniał? A ja, przejęta Jamiem, nie zdążyłam z nim o tym porozmawiać.

Aby oderwać myśli od swojego osamotnienia w domu, zaczynam wybierać numer komórki Jamiego, ale po chwili dociera do mnie, że przez całe to zamieszanie zapomnieliśmy ją zabrać. Wbiegam na piętro, żeby odszukać telefon i sprawdzić, czy nie trzeba go naładować. Mam gułę w gardle, gdy zerkam na łóżko i zmiętą pościel, i na wgłębienie

w materacu pozostawione przez Jamiego. Siadam na brzegu materaca i dotykam pościeli, jeszcze wilgotnej od jego potu. Szklą mi się oczy, ale powstrzymuję łzy. Nie mam czasu, żeby się nad sobą uzalać. Jamie wydobrzeje. Czekam na mnie tylko jedna samotna noc, a w Bath nawet bym się nią nie przejęła. Jak powiedziałaby Jamie, muszę mieć jaja.

Sięgam po telefon Jamiego leżący na nocnej szafce przy łóżku. Widzę esemesa. Od Hannah.

Myślałam o tym. Wiem, że nikomu niczego nie ujawnisz, ale czy możemy porozmawiać?

Kusi mnie dalszy ciąg esemesa. Niezdecydowana dotykam palcem wyświetlacza. Ufam Jamiemu. Muszę. Na moje nieszczęście Hannah jest w naszym życiu. Nie przepadam za nią, ale ona wkłęciła się do tej rodziny; nigdzie nie zniknie, muszę więc z tym żyć. I jeśli doczytam esemesa, Jamie się zorientuje i pomyśli, że popadłam w gorszą paranoję, że jestem bardziej znerwicowana, niż podejrzewał. Nie chcę dołączyć do grona żon, które ciągle kontrolują mężów, wiecznie ich podejrzewają. Tak odnosiła się moja mama do taty, nigdy nie okazywała mu zaufania, wiecznie przekonana, że on pije, zamiast pracować, i zawsze szukała w jego kieszeniach paragonów. Ja tymczasem patrzyłam na jej dramat i widziałam, jak wątpliwości i podejrzenia ją postarzają.

A dzisiaj sama jestem równie wątpiąca i podejrzliwa. Nagle powrócił dokuczliwy niepokój z powodu faceta z Lizard Point. Czy to jego tu wczoraj widzieliśmy? Czy to on nas śledził? Jestem pewna, że wycelował aparat w Jamiego. Czyżby ktoś mu zapłacił za nasze zdjęcia? Po co? Znowu pojawiła się w mojej głowie myśl, że ten fotograf jest prywatnym detektywem. Ale ja go nie obchodziłam. Niewątpliwie skupił się na Jamie. Czy jednak nie chodzi tutaj o mnie?

W końcu znikąd pojawiają się łzy, jestem nimi tak wstrząśnięta, że nie mogę opanować rozedrgania ramion. Nawet nie wiem, z jakiego powodu płaczę. Czy to przez Jamiego, czy poronienia, czy raczej te łzy wywołała cięza sprzed wielu lat? Uspokajającym gestem dotykam brzucha – strata jest naprawdę bolesna. Ziggy wskakuje na łóżko i koi mój ból milczącą obecnością.

Ocieram uronione łzy i przyglądam się komórce w swojej dłoni, nie odrywając oczu od zdania: „Wiem, że nikomu niczego nie ujawnisz”. Co Hannah ma na myśli? Co według niej Jamie powinien przede mną ukryć?

Obecność Hannah w naszym życiu chwilami wyprowadza mnie z równowagi, to prawda; irytuje mnie, jak wpatruje się w Jamiego, kiedy sądzi, że nikt nie widzi. Drażni mnie, kiedy wykorzystuje mojego męża do dawania jej rad, i to, że udaje synową Sylvii, choć to ja nią jestem. Czasami, gdy widzę jej jasne włosy, szerokie ramiona, postawną sylwetkę, całą tę odmienność ode mnie, wątłej i kruchej, przychodzi mi na myśl intymne życie tej pary, próbuję odgadnąć, czy Jamie nie woli jej figury, jej większego biustu i dłuższych nóg. Nie chcę jednak o tym myśleć i w zasadzie sobie na to nie pozwalam.

Wiem, że nikomu niczego nie ujawnisz.

Co oni przede mną ukrywają? A nuż planują coś, co ma związek z moimi trzydziestymi urodzinami, które wypadają w czerwcu, albo jakąś niespodziankę dla Sylvii. W końcu to nie musi być żaden sekret. To wcale nie znaczy, że mają romans. Staram się zapomnieć o tym esemesie. Jutro spróbuję wybadać Jamiego. Jeśli nie ma nic do ukrycia, powie mi przecież, o co chodzi, prawda?

Chyba że jednak nie...

Stukam się w czoło. „Przestań, przestań” – przekonuję własny mózg. Jamie zasługuje na jak najlepsze traktowanie. To prawda, że lubi kobiety. Czuje się dobrze w ich towarzystwie, w końcu ma aż dwie siostry. Ale to nie znaczy, że chciałby mnie zdradzać. Z dawną dziewczyną? Bynajmniej. W końcu to on zerwał przed laty, a nie ona.

Zastanawiam się, czy nie zawiadomić Sylvii, że Jamie jest w szpitalu. Zaczynam szukać jej numeru w komórce, ale coś mnie powstrzymuje. Sylvia jest nadopiekuńcza wobec syna, będzie się tylko niepotrzebnie zamartwiać. Jamie przecież wydobrzeje.

Nie mogę sobie znaleźć miejsca; moje myśli krążą od obdartych ze skóry zwierząt w piwnicy do złowieszczonego skalpu na drzewie i wreszcie do esemesa od Hannah. Zaczyna mnie boleć głowa.

Ziggy chodzi za mną, jakby wyczuwał mój niepokój. Rozważam zgaszenie wszystkich świateł. Dom pogrąży się w ciemności, ale przynajmniej będę widziała cokolwiek przez okna. Bo jeśli pozostawię włączone światła, to będę widoczna jak na dłoni. Żadna opcja nie jest dobra. Nie wyłączam jednak świateł, przede wszystkim dlatego, żeby się o nic nie obijać.

Dlaczego tak mi nie w smak, że tkwię tu samotnie? Jakbym w wyobraźni słyszała Sylwię mówiącą głośno i dobitnie, że działają na mnie i wstrząs po

niedawnym pożarze, i szalejące hormony, te za sprawą poronienia. Ale czyż większość ludzi nie byłaby wstrząśnięta widokiem piwnicy kogoś, kto wypycha zwierzęta, oraz zwierzęcego skalpu na drzewie?

Muszę nabrać dystansu. Nie tracić energii na bezużyteczne myślenie, tylko wybrać wersję konstruktywną. Jamie jest w szpitalu, mogę więc powęszyć, i to bez obawy o surową ocenę z jego strony. Rozglądam się, ale nagle panikuję tknięta myślą o ukrytej kamerze. Bo i na co Philipowi tyle sprzętu do monitoringu w piwnicy?

Lustruję pokój, aby wytypować miejsca, w których ewentualnie mogą być zainstalowane kamery, ale nic nie przychodzi mi na myśl, bo widzę tylko wypchanego maskonura o smutnym wyglądzie, kilka fotografii Tary i pusty wazon. Zanim zdążę to sobie wyperswadować, jestem na klęczkach i grzebię w błyszczącej szafce stojącej pod telewizorem. W zamku tkwi klucz, przekręcam go i otwieram drzwiczki. Wnętrze rozczarowuje ubogą zawartością, ale natrafiam na fotoksiążkę, jedną z tych, jakie każdy może dziś łatwo zrobić sobie online. Skwapliwie ją chwytam, wertuję i oglądam zdjęcia Tary i Philipa na różnych urloпах oraz krótkich wypadach. Jestem zdziwiona, bo nie widzę żadnego zdjęcia ich córki.

Przypominam sobie słowa Jima. *Oni nie mają córki*. Ale to nie ma sensu. Odkładam fotoksiążkę i sięgam po następną. W tej są mniej ciekawe zdjęcia, ukazujące dom w różnych fazach remontu. „Wow – myślę. – Zanim dom został kupiony, był w fatalnym stanie”.

Wybieram się właśnie na piętro, żeby sprawdzić gościnne sypialnie, gdy słyszę z góry donośny trzask. Zamieram, a oglądany album spada mi z kolan. Co to było?

Ziggy też nadstawia uszu i zrywa się z podłogi.

Na gorze ktoś jest.

W ustach czuję suchość, serce mi łomocze, kiedy powoli wstaję. Ogarnia mnie panika, nie czuję się pewnie. Jak się zachować? Szukam gorączkowo czegokolwiek, co przydałoby się do obrony, i mój wzrok pada na lśniący pogrzebacz pozostawiony przy kominku. Nie jest zbyt ciężki, raczej tkwi tam na pokaz niż do użytku, ale mimo wszystko sięgam po niego, bo dzięki niemu poczuję się bezpieczniejsza. Skradam się po schodach, z psem idącym tuż za mną, pełna niepokoju, co mnie czeka na piętrze.

W najmniejszej sypialni rozlega się pisk.

Stoję pod drzwiami i popycham je niepewnie.

– Ziggy – syczę.

Pies odwraca się do mnie, skowycząc. Łomotanie serca wywołuje ból w klatce piersiowej. Gdy pochylam głowę, Ziggy przekracza próg jako pierwszy. Lękliwie rozglądam się zza futryny. Po chwili dostrzegam na środku pokoju staroświecką zabawkę – po drewnianej podłodze toczy się klaun, który rechocze jak żywy. Jest jedną z najbrzydszych rzeczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Ma wytrzeszczone, niespokojne oczy, groteskowo wielkie usta i zakrzywiony nos jak u czarownicy. Pewnie spadł z półki i stąd ten pisk. Dźwięk jest przeszywający. Klauny są odrażające, nigdy też nie chciałam w dzieciństwie oglądać Puncha i Judy.

Wypuszczam z rąk pogrzebacz i mimo obrzydzenia podnoszę zabawkę; próbuję nie ulegać panice, słysząc ciągły rechot klauna. Staram się czym prędzej odnaleźć wyłącznik; jest na karku figurki. Czuję ulgę, kiedy dźwięk cichnie, taką samą jak niemowlę, które zasypia po napadzie wrzasku. Zauważam, że jedno z wystających uszu klauna rozbiło się podczas upadku, i przykro mi, że ohydna zabawka córeczki Heywoodów została uszkodzona. Odkładam klauna na półkę i jestem już gotowa wyjść z sypialni, kiedy nagle kątem oka zauważam coś, co mnie intryguje: przy puszystym różowym jednorożcu leży zwinięty w kłębek perski kot o czekoladowej sierści; jego oczy są zamknięte pomimo zamieszania.

Zbliżam się do kota na palcach, trzymając rękę wyciągniętą przed sobą.
– Hej, kiciu – mówię łagodnie.

Co to zwierzę tutaj robi? Philip nie wspominał w ogóle o kocie. Jesteśmy tu już prawie pięć dni, a wcześniej nie zauważyliśmy jego obecności.

Kot ani drgnie. Staję tuż obok, żeby go pogłaskać. I cofam rękę, poczuwszy pod palcami zimną i twardą powierzchnię. To oczywiście wypchany kot. Ale wygląda jak żywy. Czy wypchali kota, którego kiedyś mieli? Dlaczego dotychczas go nie zauważyłam?

Zabieram pogrzebacz do sypialni, bo nieobecność Jamiego jest dla mnie nieomal fizycznym ciężarem. W pojedynkę czuję się tutaj samotna i bezbronna. Tak mną wstrząsnęły te kolejne odkrycia – klauna i kota – że musiałam pobiec do toalety, by zwymiotować. Teraz leżę w łóżku i czuję się okropnie, martwię się, czy sama też się nie zatrulałam, chociaż nie tknęłam tamtych kiełbasek. Wiercę się, serce bije mi mocniej za każdym razem, gdy na zewnątrz gaśnie lampa, i podejrzewam wtedy, że ktoś czai się w ogrodzie, wyczekuje odpowiedniego momentu, żeby się włamać i mnie zamordować. Słyszę, jak coś kołacze na wietrze, i przypominam sobie koszmarną opowieść Jamiego o latarni morskiej, o trumnie, która

obijała się o szybę. Przykrywam głowę kołdrą, jakbym była dzieckiem, które szuka ratunku przed ukrytym pod łóżkiem potworem.

Drzę, ilekroć pomyślę o klaunie i całej reszcie ohydnych zabawek w najmniejszej sypialni. Coś takiego dla dziecka...

Ale czyż nie oznacza to, że Heywoodowie jednak mają córeczkę?

Zasypiam dopiero nad ranem. I budzę się – zmęczona, z zamętem w głowie – o wpół do jedenastej.

Nawet gdybym nie miała ręki w gipsie, to nie chciałabym prowadzić naszego mini, dlatego zamawiam taksówkę na jedenastą piętnaście, po czym wskakuję pod prysznic z nadzieją, że się orzeźwię. Wycierając się, przypominam sobie szafkę pod umywalką i torbę z przyborami, w której nie zdążyłam powęszyć, bo przeszkodził mi Jamie. Z ręcznikiem pod pachą schylałam się, by otworzyć szafkę, zawstydzona tym, że w niej myszkuję. Pocieszam się, że nikt nie oparłby się tej pokusie. Po prostu staram się dowiedzieć czegoś więcej o Heywoodach. Cóż, oni zajęli przecież nasze mieszkanie. Czyż to nie racjonalne, że pragnie się wiedzieć nieco więcej o ludziach, których gości się u siebie?

Wyciągam torbę z przyborami i jej zawartość rozsypuje się na płytkach. Jestem rozczarowana, że widzę tylko stare szminki Chanel, chusteczki i złamany pędzelek do makijażu. A niech to... Przetrząsam te zbędne drobiazgi i już jestem gotowa wepchnąć wszystko do torby, gdy dostrzegam listek białych tabletek między pudełkami cieni do powiek a gąbką do makijażu. Przypatruję się uważniej i mrużę oczy, odczytując tekst na odwrocie listka. Leki antydepresyjne. Na pewno zażywa je Tara. Kiedy odkładałam listek na miejsce i wsuwam torbę w głąb szafki, ogarnia mnie smutek i poczucie winy. Tara ma depresję. Uderza mnie to. Jej życie zdawało mi się takie cudowne, obdarzone tyloma przywilejami. A przecież powinnam wiedzieć, że nie ma na świecie rzeczy doskonałych, że pozory mylą.

Kiedy przyjeżdża taksówka, wbijam się właśnie w dzinsy i wkładam obszerny kardigan. Biorę trochę czystych ubrań dla Jamiego i po chwili, w strugach deszczu, biegnę do taksówki, czując, jak przemakają mi nogi w baletkach. Już mam wsiadać do samochodu, gdy dostrzegam Jima, który stoi przy bramie wsparty na lasce, z wyraźnym uporem na wysmaganej wiatrem twarzy. Zaczynam się gotować w środku. Gestem dłoni proszę, żeby taksówkarz poczekał, i podbiegam do Jima.

– Co pan tu robi? – syczę. – Co panu wczoraj mówiłam?

Ale on nie przejmuje się moimi słowami i tylko odpowiada:

– Nie będzie mi pani rozkazywać.

– Philip udostępnił mi ten dom i proszę, żeby się pan oddalił. Jeśli zastanę pana tutaj, kiedy wrócę, wezwę policję.

Jim przyjmuje agresywną postawę: cofa ramiona i wysuwa podbródek.

– Nie boję się pani. I nie powinno pani tutaj być.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło – czy to brak snu, szalejące hormony, czy stres minionej nocy, przeżytej w stanie nieustannej czujności. Pod wpływem adrenaliny mocno uderzam Jima w klatkę piersiową, a on traci równowagę i upada do tyłu, na bramę.

– Nie radzę ze mną zadzierać – mówię, spluwając. – Starczy tych wygłupów. Rozumiemy się?

Po tych słowach odchodzę szybkim krokiem w stronę czekającej taksówki.

Moje buty chlupoczą, kiedy przemierzam ciągnące się bez końca korytarze, by odszukać Jamiego. Kiedy wchodzę do jego sali, mój mąż siedzi na łóżku zajęty rozmową z ładną pielęgniarką. Nadal ma na sobie brzydki szpitalny szlafrok, ale jego twarz promienieje, gdy dostrzega mnie i plastikową torbę ze swoimi rzeczami. Z ulgą zauważam, że nie jest już podpięty do kroplówki.

Pielęgniarka, stojąca z drugiej strony łóżka Jamiego, uśmiecha się do mnie. To młoda kobieta, z jej twarzy trudno domyślić się, w jakim jest wieku. Przypomina mi aktorki w stylu Ingrid Bergman z dawnych hollywoodzkich filmów.

– Przygotuję wypis – mówi i opuszcza salę.

Jamie obserwuje wychodzącą kobietę, po czym odwraca się do mnie, już nie tak rozpromieniony.

– O Boże, czy z tobą wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś miała za sobą bezsenność.

– Tamten Jim stał przy bramie, kiedy dzisiaj wyjeżdżałam z domu. Poradziłam mu, żeby zniknął. Jestem mocno wkurzona, Jay. O co temu facetowi chodzi?

Brwi Jamiego unoszą się aż po samą czuprynę, a na jego twarzy pojawia się porozumiewawczy uśmiech.

– Taką cię znam i kocham – mówi rozbawiony. – Dobrze go potraktowałaś.

Ja też wybucham śmiechem.

– Szkoda, że nie widziałeś wyrazu jego twarzy.

– Czy nie powinniśmy wezwać policji?

Kręcę bardzo energicznie głową.

– Ależ nie, chyba nie ma takiej potrzeby. Wystarczy, jak mu uświadomimy, że z nami nie wygra. Chyba brak mu piątej klepki. – Wyrażając ten domysł, dotykam swojej głowy. – Usłyszałam od niego, że Heywoodowie nie mają córki.

– Naprawdę? Że też on coś takiego powiedział...

– Sama się zdziwiłam. W mniejszej sypialni jest parę zabawek i trochę innych rzeczy. Ale... brakuje fotografii małej dziewczynki czy też nastolatki. Chyba że Heywoodowie wyjeżdżają bez córki? I ten dom jest jakby azyłem? Miejscem zastrzeżonym dla dorosłych?

Jamie wzrusza ramionami, dając do zrozumienia, że jest mu to obojętne, a ja, straszliwie znużona, opadam na krzesło stojące obok jego łóżka.

– Jesteś pewna, że nic ci nie dolega? – pyta Jamie. – Masz bladą twarz.

– Wymiotowałam – wyznaję zawstydzona i nagle zdaję sobie sprawę, że przy pięknej pielęgniarce wyglądam nijako, mało atrakcyjnie. Na podbródku znajduję palcem mały pryszcz, który dyskretnie wyciskam.

– Ach, kochanie. – Jamie wychodzi z łóżka, a ja wstaję, żebyśmy mogli się przytulić. On wie, jak bardzo irytują mnie torsje. Jedną z najtrudniejszych dla mnie rzeczy w zawodzie nauczycielki jest nieuleganie panice, gdy niczym zaraza w całej szkole rozprzestrzenia się wirus układu pokarmowego.

Odsuwam się.

– Prawdopodobnie złapałam to od ciebie...

Na jego twarzy pojawia się grymas.

– Czy można się zarazić bakterią E. coli? – pyta.

Ja też się krzywię.

– A jakże, do kogoś przecież muszę mieć pretensje.

Jamie wybucha śmiechem i przytula mnie mocniej. Na policzku czuję ciepło nylonowego szlafroka i włochaty tors męża. Lgnę do niego, uszczęśliwiona tym, że nie będę musiała spędzić kolejnej samotnej nocy w tamtym domu.

– Pozwól mi się ubrać i chodźmy stąd – mówi Jamie, po czym odwraca się i przez chwilę kręci gołą pupą, widoczną w rozcięciu jego szpitalnej koszuli. Nie mogę powstrzymać chichotu.

– Głupol z ciebie – oznajmiam ze śmiechem.

Ale to mój głupol. I wraca ze mną do domu.

W drodze powrotnej do Kryjówki opowiadam Jamiemu historię owczego skalpu tak cicho, żeby taksówkarz nas nie usłyszał.

– Wytrąciło mnie to trochę z równowagi – przyznaję. – Znalezienie tego w takim momencie. Naprawdę dziwnie się poczułam. Jakby komuś zależało, żebym ten skalp zobaczyła.

– Co masz na myśli? – W głosie Jamiego słychać podenerwowanie.

Waham się. Podejrzenia nie dają mi spokoju, ale wypowiedzenie ich na głos sprawi, że wyjdę na neurotyczkę.

– Wcześniej nie widziałam tego skalpu, zobaczyłam go dopiero wczoraj wieczorem, kiedy czekała mnie samotna noc.

– To zwykły przypadek – stwierdza kategorycznie Jamie; kiedy to mówi, trzyma głowę na oparciu siedzenia. Wciąż mizernie wygląda.

Nie chcę niczego dodawać, dlatego milczę przez resztę drogi. Leje jak z cebra, niebo jest mocno zachmurzone. Nawet drzewa sprawiają wrażenie groźnych, ich sękaty gałęzie niczym kościste palce zwracają się ku samochodowi.

Gdy taksówka zajeżdża pod dom, na drodze dojazdowej nikogo nie widać. Po Jimie nie ma śladu. Być może odstraszyłam go swoim ostrzeżeniem albo co bardziej prawdopodobne, nie chce mu się czyhać, kiedy tak mocno pada. Pędzimy do frontowych drzwi, trzymając płaszcze nad głowami, i słyszymy w oddali huk morza, gdy fale wściekle uderzają o brzeg.

Sprint od taksówki do domu nie uchronił nas przed przemoczeniem, natychmiast więc biegnę na piętro, żeby się przebrać w piżamę, chociaż jest dopiero wczesne popołudnie. Opatulam się podomką, po czym oboje siadamy blisko siebie na sofie.

– Dobrze być już w domu – mówi Jamie, włączając telewizor. – Część urlopu w szpitalu to żadna przyjemność.

Jest ciemno, żadne promienie słońca nie wpadają przez okna. Tulę się do Jamiego uradowana, że mam go tutaj, przy sobie.

– Nie mogę się już doczekać powrotu do naszego mieszkania, a ty, Libs? Chwilowe życie na cudzą modłę jest miłe, ale chciałbym już wrócić do rzeczywistości.

Uśmiecham się dwuznacznie i przykrywam nas narzutą. Jest zimno. Jamie, jakby czytając w moich myślach, wstaje, żeby włączyć kominek opalany drewnem. Podzielam tęsknotę męża za naszym mieszkaniem. Od tamtego dnia w Lizard Point odczuwam pewien niepokój. A ponieważ

dowiedziałam się o lekach antydepresyjnych Tary, jej życie przestało mnie fascynować. Owszem, rozumiem, że nie wszystko jest idealne, kiedy ma się poważnie chorą córkę. Ta sytuacja sprawia, że Tara wydaje mi się normalna, uświadamiam sobie, że i ona, mimo bogactwa i urody, nie jest odporna na koszmary, które dotyczą nas, zwykłych śmiertelników. Jest po prostu taka jak my wszyscy.

– Ach, mam twój telefon – mówię Jamiemu, który siada właśnie na swoim miejscu, bo nagle przypomniałam sobie o jego komórce.

Wyciągam aparat z kieszeni podomki i wręczam mężowi. Widzę, że Jamie skwapliwie przelatuje wzrokiem po esemesie od Hannah i szybko przykłada kciuk do ekranu, żeby przeczytać tekst. Zamyślony marszczy swe urokliwe brwi, po czym zerka na mnie. Zauważam, że jego oczy sposepniały. Jest w nich złość. Albo obawa.

– Wszystko okej? – pytam.

Jamie kiwa głową i się uśmiecha, ale nie oczami.

– Wszystko w porządku – odpowiada.

Chętnie bym się dowiedziała, czego dotyczy tamten esemes i co tak zaniepokoiło Jamiego. Jestem zaintrygowana do tego stopnia, że nie potrafię się skupić na oglądaniu telewizji. Leci film *Złodziej w hotelu*, który oboje oglądaliśmy parę razy; jesteśmy z nim tak oswojeni jak ze wspólnym celebrowaniem picia herbaty. Ale dzisiaj to nie działa. Ciągłe krąży mi po głowie zdanie: „Wiem, że nikomu niczego nie ujawnisz”. Czy kryje się za nim jakaś pogroźka? Wyjaśniałoby to obawę, którą niewątpliwie dostrzegłam w oczach Jamiego. Ale czy mogę poruszyć ten temat, nie przyznając się, że przeczytałam esemesa?

Jamie tuli mnie jeszcze skwapliwiej, trzymając skrzyżowane w kostkach nogi na stoliku, przy którym pijemy kawę. Jego grube skarpety wiszą na palcach stóp, raczej nie są we właściwym rozmiarze. Ogień migocze, rozgrzewając pokój, a ja czuję, jak moje powieki opadają, a całe ciało się odpręża – ponieważ wiem, że mój mąż jest w domu, bezpieczny, i ma się dobrze.

Gdy otwieram oczy, nie widzę Jamiego obok siebie. Film leci nadal. Grace Kelly rozjaśnia ekran swoją piękną twarzą. Siadam prosto i mam wrażenie, że lęk rozchodzi się po moim ciele niczym wysypka. Gdzie jest mój mąż? Jamie stoi przy drzwiach do ogrodu i sprawdza pogodę. Ziggy hasa na trawniku.

– Co robisz? – pytam, drżąc. Drzwi są uchylone na tyle, by Ziggy mógł wrócić. Opatulam się staranniej podomką.

– Ziggy musiał się załatwić. Właściwie to należy mu się spacer, ale jestem jeszcze na to za słaby.

Poznaję po nim, że coś knuł, i zauważam w jego ręce telefon z rozświetlonym ekranem. Czyżby dzwonił do Hannah?

– No dobrze... – mówię, czując się tak, jakby ktoś wylał na mnie kubek zimnej wody. – Musimy kupić coś do jedzenia, bo po twoim zatruciu nie mam już zaufania do rzeczy z lodówki.

Jamie wtyka komórkę do tylnej kieszeni dżinsów.

– Nikt się nie przyczaił, żeby mnie otruć. Chyba że ty sama. Bo to ty podgrzewałaś tamte kiełbaski.

Uderzam go po ręce.

– Sam mogłeś je podgrzać.

– Zawsze mnie w tym wyręczasz. Uważasz pewnie, że ja nie potrafię. – Jamie mówi to bez uśmiechu i scysja zaczyna ciążyć nam obojgu: popsuliśmy sobie atmosferę w kuchni.

– Skądże. Jesteś dobrym kucharzem.

Wiem od Florence, że Jamie nosił się z zamiarem podjęcia pracy na stanowisku szefa kuchni, ale jego mama wyperswadowała mu to. Sylvii marzył się syn lekarz, naśladowca ojca. Informatyka była kompromisem.

– Może były przeterminowane. Należało to sprawdzić – mówię i otwieram lodówkę, po czym z pewną konsternacją dodaję: – Pasztet, stilton, mleko... Nic tu nie budzi zaufania.

Jamie wzdycha.

– Odbija ci, Libs.

– Wolałabym tego więcej nie słyszeć, bo pozwalasz sobie na protekcyjny ton – odpowiadam i oznajmiam: – Popatrz, ten pasztet jest mocno przeterminowany. – Przypatruję się wyjętemu z lodówki opakowaniu.

Widać, że pasztet został już napoczęty.

– Dobrze pamiętam, że wczoraj wieczorem rozsmarowałaś go na toście?

Jamie nie reaguje, dlatego zamykam lodówkę i odwracam się w jego stronę. Mąż nie zwraca na mnie uwagi, patrzy na Ziggy'ego, który podchodzi do niego przemoczony, z ubłoconymi łapami, zostawiając ślady na drewnianej podłodze. W pysku Ziggy trzyma coś, co wygląda na starą szmatę lub skrawek materiału, który pewnie wykopał w ogrodzie. Upuszcza

tkaninę u stóp Jamiego i wtedy możemy się jej przyjrzeć. Odbiera mi mowę, bo od razu rozpoznaję, co to jest: jeden z kosztownych gorsetów Tary, cały w strzępach i we krwi.

Jamie, nie zważając na moje prośby, upiera się, żeby wezwać policję.

– To nic nie znaczy – przekonuję, ale wiem, że kłamię.

Oczywiście to musi coś oznaczać. Postrzępione ubranie wygląda na zerwane siłą. I ta krew... Czyżby należała do Tary?

Czekamy na policję. Czuję się kiepsko. Jamie chodzi tam i z powrotem.

– Źle to wszystko wygląda – mruczy raz po raz.

Pies zerka na niego nieświadomy, że swoim znaleziskiem doprowadził do tak dramatycznej sytuacji.

– Wiem – mówię nieśmiało. – Ale nie chcę być w cokolwiek zamieszana.

Jamie odwraca się raptownie i patrzy na mnie rozgniewany.

– Co więc proponujesz zamiast tego? Wrócić do Bath i udawać, że tego nie znaleźliśmy? I co zastaniemy po powrocie? Kto wie, czy Philip Heywood nie jest psycholem, który zabił żonę...

Zaskakuje nas głośne pukanie do drzwi. Jamie idzie otworzyć, a ja siadam na sofie z trzęsącymi się kolanami, zła na siebie, że się nie ubrałam, zanim przyjechała policja. Na ekranie telewizora nadal widać uśmiechniętą Grace Kelly. Wstaję, żeby go wyłączyć.

Wkraczają dwaj oficerowie w mundurach, wnosząc zapach deszczu. Jeden z nich wygląda na takiego, który powinien siedzieć jeszcze w szkolnej ławce. Przedstawiają się, ale nie zapamiętuję ich nazwisk. Ledwo się skupiam.

Starszy policjant, o nijakiej twarzy, z prostymi kasztanowymi włosami, prosi o pokazanie znalezionej bielizny. Idziemy za Jamiem do kuchni. Tkanina leży jeszcze przy rozsuwanych drzwiach – tam, gdzie upuścił ją Ziggy. Jej kolor wydaje się jasny, może kremowy, może blady róż, trudno powiedzieć, bo dużo jest na niej brudu i krwi.

– Czy któreś z państwa tego dotknęło? – pyta starszy policjant, a młodszy w tym czasie szczypcami przekłada sztukę bielizny do plastikowej torebki.

Kręcę głową, a Jamie wyjaśnia:

– Nie dotykaliśmy tego. Jak mówiłem przez telefon, nasz pies wykopał to w ogrodzie.

Twarz mojego męża jest ciemnofioletowa.

Starszy oficer wyciąga z bluzy munduru notes i go otwiera.

– Spiszę państwa zeznanie.
– Oczywiście – zgadza się Jamie.
– Ten dom nie należy do państwa?
– Nie. Zamieniliśmy się. Z Tarą i Philipem Heywoodami – wyjaśnia Jamie.

– Czy znają państwo te osoby?
– Nigdy ich nie spotkaliśmy. Moja żona odpowiedziała na ofertę znalezioną w skrzynce na listy.

Czuję, że się czerwienię.

– Właściwie potrzebowałam... potrzebowaliśmy urlopu – mówię niezbyt przekonująco.

Jamie patrzy na mnie po chwili, zdziwiony wyjaśnieniem. Policjant przegląda swoje notatki, a ja podnoszę ręce, jakbym chciała się przyznać, że wtedy wpadłam w panikę.

– Twierdzi pan, że właścicielami domu są Philip i Tara Heywoodowie, czy tak? – Policjant kontynuuje przesłuchanie Jamiego, przypatrując mu się.

– Tak.

– Zakładam, że ma pan ich numery telefonów.

– Ja je mam – mówię.

Idę do salonu po telefon, po czym wracam do kuchni, pokazuję numer Philipa, a policjant go zapisuje. Czuję napięcie Jamiego, sama muszę się skupić na uspokojeniu własnych rąk i nóg. A chciałabym wybiec. Uciec jak najdalej od tego domu.

– Czy rozmawiali państwo kiedykolwiek z Tarą Heywood? – pyta oficer, patrząc raz na Jamiego, raz na mnie.

– Nie... Rozmawiałam tylko z Philipem. Telefonicznie – odpowiadam.

– To znaczy, że nie spotkała pani Tary?

– Nie poznałam ani jego, ani jej. Kiedy wyjęłam ofertę ze skrzynki na listy, wszystko omówiłam przez telefon.

– No tak, oczywiście. – Policjant wypowiada te słowa, głaszcząc podbródek. – Zapewne niebawem skontaktujemy się z Heywoodami. Niestety, nie mogą państwo tu dłużej zostać. Czy oni są jeszcze w państwa mieszkaniu?

– Nie – mówi Jamie. – Wczoraj Philip poinformował moją żonę, że wyjeżdżają.

– A więc mogą państwo wrócić do siebie? – pyta policjant i taksuje Jamiego surowym wzrokiem.

– Chyba... tak. Na to wygląda – potwierdza Jamie.

– Tym lepiej. Ale będziemy musieli porozmawiać z państwem po raz drugi. I poprosimy o klucz od tego domu oraz państwa adres w Bath.

Jamie podaje policjantowi nasz adres. Młodszy oficer rozsunął drzwi prowadzące do ogrodu i przygląda się dziurze w ziemi, z której Ziggy najpewniej wyciągnął tamtą część damskiej bielizny. Po ulewnym deszczu wstała szara i gęsta mgła, która sprawia, że straciłam z oczu schodki prowadzące na plażę. Co policja zrobi w tej sytuacji? Czy ich ekipa przeczesa ogród w poszukiwaniu nowych dowodów zbrodni? Przychodzą mi na myśl narzędzia z piwnicy – skalpele i noże. Philip, jako chirurg, skalpuje zwierzęta. Czy Tara ucierpiała z jego ręki? Czy przez ten cały czas, kiedy mieszkaliśmy tutaj, nieświadomi niczego, Tara spoczywała zakopana gdzieś na terenie ogrodu?

Gdy jedziemy do siebie, Jamie jest niesamowicie spokojny. Deszcz pada tak intensywnie, że wycieraczki ledwo nadążają, pracują bardzo szybko i piskliwie. Oboje nadal jesteśmy w szoku, w ciszy wciąż przeżywamy to, co odkryliśmy w tamtym domu. Wystarczy, że cała reszta jest okropna: wypychanie zwierząt w piwnicy, sprzęt do monitoringu, skalp na drzewie, ślady cudzych stóp, Jim. Ale tamta bielizna... krew. Ilekroć to sobie przypominam, przechodzą mnie ciarki.

Nie jestem pewna, czy Jamie wytrzyma trzy godziny za kierownicą, skoro choroba jeszcze nie ustąpiła. Dawniej zachęcał mnie, bym prowadziła auto, nabrała wprawę, uwierzyła w siebie, ale odmawiałam. Wymówką była moja obawa przed odpowiedzialnością. Nie wyobrażam sobie panowania nad pojazdem, który może kogoś zabić.

Kiedy skręcamy w naszą ulicę, jest ciemno. Jamie znajduje miejsce do zaparkowania dokładnie pod naszą kamienicą. Z ulgą wracam do siebie, ale ściska mnie w żołądku na samą myśl o wejściu do mieszkania. Co pozostało po Heywoodach?

Chodnik został obmyty przez deszcz. Wsiadam z samochodu i patrzę na dobrze znaną fasadę w kremowym kolorze, na ściany, do budowy których użyto kamieni z okolic miasta. Spoza koronkowych firanek w oknie Evelyn przebija się światło lampy. Ledwo rozpoznaję przez szybę sylwetkę sąsiadki, która siedzi na krześle i na pewno robi na drutach. Ten widok mnie uspokaja. Wiem od niej samej, że niewiele sypia. Zerkam także poza

ogrodzenie, na nasze mieszkanie, położone najniżej. Z ulgą stwierdzam, że w oknach sutereny jest ciemno. To znaczy, że Heywoodowie już wyjechali – o ile Tara w ogóle tutaj była. Wcześniej przyszło mi na myśl, żeby zadzwonić do Philipa, ale kiedy powiedziałam o tym Jamie, odradził mi, mówiąc, że to zadanie dla policji.

Stoję tutaj, a obok mnie, na mokrym chodniku pod uliczną latarnią siedzi Ziggy, merdający co prawda ogonem, ale bez większego zapału. Krople deszczu rozbłyskują w świetle latarni. Jamie ciągnie walizkę w moim kierunku.

– Znowu w domu, znowu w domu, ale fajnie – mówi.

Powtarzamy to zdanie zawsze, ilekroć wyjeżdżamy na dłużej niż jeden dzień. Działa jak talizman. Wiem, że Jamie liczy teraz na jego magiczną moc, bo pyta jeszcze:

– Jesteś pewna na sto procent, że tamci odjechali?

– Kurczę, mam nadzieję. Och, co to za koszmar, Jay.

Jamie pochyla się i czule mnie całuje, przy czym widzę w jego oczach znużenie, ale po chwili bierze głęboki oddech, jakby samemu sobie chciał dodać otuchy. Ściskam jego dłoń, też dla pokrzepienia, i schodzę za nim po schodach, stąpając ostrożnie, gdyż nie wykluczam, że Philip Heywood lada chwila wybiegnie z naszego mieszkania – kto wie, czy nie ze skalpelem w dłoni.

Jamie przekręca klucz w zamku, posyłając mi słaby uśmiech. Serce podeszło mi do gardła z obawy przed tym, co możemy zastać w środku. Jamie otwiera drzwi, a ja wchodzę za nim, pełna niepokoju i zdziwiona, że mamy taki wąski hol i tak ciasny salon i kuchnię; kiedyś wmawiałam sobie, że jak na dwupokojowe mieszkanie nie brakuje w nim przestrzeni. Ale pięciodniowy pobyt w Kryjówce odmienił mnie na tyle, że przywykłam do przestronności.

Spuszczam Ziggy'ego ze smyczy; pies biega z pokoju do pokoju, ucieszony, że jest u siebie.

– Wszystko wydaje się okej – stwierdza z ulgą Jamie, stojąc pośrodku kuchni i rozglądając się po drewnianych meblach z Ikea.

W porównaniu z elegancką, połyskującą zabudową kuchni na wymiar Heywoodów nasze mebelki prezentują się żałośnie. Dostrzegam wyszczerbiony blat z czarnego laminatu, brak jednej płytki nad kuchenką i białe ściany, które należałoby odświeżyć. Wszystko jest takie samo jak przed naszym wyjazdem.

– Ale czuję inny zapach – mówię.

W powietrzu unosi się woń, jakiej wcześniej nie wyczuwaliśmy. Raczej nie są to perfumy, już prędzej kadzidło. Na blacie stoi pusta szklanka. Sięgam po nią i przyglądam jej się – na brzegu jest ciemnoczerwona smuga, ślad szminki. A więc była tu kobieta. Tara? Wkładam szklankę do zlewu, bijąc się z myślami.

Jamie wychodzi z kuchni, a ja dalej po niej krążę: otwieram i zamykam szafki, zaglądam nawet do zmywarki: wszystko jest tam, gdzie było, kiedy odjeżdżaliśmy, oprócz tej jednej szklanki. Odnajduję Jamiego na naszej wysłużonej kanapie pokrytej psią sierścią. Widać po nim, że odpoczywa tu lepiej niż na meblach Heywoodów. Ale zmęczenie sprawiło, że nie tylko pobladł, wręcz poszarzał. Zmartwiona przysiadam obok.

– Dobrze się czujesz?

– Jestem po prostu zmęczony.

– Zaparzę herbatę.

Zostawiam go na kanapie, wpatzonego w stary odcinek serialu QJ, i przechodzę do naszej sypialni. Staję w drzwiach, lustrując pokój, i myślę o parze, która spała w naszym łóżku. Czuję się poniekąd ofiarą przemocy, bo wiem, że tamci dwoje byli tutaj i właściwie pokalali nasze miłe mieszkanko, nasz azyl. Nie mogę się uwolnić od myśli, że nawiedził to miejsce niegodziwy duch, żeby zmienić jego energię. Wodzę ręką po zielonkawo-niebieskiej poszewce na kołdrę. Wgniecenia pozwalają sądzić, że pościel była niedawno w użyciu.

Pod wpływem nagłego impulsu ściągam poszewkę z kołdry i resztę pościeli, zwijam w kłębek i wpycham do pralki. Zastępuję pościel czystym kompletem, po czym osuwam się na podłogę z bólem w złamanej ręce. Na podłodze, obok stolika po mojej stronie łóżka, dostrzegam coś i nachyliam się, by podnieść ten przedmiot. Jest to srebrny naszyjnik z wizerunkiem świętego Krzysztofa. Pięknie wykonany łańcuszek ślizga się między moimi palcami. Marszczę brwi i wyteżam pamięć, ale daremnie. Wrzucam naszyjnik do kieszeni swetra.

Nasi goście dbali o mieszkanie, co do tego nie można mieć wątpliwości. Pozostawili wrażenie, że wcale ich tutaj nie było. Gdyby nie szklanka, niewygladzona pościel i dziwny zapach, uznałabym, że mieszkanie stało puste. Ale uświadamiam sobie, że nie spędzili tu dużo czasu, bo byli przy córce, w szpitalu.

Rozważam właśnie, czy nie wyciągnąć odkurzacza i czy tym hałasem nie ziryтую mieszkającą nad nami Evelyn, i naraz przypominam sobie o herbacie dla Jamiego. W tym samym momencie słyszę krzyk z naszej sypialni dla gości. Wpadam do środka.

– Co się stało? Co znalazłeś?

Jamie stoi przy swoim biurku i zdziwiony kręci głową.

– Podejrzewam, że ukradli mi skoroszyt z rzeczami z pracy. Brakuje go, a są w nim nazwiska klientów z listy, którą tworzyłem, i dane o ich długach...

– Nie masz tego samego w komputerze?

– Mam oczywiście – wyjaśnia zdenerwowany Jamie. – Ale sporządziłem także wydruk. Oni byli tu najpewniej, żeby pobuszować...

Schyla się, otwiera kolejne szuflady i wertuje mnóstwo papierzysk, na których posegregowanie dotychczas nie starczało mu czasu.

– Dlaczego nie zamknąłeś tych szuflad? – pytam skonsternowana.

Jamie prostuje się, sam zirytowany swoim brakiem przezorności i wodząc rękami po włosach, wyznaje:

– Nie pomyślałem o tym. Na co im, do diabła, mój skoroszyt?

Próbuję nie panikować, aby Jamie się nie wściekł. Rzadko kiedy wpada w złość, ale choroba w połączeniu z długą jazdą i wstrząsem wywołanym tym, co się stało w czasie naszego urlopu, działa na niego źle. Powinniśmy byli zamknąć biurko albo ukryć wszelkie papiery. Wszystkie ważne dokumenty trzymamy w tym gabinecie: wyciągi bankowe, informacje o hipotece, akt notarialny naszego mieszkania.

Szafa na dokumenty wydaje mi się ciężka, kiedy z duszą na ramieniu otwieram jej szuflady. „Oby wszystko było w porządku” – powtarzam, wertując papiery. Zasugerowałam Jamiemu zamianę mieszkań głównie po to, by się odprężył, ale naraziłam go tylko na większy stres.

– Jamie! – wykrzykuję, gdy udaje mi się znaleźć skoroszyt. – On jest tutaj!

W mgnieniu oka jest przy mnie. Wręczam mu teczkę i widzę, jak mu ulżyło, jego ciało się rozluźnia.

– Nie wygląda na to, żeby cokolwiek zabrali, Jay, nie martw się.

Ale później, kiedy leżymy w łóżku i wsłuchujemy się w uspokajające odgłosy miejskiego ruchu i sygnały karetek pogotowia, pojmuję, że moje obawy w Kryjówce nie wynikały tylko ze stresu pourazowego. Miałam prawdziwy powód do przejmowania się. Dziwne wydarzenia, facet

spotkany w Lizard Point, zakrwawiona bielizna w ogrodzie, być może także zatrucie pokarmowe Jamiego... Wszystko to wydało mi się w jakiś sposób powiązane.

I chociaż Jamie zaprzecza, po jego przesadnej reakcji na zaginięcie skoroszytu uważam, że w skrytości ducha myśli tak samo.

Następnego dnia pozwalam Jamiemu poleniuchować w łóżku i wydobrzeć, a sama pukam do mieszkania Evelyn. W nocy obudziłam się zrana potem, bo uświadomiłam sobie, że Evelyn spotkała się z Tarą i Philipem, kiedy przyszli odebrać – a potem zwrócić – nasz zapasowy klucz.

Na twarzy Evelyn, na której widać wyraźne oznaki starzenia, wykwita uśmiech od ucha do ucha, gdy tylko dostrzeżę mnie w drzwiach. Odnoszę wrażenie, że w ciągu tego tygodnia, który minął od naszego ostatniego spotkania, zdążyła się jeszcze bardziej zestarzeć. Evelyn jest niska, ma około metra pięćdziesięciu wzrostu i chodzi przygarbiona. Jej siwe włosy są zawsze związane na karku w schludny kok.

– Och, to ty, Libby, wejź, moja droga – mówi sąsiadka, zapraszając mnie gestem do środka.

Wchodzę do holu. Podoba mi się mieszkanie Evelyn; znajduje się tuż nad naszym, są w nim oryginalne gzymsy z epoki wiktoriańskiej, wysokie sufity i wzorzyste płytki na podłodze w holu – kremowobrazowe, z niebieskimi kwiatami pośrodku. Nie wspomnę o rozległym ogrodzie, który byłby idealny dla Ziggy’ego. Pewnego dnia Jamie zwierzył mi się, że liczy, iż dorobimy się na tyle, by kupić mieszkanie Evelyn w momencie, kiedy ona będzie gotowa odejść. Wiem, że użył eufemizmu, bo sama myśl o śmierci sąsiadki jest dla nas obojga nazbyt przygnębiająca.

Idę za Evelyn do eleganckiego pokoju najbliższej drzwi – ona nazywa go salonem – i siadam na krześle w stylu Ludwika XVI.

– Chyba słyszałam waszą rozmowę, kiedy wracaliście do siebie – mówi Evelyn, po czym proponuje mi herbatę, ja jednak odmawiam. Całkiem odwykłam od tego napoju.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzaliśmy...

Evelyn mruga porozumiewawczo.

– Bynajmniej. Jak wiesz, nigdy nie śpię mocno. Czy udał wam się urlop?

Evelyn pochyla się do mnie, żeby przyjrzeć się mojej twarzy. Odnoszę wrażenie, że ta starsza pani potrafi czytać w myślach.

Zaczynam się jej ze wszystkiego zwierzać, wyrzucam z siebie słowa, chcąc czym prędzej uwolnić się od tego brzemia. Evelyn wzdryga się,

gdy opowiadam o znalezieniu bielizny w strzępach i we krwi. Kiedy kończę relację, czuję na sobie wzrok sąsiadki.

– Na miły Bóg, to ci dopiero urlop – mówi po chwili.

Wybucham śmiechem. Nie umiem się powstrzymać. Czuję, że uwolniłam się od ciężaru.

Evelyn też się śmieje, ale zaraz poważnieje.

– Dziwnie to wszystko brzmi, Libby, zwłaszcza ta historia ze znalezieniem bielizny. Czy zdaniem policji jest na niej krew pani Heywood?

Kręcę się niespokojnie na krześle.

– Policja nie ujawniła jeszcze swojego stanowiska. Ale rzeczywiście to ubranie jest w stylu Tary. Ja... – staram się wytrzymać niewzruszone spojrzenie Evelyn – ...podobne rzeczy widziałam w jej szufladzie.

Nie określiłam przedtem, co konkretnie znaleźliśmy. Niezręcznie byłoby rozmawiać o gorsetach z osiemdziesięcioletnią sąsiadką.

– Droga Libby, cały kłopot w tym, że nie wiedzieliście nic o tamtych ludziach, zanim pozwoliliście im u siebie zamieszkać. Chyba się nie mylę?

– Evelyn dostrzega grymas na mojej twarzy i kontynuuje: – No tak, wiem, że młodzi ludzie w dzisiejszych czasach podejmują decyzje pochopnie. Korzystają z takich głupstw jak Air Nub...

Odgaduję, że Evelyn ma na myśli Airbnb. Ale nie poprawiam sąsiadki.

– Nie rozumiem – mówi dalej Evelyn. – Wpuszczacie do swojego życia obcych ludzi, czyż nie? Z całym bagażem, i chodzi mi nie tylko o walizki.

– A jednak się martwię, Evelyn. O Tarę. Jak tu nie podejrzewać, że doszło do przemocy? Też byś pewnie tak pomyślała...

– No tak, oczywiście...

– Czy ty ich widziałaś? Czy w sobotę oboje odebrali klucze?

– Przyszła jedna osoba. Dość młodo wyglądający mężczyzna. Ale starszy od ciebie. Chyba trzydziestopięciolatek. Nie umiałabym określić tego dokładnie. Dla ludzi w moim wieku każdy wygląda młodo.

Evelyn chichocze i siada wygodniej, kładąc wyblakłe dłonie na kolanach. Żyły, które widać na jej skórze, są gruzłowate, ni to niebieskie, ni to zielone. Kraje mi się serce, bo pojmuję, że ta kobieta spędza tutaj dzień za dniem, za towarzystwo mając tylko wspomnienia i wiele zdjęć nad kominkiem. Przrzekam sobie, że będę ją częściej odwiedzać. O ile mi wiadomo, nikt u niej nie bywa. Wspomniała kiedyś o jakimś bratanku. Utkwiło mi to w pamięci, bo usłyszałam, że jest jedynym krewnym, który

jeszcze żyje, „ale jako homoseksualista raczej nie doczeka się potomstwa”. Wyszepiała słowo „homoseksualista”, jakby nie zasługiwało na wypowiedzenie na głos, przypominając mi tym samym, że należymy do różnych pokoleń, mimo że Evelyn jest jedną z moich najserdeczniejszych przyjaciółek.

– Czy z tamtym mężczyzną była kobieta? Jego żona?

Zadawszy to pytanie, uświadamiam sobie, jak bardzo pragnę usłyszeć „tak”. Myśl, że Tara zginęła w Kryjówce z ręki Philipa, który potem pochował ją w ogrodzie, gdzie mój pies natknął się na ślad, jest zbyt koszmarna.

Evelyn kręci głową, potrząsając przy tym siwymi pasemkami włosów.

– Nie, tylko on przyszedł po klucz, ale kilka dni później, chyba w środę... – sąsiadka mruży oczy, próbując przypomnieć sobie tamten dzień – ...tak, na pewno w środę, bo przyjechali śmieciarze, przy kubłach dostrzegłam jakąś kobietę. Było wtedy dość ciemno.

– Och, to dobrze – mówię z westchnieniem ulgi. Czyli Tara była z nim, a więc żyje. Ale jeśli nie znaleźliśmy bielizny Tary, to czyją?

Evelyn posepnieje.

– Wiesz, on nie zwrócił klucza. Mam wrażenie, że jednak u was nie mieszkał. Tylko w pierwszy wieczór paliło się tam światło, a później było zawsze ciemno.

– Mogli oboje siedzieć w szpitalu. Chyba pozwolono im być do późna przy córce...

– Też tak sędzę. Słyszałam zresztą trochę hałasu. Jestem pewna, że wczoraj, ale nie wykluczam, że w środę... – Evelyn marszczy brwi, gdy to mówi. – Dni mi się zlewają.

– Jaki hałas?

– Wrzaski. Przepychanki. Uderzenia. Podejrzewam, że się pokłócili. Słyszałam głos kobiety.

– Mogło chodzić o córkę. Wyobrażam sobie, jaki to stresujący okres.

– Być może... – mówi Evelyn, ale po wyrazie jej twarzy odgaduję, że czegoś nie dopowiada.

Pochyliłam się w jej stronę.

– O co chodzi, Evelyn?

Znowu widzę, jak kręci głową, jakby chciała się otrząsnąć z niepoehlebnych albo nawet krytycznych myśli o Philipie Heywoodzie.

– Właściwie o nic ważnego. Tyle że wydał mi się trochę dziwny. Jakby poirytowany. Ale oczywiście najprawdopodobniej martwił się o córkę.

Informuję sąsiadkę, że Philip zadzwonił do mnie i wyjechał przed planowanym terminem.

– W pośpiechu mógł zapomnieć oddać pani klucz – mówię, starając się nie pokazać po sobie strachu, że Philip ma nadal dostęp do naszego mieszkania.

Może należało spisać umowę. Zbyt ufnie założyłam, że zamiana nie narazi nas na żadne kłopoty.

Evelyn kiwa głową, zgadzając się ze mną, ale w jej oczach dostrzegam zakłopotanie czy raczej zdumienie, nie potrafię rozstrzygnąć. Wygląda to tak, jakby chciała sformułować myśl albo obawę, która gdzieś jej umyka. Wolę nie dociekać, bo być może Evelyn wcale nie chodzi o Philipa Heywooda.

Gdy zbieram się do wyjścia i całuję sąsiadkę w policzek o skórze cienkiej jak papier, dotyka pomarszczoną dłońią mojej ręki i z całą powagą radzi:

– Na waszym miejscu zmieniałabym zamki, droga Libby. Dla bezpieczeństwa.

Ślusarz pojawia się po paru godzinach, a ja oddycham z ulgą, bo wiem, że Philip Heywood już do nas nie wejdzie. Kilka razy próbuję – daremnie – zadzwonić do niego na komórkę. Ulegam pokusie i przeglądam kornwalijskie gazety, by sprawdzić ewentualne wiadomości o śledztwach, aresztowaniach albo znalezionych ciałach, ale nie znajduję niczego na temat Philipa Heywooda, Tary czy Kryjówki. Rozważam też inną możliwość: odszukanie w Google’u służbowego numeru Philipa, waham się jednak, bo nie chcę, by posądził mnie o nękanie, a przecież priorytetem jest dla niego córka. Najpewniej absorbuje go opieka nad dziewczynką. Cóż, nic mi nie wiadomo, żeby Philip zrobił coś naganego. Tak czy inaczej wszystko jest teraz w rękach policji.

Gdy odwiedzamy Sylwię w pierwszą niedzielę po naszym powrocie, słyszymy z jej ust:

– Nie ma zbiegów okoliczności. I, moim zdaniem, dobrze zrobiliście, że wyjechaliście właśnie wtedy.

Siedzimy przy dużym stole w jadalni, zajęci obiadem. Jamie zaczął opowiadać, jak spędziliśmy urlop, siląc się przy tym na dowcipy, lekki ton, i ani słowem nie wspomniał o niepokoju, który dręczył nas od chwili powrotu trzy dni temu. Przemilczał też zatrucie pokarmowe, aby cała opowieść brzmiała lekko i przyjemnie. Domyślałam się, że chciał uraczyć rodzinę zabawną historyjką, ale nie przewidział przerażenia Sylvii, chociaż powinien, bo przecież wie, jak bardzo jego matka potrafi przesadzać ze swoją nadopiekuńczością.

– To niewiarygodne, że w ich piwnicy znaleźliście martwe zwierzęta! – wykrzykuje Richard, mąż Florrie, zapychając się pieczonymi ziemniakami.

Jamie i Richard świetnie się dogadują; zresztą Jamie potrafi żyć dobrze z każdym. Ja sama uważam Richarda za osobę niezbyt dojrzałą. Należy do osób, które wybuchają śmiechem, kiedy ktoś wdepnie w psie łajno, i słyszałam, że Florrie zwierzyła się matce, iż Richard traci pół nocy na gry wideo, a następnego dnia trudno mu wstać i zdążyć do pracy. Jest w Richardzie także pewna obleśność: nazbyt długo zatrzymuje wzrok na kobiecym biuście, rzadko kiedy też udaje mu się spojrzeć innej osobie prosto w oczy. A gdy Katie ma na sobie krótką spódniczkę (na ogół takie nosi), zauważam, jak wzrok Richarda pada na jej nogi.

Florrie z gniewem w oczach daje mężowi kuksańca w bok. Richard zerka na mnie z komiczną miną.

– A ja nie mogę uwierzyć – mówi Sylvia głosem ostrym jak brzytwa, posyłając mi zimne spojrzenie – że pozwoliłaś mojemu synowi tkwić w szpitalu i nie raczyłaś mnie powiadomić.

Każdy obecny przy stole bierze głęboki wdech. Florrie hałaśliwie odkłada nóż i widelec, Katie zamiera z kieliszkiem wina przy ustach, Richard znowu na mnie zerka z grymasem rozbawienia na twarzy, jakby był uczniakiem zadowolonym z tego, że oberwało mi się od nauczycielki. Hannah siedzi spokojnie naprzeciw Jamiego, na końcu stołu, i obserwuje

mnie swymi wielkimi oczami. Jej syn Felix i synek Florrie Jacob są jedynymi gośćmi, na których występ Sylvii nie zrobił wrażenia.

Mam w ustach mięso z kurczaka i przeżuwać je niczym gumę. Ledwo przełykam.

– Ja... ja nie chciałam cię martwić.

Brwi Sylvii, o ładnej linii, bardzo podobne do brwi jej syna, ściągają się.

– Matka powinna się martwić. Na szczęście Hannah mnie poinformowała.

Hannah? Napotykam zimny, wyzywający wzrok tej kobiety. Skąd ona wiedziała? Przychodzi mi na myśl esemes do Jamiego. Dramatyczne okoliczności, w jakich opuszczaliśmy Kryjówkę i ruszaliśmy w drogę do Bath, sprawiły, że zapomniałam go zapytać, o co chodziło. Ale mogę sobie wyobrazić, jak Jamie odpisał: zapewne przeprosił, że nie zrobił tego wcześniej, i wyjaśnił, że trafił do szpitala, pewnie wspomniał też o łączącej ich, skrywanej przede mną tajemnicy. Utwierdzam się w głębokiej niechęci do Hannah.

– Mamo, daj jej spokój – prosi grzecznie Jamie. – Ja mam trzydzieści lat. Nie musisz wiedzieć o każdym moim ruchu.

Twarz Sylvii łagodnieje. Jest atrakcyjna, kiedy moja teściowa nie pozwala sobie na surowe ocenianie bliźnich; jej niezwykle szare oczy i jasna grzywka mogą się podobać. Sylvia zawsze ubiera się gustownie i przywiązuje wagę do różnych dodatków; lubi rzucającą się w oczy biżuterię i nigdy nie zapomina ozdobić nadgarstków bransoletkami. Te właśnie pobrzękują, gdy Sylvia polewa swoją porcję kurczaka sosem.

– Jamie, kochanie, byłeś jednak w szpitalu. A jeśli spotkałoby cię coś złego?

– Miałem tylko lekkie zatrucie pokarmowe, i tyle. Ale stało się coś gorszego, bo znaleźliśmy... – Jamie zniża głos do szeptu, aby dzieci się nie wystraszyły – ...ubranie. Bieliznę. W strzępach i we krwi. Ziggy ją wykopał. Wezwaliśmy policję. Potraktowali sprawę bardzo poważnie.

Wszyscy milczą zdumieni.

– A niech to, ale urlop... – komentuje potem Richard, rozparty na swym krześle. – Znaleźć seksowną bieliznę w ogrodzie, a później mieć tyle głównianego niepokoju z tego powodu...

– Nie nazwałabym jej seksowną – mówię półgłosem, zgorziona takim prostactwem.

– Richard! – Florrie znowu szturcha męża.

Wydaje się, że Richard jest dla niej powodem do nieustannego wstydu.

– Mamo, co to znaczy „gówniany”? – pyta Felix, patrząc na Hannah równie wielkimi oczami co ona.

Hannah wygląda na wściekłą i wbija we mnie wzrok, jakbym to ja zawiniła.

– Wujek Richard użył brzydkiego słowa – mówi Hannah, po czym przenosi uwagę na syna.

Zazgrzytało, ale wypieram to niepotrzebne słowo z pamięci własnej i Felixa, prosząc, żeby pokazał mi swoją nową przytulankę, foczkę, którą ze sobą przyniósł. Po chwili Felix opowiada mi o swojej Śnieżce i zapomina o słownym popisie Richarda. Nagrodą dla mnie jest rzadko widziany uśmiech na ustach jego mamy.

Reszta popołudniowego spotkania upływa mi na obserwowaniu interakcji między Jamiem a Hannah, doszukuję się zwłaszcza oznak tego, że usiłują coś przede mną ukryć. W którymś momencie oboje znikają, a ja natykam się na nich w kuchni. Ich mowa ciała świadczy o tym, że prowadzili rozmowę od serca. Ona stoi odwrócona plecami do blatu, a Jamie jest tuż obok, ich ramiona się stykają. Hannah wygląda ładnie w kwiecistej sukience do kolan, wysokich butach i bawełnianym zakiecie. Jamie zwiesił swobodnie ręce i skrzyżował nogi na wysokości kostek; rozmawia z Hannah szeptem. Na mój widok odskakują od siebie: ona sięga do szafki po szklanę, a on bez powodu otwiera mikrofalówkę.

– Co się dzieje? – pytam chłodno.

Hannah patrzy na mnie z miną niewiniątka.

– O co chodzi? – odpowiada pytaniem.

– Hm, dlaczego się tutaj ukryliście?

– Po prostu prowadzimy prywatną rozmowę – mówi Hannah zadowolona z siebie, a ja chętnie uderzyłabym ją w tę uśmiechniętą twarz.

– Mimo że Jamie jest żonaty, chyba jeszcze można z nim rozmawiać sam na sam, prawda?

Hannah uśmiecha się słodko, omija mnie i wychodzi z kuchni. Pewno pobiegła do Katie, żeby jej o wszystkim opowiedzieć, i teraz plotkują w jakimś kącie niczym podlotki, a mają przecież po dwadzieścia osiem lat.

Jamie unika mojego wzroku, kiedy z pustymi rękami zamyka drzwiczki mikrofalówki.

– W co gra Hannah? – syczę.

Jamie kręci głową.

- Znam ją od lat, Libs...
- Nic mnie to nie obchodzi. Ona chce cię zagarnąć.
- Ona już dawno nie widzi we mnie partnera...

Wydaję gniewny pomruk.

- Czyżbyś był aż tak naiwny...?

– A gdyby nawet widziała, to jakie to ma znaczenie? Ona jest po prostu przyjaciółką. I tyle. A ty, Libs, powinnaś już być tego świadoma. – Podchodzi do mnie. – Hannah ma problem, z którym sama sobie nie radzi. I to wszystko. Chyba mi ufasz?

Mimo pogodnego tonu wyczuwam u Jamiego dozę irytacji. Zawsze byłam pewna jego miłości, chociaż domyślałam się, że jego rodzina – może z wyjątkiem Florrie – za mną nie przepada. Skąd więc teraz te uczucia? Skąd obawa, że wkrótce mąż mnie zostawi, że wszystko się posypie? Czy to z powodu zdarzeń w Kornwalii? A może pożaru i poronienia? Nie wiem.

– Sam mi się zwierzyłeś, że Hannah bardzo cię kochała. I uważała za tego jedyne.

Jamie spuszcza wzrok i przestępuje z nogi na nogę, wyraźnie zakłopotany.

- Byliśmy dziećmiakami...
- Złamałeś jej serce...

– Za szybko potraktowaliśmy ten związek zbyt poważnie. A potem zaczęliśmy studia na różnych uniwersytetach i potoczyło się... Sama wiesz, jak jest.

- Zdradziłeś ją!

Nagle to do mnie dociera. Sam nigdy się nie przyznał, ale widzę po jego minie, że tak postąpił. Spuszczony wzrok i głupi uśmiezek... Skrupuły.

– Ja... – Jamie znowu przestępuje z nogi na nogę, uciekając wzrokiem w dół, patrzy na swoje converse'y – ...nie jestem z tego dumny.

Unosi głowę, ale się nie uśmiecha i nie obraca sprawy w żart. To miłe, że nie próbuje niczego zbagatelizować.

Patrzę na niego. A jednak potrafi zdradzić. Jamie Hall, w moich oczach zawsze nieskazitelny. Taki moralista. Tak dobrze wychowany. Nie jest ani na jotę lepszy od mojego ojca. Od Harry'ego.

– Dlaczego tak mi się przyglądasz, Libs? Jakbyś nie wiedziała, kim jestem. O Jezusie, przecież minęło tyle lat. Byłem młody i głupi. I nie kochałem jej. Nie tak, jak Kocham Ciebie... – Przysuwa się do mnie. – Proszę cię, nie wyolbrzymiaj tej sprawy.

Przełykam ślinę i próbuję zapanować nad sobą.

– Nie wyolbrzymiam... Po prostu... nie wiem, co myśleć.

Jak mogłam się nie zorientować? Jesteśmy razem prawie pięć lat. Czy Jamie umyślnie ukrywał to przede mną? Powracam wspomnieniami do naszych wczesnych rozmów, kiedy leżeliśmy spleceni na moim jednoosobowym łóżku w byle jakiej kawalerce; poznawaliśmy siebie i swoje dawne związki.

Jamie przytula mnie i obejmuje wpeł.

– Wtedy było inaczej. *Ja* byłem inny. Ciebie nigdy bym tak nie skrzywdził. Ufam, że to wiesz. To, co Hannah do mnie czuje, jest mi obojętne. To ciebie kocham. Z tobą się ożeniłem. I z tobą chcę spędzić resztę życia.

– Cieszę się, że to słyszę – mówię.

Za drzwiami miga mi skrawek sukienki w kwiatki i jasnowłosa kosmyk. Czyżby Hannah stała tam przez cały czas i nas podsłuchiwała? Opieram się o Jamiego, składam głowę na jego piersi, próbując zignorować swój niepokój.

Dzień jest chłodny, słońce świeci nisko na błękitnym niebie. Po lunchu siedzę w ogrodzie zimowym, czuję na sobie przyjemne ciepło przenikające przez szyby, obserwuję ubranych grubo Felixa i Jacoba, którzy biegają po rozległym trawniku, ścigani przez Jamiego i Richarda. Z uwielbieniem przyglądają się temu Hannah i Florrie, obie z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Kiedy jestem znowu tutaj, wśród rodziny męża, łatwo mi zapomnieć o minionym tygodniu, odnoszę nawet wrażenie, że nigdy nie byliśmy w Kornwalii.

Mimo że mamy za sobą kilka wspólnych lat, nie oswoiłam się jeszcze z rozmiarami tego domu i nie w pełni dociera do mnie, że tu właśnie Jamie spędził dzieciństwo. W otoczeniu jakże różnym od skromnego, niedużego domu, w którym ja dorastałam. Oni mają nawet wozownię w głębi ogrodu, w której nocują goście. Do Sylvii często przyjeżdżają na noc znajomi. Doszłam do wniosku, że ona przepada za domem pełnym ludzi, za śmiechem i gwarem rozmów. Sylvia bywa wkurzająca, ale współczuję jej, jako że nie ma już przy sobie męża.

Widzę, że Jamie drybluje, a Felix biegnie za nim rozbawiony i wyciąga ręce po piłkę. Nadal trudno mi uwierzyć w to, że Jamie zdradził Hannah. Trochę stracił przez to w moich oczach – jakbym oglądała go w krzywym zwierciadle w wesołym miasteczku.

Podskakuję na dźwięk czyjegoś głosu.

– Nie chcesz do nas dołączyć?

Odwracam głowę i widzę opartą o drzwi Katie; na jej twarzy maluje się bezczelność. Ma ciemnoblonde włosy, takie same jak jej mama i Jamie, natomiast Florrie jest szatynką po ojcu. Katie jest ładną dziewczyną, ma smukłe ręce i nogi, ale jest w niej jakaś nerwowość – zdaje się niepewna swojego miejsca na świecie, ciągle zmienia pracę, partnerów i mieszkania. Ostatnio wprowadziła się z powrotem do Sylvii i znów jest bezrobotna, a jest tylko dwa lata młodsza ode mnie. Sylvia nigdy tego nie powiedziała (jest niezwykle lojalna wobec całej trójki swoich dzieci), ale wiem, że martwi się o Katie, niepokoi ją brak życiowego celu córki. Oddałabym wszystko za przywileje i kosztowną edukację, które dla Katie są czymś oczywistym. Co prawda Florrie jest typową apodyktyczną starszą siostrą, ale wolę ją niż Katie. Florrie twardo stąpa po ziemi, jest bardziej wytrwała, tyle że każda z nas gustuje w mężczyznach innego pokroju. To nie znaczy, że Richard jest złym facetem, po prostu chwilami zachowuje się jak głupek. Natomiast Katie próbuje manipulować i dla własnych korzyści odgrywa w rodzinie rolę pupilki. Mnie jednak na to nie nabierze. Potrafię ją przejrzeć.

Odwracam się teraz w jej stronę z wyrazem twarzy, którym chcę przekazać: „Nie zadzieraj ze mną”; podobną minę widzę u mnie uczniowie, kiedy się popisują. Katie wcale się tym nie przejmuje i siada naprzeciwko na jednej z rattanowych sof, przerzucając nogi przez oparcie. Nad jej głową wisi nasze – Jamiego i moje – zdjęcie ślubne, na którym obok nas stoją Katie i Florrie w olśniewających jasnoniebieskich kreacjach. Utkwiło mi w pamięci, że Katie zachowywała się w dniu ślubu jak diwa, nie godziła się na niebieski kolor, gdyż ponoć „odsuwał ją na dalszy plan”, i posądzała mnie o pragnienie, żeby *ona* wyglądała źle, jakby to Katie była tego dnia w centrum uwagi. Zagryzłam oczywiście zęby, ale nie zgodziłam się na inny kolor sukienek dla druhen. Jamie ją ostrzegł, że albo włoży sukienkę w kolorze, jaki wybrałam, albo zrezygnuje z roli świadkowej. Nie po raz pierwszy tamtego dnia pożałowałam, że nie mam siostry, która stanęłaby po mojej stronie. Konfrontacje z kobietami z rodu Hallów bywają niełatwe.

Katie taksuje mnie chłodnym wzrokiem.

– Czasami jesteś taka milcząca, Libby. Ale kto wie, co siedzi w twojej głowie? Teraz powinnaś być obok męża i nie pozwalać mu, żeby grał rolę tatusia dla synka Hannah.

Nie zamierzam połykać tej przynęty i dlatego zmuszam się do uśmiechu.

– To dobrze dla Jamiego, że spędza trochę czasu ze swoją rodziną. A ja jestem jeszcze w nie najlepszej formie. – Wskazuję na swój brzuch, aby zobrazować tę wymówkę. – I ta moja ręka... Sama wiesz... – Unoszę gips i robię zawiedzioną minę. – W przyszłym tygodniu mają zdjąć mi gips, nie chcę więc niebacznie upaść.

Katie w zamyśleniu przygryza wargę.

– Hm, domyślałam się, że dla ciebie zabawa z dziećmi to żadna atrakcja, skoro całymi dniami masz je pod opieką.

– To nie tak, ja kocham dzieci...

– Ale to musi być dziwne – ciągnie bezlitośnie Katie. Skrzyżowała nogi na wysokości kostek i porusza palcami u stóp; paznokcie ma pokryte ciemnofioletowym lakierem. – Widzieć męża w towarzystwie dawnej partnerki. Pamiętam, że byli w sobie zakochani do szaleństwa. Pierwsza miłość. Potężne uczucie, nie? Wszyscy przypuszczaliśmy, że się pobiorą. Ale sprawy przybrały dziwny obrót, nie uważasz?

Zastanawiam się, czy przypadkiem Katie nie widuje się nadal z Hannah po to tylko, żeby mi dokuczyć. Owszem, przyjaźnią się od lat, ale Hannah osiągnęła więcej, bo została matką. Nie od dziś Katie zdumiewa mnie tym, że popisuje się przed domownikami znajomością z Hannah, jakby jej przyjaciółka była losem wygranym na loterii.

– Cóż, od pięciu lat widuję ich razem i zdążyłam przywyknąć – odpowiadam pogodnie, mój ton skrywa irytację.

Odparowuję ciosy Katie na poziomie, którego nie powstydziliby się zawodowi tenisiści. Ona mnie kopie, a ja nigdy nie pokazuję po sobie, jak bardzo jej słowa mnie ranią.

Na początku bywało naprawdę dziwnie: wiedziałam, że dawna partnerka Jamiego nadal należy do jego rodziny. Poznałyśmy się, kiedy Hannah była jeszcze mężatką w zaawansowanej ciąży. Szybko zrozumiałam, że nie mogę liczyć na tak dobry kontakt z Sylvią, jaki miała Hannah, a bardzo tego pragnęłam. Zanim poznałam matkę Jamiego, miałam nadzieję, że Sylvia wypełni pustkę, jaka pozostała po śmierci mojej mamy, że niejako mi ją zastąpi. Ale to oczywiście nie jest takie łatwe. Sylvia okazała się całkowitym przeciwieństwem mojej matki. Odnoszę wrażenie, że zdaniem Sylvii nie zasłużyłam na Jamiego i nie takiej synowej sobie życzyła, bo drażnię jej uszy północnoangielskim akcentem, bo wolę piwo od wina, bo mam krótko obcięte paznokcie i ślady po flamastrach na ubraniach. Nie

należę do osób – według jej kryteriów – „dobrze ułożonych”. Przyłapałam ją pewnego dnia, gdy z odrazą patrzyła na tatuaż skrzydlatego ptaka na moim ramieniu. Sylvia nie cierpi tego, że jestem godną rywalką w grach planszowych, że nie prasuję ubrań Jamiego (swoich zresztą też nie), że moje lewe ucho jest przekłute w trzech miejscach, że nie stosuję ciągłej diety i nie rozmawiam o jedzeniu ani o domowych wypiekach. Mój honor ratuje zawód nauczycielki. Łatwo mi sobie wyobrazić Sylwię, jak mówi swoim koleżankom z Instytutu dla Kobiet, że przynajmniej mam takie wykształcenie. Natomiast Hannah spełnia oczekiwania Sylvii, bo ukończyła modną szkołę dla dziewcząt i pochodzi z zamożnej rodziny, mimo że obecnie jest rozwódką i samotną matką. Jamie przyznał mi się kiedyś, że uważa rodziców Hannah za „beznadziejnych snobów” i nigdy ich nie polubił, bo córka była im całkiem obojętna, a wszelkie wysiłki i nadzieje kierowali w stronę syna, absolwenta Oksfordu. Kilka lat temu przeprowadzili się na wyspę Jersey i wiem od Jamiego, że Hannah rzadko ich widuje.

Katie marszczy brwi, owijając sobie pasemko włosów wokół palca.

– No cóż, mnie by się to nie podobało, gdyby mój mąż był w tak bliskich stosunkach ze swoją eks. Ale różnimy się, prawda?

Katie uśmiecha się słodko i znudzona zeskakuje z kanapy, bo nie udało jej się mnie sprowokować. Poradziłabym jej z chęcią, aby wydorosłała, lecz zamiast tego zaczynam przeglądać brukowiec, który leży na stoliku do kawy. Czuję na sobie wzrok stojącej przy drzwiach szwagierki, ale nie odrywam oczu od gazety, udając, że pasjonuje mnie prywatne życie pewnej gwiazdki z telenoweli.

– Wiem, że twoim zdaniem jestem mało kumata. – Słowa Katie przerywają ciszę.

Jestem tak zaszokowana, że brukowiec zsuwa mi się z kolan na drewnianą podłogę. Unoszę raptownie głowę.

– Nie, ja cię tak nie oceniam. Uważam cię za bardzo inteligentną.

To prawda, inteligencji jej nie brakuje. Tyle że trwoni ten atut na popisy przebiegłości.

– Może nie skończyłam studiów tak jak ty, ale znam się na ludziach. I ciebie też rozszyfrowałam. Lubisz myśleć o sobie: „Jestem konsekwentna, jestem silna”, ale w rzeczywistości przypominasz łąbędzicę: na zewnątrz elegancka i opanowana, ale w środku rozpaczliwie wierzgasz, byleby się utrzymać na powierzchni.

– Katie...

– Przyznanie się do własnej niedoskonałości wcale nie dowodzi, że ktoś jest słaby.

– Wiem. I wcale nie uznaję się za doskonałą. Bynajmniej.

Jak ona na to wpadła, że ja prawie zawsze czuję się jak oszustka?

Katie mruży oczy, jakby chciała coś dodać, ale się rozmyśla, odrzuca włosy do tyłu i wychodzi energicznym krokiem.

Widzę przez okno Sylvie, która roznosi herbatę na okrągłej tacy; nad kubkami z kostnej porcelany z kompletu unosi się para. Jamie i Hannah rozmawiają ze sobą, oddaleni od reszty towarzystwa. Ona pochyła się w stronę mojego męża, rozbawiona jego słowami, a mnie drażni to, że on jej na to pozwala, mimo że wcześniej rozmawialiśmy na ten temat. Tymczasem Hannah orientuje się, że ich obserwuję, i pozwala sobie na głupawy uśmiezek. Wzbiera we mnie złość. Niech ona się dobrze zastanowi, z kim chce zadrzeć. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby stworzyć sobie takie życie, z mężem u boku, dlatego nie dopuszczę do sytuacji, w której ona – albo ktoś inny – zniweczy mój trud.

Na dwa dni przed Wielkim Piątkiem pozbywam się wreszcie gipsu. Niemalże w podskokach wracam do domu uszczęśliwiona, że temblak przestał mi przeszkadzać, że znowu mogę zabierać psa na spacer i biegać, grać w badmintona i robić to wszystko, co cieszyło mnie przed pożarem.

Evelyn siedzi w oknie, gdy schodzę do naszej sutereny, oczywiście macham jej na powitanie. Ona też macha, a ja postanawiam od razu, że później do niej zajrzę. Męcę się trochę przy otwieraniu drzwi; nowy zamek stawia jeszcze opór, podobnie drzwi, gdy chcę je otworzyć. Wkrótce pojmuję dlaczego: w holu leży świeża korespondencja. Pochylam się, aby pozbić niepotrzebne przesyłki, które wypadły ze skrzynki na listy – jest ich dziesięć razy więcej niż zwykle. Przeglądam je ze ściągniętymi brwiami. Na wszystkich widnieje moje nazwisko, a nadawcami są firmy parające się sprzedażą rzeczy codziennego użytku oraz dziwacznych, wręcz obraźliwych przedmiotów. Rzucam te śmieci na kuchenny blat, po czym kłuje mnie w oczy reklama zestawu do powiększania penisa. Mnę ulotkę, która ląduje w koszu na śmieci, ale wcześniej zaskakuje mnie widok folderu leżącego pod spodem: identyczny katalog drogich skandynawskich mebli widziałam w Kryjówce. Ja chyba tego nie zamawiałam? A może jednak? Rzucam katalog na kredens, papier ślizga się, dopóki nie natrafia na posążek.

Budda... Cóż ta figurka tu robi? Ostatnio widziałam ją wiele lat temu, ale żal mi było rozstać się z tą pamiątką, więc postanowiłam ją ukryć. Czyżby Jamie wyciągnął posążek? Przyglądam się spokojnemu obliczu Buddy i jego zrelaksowanej pozie, obracam statuetkę w rękach. Patrząc na nią, mimowolnie wracam myślami do wszystkiego, co się wydarzyło. Trzeba będzie pozbyć się tej figurki. Drzwi do pokoju gościnnego są starannie zamknięte, ale słyszę, jak Jamie rozmawia przez telefon; mówi coś o infrastrukturze i bazach danych. Nadal niezbyt dobrze rozumiem, czym zajmuje się mój mąż, mimo że wielokrotnie próbował mi to wyjaśnić. Biorę posążek do sypialni i upycham go w głębi swojej szafy na ubrania, pod stertą letniej odzieży.

Kiedy wracam do kuchni, spragniona herbaty, włączam czajnik, tęsknie wspominając kran do błyskawicznego zaparzania, jaki widziałam

w Kryjówce.

Ziggy zeskakuje z legowiska.

– Przepraszam cię, mały, nie zdążyłam się z tobą przywitać – mówię uradowana, że mogę przytulić psa.

Kryję twarz w jego sierści. Ziggy’emu przydałaby się kąpiel. „Właściwie – myślę, gdy się prostuję – w całym mieszkaniu pachnie psem”. Zapalam świecę na sosnowym kredensie w jadalni zaimprovizowanej na końcu kuchni, po czym wdycham głęboki mandarynkowy aromat. Dzięki świecy, która migocze i skwierczy, kuchnia zdaje się weselsza. Efekt nie jest dokładnie taki sam jak w Kryjówce, ale zapach, jaki roztacza świeca, przypomina mi dom w Kornwalii; ten aromat kojarzy mi się z luksusem i egzotyką.

Do kuchni wchodzi Jamie. Od paru dni się nie goli, bo znów podzielał na niego – niczym kiepski płyn po goleniu – stres, w którym był przed wyjazdem do Kornwalii. Nie po raz pierwszy dochodzę do wniosku, że prowadzenie własnej firmy jest ponad psychiczną wytrzymałość mojego męża. Jamie trzyma paczkę koniuszkami palców, jakby się jej brzydził. Przy każdym kroku pakunek obija mu się o nogi.

Pokazuję Jamiemu prawą rękę.

– Nie ma gipsu! – oznajmiam radośnie.

– Świetna wiadomość – odpowiada z promiennym uśmiechem i błyskiem w oku.

– Co tam masz?

Jamie zmienia się na twarzy.

– To do ciebie. Co takiego zamówiłaś? Jeszcze nie zarobiłem – żartuje. Po chwili zerka na świecę i pyta: – A skąd się to tutaj wzięło?

– Ja... kupiłam ją tanio w sklepie charytatywnym – kłamię. – To musiał być jakiś nietrafiony prezent albo coś podobnego...

Jamie nie pochwaliby tego, gdybym powiedziała prawdę – że wzięłam tę świecę z Kryjówki. Usprawiedliwiłam się sama przed sobą takim oto argumentem: skoro używaliśmy tej świecy na urlopie, Tara nie będzie się spodziewać, że ją zostawimy. Ale Jamie być może inaczej by się do tego odniósł.

– Niczego nie zamawiałam.

Biorę paczkę z jego rąk. Okazuje się duża i ciężka, na boku pomarańczowej plastikowej koperty widnieje nazwa znanej firmy rozprowadzającej katalogi.

– Nie mam nawet żadnych katalogów.

Rozdzieram kopertę.

– Co to? – pyta Jamie i podchodzi do czajnika, żeby nalać wrzątku do dwóch kubków.

Marszczę brwi.

– Wygląda mi to na jakąś torbę – mówię, gdy przysłany przedmiot wysuwa się z opakowania.

Torba jest duża, brzydka i przypomina plecak na studenckie wypady.

– Z pewnością nie zamawiałam niczego takiego.

Jeszcze raz sprawdzam nazwisko na wierzchu paczki, przy czym mam nadzieję, że zaszła pomyłka i adresatem jest któryś z sąsiadów, ale nie ma wątpliwości: paczkę przysłano do mnie.

Jamie stawia przede mną kubek herbaty.

– Wyjeżdżasz gdzieś, Libs? – pyta ze śmiechem.

Jednak to wcale nie jest zabawna sytuacja. Przechodzą mnie ciarki po plecach. Dlaczego dostałam tę paczkę? Jej zawartość trafia na stół, a ja zaczynam grzebać w opakowaniu, żeby wytropić formularz zamówienia.

– Dziwna historia, Jay. Podobno mam u nich konto. Popatrz...

Macham mu przed nosem wyłowionym świstkiem. Jamie bierze go ode mnie i mruży oczy.

– Nigdy nie zakładałam tam konta.

– Ktoś się pewnie pomylił – mówi Jamie, lekceważąco wzruszając ramionami. – Wystarczy, że poinformujemy ich telefonicznie. I odeślij paczkę.

Wzdycham.

– Tyle z tym zawracania głowy.

– Rozumiem cię, Libs. Ale takie historie się zdarzają.

Jamie wychodzi z kubkiem w rękę, a ja wpycham torbę z powrotem do opakowania, żeby potem znowu je zamknąć.

Kiedy idę na pocztę, niebo ciemnieje i zaczyna padać. Dręczy mnie natrętne przecucie z powodu przysłanej torby. Czy przesyłka ma jakiegokolwiek znaczenie? Czy dotyczy mnie osobiście? Pamiętam, jak z podobną torbą, uginając się pod jej ciężarem, chodziłam w Tajlandii tonącymi w słońcu ulicami pełnymi kurzu. Jestem tak roztargniona, że niewiele zabrakło, abym wpadła na kobietę z niemowlęciem w nosidełku. Przepraszam ją, co tamta kwituje uśmiechem, jaki widuje się u zmęczonych, ale bardzo szczęśliwych młodych matek. A mnie kraje się

serce. Mogłam być już w czwartym miesiącu ciąży. Czy wpadłabym na kogoś? Czy przyprawiliby mnie to o rumieńce? I co działałoby się z tamtym? Tamtym pierwszym?

Na ulicach roi się od rodzin, które korzystają z ostatniego tygodnia przerwy wielkanocnej, widzę dookoła las parasoli i płaszczy przeciwdeszczowych. Ruch nasila się bliżej głównej ulicy i choć jest dopiero czwarta po południu, w oknach mijanych domów dostrzegam zapalone lampy.

Kiedy stoję w kolejce na poczcie, nie przestaję rozmyślać o stercie porannej korespondencji. Tyle reklamowych pokus i obietnic piętnastoprocentowego rabatu od firm, od których nigdy niczego nie kupiłam. Skąd ten nagły wybór mnie jako adresatki?

Pozbycie się torby sprawia mi ulgę. Gdy skręcam w naszą ulicę, czuję, że ktoś za mną idzie. Zatrzymuję się i gwałtownie odwracam. Po piętach depcze mi kobieta. Jej twarz jest ukryta pod parasolką, zauważam jednak długie włosy w nieładzie i cięższe buty do jazdy na motocyklu. Zaczynam iść wolniej, ale tamta mnie nie wymija, tylko też zwalnia. Czyżby mnie śledziła? Staję i ją przepuszczam, zirytowana tym naruszeniem mojej przestrzeni. Kobieta przechodzi obok i nawet na mnie nie zerka.

Po powrocie do domu przekonuję się, że Jamie zabrał psa na spacer, idę więc do salonu, żeby na laptopie powtórzyć swój codzienny rytuał: sprawdzam na kornwalijskich stronach internetowych, czy nie pojawiły się jakieś nowe wiadomości na temat właścicieli Kryjówki. Niczego nie znajduję, jak zwykle zresztą.

Kończę te poszukiwania o zmierzchu, ale Jamiego i psa jeszcze nie ma. Stawiam na kuchni garnek z makaronem. Jestem poirytowana, pełna lęku, myślę wciąż o tej dziwnej paczce i korespondencji. Na górze słyszę radio, które włączyła Evelyn. Zawsze nastawia je zbyt głośno, ale to mnie uspokaja. W późniejszych godzinach radio zastąpi telewizor. Wkrótce usłyszę muzyczkę rozpoczynającą jedną z wielu oglądanych przez Evelyn telenoweli.

Odcedzam makaron nad zlewem, patrząc przez okno na chodnik. Ziggy siedzi pod uliczną latarnią, a obok niego udaje mi się dostrzec parę nóg. Pochyliam się nad zlewem, żeby lepiej widzieć. Jamie rozmawia z jakimś mężczyzną odzianym w garnitur w prążki i ciemny płaszcz. Rozpoznaję w nim mieszkańca jednego z tych dużych domów stojących przy naszej ulicy, którego czasem widuję. Mężczyzna mieszka w trzypiętrowym wolno

stojącym domu z osobnym podjazdem. Widziałam kiedyś, jak wsiadał do wypasionego auta wyglądającego na sportowe. Jego żona jest atrakcyjną kobietą, młodszą od niego i bardzo elegancką; nigdy nie pokazuje się bez szminki na ustach i starannie wytuszowanych długich rzęs, a jej połyskliwe ciemne włosy są zawsze ułożone w luźne fale. W świetle latarni widzę drobny deszcz, który pada bezszelestnie na psią sierść. Dlaczego Jamie stoi tam i moknie? Dostrzegam wściekłą minę jego rozmówcy, który wymachuje czymś przed oczami mojego męża.

Pędzę do drzwi frontowych i kiedy je otwieram, widzę, jak tamten mężczyzna szybko się oddala. Jamie schodzi do naszego mieszkania z nieprzeniknioną miną, a Ziggy drepcze za nim. Złocista sierść psa ściemniała od deszczu, jest pofałdowana między oczami, co sprawia wrażenie, że Ziggy marszczy brwi.

– Czy rozmawiał z tobą facet mieszkający na naszej ulicy? Czego chciał?

– pytam, ledwo Jamie przekracza próg.

Po chwili Jamie zrzuca płaszcz i go wieszka, tymczasem ja wycieram Ziggy’ego starym ręcznikiem.

– Tak, to Martin. Straszny palant.

– Ale czego chciał? – powtarzam pytanie, bo widzę, że Jamie nie kwapi się udzielić mi dalszych informacji.

– Och, nic ważnego.

Zaczynam się niecierpliwić.

– To nie wyglądało na „nic ważnego”.

Jamie rusza do kuchni. Ja za nim. Odcedzony makaron stygnie z boku. Przekładam go do rondla i doprawiam rozmrożonym wcześniej sosem pomidorowym. Mieszam tak energicznie, że sos rozbryzguje się, chlapie na boki i na płytę kuchenną, gdzie syczy.

Jamie zachodzi mnie od tyłu i obejmuje wpiół.

– Nie wkurzaj się, Libs.

– Dlaczego nie mówisz, o co chodziło?

Słyszę westchnienie i czuję na karku gorący oddech męża.

– Właściwie to trochę żenujące. Kompletnie nieporozumienie.

Obracam się na pięcie twarzą do Jamiego.

– Co masz na myśli?

– Martin mnie zaczepił, kiedy wracałem z psem do domu. Powiedział, że ostatnio przysyłał listy miłosne jego żonie...

Przynajmniej się zaczerwienił.

– Co takiego?

Zaszokowana wypuszczam z rąk drewnianą chochlę i oboje patrzymy, jak uderza o podłogę i brudzi szafki sosem pomidorowym. Z irytacją chwytam ścierkę ze zlewu i wycieram podłogę i szafki. Jamie wymija mnie i wyłącza płytę.

– Wiem, to śmieszne. Ale właściwie to nie były listy miłosne. Raczej kartki. Z romantycznymi aluzjami. – Jamie zdobywa się na śmiech kogoś, komu trudno w to wszystko uwierzyć. – Nawet nie znam jego żony. Dopiero dzisiaj się dowiedziałem, jak ma na imię. Anya.

– I nigdy ci ta Anya nie wpadła w oko? Nawet ty musiałeś zauważyć, jaka z niej atrakcyjna babka.

– No... tak – przyznaje Jamie przyparty do muru. – Chyba jest atrakcyjna. Ale witam ją tylko zdawkowo. Mijamy się czasami, kiedy ona biega, a ja jestem na spacerze z psem.

Czuję, że moja twarz płonie. Myślę o Jamiem, o tym, że przymilał się do Ruth w Lizard Point i gawędził z Hannah tak, że ich ciała się stykały. „Z mojego męża jest jednak flirciarz” – zawsze tak myślałam.

– To znaczy, że Martin pokazał ci jedną z tych kartek? – upewniam się, dalej szorując podłogę.

– Właściwie rzucił mi ją w twarz.

Wstaję, żeby wypłukać ścierkę pod kranem, i staram się zachować spokój. Przypomina mi się porównanie z łabędzicą, które usłyszałam od Katie. Ona ma rację. Taka właśnie jestem. Pod wodą rozpaczliwie wierzgam, żeby nie utonąć.

– I to był twój charakter pisma?

– Ależ nie. Libs... – Jamie obraca mnie ku sobie. – Chyba mnie o nic nie podejrzewasz?

– Nie... nie, bynajmniej.

Patrzę mu przez ramię.

– Nie mówisz tego zbyt pewnie.

– Jestem pewna. Tyle że...

– Tyle że co?

Spoglądam mu prosto w oczy. Od dziewięciu miesięcy jesteśmy małżeństwem. Krótko. A przed ślubem byliśmy razem cztery lata. Wystarczająco długo, prawda? Ale czy w ogóle kiedykolwiek można naprawdę poznać drugą osobę? Zresztą Jamie zdradził Hannah.

Bezwiednie mówię:

– Widziałam esemesa od Hannah.

– Esemesa od Hannah?

– Byłeś akurat w szpitalu. Nie przeczytałam całego tekstu. Mignął mi na twoim telefonie.

– Zdawało mi się, że Hannah już cię nie obchodzi. Sądziłem, że rozumiesz. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi.

Złoszczę się i widać to po mnie.

– Ty wiesz, co ona do ciebie czuje, i powiem ci jeszcze coś... Moim zdaniem podoba ci się ta sytuacja.

Jamie zaskoczony otwiera szeroko oczy.

– Co takiego?

– Podoba ci się zainteresowanie twoją osobą. Czy byłbyś tak wyrozumiały, gdyby na każdy głupi rodzinny obiad zapraszano mojego byłego chłopaka? Gdybym stała z nim w ogrodzie i uciniała sobie pogawędki, gdyby przysyłał mi esemesy z prośbami o trzymanie pewnych rzeczy w tajemnicy?

Jestem tak wściekła, że aż pryskam dookoła śliną. Zwykle przed Jamiem – i każdym – potrafię nad sobą zapanować, ale teraz wybucha mój nagromadzony lęk i żal.

Na twarzy męża maluje się zaskoczenie, ale zdążyłam się już nakręcić.

– I nie gadaj, że mi odbiło albo że mówię od rzeczy. Nie cierpię takich tekstów. Wygłaszasz je protekcyjnym tonem. Owszem, jestem zazdrosna. Jestem zazdrosna, że stawiasz jej uczucia ponad moimi. Że twoja rodzina lubi ją bardziej niż mnie, że gdy bywamy u twojej matki, czuję się zbędna, niemile widziana.

– Moja rodzina zawsze traktuje cię serdecznie.

– Nie, wcale nie. Jedyłą życzliwą mi osobą jest Florrie.

Oboje milkniemy wstrząśnięci. Ze mnie uszła cała para. Wrzucam mokrą ścierkę do zlewu.

Po dłuższej chwili Jamie przerywa milczenie.

– Przepraszam, Libs. Ale musisz mi ufać. Ja mam do ciebie zaufanie.

Czuję się winna.

– Nigdy nie dałam ci powodu do nieufności – mamrocę.

– Nie wiem o tobie wielu rzeczy. Nigdy nie opowiadasz o swoim dzieciństwie. Unikasz wyjazdów do Yorkshire. O rodzicach też nigdy nie mówisz. Wszystko tłumisz w sobie, nawet to, co się działo w Tajlandii. Wiem, że opowiedziałaś mi niepełną historię.

– Czego jeszcze chcesz się dowiedzieć? – pytam, patrząc wyzywająco, z rękami na biodrach.

– Domyślam się, że ktoś mocno cię zranił. Ktoś, kogo kochałaś. – Jamie podchodzi do mnie; w jego oczach widzę dużo ciepła. – Myślę, że śmierć tamtej bliskiej osoby mocno się na tobie odbiła i teraz wolisz nie podejmować żadnego ryzyka ani nowych wyzwań. Unikasz rzeczy, które wydają ci się niebezpieczne, na przykład latania albo prowadzenia samochodu. Ale tak się nie da... Przypomnij sobie, co się wydarzyło w szkole. Doszło do wypadku, któremu nie mogłaś zapobiec, mimo że tyle czasu poświęcasz na kalkulowanie ryzyka.

– Nie zgrywaj psychoanalityka, mówisz jak twoja matka. Interesuje mnie tylko, czy Anya dostała tamte listy *od ciebie*.

Jamie się cofa, widać po nim zawód, jego oczy straciły ciepły wyraz. Przyglądam mu się uważnie, bo chcę się przekonać, czy przypadkiem nie kłamie.

– Nie, nie ode mnie. I boli mnie to pytanie.

Chyba mówi szczerze. Ruszam do niego z wyciągniętą ręką i przeprosinami, ale on wychodzi z kuchni.

Wieczorem nie mogę zasnąć. Przewracam się z boku na bok, mnąc pościel; z niepokoju mam wypieki na twarzy. Myślę wciąż o tym samym: dręczy mnie oskarżenie Jamiego przez Martina. Po naszej kłótni przeprosiłam za przypalony makaron, a Jamie zapewnił, że chodzi o całkiem inną osobę, że on nigdy by mnie nie zdradził i tak nie zranił. Ale Martin musi mieć jakąś poszlakę, która każe mu sądzić, że to Jamie jest winien. Co prawda wierzę mężowi, kiedy twierdzi, że to nie on wysłał te kartki, wyprowadza mnie jednak z równowagi myśl, że ktoś pragnie, abyśmy, Martin i ja, podejrzewali Jamiego.

Następnego dnia z naszej skrzynki na listy wystaje kolejna paczka od tej samej firmy wysyłającej katalogi. Od razu poznaję nadawcę po jaskrawopomarańczowym opakowaniu.

– Nie otwieraj jej – przestrzega Jamie, gdy siadam z paczką przy kuchennym stole.

Jamie stoi przy czajniku. Jego oczy świadczą o zmęczeniu. Pracował do pierwszej w nocy.

– Skoro nie zamawiałaś paczki, po prostu to odeślij.

– Muszę wiedzieć, co w niej jest. Nie mogę się oprzeć myśli, że te paczki są jednak przysyłane do mnie celowo.

Jamie podaje mi kubek herbaty.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nie wiem. Ale... mieszkali tutaj Heywoodowie. Mieli dostęp do naszych danych. Skąd mogę wiedzieć, czy to nie ich sprawka?

Jamie otwiera usta, aby mnie zganić za bzdurne myślenie, ale zamyka je bez słowa na widok wyrazu mojej twarzy. Ostrożnie rozrywam plastikowe opakowanie. Znajduję coś podobnego do peruki, długiej i złocistobrazowej. Cóż by to miało oznaczać?

– Co to? – Jamie zerka mi przez ramię.

– Peruka. Dlaczego ktoś miałby przysłać mi perukę?

Niepewnie dotykam swoich włosów, żeby sprawdzić, czy nie zaczynają wypadać.

Jamie milczy, a gdy obracam krzesło, zauważam, że stanął w pewnym oddaleniu i wygląda przez okno. Widzę jego plecy, więc nie mogę zobaczyć wyrazu jego twarzy, ale po sztucznej pozie domyślam się pewnego napięcia.

– Jamie, wszystko okej?

Dopiero w tym momencie dostrzegam przy jego uchu telefon. Nie słyszałam sygnału komórki. Z przyciśniętym do ucha aparatem Jamie przechodzi do swego gabinetu. „To pewnie rozmowa w interesach – myślę, po czym sięgam po swoją komórkę i wystukuję numer firmy katalogowej. – A może to Hannah?”. Szybko odrzucam tę myśl.

Kobieta, z którą rozmawiam, jest życzliwa, udziela mi informacji, że konto na moje nazwisko zostało założone w ostatni czwartek o dziesiątej rano i wtedy też, dwadzieścia minut później, przyjęto moje zamówienie online na torbę i perukę. W tamten czwartek wracaliśmy z Kornwalii. Staram się nie okazywać irytacji i stwierdzam, że doszło do pomyłki, bo nie zakładałam konta ani nie składałam zamówień.

– Czy może pani zamknąć to konto? – pytam. – I zawiadomić mnie, jeśli by ktoś próbował założyć inne na moje nazwisko? To bardzo ważne.

Kobieta zapewnia, że spełni moje prośby, ja jednak, kończąc rozmowę, jestem już niespokojna. Dlaczego ktoś miałby robić mi coś takiego?

Wracam z poczty przemoczona do suchej nitki, bo zapomniałam parasolki, i zastaję przy kuchennym stole nieznanego mężczyznę, który pije z Jamiem herbatę. Ma na sobie nieprzemakalny płaszcz w stylu porucznika Columbo, na ramionach i plecach upstrzony ciemnymi plamami od deszczu. Na moje oko ma pod sześćdziesiątkę; na jego surowej twarzy widać grube dwuogniskowe okulary.

– Libby... – Jamie podnosi się na mój widok.

Bładość twarzy męża uwydatnia kilkudniowy zarost. W jego zachowaniu widać napięcie.

– To jest sierżant Byrnes. Ma pewne informacje. O Heywoodach.

Bez słowa opadam na krzesło. Zerkam na męża, by odgadnąć jego odczucia, ale twarz Jamiego pozostaje nieprzenikniona; Zaciśnął usta tak mocno, że aż zbieleły. Nastawiam się na informację, że Tara została zamordowana. Przebywałam w jej domu, udekorowanym jej ręką, z jej zdjęciami na ścianach i pięknymi kreacjami w szafie, przez co odnoszę wrażenie, że byłaby to dla mnie osobista strata, chociaż nie poznałam Tary.

Nie wytrzymuję napięcia.

– Czy ona nie żyje? – pytam nagle.

– Kto? – dziwi się sierżant Byrnes.

– Tara Heywood.

– Skąd takie przypuszczenie, pani Hall? – pyta spokojnie policjant, ale w jego głosie słychać nutę podejrzliwości.

Czy to ma jakiś związek z nami? Czyżby sierżant uznał, że mamy coś wspólnego ze śmiercią Tary?

– Wszystko przez tę... bieliznę. Zakrwawioną... Tę, którą znaleźliśmy w ogrodzie...

Wzrok policjanta sprawia, że zaczynam się czuć nieswojo, jakbym zrobiła coś złego.

– Nie, Tara Heywood żyje. Oboje są cali i zdrowi, co panią zapewne ucieszy. W końcu udało nam się ich zlokalizować. Byli poza domem...

– No tak...

Marszczę brwi. „Oczywiście, że byli poza domem” – chciałabym wykrzyczeć. Byli tutaj.

Policjant nie zważa na moje słowa.

– Heywoodowie mieszkają w Londynie. Przebywają tam od wielu miesięcy.

Sierżant Byrnes patrzy na mnie zza grubych szkielec swoich okularów.

– I nigdy nie słyszeli o pani... – policjant przenosi spojrzenie na Jamiego – ...ani o panu, panie Hall. Nie wiedzą nic o żadnej zamianie. Sądzą, że ich dom w Kornwalii stoi pusty.

Z mowy ciała Jamiego wnioskuję, że policjant już przekazał mu te informacje. Mnie na krótko odjęło mowę. Sierżant Byrnes taksuje mnie zimnym wzrokiem.

– Ale... ale ja tego nie rozumiem.

– My też nie – mówi policjant tak samo dobitnie jak ja. – Czy mogłaby pani opowiedzieć, od początku, co się wydarzyło, zanim doszło do tej tak zwanej zamiany?

Zauważam, że przed policjantem leży notes w formacie A4 i długopis. Sierżant naciska kciukiem końcówkę długopisu, po czym przykładą go do papieru, kierując wzrok w moją stronę w oczekiwaniu na to, co zacznę opowiadać.

Jamie ściska moją rękę nad blatem stołu, aby dodać mi otuchy.

– Przynieś tamtą ulotkę, Libs – mówi.

Podrywam się i czym prędzej znikam w holu. Wetknęłam ulotkę do górnej szuflady kredensu przy drzwiach, na wypadek gdybym zgubiła numer telefonu Philipa albo gdybyśmy mieli jakieś problemy. Choć raczej ich nie przewidywałam. Przeglądałam wszystko, co jest w szufladzie, oglądałam każdy papierek, ale nie znajduję ulotki.

Przygnębiona wracam do kuchni.

– Nie mogę jej znaleźć – oznajmiam i widzę na twarzy Jamiego straszliwe rozczarowanie. – Była tam mowa o tym, że Heywoodowie chcą się zamienić mieszkaniem, ponieważ muszą być w pobliżu szpitala, bo ich

córkę czeka operacja ratująca życie. Philip podał swój numer telefonu. Rozmawiałam z nim. Okazało się, że też jest z północy Anglii, tak jak ja...

Sierżant Byrnes uśmiecha się do siebie, jakby usłyszał dowcip niezrozumiały dla innych. W tym samym momencie dociera do mnie, że nie ma dowodu, iż naszym rozmówcą był Philip Heywood.

Siadam z westchnieniem.

– Otóż... – zaczynam, chcąc bez emocji przedstawić fakty – ... rozmawiałam przez telefon z pewnym mężczyzną. Podał swoje nazwisko: Philip Heywood. Znalazłam go w Google'u. Wydał mi się osobą godną zaufania. Odebrał klucz od naszej sąsiadki, która mieszka nad nami. Może pan to sprawdzić. Nazywa się Evelyn Goodwin. Widziano tutaj także kobietę. Została po niej szklanka ze śladem szminki.

Mam do siebie pretensje o to, że umyłam szklankę, zamiast zachować ją jako dowód, ale nie miałam przecież podstaw, by uznać, iż mogłaby się do czegoś przydać.

– Oni tutaj byli – podnoszę głos, zrozpaczona. – I są właścicielami Kryjówki, co dla pewności sprawdziłam, zanim tam pojechaliśmy.

Policjant odchrząkuje i mówi:

– To prawda, posiadłość należy do nich, ale od końca lutego ci państwo przebywają w swoim londyńskim mieszkaniu. Sąsiedzi to potwierdzili. I Heywoodowie nie mają córki. Ani w ogóle żadnych dzieci. – Byrnes zdejmuje okulary i pochyla się w moją stronę. – Nie wiem, kto przebywał w tym mieszkaniu w ubiegłym tygodniu, pani Hall, ale na pewno nie państwo Philip i Tara Heywoodowie.

Nie zdziwiłabym się, gdyby sierżant Byrnes nas aresztował, ale on wstaje, chowa notes do aktówki i zapowiada, że będzie z nami w kontakcie, zupełnie jakby nie był policyjnym detektywem, tylko akwizytorem.

– Za kilka dni wrócę, aby przesłuchać państwa sąsiadkę – oznajmia.

Po jego wyjściu wstrząśnięci siedzimy przy stole w milczeniu, z trudem dociera do nas to, co usłyszeliśmy. Nie mogę przestać myśleć, że zostaliśmy oszukani i ktoś wykorzystał dom Philipa i Tary, żeby zamienić go na nasze mieszkanie. Ale dlaczego?

Jamie chowa twarz w dłoniach i zaczyna narzekać.

– Co my właściwie zrobiliśmy? – pyta z uniesioną głową i zmrużonymi oczami. – Wpuściliśmy do mieszkania obcych ludzi, nie znając nawet ich prawdziwych nazwisk. Mogli tu robić wszystko. Grzebać w różnych rzeczach, znaleźć szczegóły naszych kont bankowych i numery kart kredytowych... Na pewno szperali w gabinecie. Przecież sama znalazłaś mój skoroszyt w innym miejscu. – Rozkłada ręce i dodaje: – Ale nas załatwili.

– Wcale nie. Musimy tylko unieważnić karty kredytowe i sprawdzić, czy nie założono nowych kont na nasze nazwiska – wyjaśniam spokojnie. – Mieliśmy pecha, i tyle. Zamiany mieszkań są na porządku dziennym. Kto wie, a nuż Heywoodowie okłamują policję. Nie przyszło ci to na myśl? Być może on jednak zabił żonę i chce nas pogrążyć.

Jamie wzdycha.

– Po co miałyby to robić?

– Nie wiem – przyznaję. – Może szuka kozła ofiarnego?

Widzę, że Jamie próbuje zapanować nad swoim zdenerwowaniem, wciągając powietrze głęboko do płuc. Kładzie ręce na stole.

– Okej, tyle wiemy: ktoś, Heywoodowie albo ktoś inny, podrzucił nam ofertę zamiany. Czy wybrał nas celowo, czy też ulotka trafiła do wielu domów na tej ulicy i tylko my złapaliśmy przynętę?

Marszczę brwi.

– Nie wiem. Czy to cokolwiek zmienia?

– Oczywiście, Libs. Nie rozumiesz? Jeśli my jedni dostaliśmy tę ulotkę, to znaczy, że zależało im akurat na naszym mieszkaniu. Skoro tak, to

celowali w *nas*.

Przeraża mnie ta myśl.

– Nie mieści mi się to wszystko w głowie. To nie ma sensu. Po co komuś było potrzebne nasze mieszkanie? Myślisz, że tamci wykorzystali dom Heywoodów, abyśmy zniknęli im z oczu? A jeśli to nie Philip i Tara, to może być sprawka kogoś, kogo oni znają, kogoś, kto miał klucz!

Oczy Jamiego błyszczą.

– Albo kogoś poinformowanego o częstej nieobecności Heywoodów. Może ci ludzie dorobili klucz bez wiedzy Philipa i Tary?

– Na przykład tamten Jim! Dziwaczny facet, który ciągle nas śledził. Albo ten drugi gość z Lizard Point. Zachowywał się naprawdę podejrzanie.

– Albo Philip i Tara nie są całkiem bez winy i po prostu udają? Nie wykluczam, że sąsiedzi ich kryją i że Philip naprawdę zamordował żonę. Albo może oboje zabili kogoś innego...

Mimo sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, obdarzam Jamiego uśmiechem i czuję, że odkąd wróciliśmy z Kornwalii, świetnie się dogadujemy. Bo Jamie przyznaje wreszcie, że naprawdę stało się coś złego. I nie twierdzi lekceważąco, że popadłam w paranoję. Nie ma wątpliwości, że wszystko dzieje się naprawdę.

Jamie trochę nieśmiało odwzajemnia mój uśmiech. Po chwili wstaje i w przypływie frustracji odsuwa krzesło.

– Czy aby nie kręcimy się w kółko? – pyta.

To prawda. Muszę się zdobyć na coś konstruktywnego. Nie mogę dłużej marnować czasu na roztrząsanie tego tematu.

– Idę do Evelyn – oznajmiam i wstaję. – Jest dopiero wpół do szóstej. Jeszcze nie za późno na odwiedzin.

Jamie wygląda na zdziwionego.

– Po co?

– Evelyn dała nasz klucz komuś, kto podał się za Philipa Heywooda. Oprócz tego chcę się dowiedzieć, czy też dostała ulotkę. Wcześniej nie pomyślałam, że trzeba to sprawdzić.

Jamie mnie przytula.

– Będzie dobrze, przestań się martwić, Libs. Wiem, jaka jesteś. Po tyłu...
– Urywa.

Nie musi kończyć. Wiem, co chce mi powiedzieć. Mamy za sobą kilka traumatycznych miesięcy, a teraz jeszcze to. Odgarnia mi włosy z twarzy, a ja mocno się do niego tulę. Dawniej zawsze czułam się bezpieczna

w ramionach Jamiego, ale tym razem nie jestem pewna, czy mój mąż potrafi zaradzić niepokojowi, który niczym kurz osiada na każdej warstwie mojego jestestwa. Mam wrażenie, że nigdy nie będę czuła się bezpiecznie.

Evelyn otwiera drzwi ostrożnie, rozglądając się wielkimi ze strachu oczami. Mój widok ją jednak uspokaja. Ale kiedy prowadzi mnie do holu, żebym już nie mokła na deszczu, wyraz niepewności i z troskania wcale nie znika z jej twarzy.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Evelyn potrząsa głową i macha lekceważąco ręką.

– Tak. Nie martw się o mnie. Po prostu dopadła mnie niestrawność.

Starsza pani wodzi zaciśniętą pięścią po bluzce w kwiatki, aby przekonać mnie o swojej prawdomówności, lecz nie wyjaśnia to lęku malującego się na jej twarzy w chwili, gdy otwierała drzwi.

Wchodzę za nią do salonu. Evelyn usadawia się na swoim ulubionym miejscu przy oknie. Siadam naprzeciwko niej. Nie chcę jej martwić, ale muszę przekazać informacje od policjanta.

– Tamten mężczyzna, który przyszedł po klucz... Jak on wyglądał? – pytam łagodnym tonem.

Obok Evelyn stoi filiżanka herbaty, którą staruszka podnosi drżącą ręką.

– Jak już mówiłam, wyglądał na trzydzieści kilka lat. Wydał mi się trochę starszy od twojego męża, ale tylko trochę.

Przypominam sobie zdjęcia Philipa Heywooda z Google'a, jego szpakowate włosy ze starannym przedziałkiem, zadbane wąsy i ramiona ukryte pod marynarką w prążki. Na fotografiach uwieczniono mężczyznę co najmniej zbliżającego się do pięćdziesiątki.

– Czy miał ciemną czuprynę i wąsy?

Ledwo udaje mi się usiedzieć spokojnie. Drzę na całym ciele niczym bransoletki na nadgarstkach Sylvii.

Evelyn się zastanawia, ostrożnie odstawiając filiżankę z herbatą na stół obok nas.

– Nie... nie, na pewno nie miał wąsów.

Następnie sięga po druty z robótką; mam wrażenie, że to będą buciki dla niemowlęcia, z miękkiej wełny w kolorze cytrynowym; ten widok sprawia, że zaczynam tęsknić. Na krótko przed poronieniem odważyłam się ujawnić, że jestem w ciąży. Do planowego USG w dwunastym tygodniu brakowało tylko kilku dni. Tak bardzo się cieszyliśmy, Jamie i ja, że zostaniemy rodzicami. Mieliśmy tyle planów. Cięża rozwijała się prawidłowo, bez

przykrych objawów i mdłości. Głaszczę swój brzuch. Wciąż widać nieznaczne uwypuklenie. Mój okres jeszcze nie jest regularny, nadal nie jestem w dobrym stanie i rozregulowały się też hormony. Minęło przecież dopiero pięć tygodni. Kiedy poroniłam, Evelyn okazała mi wiele troski. Wiem od niej, że za młodu była akuszerką i miewała do czynienia z takimi sytuacjami jak moja. Zastanawiam się, dla kogo dzierga buciki, ale zaraz wracam myślami do Philipa. Tymczasem Evelyn odrywa się od robótki i z uniesionymi brwiami taksuje mnie wzrokiem.

– Trudno powiedzieć, bo miał coś na głowie.

– Nakrycie?

– Tak, takie, jakie nosi dzisiejsza młodzież. – Po chwili ze złośliwym uśmiechem dopowiada: – Podobne do pikowanego pokrowca na imbryk.

– Mówisz o czapce bez daszka? – uściślam.

– O właśnie, czapka bez daszka. Miał taką na sobie. I coś jeszcze, jakby wełnianego, może to był polar.

To on, to na pewno on – człowiek z Lizard Point, ten, który obserwował nas na plaży niedaleko Kryjówki. Kim był i czego chciał?

Evelyn dzierga dalej, jej druty klekoczą. W tle słychać audycję radiowej Dwójki – wywiad Simona Mayo z gościem programu.

Przełykam ślinę, aby powstrzymać kolejne mdłości.

– Czy... czy przysłano ci kiedyś ulotkę? Z pytaniem, czy nie przystałabyś na zamianę mieszkań?

Evelyn zerka na mnie sponad drutów, którymi porusza bardzo szybko.

– Nie. Niczego podobnego nie dostałam. – Przystaje dziergać i robi poważną minę. – Czy twoim zdaniem ten mężczyzna jest odpowiedzialny za te wszystkie dziwne zdarzenia podczas waszego urlopu?

Kręcę głową.

– Nie wiem. Tak sędzę. To z pewnością nie jest Philip Heywood. Nie wiem, kto to.

– Jak mówiłam, wydawało mi się, że nie mieszkał u was zbyt długo.

Evelyn ma chyba rację. Cóż, nie mógł się zatrzymać na dłużej w Bath, jeżeli ruszył naszym tropem do Kornwalii.

– Ale wystarczająco długo, żeby zrobić to i owo – stwierdzam i wzdycham z żalem. – Gdybym tylko wiedziała co... – Wstaję i zbieram się do wyjścia. – Na mnie już czas. Ale proszę cię, Evelyn, obiecaj mi, że jeśli zauważysz coś *podejrzanego*... na przykład kogoś, kto kręciłby się w pobliżu naszego mieszkania, to mnie zawiadomisz.

Evelyn również wstaje. Jestem niska, ale ona sięga mi tylko do ramienia.

– Jest jeszcze coś... – mówi.

– Co? Co takiego?

– Widziałam... mężczyzn. Różnych. Kręcili się pod domem. Nic nie robili. Jakby na coś czekali...

– Czekali?

– Tak. Nie wiem na co. Ale trochę się przestraszyłam.

Czy to dlatego nie chciała mi wcześniej otworzyć?

– Widzisz, ja... – mówi Evelyn, odkładając robótkę na stolik obok – ... spędzam tutaj całe dnie i zdarza mi się czasem dostrzec coś dziwnego. – Chwyta moją dłoń; czuję, że ma skórę jak bibułka, cienką i delikatną. – Proszę cię, Libby, bądź ostrożna, moja droga. Zawsze jesteś dla mnie taka dobra.

– Evelyn, zaniepokoiłaś mnie. Jakie to dziwne rzeczy widzisz?

Sąsiadka mruży oczy, jakby rozstrzygała, czy należy mi to powiedzieć. Naraz się decyduje.

– Widziałam też kobietę pod domem.

– Kobietę?

– To nie musi nic znaczyć. Nie jestem pewna. Prawdopodobnie po prostu zbieg okoliczności... – Evelyn wzdycha. – Radzę ci: bądź ostrożna, miej oczy szeroko otwarte. Jak będziesz w moim wieku, zdasz sobie sprawę, że dookoła jest wielu dziwnych ludzi, którzy nie zawahają się nas skrzywdzić. A czasami są to najbliżsi. – Uśmiecha się z żalem. – Mój mąż nie zawsze mówił prawdę. Straciłam przy nim tyle lat. Libby, moja droga, staraj się zawsze dążyć do prawdy.

W drodze powrotnej zerkam przez ramię, wypatrując tajemniczych nieznanomych mężczyzn i nierozpoznanej kobiety, o których mówiła Evelyn, i nie mogę się oprzeć irytującemu wrażeniu, że starsza pani chciała mnie ostrzec przed moim mężem.

Kiedy tego wieczoru zamykam okiennice przed snem, dostrzegam kogoś po przeciwnej stronie ulicy. Nie mam pewności, czy to mężczyzna, czy kobieta, bo jest zbyt ciemno i ten ktoś stoi za daleko. Jednak wzrost tej osoby podpowiada mi, że widzę kobietę. Niewyraźne światło nie pozwala rozpoznać rysów jej twarzy, ale dostrzegam, że opiera się o ścianę domu vis-à-vis ogrodu i pali papierosa. Kto szwenda się jeszcze o tej porze? Czy to kobieta, o której wspominała Evelyn?

Dziesięć minut później zerkam znowu i widzę, że tajemnicza nieznajoma zniknęła.

Nie mogę spać. Słowa Evelyn wciąż chodzą mi po głowie i nie potrafię się ich pozbyć, są jak skarpetka, która utknęła w pralce. Za każdym razem, gdy dostrzegam cień na rolecie albo słyszę dochodzący z ulicy brzęk kubła na śmieci, budzę się raptownie z mocno bijącym sercem, koszula nocna przywiera mi do spoconej skóry. Co Evelyn chciała dać mi do zrozumienia? Czyżby sugerowała, że Jamie nie zasługuje na zaufanie?

Robię się podejrzliwa. Tak bardzo pragnę myśleć pozytywnie o Jamiem, lecz nie umiem wyciszyć natrętnego głosu w mojej głowie, który przypomina, że Anya jest piękna, a Jamie spędza całe dni sam w domu i nie brak mu okazji do romansowania, poza tym ma już za sobą inną zdradę. Jak mogła się rozpocząć *ta* historia? Czy wpadli na siebie, kiedy Jamie był na spacerze z psem? Większość osób, które mijamy, zatrzymuje się, by pogłaskać naszego psa albo coś do niego powiedzieć, poza tym Jamie jest przystojny i życzliwy. Co gorsza, w ostatnich miesiącach mieliśmy sporo problemów. Czy Anya zawróciła Jamiemu w głowie? A może zaiskrzyło między nimi w trakcie pogawędki? I poszli do łóżka, bo nie mogli się powstrzymać?

Mam gonitwę myśli, jestem nakręcona jak małe dziecko. Ale w głębi duszy wiem, że Jamie mnie kocha. Co więcej, jest za słabo zorganizowany i ma zbyt silny kręgosłup moralny, żeby prowadzić podwójne życie. W tym samym momencie oczami wyobraźni widzę esemesa od Hannah i słyszę w głowie dyskretny głosik przypominający, że Jamie coś przede mną ukrywa, coś, o czym ja – według Hannah – nie powinnam się dowiedzieć.

Czy to ona stoi za tamtą zamianą? Czy to od niej dostałam plecak i perukę? To nie ma sensu. Po cóż miałyby je przysyłać? A zakrwawiony gorset, który znaleźliśmy w ogrodzie Heywoodów? Jeśli nie należy do Tary, to czyją jest własnością?

W sobotę proponuję, że wyprowadzę Ziggy'ego na poranny spacer. Jamie przestaje zawiązywać sznurowadła swoich sportowych butów i spogląda na mnie z dołu.

– To moja jedyna okazja do ruchu – mówi rozczarowany. – Czasami biegam z psem. Cały dzień siedzę przy biurku.

Czy tylko z tego powodu tak mu zależy na wyjściu z domu? A może liczy, że wpadnie na Anyę?

– Wyjdźmy więc razem – proponuję.

Zdziwiłam go chyba, ale bez protestu rusza ze mną na spacer. Wydaje się szczęśliwy, że trzymamy się za ręce. Jak na kwiecień jest niezwykle ciepło i słonecznie, dlatego mam na sobie T-shirt, cienką kurtkę i dżinsy. Umyślnie prowadzę Jamiego obok domu, w którym mieszka Anya; liczę, że ją zobaczę. Nie umiem powiedzieć dlaczego. Chyba chcę sprawdzić reakcję Jamiego, jeśli Anya na nas wpadnie. O ile naprawdę wysyłał jej kartki z romantycznymi aluzjami, o ile rzeczywiście się w niej zadurzył, będę mogła to wywnioskować z jego zachowania w towarzystwie tej kobiety. Auto Martina – czarne i lśniące bmw – stoi na podjeździe, ale co mnie bardzo rozczarowuje, nie ma śladu po nim ani po jego żonie. W drodze do parku zastanawiam się, czy Martin naprawdę podejrzewa ją o zdradę. Kto wie, może ona ma jednak romans. A nuż istnieje inny Jamie, co skłoniło Martina do wyciągnięcia błędnych wniosków?

Wielkanocną niedzielę spędzamy jak zawsze z rodziną Jamiego. W takie dni żałuję, że nie mam własnych krewnych, z którymi mogłabym świętować. Obserwuję Hannah, jej ciągłe podchody, żeby pobyć z moim mężem sam na sam. Czyżby to ona wynajęła faceta, który miał udawać Philipa Heywooda, żeby wbić klin między mnie a Jamiego? Ale to byłoby doprawdy dziwaczne. Wątpię, by było ją stać na taką manipulację.

Przyglądam się, jak Hannah krąży dookoła Sylvii, pomaga przy stole, ozdabia talerze ładniutkimi serwetkami. Sylvia odrzuciła moją ofertę pomocy, nieco zdegustowana tym pomysłem.

Obserwuję również Katie snującą się po domu w zbyt skąnym stroju, udającą nastolatkę, za którą się uważa; jej kręcone włosy sięgają ramion, jedno pasmo owinęła sobie wokół palca. Jest obok niej nowy partner,

mężczyzna, do którego Katie się przytuli, gdy wszyscy zasiądą przy owalnym stole w jadalni, ktoś, kim Sylvia może się zająć. Jest starszy od Katie, bardzo przystojny, ma aż zbyt białe zęby, ciemną czuprynę i kwadratową szczękę, jak u Desperate Dana. Na imię ma Gerard i podobno poznali się z Katie „dzięki wspólnym znajomym”.

– Gerard studiował na uniwerku w Sheffield. Prawda, Gerard? – odzywa się Katie przy pieczonej kaczce. – Tam gdzie ty, Libby.

Na twarzy Gerarda siedzącego między Katie a Hannah, a naprzeciwko mnie, Florrie i Jamiego, widzę głupawy uśmieszek.

– Dokładnie tak – odpowiada.

Coś mnie w nim razi. Nadmierne zadowolenie z osiągniętej pozycji, z wypasionego auta i pracy „menedżera eventów”. Przygląda mi się bacznie spod opadających powiek. Przypomina kruka.

– W którym roku skończyłaś uniwersytet?

– Niech pomyślę... – mówię i wbijam widelec w pieczonego ziemniaka. – W dwa tysiące ósmym.

– Ach tak. Ja w dwutysięcznym. Jestem trochę starszy.

Zatem między nim a Katie jest dziesięć lat różnicy. Gerard wygląda na faceta, dla którego młodsza kobieta u boku jest symbolem statusu – jakby Katie była superbryką, którą warto się pochwalić.

– A co studiowałaś?

– Literaturę angielską.

Czuję suchość w ustach. Jak na mój gust ten cały Gerard jest zbyt ciekawski.

– Ja też. A pamiętasz profesora Petersona? Niezły, prawda? Jestem pewien, że cierpiał na sen napadowy, bo wydawało się, że zasypia podczas swoich wykładów. Albo to była narkolepsja, albo te wykłady były tak nudne, że odpływał.

Gerard śmieje się ze swojego żartu, a ja uśmiecham się grzecznościowo, zajęta przeżuwaniami ziemniaka. Katie głaszcząc skwapliwie rękę Gerarda i gapi się na niego z uwielbieniem w oczach. Richard, który siedzi u szczytu stołu, naprzeciwko Sylvii, obserwuje ich z zaciekawieniem, sącząc czerwone wino, jakby liczył na to, że za chwilę zaczną uprawiać seks.

Zanim pojawiliśmy się na obiedzie, doszliśmy z Jamieem do porozumienia, że nie wspomnimy jego rodzinie o niepokojących faktach i naszych obawach co do Heywoodów. Oboje mamy nadzieję, że to wszystko da się łatwo wyjaśnić. Ale jak? Im więcej czasu mija, tym bardziej

jestem skołowana i nie mam pomysłu. Gerard patrzy w moją stronę, czekając na stosowną chwilę, by zadać jeszcze jedno pytanie na temat naszych uniwersyteckich lat. Otwiera już usta.

– A czy pamiętasz...?

Muszę czym prędzej zmienić temat. Nie chcę dłużej rozmawiać z Gerardem.

– Florrie! – przerywam Gerardowi najlepszym tonem nauczycielskim, na jaki mnie stać, dobitnym, pewnym siebie. – Florrie, bardzo mi się podoba ten top. Gdzie go kupiłaś?

Wróciłam do szkoły we wtorek, uradowana powrotem do normalności i rutyny. Jestem szczęśliwa, że znowu uczę, pracuję ze swoją klasą i plotkuję z Carą. Kilka następnych dni tak mnie absorbuje, że odsuwam od siebie wszystkie kłopoty, które jednak mam z tyłu głowy, bo od czasu do czasu przypominają o sobie niczym fizyczny ból.

W piątkowy wieczór docieram z pracy do domu bardzo zmęczona minionym dniem, który dał mi się we znaki: pod sekretariatem zwymiotowało dziecko z pierwszej klasy; jedna mama przyszła się poskarżyć, że jej synek nie został przeniesiony do grupy zaawansowanej w czytaniu tak szybko, jak ona by sobie życzyła; musiałam poza tym ustalić, co tak rozzłościło dziecko z drugiej klasy, że aż umyślnie porwało na strzępy książkę z biblioteki. Po tylu kryzysowych nocach trudno mi trzeźwo myśleć. Gdy skręcam w naszą ulicę, zaczyna padać i mój kiepski nastrój się pogarsza. Widzę, że Evelyn tkwi w oknie na swoim krześle. Brzydka pogoda sprawia, że ściemnia się szybciej, ale w mieszkaniu Evelyn nie pali się żadna lampa. Macham w jej stronę, ale staruszka nie odpowiada. Zmęczenie sprawia, że nie myślę jasno. Chcę tylko przekonać Jamiego, by zamówił coś do jedzenia, i walnąć się przed telewizorem, żeby obejrzeć kolejny odcinek *The Affair*.

Na widok sierżanta Byrnese przy naszym kuchennym stole zamiera mi serce. Policjant wita mnie na stojąco. Ma na sobie ten sam beżowy prochowiec co poprzednio, zaplamiony z przodu, chyba jakimś brunatnym sosem. Przed Byrnesem stoi ukruszony kubek, który powinniśmy wyrzucić wiele lat temu. Aż trudno mi uwierzyć, że Jamie dał mu akurat ten.

Jamie odsuwa krzesło, na jego twarzy widać ulgę.

– Przekazałem sierżantowi wszystko, co wiemy – mówi, zanim zdążę usiąść.

Zostawiam torebkę obok zajętego krzesła i zrzucam kurtkę.

W kuchni utrzymuje się nieznośny zapach mocno przyprawionego makaronu, który Jamie musiał ugotować sobie na lunch.

– To dobrze.

Patrzę na Byrnesa i pytam:

– Czy Jamie powiedział panu, że według nas mężczyzna z Lizard Point to ta sama osoba, która podawała się za Philipa Heywooda?

– Tak. Pani mąż udzielił mi wszelkich informacji. Próbujemy teraz ustalić, kto mógł dysponować kluczem do domu Heywoodów.

– Czy sądzi pan, że... – przełykam ślinę – ...popołniono tam morderstwo?

– Niestety, pani Hall, nie wolno mi tego ujawnić. Mogę tylko powiedzieć, że zbadano gorset i że nie należy on do pani Heywood. A krew nawet nie jest ludzka.

– Nie? Czyżby to krew... zwierzęcia?

– Tak. Podejrzewamy, że pozostawienie zakrwawionej rzeczy w ogrodzie było celowe, żeby panią wystraszyć. Próbujemy także wyjaśnić, czy ktoś mógł mieć osobisty motyw, czy chodzi raczej o perfidny żart. – Byrnes odchrząkuje i pyta: – Czy z państwa mieszkania cokolwiek zniknęło? Mam na myśli biżuterię lub inne wartościowe rzeczy. Czy coś państwo zauważyli?

Marszczę brwi.

– Nie, nic.

To była pierwsza rzecz, którą sprawdziłam, kiedy wróciliśmy z Kornwalii, mimo że nie posiadamy zbyt wielu cennych przedmiotów.

– I zmienili państwo zamki?

Kiwam głową.

– Gdy sąsiadka z góry ujawniła mi, że Philip Heywood, albo ten, którego uważaliśmy za Philipa Heywooda, nie zwrócił klucza.

– Świetnie. Jeśli tylko zdobędziemy nowe informacje, zawiadomię państwa. – Byrnes pochyla się w stronę Jamiego. – Dziękuję panu za uaktualnione zeznanie. Bardzo nam pan tym pomógł.

Jeśli sierżant nosiłby kapelusz, nie zdziwiłabym się, gdyby go uchylił na pożegnanie. Ten policjant sprawia wrażenie osoby o staroświeckich manierach, co dodaje mi otuchy.

Jamie odprowadza gościa, a ja z uśmiechem na ustach włączam czajnik. Po czym Jamie wpada do kuchni i pyta:

– Czyż to nie dobre wieści?

– Chyba nie było żadnych wieści. On po prostu, jak rozumiem, chciał dalszych informacji od ciebie.

– Zgadza się, ale sądzę, że on nam wierzy. Powiedział, że zamierza przesłuchać Evelyn, żeby potwierdziła informacje o odbiorze naszego klucza i opisała tego mężczyznę. Szczerze mówiąc, Libs, przez chwilę się bałam, że zostaniemy aresztowani za morderstwo albo coś podobnego.

Wybucham śmiechem, który tak naprawdę więźnie mi w gardle. Nie przestaję myśleć o tym, że ktoś unurzał damską bieliznę we krwi zwierzęcia, żeby nas przestraszyć.

Mija może dwadzieścia minut, Jamie zamawia jedzenie na wynos, a ja krzątam się w kuchni. Nagle słyszę energiczne stukanie do drzwi frontowych. Poprzez kuchenne okno dostrzegam beżowy prochowiec Byrnesa i widzę, że na głowę i ramiona policjanta pada ulewny deszcz. Przeklinam pod nosem, zdziwiona tak szybkim powrotem sierżanta. Czyżby Evelyn ujawniła mu coś, o co chce zapytać także nas? W za dużych kapciach i podomce człapię do drzwi. Przebrałam się, ledwo Byrnes wyszedł. Trochę mi głupio, bo czuję się w tym stroju gruba.

Otwieram i wpuszczam policjanta, który chowa się przed deszczem; wpada wtedy do domu trochę chłodu. Sierżant stoi w holu i mruży oczy, które wydają się jeszcze mniejsze pod grubymi szklami okularów.

– Przepraszam, że znowu państwa niepokoję, pani Hall, ale nie udało mi się porozmawiać z państwa sąsiadką. Bardzo długo pukałem i zauważyłem ją siedzącą w oknie. Pewnie jest zbyt przerażona, żeby otworzyć. Pomyślałem, że może mogłaby pani pójść tam ze mną. Może pani Goodwin otworzy, gdy panią zobaczy. Wiem, że niektórzy ludzie w podeszłym wieku nie chcą otwierać drzwi, kiedy robi się ciemno.

Tłumię westchnienie, sięgam po nieprzemakalny płaszcz, zrzucam kapcie i wsuwam na nogi kalosze. Nie mam czasu, żeby dać znać Jamiemu, dokąd idę. Dochodzimy z Byrnesem do drzwi mieszkania Evelyn.

Większość okien na całej ulicy jest oświetlona delikatnym blaskiem lampek i żyrandoli, ale to mieszkanie jest pogrążone w mroku. Dostrzegam sąsiadkę w oknie. Przechyliłam się przez poręcz, aby zapukać w szybę, uważając, żeby nie stracić równowagi i nie upaść na ostre szpikulce. Oczami wyobraźni widzę, jak ląduję z głuchym łoskotem pod naszym kuchennym oknem, a Jamie znajduje mnie na chodniku pod drzwiami sutereny, zwróconą twarzą w dół.

– Evelyn, to tylko ja! – wołam, ale moje słowa zagłusza dobiegający z pobliskiej głównej ulicy odgłos ruchu w godzinach szczytu.

– Kto mieszka nad panią Goodwin? – pyta sierżant Byrnes.

– Nikt. – Znowu stukam w szybę, starając utrzymać się na nogach. – To dwupiętrowy dom. Piwnicę, w której mieszkamy, przerobiono i sprzedano jako osobne lokum.

Dlaczego Evelyn nie reaguje? I dlaczego trzyma głowę na oparciu ulubionego krzesła?

– Ona już ledwo wchodzi po schodach, a mieszka tutaj ponad czterdzieści lat. – Odwracam się do policjanta, próbując stłumić niepokój, który sprawia, że ściska mnie w żołądku. – Chyba coś jest nie tak. Nie widzę dobrze, bo przeszkadza mi poręcz, ale ona chyba się nie rusza. Czyżby spała? Chociaż... w wieku osiemdziesięciu lat...

– Rozumiem. Będę musiał się włamać.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – Nagle słyszę Jamiego i widzę go stojącego na chodniku, wpatzonego w nas. – Zniknęłaś. A ja się niepokoiłem.

Powstrzymuję łzy cisnące mi się do oczu.

– Evelyn nie otwiera drzwi, Jay. Możesz przynieść zapasowy klucz?

Po Byrnesie widać ulgę, że nie musi się włamywać.

– Państwo dysponują kluczem? Dlaczego państwo mi o tym nie powiedzieli?

– Nie pytał pan.

Wymieniliśmy się zapasowymi kluczami, w razie gdyby Evelyn albo ktoś z nas nie mógł się wydostać ze swojego mieszkania. Oczywiście ona rzadko wychodziła.

Opatulam się płaszczem, by powstrzymać drżenie.

Jamie wraca po kilkunastu sekundach. Wbiega na schody, dołącza do nas; sprawnie obraca klucz w zamku, po czym ciężkie drzwi stają otworem. Wpadam za Jamiem do mieszkania, a tuż za mną policjant.

Nie muszę wchodzić do pokoju, wiem zawczasu, że Evelyn nie żyje. Mimo to biegnę w jej stronę i czuję, jak ogarnia mnie straszliwy smutek. Evelyn siedzi na swoim ulubionym krześle, u jej stóp leżą wydziergane żółte buciki dla niemowlęcia; swymi pięknymi niebieskimi oczami spogląda w pustkę i trzyma rękę na piersi, jakby w obliczu śmierci chciała, żeby jej serce nadal biło.

Prawie całą sobotę spędzam zapłakana w łóżku. Jamie nie może zrozumieć, dlaczego tak bardzo przejęłam się śmiercią Evelyn. Jak miałyby to pojąć, skoro stale przebywa wśród najbliższych, którzy go hołubią i kochają? On wie, co to znaczy być kochanym bezwarunkowo. Mnie od dawna brakuje takiej macierzyńskiej miłości – nie chodzi o to, że Evelyn mnie kochała, znałyśmy się raptem od dwóch lat, ale wiem, że troszczyła się o mnie i stała po mojej stronie. Była dla mnie kimś podobnym do babci, a teraz jej zabrakło.

Utkwiły mi w pamięci ostatnie słowa Evelyn. Dała mi do zrozumienia, że mój mąż nie zasługuje na zaufanie. Dlaczego to powiedziała? Znowu przychodzą mi na myśli kartki, które według Martina otrzymywała od Jamiego jego żona Anya. I sekret łączący go z Hannah. Do czego robiła aluzje Evelyn? Od razu odrzucam te domysły, ganię się za nielojalność wobec męża, za to, że w ogóle takie podejrzenie przyszło mi do głowy, ale ono ciągle podstępnie powraca i mnie dręczy. Zawsze byłam pewna, że mój mąż nigdy by mnie nie zdradził, że traktuje poważnie małżeńską przysięgę. Dla niego wszystko jest czarne albo białe, nie uznaje szarości. Chwilami mnie wkurza taką postawą, a jednak za to go kocham. Ale... czy nie mogłam się pomylić? Może jestem jedną z tych zaślepionych kobiet, które nie widzą nawet rzeczy dziejących się na ich oczach?

Czy wszystko, co nas teraz spotyka, ma związek z moim mężem? Jak brzmi to porzekadło? „Piekło nie zna furii takiej jak kobieta wzgardzona”². Kim wzgardził Jamie?

Myśl o tym, że mogłabym go stracić, boli, przyprawia mnie wręcz o mdłości. Nikt inny mi nie pozostał.

Jamie wchodzi z tacą, na której są herbata i tosty. „Czy byłoby go stać na tyle uprzejmości, gdyby miał romans?” – przekonuję samą siebie. Wewnętrzny głos podpowiada: „To poczucie winy każe mu podawać ci śniadanie do łóżka”. W zeszłym tygodniu czytałam książkę o kobiecie, która dowiaduje się, że jej mąż prowadzi podwójne życie; nie jest tym, kim się wydaje. To się zdarza zbyt często; takie historie można znaleźć

w gazetach i brukowcach, opatrzone krzykliwymi tytułami: „Kochanek szuja”, „Kochanek zdrajca” itp.

A Jamie już ukrył przede mną to i owo.

Po pierwsze, pożyczkę od matki. Nie przypuszcza, że o tym wiem, ale podsłuchałam ich cichą rozmowę. Bez jej pomocy nie rozkręciłby własnego biznesu. I do tej pory nie rozumiem, dlaczego po prostu mi o tym nie powiedział. Pewnie duma mu nie pozwoliła. Poza tym dobrze wie, że nie dopuściłabym, abyśmy byli zadłużeni u jego matki.

– Czy wszystko u ciebie w porządku, Libs? – pyta Jamie i stawia tacę na moim brzuchu, jakbym leżała w szpitalu; sam siada na brzegu łóżka. – Tak mi przykro z powodu śmierci Evelyn.

Z kącika oka wemyka mi się łza, którą ocieram chusteczką wyjętą z rękawa piżamy. Jako dziecko ciągle kichałam z powodu kataru siennego, więc mama kazała mi zawsze nosić przy sobie chusteczki. Ten zwyczaj, który został mi do dziś, w jakiś dziwny sposób przypomina mi o mamie, o jej troskliwości, którą mi po swojemu okazywała.

– Dziękuję – mówię do Jamiego, wskazując tacę ze śniadaniem i mnąc mokrą już chusteczkę, która zaczyna się rozpadać między palcami.

Jamie otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamyka je bez słowa. Znam jego myśli – przypuszcza, że boleję nie tylko nad odejściem Evelyn, ale także nad stratą mojej matki. Wyczuwam, że znowu rozważa, czy nie zaproponować mi wizyty u psychologa.

Sponad kubka, z którego upijam trochę płynu, taksuję go wzrokiem. Jamie przeciera oczy. Jego jasne włosy są wilgotne, bo przecież padało. Wydaje mi się zabójczo przystojny; ma na sobie stary T-shirt z nadrukiem zespołu Primal Scream i dżinsy. Chciałabym go pocałować, ale coś mnie powstrzymuje. Jamie obdarza mnie uśmiechem, niestety mało przekonującym, raczej nieszczerym.

Odstawiam herbatę.

– O co chodzi? Co się stało?

Uśmiech Jamiego znika.

– Mamy za sobą kilka stresujących tygodni, więc nie chciałem cię dodatkowo martwić – mówi ze spuszczoną głową, patrząc na swoje kolana; dostrzegam wtedy w jego ręce wydruk bankowy ze stanem konta. – Ale obaj z Byrnesem doszliśmy do wniosku, że odpowiedzialność za otwarcie kont katalogowych na twoje nazwisko i za te wkurzające broszurki i pisma, które otrzymujesz, ponosi jedna i ta sama osoba.

Złości mnie, że Jamie wolał skonsultować się z Byrnesem, zamiast najpierw porozmawiać o tym ze mną. Czubki moich palców drżą, ledwo opieram się pokusie wyrwania mężowi koperty z wydrukiem.

– Co tam jest?

W głosie Jamiego słyszę napięcie.

– Nasze wspólne konto zostało wyczyszczone. Na domiar złego ktoś wyrobił kartę kredytową z limitem na aż cztery tysiące funtów, posługując się twoim nazwiskiem, i wydał wszystkie pieniądze.

Opadam na poduszki ze łzami w oczach.

– O Boże.

– Otóż to. Na szczęście nasze konto nie było wtedy zbyt zasobne. Zniknęło tylko siedemset funtów.

– Tylko?!

– Mogło być gorzej.

– A co z kartą kredytową?

– To trochę trudniejsza sprawa. Będziemy musieli udowodnić, że to nie ty ją wyrobiłaś. Oni byli w posiadaniu wszystkich twoich danych. Znali numer polisy ubezpieczeniowej. I numery kont.

Odsuwam tacę, bo nagle straciłam apetyt, wyskakuję z łóżka i wkładam podomkę.

– Jamie, kto nas tak urządził? Kto włożył w to tyle trudu?

– Ktoś naprawdę świrnięty – mówi Jamie ponuro. – Znasz kogoś takiego, Libby? Ze swojej przeszłości?

– A ty znasz? – atakuję go z wypiekami na policzkach.

– Mam na myśli tamtą pierwszą przesyłkę, Libby. Dostałaś plecak. Czy on ma jakieś znaczenie?

– Dlaczego? Dlaczego to musi mieć coś wspólnego ze mną? Może to wszystko dotyczy ciebie. Może to sprawka kobiety, którą wzgardziłeś... Parę takich pewnie by się znalazło, co?

– Znowu to samo... – mamrocze Jamie. Zrzedła mu mina. – Dlaczego mi nie wierzysz?

Moja złość ulatnia się tak szybko, jak się pojawiła.

– Przepraszam – mówię, podchodząc do niego. – To po prostu nie ma sensu, Jay. Nic tu nie ma sensu.

Czy ktoś obmyślił tę całą zamianę po to, by się dostać do naszego mieszkania, pogrzebać w naszych rzeczach i wykraść tyle danych, żeby móc wyrobić kartę kredytową na moje nazwisko? Czytałam w różnych

gazetach artykuły o wymyślnych fortelach takich oszustów. Ale dlaczego wybrano nas? Dlaczego nie kogoś z większych domów przy tej samej ulicy? W Bath jest o wiele więcej domów o większej wartości, jak choćby ten Martina i Anyi. Dlaczego wybrano nasze mieszkanko w suterenie?

Chyba że *faktycznie* chodziło o nas?

Jamie składa na moich ustach pocałunek. Niedbale, nie z miłości. Dlaczego odnoszę wrażenie, że to, co się dzieje, oddala nas od siebie, a nie zbliża? Jamie wstaje i rozprostowuje swoje długie nogi.

– Śmierć Evelyn tobą wstrząsnęła, pomogę ci przeboleć tę stratę. Będzie dobrze.

Wzrusza mnie jego optymizm, jakby odnalazł się tamten dawny Jamie, który gdy się poznaliśmy, niczym ratownik tchnął nowe życie w załamana i bezbronną dziewczynę z takim bagażem doświadczeń, że gdyby można było zamienić go na prawdziwy bagaż, wystarczyłby na całoroczną podróż po świecie. Nie umiem połączyć tego Jamiego z człowiekiem, przed którym ostrzegła mnie Evelyn, który coś ukrywa, kłamie i w dodatku może być uwikłany w romans z zameźną sąsiadką. W końcu wszyscy mamy złożone osobowości, czyż nie? Być może wszystkie te cechy współtworzą osobowość mojego męża, a ja dopiero teraz to sobie uświadamiam.

Słyszę, jak Jamie hałasuje w kuchni, opróżnia zmywarkę, odkłada zastawę stołową i odstawia szklanki. Przeważnie muszę mu przypominać, że trzeba wyjąć rzeczy ze zmywarki. Jamie ewidentnie potrzebował jakiegokolwiek zajęcia, a ja odsuwam od siebie wszelkie nielojalne podejrzenia, które każą mi myśleć, że robi to z poczucia winy.

– Znikam, Libs! – woła do mnie Jamie z kuchni. – Za kilka godzin wrócę. Do zobaczenia.

Zanim zdążę zareagować, słyszę trzaśnięcie drzwiami. Dokąd on się wybiera? Pędzę do okna w kuchni, podnoszę żaluzje, ale nie dostrzegam śladu jego obecności na pustym, mokrym od deszczu chodniku. Ziggy skomle; odwracam się i widzę, jak leży na drewnianej podłodze, rozżalony, z głową złożoną między łapami i patrzy na mnie swoimi wielkimi brązowymi ślepiami. Jamie na ogół zabiera Ziggy'ego, gdy wychodzi z domu. Kucam przy psie, żeby go uspokoić.

– Ja cię zabiorę na spacer. Pozwól mi tylko wziąć szybki prysznic – mówię, całując puszysty łeb i wdychając psi zapach, który jest dla mnie pocieszeniem.

Już mam wracać do sypialni, kiedy widzę laptopa Jamiego leżącego na kuchennym stole. Jamie zwykle trzyma go w gabinecie. I w weekendy pracuje bardzo rzadko. Jego firma jest na rynku od niedawna i nie ma jeszcze zbyt wielu klientów. Kilka wieczorów temu mój mąż nawet narzekał, że wycofali się dwaj potencjalni klienci, którzy postanowili pójść „inną drogą”, przez co Jamie ma mniej pracy. Był zmartwiony tą sytuacją, wywnioskowałam to ze zmarszczek na jego czole, kiedy opowiadał mi o tym z pozorną obojętnością, siedząc z wyciągniętymi nogami i laptopem na kolanach. Zdradził go głos, w którym słychać było panikę. Nie zastanawialiśmy się wtedy, jak sobie poradzimy pod względem finansowym.

Nie wiem, co mnie podkusiło. Dawniej nie ważyłabym się nawet o czymś takim pomyśleć. Może to przez ostatnie słowa Evelyn, które ciągle mam w pamięci. Otwieram laptopa. Na tapecie jest nasze wspólne zdjęcie z Ziggyem wciśniętym między nas, obejmujemy go za kark. Zdjęcie zrobiono latem ubiegłego roku, na kilka tygodni przed naszym ślubem, w ogrodzie mamy Jamiego. Mam takie samo w telefonie. Oboje jesteśmy opaleni; ciemną grzywkę, kontrastującą z ciemnoblonde czupryną Jamiego, przesunęłam trochę na bok, nasze oczy promienieją szczęściem, uśmiechamy się od ucha do ucha, zakochani; puszysty łeb Ziggy’ego niemal dotyka naszych podbródków. W gardle czuję gulę. Zamykam laptopa. Co mnie napadło? Nie mogę szpiegować własnego męża.

Ciszę zakłóca stukanie. Ziggy podrywa się i zaczyna głośno szczekać. Podchodzę do drzwi i tylko je uchylam, uświadomiwszy sobie, że jestem jeszcze w podomce. Mam przed sobą przystojnego mężczyznę w wieku dwudziestu kilku lat.

– Słucham?

– Szukam Jamiego Halla – mówi nieznajomy z cudzoziemskim akcentem, którego nie rozpoznaję.

– Chwilowo go nie ma. W czym mogę pomóc?

Coś mnie irytuje w zachowaniu tego człowieka: jest zarozumiały, arogancki, zbyt się ze mną spoufała.

– Powiedział, że będzie tu na mnie czekał. Ale nie mówił nic o trójkątku.

Wzrok mężczyzny biegnie ku moim gołym nogom, jakby wzdłuż niewidzialnej linii, po czym zatrzymuje się tam, gdzie welurowa podomka dotyka łydek.

– O czym pan mówi?

– Było ogłoszenie... – wyjaśnia, marszcząc brwi, i nagle, speszony, ciszej pyta: – Czy tu można uprawiać seks?

Z łomoczącym sercem zatrzymuję facetowi drzwi przed nosem. Seks? Po południu? W biały dzień?

– Ty dziwko! – słyszę dobiegający zza drzwi krzyk mężczyzny, a chwilę później odgłos kopnięcia w drewno.

Ziggy zaczyna wściekle szczekać.

– Jeśli pan zaraz nie odejdzie, wezwę policję! – odkrzykuję i uciekam do kuchni, aby zobaczyć, czy mężczyzna wraca na chodnik. Widzę, jak facet zatrzymuje się na chwilę na szczycie schodów, po czym idzie dalej, udając, że nie zaszło nic niestosownego.

Powtarzam sobie w myślach słowa Evelyn. „Widziałam... mężczyzn. Różnych. Kręcili się pod domem. Nic nie robili. Jakby na coś czekali...”. Otwieram laptopa Jamiego, odnajduję w Google’u jego nazwisko i już się domyślam, co odkryję. Przeglądam informacje o wielu mężczyznach o tym nazwisku, aż w końcu trafiam na tego, który mnie interesuje. Z wrażenia zbiera mi się ślina w ustach, kiedy klikam i wchodzę na szokującą pornograficzną stronę internetową z ofertą usług, jakie świadczy Jamie.

Chodzę po mieszkaniu tam i z powrotem, nie mogę się uspokoić. W końcu dzwonię do Jamiego, który jednak nie odbiera. Gdzie on się, do cholery, podziewa?

Znajduję sobie zajęcie, żeby stłumić niepokój. Biorę prysznic, ubieram się i wyprowadzam Ziggy'ego na spacer obok domu, w którym mieszkają Anya i Martin. Jest sobota, a Jamie zniknął tak pośpiesznie, że w moich myślach musiał pojawić się cień podejrzenia. Czyżby Martin oskarżył go niebezpiecznie? Przecież nie ma dymu bez ognia. A może Anya i Jamie są akurat razem? Gdy dochodzę do tamtego domu, widzę, że Anya jest na podjeździe i wyrywa mleczkę z ogródka od strony ulicy. Samochodu Martina nie widać. Nawet pieląc, Anya wygląda wspaniale: dostrzegam chustkę wokół jej ciemnych włosów i obcisłe dzinsy, które podkreślają jej urodę. Waham się, czy wejść. Czy znajdę w sobie odwagę, by się odezwać? Zapewne wyczuwając moją obecność, Anya wstaje, odwraca się i zdziwiona otwiera szeroko oczy na mój widok.

– W czym mogę pomóc? – pyta, wychodząc mi naprzeciw.

Jej głos jest spokojny i opanowany, ale w oczach widzę czujność. Na rękach ma ogrodnicze rękawiczki z ładnym kwietnym wzorkiem. Próbuje odgadnąć jej wiek. Nie może mieć więcej niż trzydzieści lat. Jej postawa, świadcząca o pewności siebie, przywołuje mi na myśl niektóre matki ze szkoły. Czuję, że się czerwienię.

– Hm... Jestem Libby. Żona Jamiego Halla.

Coś jej świta.

– Ach tak. Rozumiem.

– Właściwie... nie sędzę, żeby pani rozumiała. Czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać?

Anya marszczy brwi i spogląda na Ziggy'ego z obawą, że pies zabrudzi jej trawnik przed domem. Na jej ustach dostrzegam czerwoną szminkę, która uwydatnia oliwkową karnację. Anya kojarzy mi się z Nicole Scherzinger.

– Chyba nie mamy o czym. Nie uważa pani?

– Mój mąż nie wysyłał do pani tych kartek! – wykrzykuje.

Sama nie wiem, dlaczego koniecznie muszę jej to powiedzieć – może przemawia przeze mnie duma. I nie chcę, żeby myślała, że mój mąż się w niej zadurzył.

– Nie rozumiem, dlaczego pani sądzi, że to on je przysłał...

Anya uśmiecha się z lekką ironią.

– Pewnie dlatego, że je podpisał – odpowiada.

– Jak? Imieniem i nazwiskiem? Czy dodanie nazwiska nie wydało się pani trochę dziwne?

Anya nie daje się przekonać; można by pomyśleć, że często otrzymuje kartki z romantycznymi aluzjami i miłosne liściki od stęsknionych wielbicieli.

– Czy pani w ogóle zna Jamiego? – pytam obcesowo. Czuję, jak zaschło mi w gardle, i czekam na jej reakcję.

Ziggy szarpie smycz. Głaszczę go, żeby się uspokoił.

Anya taksuje mnie wzrokiem, widzę jej oczy podkreślone kredką. Kręci głową.

– Nigdy nie rozmawialiśmy – przyznaje – poza zdawkowym „dzień dobry”.

Całą sobą czuję ulgę. Dzięki Bogu.

– Ale – dopowiada Anya – widywałam go tu i ówdzie. Czarujący facet...

Czeka na moją reakcję. Nie przestaje atakować.

– Otóż naszym zdaniem dopuszczono się wobec nas jakiegoś oszustwa. Policja prowadzi śledztwo w tej sprawie. Zgodziliśmy się na zamianę domów. Potem zginęły nam różne przedmioty i dzieją się dziwne rzeczy. Chciałam... – Serce bije mi tak mocno, że urywam. – Chciałam tylko, żeby pani była tego świadoma.

Anya wzrusza ramionami.

– W porządku. – Przekłada sekator z ręki do ręki i po chwili pyta: – Czy to wszystko?

Unosi swoją perfekcyjną brew. Obie są tak doskonałe, że zdają się wytatuowane.

– Tak... dzięki... – bąkam.

– Świetnie. Miło było panią poznać – mówi Anya, po czym obraca się na pięcie w swoich butach na obcasach (naprawdę wkłada takie do pracy w ogródku) i odchodzi, krocząc dumnie przez podjazd do domu.

Wracam do mieszkania zaledwie pół godziny przed przyjściem Jamiego. Na jego twarzy zauważam brudną smugę i ciemne plamy na kolanach

dżinsów. Co on robił?

– Gdzie byłeś? Dzwoniłam na komórkę, ale nie odebrałeś.

Jamie unika mojego wzroku. Włącza czajnik i opiera się o blat, zajęty telefonem.

– Pomagałem znajomemu. Dlaczego pytasz?

– Ktoś tu był pod twoją nieobecność. Mężczyzna. Pytał o ciebie. O seks z tobą...

Jamie unosi głowę tak raptownie, że aż wygląda to śmiesznie.

– Co takiego?

– Tak, dobrze usłyszałeś. Liczył na seks z tobą. Później zrozumiałam dlaczego.

Podnoszę pokrywę laptopa. Na ekranie widnieje strona pornograficzna. Jamie podbiega, cały błady. Strona jasno i wyraźnie reklamuje usługi biseksualnego mężczyzny nazwiskiem Jamie Hall, który jest „gotów na wszystko z osobami obojga płci, zwłaszcza na seks sadomasochistyczny z krępowaniem”. Na załączonym zdjęciu Jamie wygląda bardzo młodo i atrakcyjnie, jest w dżinsach i białej koszuli. Miał wtedy pewnie dziewiętnaście lat. *Hannah*. Fotografia pochodzi z okresu, kiedy byli razem. Czy to ona założyła tę stronę? Natychmiast odrzucam tę myśl. *Hannah* kocha Jamiego. Po cóż miałyby robić coś tak okropnego?

– Nigdy nie widziałem tej strony, przecież wiesz – mówi Jamie i chwyta brzeg stołu, jakby chciał przy nim zacumować.

– Wiem oczywiście – odpowiadam. Jak mógł pomyśleć, iż mam wątpliwości?

– Skąd oni mają moje zdjęcie? – Jamie kręci głową. – To nie do wiary, że zjawił się tutaj jakiś facet. Chryste Panie, Libs, mogło ci się coś stać.

Odwraca się do mnie ze strachem w oczach. Przykro mi widzieć go w takim stanie. Zwykle to ja się boję, nie on.

– W tej chwili raczej nie powinniśmy tu przebywać.

Wzdycham. Myślę tak samo, odkąd pojawił się tamten facet. Wpisałam w Google’u swoje nazwisko, ale nic nie znalazłam, co jednak nie oznacza, że gdzieś w sieci nie ma mojej seksualnej oferty.

– Dokąd mielibyśmy się przenieść? Na pobyt w hotelu nas nie stać. Zwłaszcza teraz.

– Chyba powinniśmy wprowadzić się do mojej mamy. Na krótko...

Jestem załamana.

– Albo zamieszkajmy w domku dla gości w głębi ogrodu – proponuję, bo taki pomysł odpowiada mi o wiele bardziej niż perspektywa zamieszkania z Katie i Sylwią, mimo że ich dom jest bardzo przestronny.

Na twarzy Jamiego pojawia się rumieniec.

– Ale tam przebywają chwilowo Hannah i Felix. Nie było jej stać na dalsze wynajmowanie poprzedniego lokum... Nie patrz na mnie takim wzrokiem, Libby.

Staram się powstrzymać gniew.

– Jak to?

– Hannah ma kłopoty finansowe. Prosiła mnie, żebym właśnie tego ci nie ujawniał. Ona jest zakłopotana swoją sytuacją. Jej były mąż uchyla się od płacenia alimentów na dziecko, a Hannah pracuje tylko na pół etatu w agencji nieruchomości. Nie zarabia zbyt dużo. Nie było jej stać na wynajem. I dlatego... starałem się jej pomóc.

– Finansowo? My sami nie mamy wielkich pieniędzy, Jamie.

Słyszę jego westchnienie.

– Wiem. Ale obiecałem, że porozmawiam z mamą. I zgodziła się, żeby Hannah zajęła starą wozownię za darmo.

– Ze strony Sylvii to niesamowita hojność. Ale czemu mi o tym nie powiedziałaś?

– Bo wiedziałem, że to ci się nie spodoba.

– Czy takiej filozofii się trzymasz w naszym małżeństwie? Zatajasz fakty, które twoim zdaniem nie przypadną mi do gustu? Co jeszcze przede mną ukrywasz?

Jamie wodzi dłonią po twarzy i postępuje.

– Nie wdawajmy się od nowa w takie dyskusje... Mamy pilniejsze sprawy, ważniejsze powody do zmartwień. Choćby tę cholerną stronę internetową z moim nazwiskiem i naszym adresem.

– Po prostu zadbaj o to, by zniknęła – syczę. – Jesteś informatykiem. Nie wątpię, że znajdziesz sposób.

Tak energicznie odsuwam krzesło, że upada z wielkim hałasem na podłogę. Oboje patrzymy na nie zaskoczeni. Chciałabym uciec, ale Jamie stoi obok i ujmuje moją rękę.

– Proszę cię, Libs...

Wybucham płaczem.

– To koszmar, Jamie. Czuje się jak w koszmarnym śnie.

Jamie mnie przytula.

– Wiem.

– I Evelyn nie żyje. – Szlocham, wtulając się w jego T-shirt. – Trudno mi uwierzyć w jej śmierć.

W tej samej chwili przychodzi mi coś na myśl. Odsuwam się od Jamiego. Jego T-shirt na wysokości szyi jest mokry od moich łez.

– Czy właśnie tam byłeś przed południem? Żeby pomóc Hannah w przeprowadzce?

Jamie kiwa głową, ma głupią minę.

– Zostawiłeś mnie tutaj, zapłakaną z powodu śmierci Evelyn, żeby pomóc Hannah w przewożeniu jej rzeczy?

– Przepraszam. Obiecałem jej to wcześniej, zanim umarła Evelyn. Zniknąłem tylko na parę godzin. Potrzebowała trochę pomocy przy przenoszeniu najcięższych rzeczy.

– Nie mogła zamówić furgonetki z firmy zajmującej się przeprowadzkami?

– Nie stać jej na to.

– Szkoda, Jay, że mi nie powiedziałaś. Ja też mogłam pomóc. Ale to pewnie nie byłoby po jej myśli... Hannah chce cię całego dla siebie.

Na twarzy Jamiego maluje się zawstydzenie.

– Taki ze mnie głupek... Libby, bardzo cię przepraszam. Powinienem był ci powiedzieć. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem. Miałem taki zamiar, ale zmarła Evelyn, a ty masz aż nadto problemów. Pomyślałem...

Podnoszę krzesło z podłogi i opadam na nie. Zwymyślałabym go, ale jestem tak zmęczona, że tylko jeszcze mocniej kulę się na siedzeniu. Czy warto się teraz o coś takiego kłócić? Jamie ma rację, są pilniejsze sprawy, którymi trzeba się zająć. Choćby ta strona w sieci.

– Co zrobisz w tej sprawie? – pytam, wskazując stronę porno wciąż widoczną na ekranie.

Jamie siada przy mnie.

– Ktoś musi nas naprawdę nienawidzić, Libs, jeśli zadaje sobie tyle trudu. To mnie przeraża najbardziej.

Podajemy decyzję o przeprowadzce do Sylvii następnego dnia. Nie jestem zachwycona tym pomysłem, ale zgadzam się z Jamiem, że jednak jest najlepszy. Dopóki ten koszmar się nie skończy.

Z ciężkim sercem pakuję do walizki trochę ubrań i innych rzeczy osobistych. Po wczorajszej słonecznej pogodzie nie ma śladu, deszcz dzwoni o szyby. Ziggy się kręci, chce się wysikać.

– Nie mam ochoty wyprowadzać psa w taką pogodę – mówi Jamie, obserwując ulewę przez okno w sypialni. – Jeszcze jeden cholerny kwietniowy prysznic.

– Zabierz go do ogródka Evelyn – podpowiadam.

Z naszego okna widać ten ogródek. Evelyn proponowała kiedyś, abyśmy wyprowadzali tam Ziggy’ego, ale nie przyjęliśmy jej oferty. Uznaliśmy, że byłoby to nie fair, mimo że ogródek jest brzydki, pełen chwastów i zarośli.

– Czy twoim zdaniem Evelyn nie miałaby nic przeciwko?

Do oczu cisną mi się łzy. Nie mogę się pogodzić z tym, że już jej nie ma tam, nad nami, i nie robi na drutach, siedząc na swym ulubionym krześle. Wyjmuję z rękawa chusteczkę i kręcę głową; w gardle czuję łzy.

– Szybko go wyprowadzę, żeby nie nasikał na dywan – mówi Jamie ze smętnym uśmiechem.

Jamie przywołuje psa i słyszę odgłos zaczepiania smyczy na obroży, a później także dźwięk otwierania i zamykania drzwi. Składam odzież, obliczając, ile czasu spędzimy poza domem. Wtem dociera do mnie szczekanie Ziggy’ego. Podnoszę wzrok. Widzę męża i psa, dlatego stukam w szybę i do nich macham. Ogródek jest na poziomie sutereny, przez co Evelyn mogła tam wchodzić tylko z wyżej położonego patio obok swojej kuchni albo przez boczną furtkę na dole. Sensowniejsza byłaby sprzedaż ogródka razem z mieszkaniem w suterenie, ale wywindowałyby to cenę i już nie moglibyśmy sobie pozwolić na takie lokum.

Co się stanie z mieszkaniem Evelyn po jej śmierci, kto je kupi? „Nowi sąsiedzi to nie będzie to samo” – myślę z pewnym smutkiem, obserwując Ziggy’ego, który hasa na mokrym trawniku. Jamie stoi zwrócony do mnie plecami, na głowie ma kaptur. W zielonej parce wygląda jak student. Potrzebujemy ogrodu. Dotykam brzucha. Okresy są tak nieregularne, że nie śmiem liczyć na ciążę, ale mdłości i wyczulenie na zapachy sprawiają, że postanawiam zrobić test. Czy powinniśmy rozważyć wystawienie naszej sutereny na sprzedaż? Jeśli w grę weszłaby także sprzedaż mieszkania Evelyn, ktoś mógłby kupić cały budynek i z obu mieszkań zrobić dom, jaki istniał tu kiedyś. A gdybyśmy wyprowadzili się nieco dalej od Bath, byłoby nas pewnie stać na domek z ogródkiem w cenie mieszkania w mieście. Oznaczałoby to dłuższe dojazdy rano, chyba że zmieniałabym szkołę. Tak czy inaczej to byłby nowy początek, mielibyśmy również ogród dla psa i ewentualnie dla dziecka. Warto się nad tym pochylić.

Z zamyślenia wyrywa mnie dochodzący z zewnątrz krzyk. To Jamie, w jego głosie słyszeć panikę. Pędzę do okna. Jamie stoi na skraju ogrodu, jest sam, po kolana w chwastach. Pochyliła się, jakby był zdyszany. Ziggy waruje obok i patrzy na coś. Co się dzieje z moim mężem? Czy znowu jest chory? Biegnę do holu, wkładam kalosze i okrążam budynek, aby dotrzeć do ogródka; deszcz błyskawicznie moczy mój T-shirt z długim rękawem, który przywiera mi do ciała.

– Jamie!

Jamie podnosi się, wymachując rękami.

– Nie podchodź! Zostań tam, gdzie jesteś! – krzyczy przerażony.

Oczywiście nie słucham. Żałuję, że nie posłuchałam...

Brnę przez mokre listowie, żeby dołączyć do męża, i widzę wśród chwastów ludzkie ciało, niemalże ukryte w długiej mokrej trawie, ale nie wątpię, że to mężczyzna. Leży zwrócony usianą płamami twarzą w bezbarwne niebo, jego oczy są otwarte, nieruchome. Na głowie nie ma nakrycia, w okolicy skroni widać ranę; krótkie ciemne włosy skleiła krew. Chociaż górna część jego ubrania jest zabłocona, rozpoznaję polar. Zakrywam usta dłonią i chwytam Jamiego za rękę, bo uginają się pode mną nogi.

Jamie i ja siedzimy oniemiały na przeładowanej poduszkami sofie w domu Sylvii, trzymając kubki herbaty, które mama mojego męża nam wcisnęła, ledwo się pojawiliśmy. Słysząc tylko tykanie wielkiego stojącego zegara i powiew wiatru, który sprawia, że w oknach drżą nawet szybki w ołowianych ramach. Hannah siedzi na drugiej sofie, obok Sylvii i Katie. Wszystkie trzy utkwily w nas oczy, okrągłe z przerażenia. To niemal zabawne widzieć identyczny wyraz na ich twarzach – opadnięte szczęki, uniesione brwi, blada skóra.

Ściany, pomalowane na błękitnozielono, działają, o dziwo, uspokajająco, podobnie jak hipnotyczne tykanie zegara. Drżenie w końcu mi przeszło i siedzę teraz otępiała. Ziggy ułożył się na moich stopach niczym futrzane kapcie.

– Czy policja wie, kto to jest? – pyta wreszcie Sylvia i wstaje, żeby zaciągnąć ciężkie zasłony.

– Jeszcze nie – odpowiada Jamie.

Ich głosy dochodzą niejako z oddali, jakby byli w pokoju obok.

– I domyślam się, że nie wie także, jak długo on tam leżał...

Wyczuwam, że Jamie wzrusza ramionami.

Pochyliłam się w stronę szklanego blatu stolika do kawy, żeby odstawić kubek, świadoma, iż ręce ciężą mi tak bardzo, że nawet błaha czynność wymaga ode mnie ogromnego wysiłku.

– Chyba się położę – oznajmiam, po czym niepewnie wstaję.

Ziggy podskakuje, żeby ruszyć za mną, jakby był zadowolony, że wyrwie się z przytłaczającej atmosfery.

Wychodząc, czuję na sobie wzrok obecnych. Słyszę za plecami głośny szept Sylvii:

– Biedaczka, jest jeszcze w szoku, dwa trupy w ciągu dwóch dni. Nieprędko się z tego otrząśnie.

Mimo że pokój gościnny jest czysty i zadbane, pachnie w nim stęchlizną, czuć zastane powietrze. W rogu stoi pomalowana białą farbą toaleta, na oknach wiszą bladozielone zasłony w kwiecisty wzór. Nie rozbierając się, wpełzam pod zimną białą pościel. Marznę, czuję się tak, jakby dopadła mnie grypa. Nie ma nawet dziewiątej, a ja nie chcę już nikogo oglądać.

Wolę zamknąć oczy i pogрузić się w głębokim śnie, dającym zapomnienie, w którym nie będę widziała spokojnej twarzy zmarłej Evelyn ani wytrzeszczonych, bezbarwnych oczu tamtego mężczyzny, ani rany z boku jego głowy.

Przez kilka pierwszych minut Jamie i ja zamarliśmy, niezdolni do działania, patrzyliśmy jedynie na martwego mężczyznę, zapomniawszy o lejącym deszczu, który moczył nam ubrania, i o Ziggym czuwającym spokojnie obok nas. Poniekąd liczyłam, że mężczyzna zerwie się na równe nogi i oznajmi, że to tylko głupi żart. Ale oczywiście tak się nie stało. Wokół panowała osobliwa cisza i spokój, nawet deszcz padał bezszelestnie, jak gdyby świat patrzył z zapartym tchem, ciekaw, jak się zachowamy.

Jamie otrząsnął się pierwszy: wyjął komórkę i wezwał policję. Niespełna dziesięć minut później pojawili się dwaj policyjni detektywi. Wyjaśnianie im całego ciągu wydarzeń potrwało kilka godzin. Musieliśmy powtarzać bez końca szczegóły historii o ulotce i zamianie mieszkań, przedstawiliśmy nasze domysły, że zmarły może być człowiekiem z Lizard Point i Kryjówki; kazano nam też opowiedzieć o wszystkim, co się działo, odkąd wróciliśmy do siebie. Jamie powtarzał śledczym, żeby skontaktowali się z sierżantem Byrnesem, funkcjonariuszem policji hrabstw Devon i Kornwalia.

– On zna całą sprawę – zapewniał Jamie.

– Zadzwoń do niego – obiecał posterunkowy Gardener, młody, bojowo nastawiony i niezbyt życzliwy policjant.

Zerknąwszy na walizkę, którą położyłam na łóżku, uznał, że jesteśmy współczesnymi sobowtórami Bonnie i Clyde'a planującymi ucieczkę o północy. Wreszcie, po telefonicznej rozmowie z Byrnesem, pozwolili nam odjechać do Sylvii, wcześniej jednak wzięli od nas dokładne namiary, żeby wiedzieć, gdzie mogą nas znaleźć.

Opuściłam mieszkanie z ulgą. Gdy wyruszaliśmy naszym mini, tylko raz obejrzałam się na budynek, w którym spędziliśmy tyle szczęśliwych chwil, gdzie Evelyn przeżyła ponad czterdzieści lat, a który teraz stał ciemny i porzucony, z powiewającą na wietrze policyjną taśmą.

Mijają kolejne dni. Jamie pracuje w ogrodzie zimowym w domu Sylvii, a ja z ulgą wróciłam do szkoły, chociaż matka mojego męża radziła mi wzięcie kilku dodatkowych dni zwolnienia, abym się całkiem otrząsnęła z szoku. Ale ja chcę, *muszę* znów rzucić się w wir pracy i przestać zadrećcać się tym, co zaszło. Czuję, że Sylvia obserwuje każdy mój ruch wzrokiem pełnym dezaprobaty; wiem, że jest zawiedziona moją niechęcią do

„przepracowania” smutku i lęków. Rozczarowuję ją, bo wolę stłumić te odczucia.

W środę zostaję wezwana do gabinetu pani dyrektor. Felicity Ryder jest zasadniczą kobietą, dwadzieścia lat starszą ode mnie; jej błękitne oczy zdobią surową twarz. Ciemnorude włosy pani Ryder są tak sztywne, że ani drgną, kiedy się porusza. Często się zastanawiam, ile lakieru do włosów potrzebuje ta kobieta, żeby tak utrwalić fryzurę. Ale gdy pani Ryder się uśmiecha, następuje przemiana: spod surowej fasady spogląda na rozmówcę ciepła i dowcipna osoba.

– Proszę cię, Libby, usiądź – mówi do mnie zza biurka.

Pani Ryder ma zwyczaj gubienia okularów, nosi je więc na sznurku zawieszonym na karku. Przykłada okulary do twarzy, aby wczytać się w tekst, który ma przed sobą. Siadam naprzeciwko. Pani dyrektor unosi wzrok i przypatruje mi się przez dłuższą chwilę, jakby chciała mnie rozszyfrować. A potem zamyka oczy i wodzi dłonią po czole. Tyle razy widziałam taki gest, kiedy pani Ryder mówiła coś do nauczycieli albo rodziców, i nigdy nie był to dobry znak. Z zapartym tchem oczekuję dalszego ciągu.

– Miałam telefon od zaniepokojonego rodzica.

Już otwieram usta, by spytać o tożsamość tej osoby, ale pani dyrektor mnie ubiega.

– Jak wiesz, nie mogę ujawnić, kto dzwonił. Usłyszałam, że jesteś obecnie uwikłana w policyjne śledztwo i dlatego *ich* zdaniem twoja dalsza praca w szkole byłaby niestosowna.

Jakby mnie ktoś uderzył w twarz...

– *Ich* zdaniem?

– Tak, chodzi o kilkoro rodziców. Zdążyli ze sobą porozmawiać. Sama wiesz, jak jest.

Wiem oczywiście. Tak się składa, że raz po raz widuję na skraju boiska szkolnego pewną klikę matek. Te paniusie w rajstopach z lycry wymieniają się dyskretnie ploteczkami. Idę o zakład, że to o nie chodzi.

– Nie jestem uwikłana w żadne śledztwo. W moim ogrodzie znaleziono ciało. Ostatnio skusiliśmy się na zamianę mieszkań... – Unoszę ręce do góry i dopowiadam: – To bardzo długa historia. Nie wiem nawet, od czego zacząć.

Pani Ryder krzyżuje ręce na piersi i zerka na mnie zza okularów.

– Cóż, spróbuj jednak, Libby. Z mojego punktu widzenia ta sprawa nie wygląda za dobrze, a szkoła musi dbać o reputację.

– Jestem zawieszona! Ona mnie zawiesiła! – krzyczę, wchodząc do ogrodu zimowego, gdzie Jamie wystukuje coś na laptopie. Stoją przy nim trzy puste kubki. Ktoś pewnie dba o potrzebną mu dawkę kofeiny.

Jamie unosi wzrok.

– Co takiego? Z jakiego powodu?

– Skargi rodziców. Dowiedzieli się o znalezionym u nas ciele. Nie chcą, żebym uczyła ich dzieci, dopóki się wszystko nie wyjaśni i nie okaże, że nie miałam z tym nic wspólnego. – Opadam na krzesło, sama nie dowierzając swoim słowom. – A niech to, Jay. To może przekreślić moją karierę.

Czuję taką suchość w ustach, że ledwo przełykam ślinę.

Jamie zrywa się z miejsca i siada przy mnie. Ujmuje moją dłoń.

– Nie martw się, szybko się okaże, że nie masz nic wspólnego z tą historią, i będziesz mogła wrócić do pracy. Będzie dobrze.

– Albo popsuję sobie opinię. W tym naszym cholernym ogródku znaleźliśmy trupa! Raczej nikt nie posądziłby Evelyn... Gdyby nawet żyła. Doczekała osiemdziesiątki. O Boże...

Przyciskam ręce do piersi. Zapiera mi dech. Pozbawienie mnie możliwości uczenia jest jak oderwanie duszy od ciała. Zmieniłam swoje życie, aby uczyć. Mój zawód mnie określa. Dla dobra tej szkoły zrobiłabym wszystko. Bez wahania naraziłam się na niebezpieczeństwo, żeby ocalić dziecko. Mówiono, że jestem bohaterką. Chciano mi wręczyć jakąś niepotrzebną nagrodę, której nie przyjąłem, żeby nie prowokować dalszego zainteresowania swoją osobą. A teraz to. Bez możliwości uczenia nie będę wiedziała, kim jestem.

Zastanawiam się, czy tak wygląda zawał – on przecież uśmiercił Evelyn. Sierżant Byrnes zadzwonił do nas, kiedy uzyskał informację od policji hrabstw Avon i Somerset, która to potwierdziła. Czy tak właśnie się czuła, gdy dopadł ją zawał? Ścisnął ją boleśnie niczym w imadle? Serce wali mi jak młot, tak mocno, że zaczynam się bać nagłego zgonu.

– Nie mogę oddychać... – mówię i chwytam Jamiego za rękę. – Czuję ból w klatce piersiowej...

– Mamo! – woła Jamie. – Mamo, Libby!

Sylvia wbiega do pokoju i odpycha syna na bok.

– Włóż głowę między kolana. Nie, między kolana! – poucza, naciskając mi głowę. – Wdech nosem, wydech ustami... Jeszcze raz... O właśnie,

grzeczna dziewczynka.

Głos Sylvii działa kojąco, kiedy robię to, co mi każe; serce bije mi spokojniej, mrowienie w kończynach ustaje.

– Przepraszam – odzywam się, opadając na poduszki. – Nie wiem, co mi się stało.

Nad ramieniem matki Jamiego widzę pobladłą, zatroskaną twarz męża.

Sylvia poklepuje mnie po ręce, ale surowym tonem oznajmia:

– Miałaś atak paniki. Musisz na siebie uważać. – Odwraca się w kierunku syna. – Oboje musicie. Odbija się na was stres, w jakim żyliście przez parę ostatnich tygodni. – Serdecznym gestem głaszcząc teraz moją rękę. – Zaparzę herbatę.

Sylvia wstaje i obciąga spódnicę. Obserwuję, jak wychodzi, i pragnę, by zwyczajna filiżanka herbaty naprawdę mogła wszystko naprawić.

Gdy wracają policjanci, mija właśnie dziesięć dni, odkąd znaleźliśmy ciało.

Tego ranka przez otwarte okna dobiega nas odgłos koszenia trawnika; powiew wiatru przynosi świeży zapach kwiatów i skoszonej trawy. Po raz pierwszy w tym roku można odnieść wrażenie, że niebawem nadejdzie lato.

Chcę zabrać psa do ogrodu, rozlega się pukanie do drzwi. W progu stoją dwaj policjanci, a za ich plecami, nad wzgórzami Lansdown, widać słońce. Sierżant Byrnes przebiera nieporadnie nogami, lekko spocony w nieprzemakalnym płaszczu. Przedstawia drugiego policjanta jako inspektora Hartleya z policji Avon i Somerset. Inspektor pokazuje odznakę z miną wyższego rangą funkcjonariusza. Odsuwam się, aby obaj mogli wejść, przytrzymując Ziggy'ego za obrozę, żeby nie wyskoczył za drzwi. Sierżant Byrnes siada na oparciu sofy z ponurym wyrazem twarzy. Hartley jest od niego młodszy, ale wygląda poważniej, z bruzdami na twarzy, krótko ostrzyżonymi włosami i oczami, które dają do zrozumienia, że niejedno już widziały podczas wielu lat policyjnej służby.

Sylvia, zazwyczaj mało taktowna, tym razem woli zniknąć. Na szczęście Katie wyszła, a Hannah i Felix skryli się w dawnej wozowni. Jamie nadchodzi z ogrodu zimowego; na jego grzywce lśni warstwa potu, wygląda na rozkojarzonego.

– Panie sierżancie, miło pana widzieć. Jakies nowe wieści? – pyta z błyskiem w oczach.

Jamie wyciąga rękę do inspektora Hartleya i się przedstawia. Hartley odwzajemnia uścisk dłoni, ale bez entuzjazmu.

– Czego się panowie napiją? Wody? Kawy?

Obaj odmawiają. Byrnes, o dziwo, unika kontaktu wzrokowego. Moje serce zaczyna łomotać.

– Niestety, nie mamy dobrych wieści – mówi Hartley.

Nie usiadł na sofie przy Byrnesie, tylko stanął przy szafce z alkoholami, przyjmując oficjalną pozę. Ma na sobie marynarkę, która w taki upalny dzień wydaje się zbyt gruba. Onieśmiela takim strojem, pewnie celowo.

– Ustaliliśmy tożsamość mężczyzny, którego znaleziono w państwa ogrodzie.

Jego oczy odnajdują moje. Patrzy na mnie zimno.

– Nazywał się Sean Elliot. Należał do ekipy budowlanej, która pracowała w kornwalijskiej posiadłości Philipa Heywooda. Zamordowano go. Uderzono tępym narzędziem w głowę. – Inspektor urywa, zmrużywszy oczy, na jego ustach błąka się drwiący uśmieszek, jakby bawiła go ta sytuacja. – Czy mówi coś państwu jego nazwisko?

– Nigdy o nim nie słyszałem – odpowiada Jamie, marszcząc brwi. – Ty też go nie znasz, prawda, Libby?

Kręcę głową i zwracam się do milczącego Byrnesa:

– Moje panięskie nazwisko brzmi Elliot. Ale nie znam żadnego Seana Elliota.

Hartley kwituje moje słowa uśmieszkiem, jakby się ich spodziewał. W tej chwili dochodzę do wniosku, że inspektor mi się nie podoba.

– Moim zdaniem pani kłamie, pani Hall – mówi Hartley.

Czerwienię się oburzona.

– Chwileczkę...

Jamie zachowuje nadzwyczajny spokój. Czuję na sobie jego wzrok.

Hartley zerka na trzymaną w ręce kartkę.

– Wygląda na to, pani Hall, że przed dziesięcioma laty znała pani Seana Elliota...

– Dziesięć lat temu?

Obliczam w myślach: w dwa tysiące siódmym roku byłam dwudziestolatką.

Widzę, jak Jamie marszczy brwi.

– Według tego dokumentu – inspektor podnosi coś, co wygląda na akt ślubu – w dwa tysiące siódmym roku wyszła pani za Seana Elliota.

Odwracam się do Jamiego, który pobladł jak ściana. Kręcę głową.

– Nie... ja nie, to...

– Elizabeth Hall, aresztuję panią pod zarzutem popełnienia morderstwa – oznajmia inspektor. – Może pani odmówić składania zeznań, ale nieujawnienie w śledztwie faktu, na który powoła się pani dopiero w sądzie, może zaszkodzić pani obronie. Cokolwiek pani zezna, może posłużyć jako materiał dowodowy.

– Nie, pan się myli! – krzyczę, gdy Hartley chwytą moją rękę. – Jamie, uwierz mi, proszę.

Wbiega Sylvia.

– Co tu się dzieje? Niech pan nie dotyka mojej synowej – żąda Sylvia z wypiekami na twarzy.

Staje po chwili najeżona, blokując przejście swoim ciałem, całe metr siedemdziesiąt wzrostu, tak by nie przepuścić nikogo do korytarza. Poparcie Sylvii napawa mnie otuchą.

– Proszę się odsunąć – mówi chłodnym tonem inspektor Hartley i mina Sylvii rzednie.

Matka Jamiego w milczeniu odsuwa się od drzwi.

– Będzie dobrze – staram się uspokajać ją i Jamiego, kiedy Hartley wyprowadza mnie z domu. – Po powrocie wszystko wyjaśnię. Proszę, uwierzcie, to zwykła pomyłka...

– Pojadę na komisariat i tam na ciebie poczekam – zapowiada Jamie, mniej blady na twarzy i skory do działania. – Wszystko się ułoży. Po prostu mów prawdę.

Ale w oczach patrzącego na mnie męża widzę rozczarowanie, jakbym słyszała jego myśli: „Moja żona popełniła bigamię. I jest oszustką”.

Ostatnią rzeczą, którą dostrzegam, zanim policyjny radiowóz odjeżdża, są zszokowane twarze męża i teściowej, którzy stoją razem na ganku. Mimo tego, co powiedział Jamie, wiem, że już nic nie będzie takie samo.

Czekam samotnie w dusznym pokoiku. Tyle czekania, i to w najgorętszym dniu w roku. Nie zaproponowano mi nawet szklanki wody.

Co się ze mną stanie? Jak ja to wszystko wyjaśnię? Tak czy inaczej nie uniknę procesu. Próbowałam, naprawdę próbowałam być porządną osobą, zrekompensować wszystko, co się wydarzyło w Tajlandii, żyć przykładowie. Wymyślić inną wersję siebie. A teraz to wyjdzie na jaw, a ja stracę wszystko.

Tamten plecak. Staralam się dowiedziec czegoś sama, nie mówiac nic Jamiemu. Poszperałam w Google'u, szukając informacji o wszystkich uczestnikach tamtej podróży: Larsie, Harrym, Emmie i reszcie. Przemknęło mi przez myśl, że postanowili mi nabruździć, bo wpadli na trop mojej tajemnicy i mnie szantażują.

Nie rozumiem jeszcze wielu elementów tej historii, ale wiem jedno: wcale nie chodzi o Jamiego. Tu chodzi o Tajlandię. O mnie. I o Karen Fisher.

Część druga. Tajlandia

Karen Fisher umarła. Byłam o tym od dawna przekonana. Po raz ostatni widziano ją żywą dziewięć lat temu w Tajlandii.

W maju dwa tysiące ósmego roku uciekłam z szarej, dżdżystej Anglii i trafiłam do barwnego Bangkoku. Było tam goręcej, niż przypuszczałam, żar lał się z nieba, buchając jak z piekarnika po otwarciu drzwiczek. Pełen wilgoci, wszechogarniający upał uderzył mnie w twarz, gdy tylko wysiadłam z samolotu. Poczułam też rozmaite zapachy: słodką, gryzącą woń potraw gotowanych na chodnikach, przemieszany z wonią ryb zapach rzeki, a także odór zwierzęcego nawozu i spalin. To był zupełnie inny świat. Przywykłam do życia w North Yorkshire, do wrzosowisk, lasów i urokliwego miasta York, chociaż kilka lat przemieszkałam w wieżowcu pomazanym graffiti i naznaczonym rozpaczą. Potem Sean wyrwał mnie z tego wszystkiego. Wcześniej studiowałam na uniwersytecie w Sheffield i już tam życie wydawało mi się pełne gorączkowego pośpiechu. Ale Bangkok to było zupełnie co innego.

Pamiętam kilka pierwszych dni po moim przylocie, spacerowałam w oszołomieniu, z podziwem wpatrywałam się w pałac i olbrzymi złoty posąg leżącego Buddy; pamiętam rzeczne promy obładowane ludźmi, warkot ruchu ulicznego na sześciu pasach, tuk-tuki kluczące między samochodami osobowymi i furgonetkami, jakby ich kierowcy chcieli zginąć. Wypatrzyłam nawet słonia prowadzonego po chodniku przez mężczyznę z bezzębnym uśmiechem, który gestykulował coś do mijanych przechodniów. Chłonełam to wszystko. Byłam szczęśliwa i czułam ulgę. Udało mi się uciec.

Po tygodniu w Bangkoku postanowiłam spróbować szczęścia na południu kraju. Myślałam o wygrzewaniu się na plażach, o kąpielach w ciepłym morzu o barwie jaspisu, o nurkowaniu z rurką wśród koralowców, o skakaniu do oceanu z pokładu łodzi. Teraz mogłam zrobić cokolwiek i ta jedna myśl popychała mnie dalej. Chciałam wszystkiego doświadczyć. Chciałam żyć.

W nocnym pociągu było duszno, ściśnięte siedzenia zamieniono w łóżka. Na jednym z nich ujrzałam faceta ze słuchawkami w uszach tupiącego w rytm tandetnej muzyki tanecznej, którą ledwie słyszałam. Mężczyzna

miał jasne dredy i T-shirt z plamami pod pachami. Podróż do Trangu miała trwać całą noc, co wcale mnie nie cieszyło, ale pociąg był dużo tańszy niż samolot, a musiałam dbać o to, by jak najdłużej starczyło mi pieniędzy. Nie byłam zachwycona, że muszę siedzieć obok kogoś, kto sprawiał wrażenie, że się od dawna nie mył... Za tamtym facetem siedziała para po trzydziestce zajęta jedzeniem bułek z jajkiem.

W wagonie brakowało powietrza, chociaż kilka prostokątnych okienek było szeroko otwartych. Widziałam stojące na peronie grupki ludzi z plecakami i mapami w rękach, z wyraźnym zakłopotaniem na twarzach. Gdy przechadzałam się korytarzem między miejscami siedzącymi, zatrzymałam się, żeby umożliwić jakiejś nastolatce wrzucenie plecaka do schowka nad głową. Ktoś mnie popchnął, wbijając mi moją własną torbę w nerkę. Wściekła odwróciłam się raptownie. Jakiś wymuskany blond chłoptaş o zadufanej twarzy odwzajemnił spojrzenie. Zza ramienia blondyna wyjrzała, niczym wyskakująca z pudełka zabawka, głowa jego kolegi.

– Proszę iść dalej – rzucił blondyn snobistycznym tonem, a jego kolega skrzywił się na mój widok.

Użyłam mocnego przekleństwa i miałam ubaw, kiedy cofnęli się spanikowani. „Po dziewczynie mojego wzrostu chyba nie spodziewali się aż takiej wulgarności” – pomyślałam, po czym poszłam dalej korytarzem. Skąd mieliby wiedzieć, że mieszkałam na osiedlu, jakie mogli zobaczyć tylko w serialach telewizyjnych rozgrywających się w paskudnej miejskiej scenerii? Przywykłam do samodzielności. „Zachowuj się jak twardziel, a ludzie dadzą ci spokój” – to była dewiza Seana. Sporo się od niego nauczyłam.

Znalazłam trochę miejsca na końcu wagonu. Przy oknie siedziała już moja rówieśniczka, przodem do kierunku jazdy pociągu, i wertowała magazyn. Naprzeciwko niej było wolne miejsce. Wzięłam je pod uwagę, ale siedziałabym tyłem do kierunku jazdy. Wolałam miejsce tej pasażerki. Gdy podeszłam, dziewczyna uniosła swe przejrzyste piwne oczy znad magazynu. Wyglądała tak, jakby dopiero przyjechała do Tajlandii. Bawełniana bluzka i także szorty sprawiały wrażenie jeszcze świeżych. Błądą cerę uzupełniało parę piegów na nosie. Włosy o mysim odcieniu opadały jej na ramiona. Idealna towarzyszka podróży.

– Czy mogę zająć to miejsce? – Wskazałam siedzenie naprzeciwko obite brązową skórą; z rozdartego oparcia wystawała żółtawa wyściółka.

Miejsce nie wyglądało na zbyt wygodne, szczególnie na tak długą podróż.

Dziewczyna się rozpromieniła. Na jej policzkach zobaczyłam dołki.

– Oczywiście. Pani jest Angielką, prawda? Z Yorkshire?

Mówiła z podobnym do mojego akcentem, ale ostrzejszym. Przytaknęłam. Chociaż tyle nas łączyło, nie zależało mi wcale na zdawkowej rozmowie... Miałam zamiar przespać większość podróży.

Położyłam plecak na półce ponad naszymi głowami. Ważył co najmniej tonę; przez dwa minione tygodnie niemal miażdżył mi kręgosłup.

– Jestem Karen – przedstawiła się dość oficjalnie dziewczyna, wyciągając do mnie szczupłą bladą dłoń.

Zanim usiadłam naprzeciwko, uścisnęłam jej rękę.

– Elizabeth – odpowiedziałam. – Choć zwykle mówią na mnie Beth.

Przynajmniej w domu rodzinnym zawsze używali tej krótszej wersji, Sean także. Sięgnęłam do kieszeni po opaskę do włosów, aby zebrać resztę ciemnych kosmyków ze spoconego karku. Okno było otwarte, ale nic to nie dawało.

Karen uniosła wzrok znad magazynu.

– Ochłodzi się, kiedy pociąg ruszy – zapowiedziała, jakby czytając w moich myślach.

Najpewniej dostrzegła kropelki potu, które zebrały się wokół linii moich włosów i spływały do oczu. Była szósta po południu, ale upał nie zelżał. Karen powróciła do lektury, a ja przyglądałam się jej smukłej szyi oraz wystającym obojczykom. „Jaka była jej historia? – zastanawiałam się. – Kto wie, może jednak porozmawiamy. Ale najpierw muszę zająć jej miejsce”.

Odchrząknęłam, żeby Karen zwróciła na mnie uwagę, i zaczęłam się bawić rękawem T-shirtu w sposób, który uznałam za ujmujący. Dziewczyna uniosła wzrok.

– Mam koszmarną chorobę lokomocyjną – odezwałam się. – Wzięłam tabletkę, ale naprawdę pomogłoby mi, gdybym usiadła przodem do kierunku jazdy. Mogłybyśmy się zamienić? – Uśmiechnęłam się przymilnie.

Na jej twarzy dostrzegłam ślad zdziwienia, który starała się zatuszować.

– Oczywiście, nie ma sprawy.

Karen wstała szybko, przycisnąwszy magazyn do piersi. Taka układna... To dobry znak. I ja wstałam. Karen okazała się niziutka, niższa nawet ode mnie. Precyzyjnie przycisnęłyśmy się obok siebie, żeby zamienić się miejscami. Wyczułam, że nie była do końca zadowolona z tej zamiany, ale dobre

maniery czy może tchórzostwo kazały jej milczeć. Czuć było, że Karen jest powściągliwa, jakby nawykła do bycia sama ze sobą. Usadowiła się na nowym miejscu. Uderzyłam w coś nogą i zirytowana zobaczyłam jej plecak pod oknem. Powinna była go zabrać.

– Au – powiedziałam, teatralnym gestem rozcierając łydkę.

– O Boże, tak mi przykro. Wsunę go do górnego schowka.

Uśmiechnęłam się w podziękowaniu i zobaczyłam, że jeden z wyzwanych przeze mnie facetów chciał pomóc jej podnieść plecak. Karen wydała mi się ucieleśnieniem typowej damulki w tarapatach, taka niziutka, z wielkimi oczami łani. Przyjrzałam się jej krytycznie. Była ładna, musiałam to przyznać, ale nie zasługiwała na miano pięknej – miała zbyt wydatne usta i za długi nos. Oczywiście miała też te urocze dołki w policzkach, które poprawiały ogólne wrażenie. Zarumieniona umościła się na swoim miejscu, bez uśmiechu. Wyglądała raczej na zakłopotaną i nieco rozeźloną zamieszaniem. Zmieniłam o niej zdanie. Wnioski były zaskakujące: miałam wrażenie, że ona ucieka. Tak jak ja.

Potrzebowałam więcej informacji o jej życiu. Mogłybyśmy być pokrewnymi duszami. Podróżowanie po Tajlandii w pojedynkę sprawiało mi przyjemność, ale z kimś byłoby ciekawiej.

– Karen – zaczęłam – jak masz na nazwisko?

Z wyrazem zaskoczenia w oczach Karen oderwała wzrok od magazynu.

– Fisher. Dlaczego pytasz?

– Zaciekawilo mnie to po prostu. – Udałam zainteresowanie. – Fisher, hmmm, nie znam żadnych Fisherów. Karen Fisher, czy ktoś będzie na ciebie czekał u celu podróży?

Karen uśmiechnęła się, ale z pewną rezerwą.

– Nie, podróżuję na własną rękę.

– Ja też.

– A ty jesteś Beth...?

– Elliot.

Modliłam się, żeby się nie okazało, że zna Seana (w mojej części miasta jego rodzina była znana).

Karen zmarszczyła brwi. Wyglądała, jakby pragnęła wrócić do lektury, ale jednocześnie nie chciała wyjść na impertynentkę. Tuszując wysiłek, na jaki musiała się zdobyć, obdarzyła mnie sztucznym uśmiechem.

– Z jakiej części Yorkshire pochodzisz?

– Z okolic Yorku – odparłam. – Ale nie tych urokliwych... – dodałam z wahaniem; nie chciałam ujawnić za dużo.

Okazało się, że dorastałyśmy zaledwie trzydzieści kilometrów od siebie. Potem pogadałyśmy trochę o naszych rodzinnych miastach. Zobaczyłam, jak Karen się otwiera, rozkwita niczym kwiat na wiosnę, i gdy pociąg ruszył, poczułam odprężenie. W czasie jazdy upał nie był już tak męczący, w końcu przez otwarte okno powiał z lekka ciepły wietrzyk. Zamknęłam oczy, napawając się tym podmuchem.

Kilka godzin i kilka puszek piwa później Karen wyjawiała, że jej rodzice nie żyją.

– Moi też – wyznałam, pomyślawszy o mamie i tacie, ale oszczędziłam jej szczegółów. – Jestem jedynaczką. Moi rodzice byli starsi i bardzo pobożni.

Karen pokiwała głową ze zrozumieniem i smutkiem w oczach; pomyślałam wtedy, że coś ukrywa.

– Co przesądziło o twojej ucieczce? – zapytałam.

– Znienawidziłam własne życie – odparła, zaskakując mnie stanowczością oraz goryczą i odrzuceniem, które malowały się na jej twarzy. – Ono prowadziło donikąd. Brakowało mi kwalifikacji. I perspektyw.

– Nie poszłaś na uniwersytet?

Karen pokręciła głową.

– Sytuacja rodzinna – wyjaśniła wymijająco. – Musiałam uciec, żeby nie oszaleć.

Łyknęłam piwa.

– W moim przypadku było tak samo. Na krótko przed wyjazdem do Tajlandii skończyłam studia. Na uniwerku w Sheffield. Ale wplątałam się w toksyczny związek z pewnym facetem. – Zrobiłam gest palcem przy czole, pokazując, jaki był z niego psychol. – Poznałam go w momencie, kiedy byłam bezbronna, podatna na zranienie. Zawsze tak jest, nie uważasz? – Alkohol rozwiązał mi język. Nie chciałam jednak powiedzieć za dużo. – A jak było u ciebie?

Karen potrząsnęła głową, cienkie włosy opadły jej na twarz.

– Nie, u mnie nie było nikogo ważnego.

Zrozumiałam, że nie doczekam się zwierzeń, i dlatego zmieniłam temat. Spytałam o jej plany na dalszą podróż, a potem pogawędziłyśmy o tym, gdzie byłyśmy dotychczas. Powiedziała, że spędziła tylko dwa dni

w Bangkoku. Obie chciałyśmy pojeździć kilka miesięcy po wysepkach. Niebo zdążyło pociemnieć, nad głowami miałyśmy tylko mizerne światło, w wagonie zaczęło wrzeć jak w ulu, kiedy pasażerowie układali się do snu.

– Pościelimy łóżka? – spytała Karen z błyskiem w oczach; wybuchnęłam śmiechem.

To było jak jeden wielki wspólny nocleg i miało w sobie coś ekscytującego. Uświadomiłam sobie, że schowek nad naszymi głowami może służyć za łóżko, a nasze miejsca siedzące można rozłożyć tak, aby się połączyły.

– To przypomina piętrowe łóżko – skomentowała Karen ze śmiechem. – Wolisz górę czy dół?

– Dół, jeśli się zgodzisz.

Kiwnęła głową, chyba zadowolona. Pomarańczowa zasłonka z nylonu oddzielała nas od reszty pasażerów.

– Przyjemnie tutaj – stwierdziła Karen. Górne łóżko zatrzeszczało, kiedy wkładała koszulę nocną.

Wyciągnęłam z plecaka długi T-shirt. Choć był pognieciony i wilgotny, włożyłam go, wyginając się w tej ograniczonej przestrzeni. Z celofanowej torebki wyjęłam zapewnione przez kolej prześcieradło. Było białe, czyste i zimne, chłodziło moją skórę. Leżałam tak, przykryta prześcieradłem aż po brodę, i starałam się nie myśleć o pędzącym pociągu. W środku nocy miałam wrażenie, że jedzie za szybko, i bałam się, że się wykolei. Czy tajlandzkie pociągi są bezpieczne?

– Wszystko okej? – usłyszałam dobiegający z góry bezcielesny głos.

Karen się wychyliła i ujrzałam jej twarz do góry nogami, okoloną zwisającymi włosami.

– Chyba nie usnę. A ty?

– Boję się, że pociąg się wykolei – przyznałam.

– Że się wykolei? Poważnie?

Napływająca krew sprawiła, że twarz Karen zrobiła się czerwona.

– Nie pomyślałabym, że ty, Beth Elliot, czegokolwiek się boisz. Wyglądasz na twardą sztukę.

Roześmiałam się.

– A więc masz mnie za twardzielkę...

– Widziałam, jak załatwiłaś tamtych facetów. – W oczach Karen dostrzegłam błysk podziwu. – Lepiej z tobą nie zadzierać.

Dobrze to ujęła.

Kiedy następnego ranka wysiadłyśmy z pociągu, głodne, z zamglonym wzrokiem, w myśl jakiejś niepisanej umowy postanowiłyśmy trzymać się razem; obie z ulgą zaakceptowałyśmy swoje towarzystwo.

To zabawne, jak szybko buduje się relacje w trakcie podróży; ludzie, których pewnie wcale by się nie poznało albo i nie chciało poznać w codziennym życiu, nagle stają się niezbędni. Spanie w tym samym miejscu, wspólne posiłki i toaleta, opalanie się i pływanie razem przez cały dzień – to wszystko zapewniło mi bliskość z drugą kobietą, jakiej wcześniej nie doświadczyłam. W kraju nie miałam zbyt wielu koleżanek; dziewczyny ze szkoły omijały mnie na ogół szerokim łukiem, bo sądziły, że jestem strasznie pyskata i dziwaczna. Na uniwerku było inaczej, ale związek z zaborczym, znęcającym się nade mną mężem z góry ucinął wszelkie bliskie przyjaźnie. Większość ludzi, których poznawałam, dziwiła się, że tak młodo wyszłam za mąż, od razu zaliczali mnie do kategorii „postarzałych przed czasem” i nigdy nie zapraszali ani na drinka, ani do klubów. Z takich propozycji tak czy inaczej bym nie skorzystała, bo nie były warte wysłuchiwania późniejszych pretensji w domu.

Ale uciekłam od Seana i od swojej przeszłości. W Tajlandii stałam się inną Beth, zabawną, fascynującą. Dostrzegałam to w wyrazie twarzy Karen, kiedy wychylałam kolejne kufle piwa w barze na plaży albo ośmielałam się kąpać nago wieczorem – ona patrzyła na mnie z podziwem. Chociaż byłyśmy rówieśniczkami, nie wątpiłam, że Karen mnie podziwiała. Niewykluczone, że wychowywała się pod czujniejszym nadzorem niż ja.

Karen i ja byłyśmy jak śnieżne kule, do których po drodze doklejały się kolejne osoby. Gdy więc odwiedziłyśmy plaże Trangu, Krabi i Nopparat Thary i po kilku tygodniach dotarłyśmy do Koh Phi Phi, w naszej grupie znaleźli się: posągowa rudowłosa Emma, Irlandka o najbledszej skórze, jaką kiedykolwiek widziałam, ponury Lars z Finlandii ze zbyt blisko osadzonymi oczami oraz Harry i Dylan z New Jersey. Dylan i Emma mieli rok przerwy przed studiami uniwersyteckimi, Lars był o parę lat starszy ode mnie, porzucił pracę bez perspektyw i wybrał podróżowanie, a Harry dopiero co skończył studia medyczne i zrobił sobie sześciomiesięczne wakacje przed poszukiwaniem pracy.

Imprezowaliśmy zawzięcie i często, wyczerpani kładliśmy się spać o czwartej nad ranem. Za dnia pływaliliśmy w przejrzystej jaspisowej wodzie albo opalaliśmy się na czystych białych plażach. Mnie wpadł w oko Harry z wymuskaną jasną czupryną, dołeczkami i czarującym uśmiechem. Był wyższy ode mnie i od Karen i najbardziej charyzmatyczny spośród trójki chłopaków. Lars zbyt kapryśny, mimo to przypadł do gustu Emmie, z kolei Dylan ciągle tylko gadał o rozmiarze cycków w bikini. Karen i ja zgodnie uznaliśmy go za przystojniaka, bo miał ciemne kręcone włosy, piwne oczy i brązową opaleniznę, ale był niestety, co stwierdziłyśmy z żalem, świntuchem. Ślinił się za każdym razem, kiedy Emma pojawiała się w zasięgu jego wzroku, ale ona nie okazywała mu najmniejszego zainteresowania, czym Dylan był oczywiście zawiedziony.

W grupie czułam się bezpiecznie. Wiedziałam co prawda, że Sean nie ma pojęcia, gdzie jestem, i nie wpadłby na to, że wyruszyłam akurat do Tajlandii (wiedział, że nienawidzę latać), ale ilekroć zobaczyłam kogoś, kto mi go przypominał – wysokiego mężczyznę o masywnej sylwetce i niebieskich oczach – ciągle jeszcze drżałam. Oczy Seana, w jednej minucie ciepłe i przyjazne jak Ocean Indyjski, w każdej chwili mogły stać się lodowate niczym Antarktyka.

Karen była najspokojniejszą osobą w naszej grupie. Często po prostu siedziała zajęta obserwowaniem nas; przy ognisku jej oczy zdawały się ciemniejsze. Patrzyła, jak cała reszta pije, przeklina i się całuje. Chętnie bym w takich momentach odgadła, co kryją wielkie piwne oczy Karen. Czy próbuje wyleczyć złamane serce? Nie wydawała się zainteresowana mężczyznami, odniosłam wrażenie, że irytują ją próby nawiązania kontaktu i wolałaby raczej zniknąć. Próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej o jej życiu w Anglii, ale Karen była bardzo skryta, wyjawiała tylko wcześniej, że jej rodzice umarli, gdy dorastała. Nie zadawałam zbyt wielu pytań, podobnie jak ona, co było mi na rękę. Ale jako że pierwszy tydzień spędziłyśmy tylko we dwie, zanim dołączyli inni, czułam z nią pewną więź.

– Co będziesz robić potem? – spytałam Karen pewnej nocy.

Było już późno i trwała impreza na plaży. Karen usiadła z dala od reszty towarzystwa, krzyżując swoje szczupłe nogi, z puszką piwa w ręce. Od morza trochę wiało i docierał do mnie zapach olejku kokosowego oraz piasku.

Karen wzruszyła ramionami.

– Nie chcę wracać do domu. Po tej podróży z chęcią wyjechałabym do Australii. Może popracować w barze. I zarobić na dalsze podróżowanie.

Zabrzmiało to smutno.

– A ty? Podoba ci się pomysł Australii?

Wzruszyło mnie, że Karen jest gotowa wybrać się do Australii razem ze mną.

– Dostałam się do kolegium dla nauczycieli. Zaczynam od września – powiedziałam. – W Middlesex. Ale zamierzam to odłożyć.

Podjęłam tę decyzję tego samego dnia rano, leżąc na plaży i czując na skórze promienie słońca, a we włosach piasek. Byłam w raju. Nie chciałam, żeby to się skończyło.

Karen zachichotała.

– Wcale ci się nie dziwię. Kto chciałby wracać do przygnębiającej, szarej Anglii, kiedy mamy to wszystko? – Rozłożyła ręce, jakby obejmowała nimi plażę, morze i kołyszące się palmy.

Lars i Emma biegli brzegiem z grupą ludzi, których jeszcze nie poznałam, wszyscy wrzeszczeli, raz po raz wskakując do wody.

– Otóż to – odparłam. – Nie zamierzam wracać do domu. Nigdy.

Karen jako pierwsza dowiedziała się o moim miejscu w kolegium. Nawet Sean nie miał o tym pojęcia. Middlesex miało się stać moim azylem, tyle że wydarzenia potoczyły się szybciej, niż myślałam, i dlatego uciekłam do Tajlandii.

Karen się roześmiała, ukazując nieskazitelną biel zębów na opalonej twarzy.

– Nie przestajesz uciekać?

Wiedziała, że uciekłam, żeby zakończyć toksyczny związek, ale niczego więcej jej nie powiedziałam. Mówienie o wszystkim przypominałoby mi, że to wydarzyło się naprawdę, a przecież tutaj mogłam odgrywać inną rolę. Zastanawiałam się, czy Karen ma takie same odczucia. W Tajlandii żyłyśmy chwilą, wybierałyśmy, kim chcemy być każdego dnia. Podejrzewałam, że obie próbujemy pozbyć się swojej przeszłości, jak zrzucające skórę węże, które widywałyśmy w wysokiej trawie obok hotelu.

– Bił cię? Twój eks? – spytała Karen z troską w swoich wielkich oczach.

Nagle się zawstydziałam, że jestem taką osobą, taką kobietą. I że tak długo wytrzymałam. Że poślubiłam tego drania. Był czarujący. Starszy, bogatszy – choć później odkryłam, że pieniądze pochodziły z szemranych interesów i wyłudzeń. Ale na początku o tym nie wiedziałam. Pochlebiali

mi to, że zainteresował się mną, nieszczęśliwą piętnastolatką mieszkającą tylko z ojcem. On był w tamtym okresie wymuskanym dwudziestolatkiem, który popisywał się jaguarem, masywnym rolexem (fałszywym, jak się później zorientowałam) i dobrze skrojonymi garniturami. Miał się za gangstera, ale ja byłam już nim zauroczona. Fascynacja szybko minęła.

– Tak – przyznałam cichutko. – Bił mnie.

Karen pokręciła głową ze smutkiem, bawiąc się wieczkiem puszek po piwie.

– Wprawdzie znam cię dopiero od kilku tygodni, ale kurczę, Beth, jesteś ostatnią osobą, którą podejrzewałabym o zadawanie się z takim mężczyzną.

– Nie istnieje typ kobiet podatnych na związki z mężczyznami, którzy stosują przemoc – rzuciłam.

Znowu rozgorzał w moim wnętrzu dobrze znany biały płomień wściekłości. Zszokowała mnie naiwność Karen. Nie pomyliłam się, pierwsze wrażenie było słuszne. Pruderyjna mała suka.

– Każdą może spotkać coś takiego – dodałam.

Mimo ciemności wyczułam jej zakłopotanie.

– Przepraszam, miałam na myśli co innego... Chodzi mi po prostu o to, że jesteś taka narwana. Widziałam, jak ujadłaś na tych dwóch w pociągu. Masz niewyparzony język.

Ujadłaś? Karen mówi o mnie tak, jakbym była jakimś potworem. Pomyślałam wtedy, że ona może się mnie trochę bać. Choć to nie jest trafny domysł – może raczej jest nieufna. Taką przynajmniej miałam nadzieję.

– Odpłaciłam mu się, a ty się nie przejmuj – oświadczyłam, podciągając nogi do klatki piersiowej.

Obok rozkręcała się impreza. Patrzyłam na Emmę wirującą w sugestywnym tańcu z Larsem, Dylana wodzącego wzrokiem od jednej roztańczonej kobiety do drugiej, wreszcie na Harry'ego, który ukradkiem zerkał na nas. Liczyłam, że podejdzie.

– Naprawdę? Jak?

Przybrałam nonszalancki ton.

– Z początku oddawałam ciosy, ale potem pojęłam, że walką tylko pogorszę swoją sytuację. Trafiłam kiedyś, jako ofiara przemocy, do szpitala...

Karen się wzdrygnęła.

– I dlatego zaatakowałam tam, gdzie najbardziej go zabolalo. Wyczyściłam wspólne konto i uciekłam.

Otworzyła szeroko oczy.

– A niech to, Beth.

Byłam zła na siebie. Wypaplałam za dużo. A przecież wcześniej życie brutalnie mnie nauczyło, że ujawnienie zbyt wielu faktów naraża na cios. Gdyby Sean kiedykolwiek mnie znalazł, na pewno by mnie zabił.

Zmieniłam temat.

– Mam! – wykrzyknęłam nagle, a Karen aż podskoczyła, oblewając piwem swoje nogi. – Zróbmy sobie tatuaże!

Raptem dziesięciominutowy spacer dzielił nas od drugiego końca wioski Ton Sai, gdzie na pewno widziałam reklamę studia tatuażu, ale my szliśmy o wiele dłużej, bo Karen zatrzymywała się przy stoiskach sprzedawców, aby przebierać w torebkach i sarongach. Odnosiłam wrażenie, że nie potrafi odmawiać handlarzom machającym jej przed nosem biżuterią czy ręcznikami. Zaczęło mnie to irytować, ilekroć więc Karen stawała, głośno posapywałam i wzdychałam. W końcu spod włosów opadających na twarz posłała mi przepaszający uśmiech, odłożyła to, co akurat miała w ręku, i poszła dalej za mną. Zależało jej, żebym była z niej zadowolona. Ale męczący upał wywołał u mnie kiepski nastrój i zanim dobrnęliśmy do studia tatuażu, miałam ochotę walnąć kogoś w twarz, najchętniej Karen.

Studio tatuażu, jeśli w ogóle zasługiwało na taką nazwę, było właściwie jednoizbową chałupą na skraju wsi. Smukły Taj z chustką na szyi stał nad młodym facetem o bardzo owłosionych plecach i tatuował mu serce na łopatce.

Karen pobladła.

– Myślisz, że to bezpieczny zabieg? – szepnęła mi do ucha.

Na pewno zauważyła wychudzonego psiaka bez jednej łapy, który zmęczony upałem zaległ na podłodze; rzucił jej się także w oczy brudny szary T-shirt tatuażysty, z plamą potu w kształcie ćmy na plecach. Karen zerknęła ze strachem na rysunki tatuaży umieszczone na prowizorycznych ścianach.

– Będzie dobrze – zapewniłam ją, ale nie bez pewnych obaw.

Gdy klient z owłosionymi plecami opuścił zajmowane krzesło, Karen zrobiła krok naprzód, odgarniając włosy z twarzy. Nad jej górną wargą lśniła warstewka potu.

– Hm... poproszę... tatuaż... – wypowiedziała chrapliwym głosem. Zauważyłam, że ma suche wargi.

Po krótkim targu uzgodniłyśmy bardzo niską cenę.

Tatuażysta wskazał rysunki na ścianie i zachęcił nas do wybrania wzoru. Karen patrzyła ze zmarszczonymi brwiami.

– Nie wiem który... Nie umiem wybrać...

– Na litość boską... – powiedziałam zirytowana. – Ja idę pierwsza.

Karen spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Ach tak, okej...

Wyszperała w torbie butelkę wody i wzięła duży łyk.

Wyminęłam ją. Byłam zdecydowana, jeszcze zanim dotarliśmy do studia. Wiedziałam, czego chcę – skrzydlatego ptaka w locie. Wolności.

Usadowiłam się najwygodniej, jak mogłam, na twardym stołku i wskazałam rękę.

– Proszę tutaj.

Godzinę później ruszyliśmy z Karen do hotelu. Ja – ze strupem w okolicy nowego, pulsującego jeszcze tatuażu – opierałam się na niej; nasze klapki stukwały na pokrytej pyłem drodze. Nim dotarliśmy na miejsce, byliśmy już mocno spocone. Jeden strup się naderwał, przez co wokół jego brzegów zebrały się kropelki krwi. Usiadłam na łóżku w naszym wspólnym pokoju i bez przekonania zaczęłam przykładać mokry wacik do rany.

– Czuję się strasznym tchórzem – wyznała Karen, opadłszy na łóżko po drugiej stronie.

Jak mogłam przewidzieć, zrejterowała w ostatniej chwili. Ilekroć igła wchodziła w moją skórę, bladła. W pewnym momencie myślałam, że zemdleje.

– Słusznie – zganiłam ją. – Karen Fisher, miałam cię za wytrzymalszą. W końcu pochodzisz z Yorkshire. Jestem rozczarowana.

Mówiłam półzartem, ale ona wyglądała na przejętą. Odgadłam, że jej zdaniem sprawiła mi zawód i pomyślała, że jest gorsza ode mnie. I że stchórzyła. Po raz pierwszy w moim koszmarnym życiu to ja byłam górą, to ja miałam władzę, to ja uzyskałam nad kimś przewagę. Upajało mnie to uczucie.

Nazajutrz Karen zniknęła. Nie zdarzało jej się przedtem wychodzić bez wyjaśnienia, dokąd idzie. Z całą grupą powędrowałam na plażę, w nadziei, że znajdziemy tam Karen, ale nigdzie jej nie było.

– Gdzie jest Karen? – spytał Harry, pochylony nad paskami przy rurce do nurkowania; nie mogłam oderwać wzroku od jego wyprostowanych długich opalonych nóg.

Wzruszyłam ramionami, nie przestając rozprowadzać na rękach kremu do opalania. Liczyłam, że Harry zaproponuje posmarowanie mi pleców, ale sprawiał wrażenie rozkojarzonego.

– Nie mam pojęcia. Wyszła rano, zanim się obudziłam.

– Twoim zdaniem mogła ruszyć dalej? Bez nas? – W jego głosie pobrzmiwało zmartwienie i chętnie zapytałabym, dlaczego to dla niego takie ważne.

– Nie sądzę. Jej rzeczy są jeszcze w naszym pokoju.

– To dobrze. Lubię Karen – stwierdził rzeczowo, zakładając na twarz maskę z rurką.

Po chwili poderwał się i pobiegł sprintem w stronę morza. Patrzyłam, jak jego smukłe ciało zanurza się w wodzie między kolejnymi falami, i skręcałam się z zazdrości.

Karen wróciła godzinę później. Z gracją szła plażą, wokół talii miała kupiony właśnie czerwony sarong, a na ramieniu torbę plażową. Pomachała do mnie. Było widać, że promienieje. Dopiero gdy podeszła bliżej, dostrzegłam tatuaż.

Ucieszyły mnie i tatuaż, i jego wymowa. Dożyłam poważnego wieku dwudziestu jeden lat i nigdy nie doświadczyłam radości wynikającej z posiadania najlepszej przyjaciółki. To z powodu poślubienia w młodym wieku zaborczego mężczyzny. Sean zawsze mówił, że to on jest moim najlepszym przyjacielem. Nie chciał, żebym podjęła studia uniwersyteckie, a później próbował wymusić na mnie, żebym je rzuciła; bał się, że poznam na roku innego mężczyznę, ale nie przerwałam nauki. Nie mógł też robić mi zbyt wielu awantur, bo wokół kręcili się i wykładowcy, i uniwersytecki psycholog. Sean okazał się mimo wszystko tchórzem, jak większość despotów.

Harry był pierwszym mężczyzną, który mi się spodobał, odkąd Sean zniknął z mojego życia. Był skrajnym przeciwieństwem Seana: skromny, inteligentny, nieskory do podnoszenia głosu; jego akcent z okolic New Jersey był ciepły i przyjacielski. Miał smukłe ciało, jak tancerz baletowy. Sean był zarozumiałcem i cwaniakiem, który wyrwał się z klasy robotniczej i wyszedł na ludzi (często sam tak o sobie mówił). Miał tupet, nosił złotą biżuterię i garnitury szyte na miarę.

Z czasem, gdy tygodnie zmieniały się w miesiące, nasza grupka – Emma, Lars, Dylan, Harry, Karen i ja – stała się niczym rodzina. Owszem, mogłabym wyznać Karen, co czuję do Harry’ego, ale nie łączyła nas aż tak zażyła przyjaźń. Nie zwierzałyśmy się sobie ze swoich uczuć. Karen, tak jak ja, była skryta i praktyczna. Obie potrafiłyśmy przejmować się różnymi rzeczami, ale tego nie okazywałyśmy, jak gdyby przyznanie się do naszych uczuć było oznaką słabości. Obie przywykłyśmy do tego – na różne sposoby – by skrywać uczucia przed najbliższymi.

Po tamtej rozmowie na plaży byłam ciekawa, czy między Harrym a Karen iskrzy. Zaczęłam dostrzegać drobiazgi, na przykład to, że zawsze opalali się na plaży obok siebie albo razem przesiadywali w barze. Gdy Harry chciał się przejść do wioski, zawsze zapraszał Karen na spacer. Śmiał się do rozpuku z jej – bzdurnych, prawdę mówiąc – żartów i chyba uważał ją za dowcipną. Kiedyś, gdy byłam w pobliżu, Harry powiedział, że uwielbia jej sarkazm i ironię. Ten komentarz wkurzył mnie na długo. Także Karen zmieniła swoje zachowanie: siedziała ciut za blisko Harry’ego, kiedy

sączyli koktajle, tak że ich kolana się stykały, a gdy z nim rozmawiała, przechylała głowę w bok, przesuwała palcami po włosach i skromnym gestem zakładała je za uszy.

Pewnego wieczoru poszliśmy całą grupą przez wieś i wspięliśmy się na stromy stok wzgórza, by z jego szczytu obejrzeć zachód słońca nad obiema zatokami w pobliżu Phi Phi. Gdy pokonywaliśmy wąskie i kręte dróżki, musiałam się zatrzymywać, żeby napić się wody. Powietrze było wilgotne, podkoszulek przywierał mi do skóry, a sportowe buty obcierały stopy. Wlokłam się za resztą grupy, a obok mnie szedł Dylan ze słuchawkami w uszach. Zauważyłam, że dobraliśmy się w pary: Emma i Lars, Karen i Harry, a mnie przypadł w udziale właśnie Dylan. Nie byłam w jego typie – przede wszystkim miałam za małe cycki – i dlatego nie zwracał na mnie uwagi, co mi odpowiadało. Wydaje mi się, że jego i Harry’ego łączyło tylko to, że obaj pochodzili z New Jersey – pod każdym innym względem byli różni. Emma i Lars trzymali się za ręce, kiedy on pomagał jej pokonywać nierówne ścieżki. Spojrzałam też na Karen i Harry’ego, którzy wysforowali się do przodu. Szli roześmiani, czasami odwracali się do Emmy i Larsa, żeby z nimi pogawędzić; i nagle tknęła mnie okropna, obłędna myśl, że wszyscy oni tworzą czworokąt. Ani Dylan, ani ja nie mieliśmy ochoty na sześciokąt, co wobec tego nas czekało? Gdy nasza grupa podzieliła się na pary, poczułam niesmak. Przepełukałam usta wodą.

Widoki ze szczytu zapierały dech w piersiach. Usiedliśmy na płaskich, ciepłych skałach i obserwowaliśmy zachód słońca nad obiema zatokami; dwa piaszczyste łuki plaż skojarzyły mi się ze skrzydłami motyla. Słońce wyglądało jak olbrzymia pomarańczowa kula barwiąca niebo na różowo i czerwono i odbijająca się w połyskującym morzu. Patrząc na to, wszyscy zamilkliśmy. Karen oparła głowę na ramieniu Harry’ego, ale po chwili nagle się wyprostowała, jakby sobie przypomniała, że jest w towarzystwie, i odrzuciła długie włosy do tyłu. Dostrzegłam jednak to spoufalenie, zobaczyłam, że między nimi iskrzy.

– Czy to nie wspaniałe? – odezwał się Harry.

Karen siedziała między nami, a ja zapragnęłam zepchnąć ją z miejsca przy Harrym. Co takiego przypadło mu w niej do gustu? Niezbyt się różniłyśmy: obie byłyśmy niskimi i szczupłymi brunetkami, chociaż kolor jej włosów był raczej mysi. Okej, Karen miała naprawdę ładną twarz, a moja była bardziej męska, bardziej kanciasta, ale... potrafiłam wyglądać atrakcyjnie, kiedy mi na tym zależało. Zapaliłam papierosa i dostrzegłam

wzrok Karen. Krzywo patrzyła na to, że popalam. Przechyliłam się nad nią, by poczęstować Harry'ego, który przyjął ten gest z wdzięcznością. Rzuciłam Karen triumfalne spojrzenie.

– Lekarz, a pali – stwierdziła Karen z dezaprobatą, patrząc prosto przed siebie. – To bardzo niestosowne.

– Och, niestosowne... – odezwał się szyderczym tonem Dylan siedzący obok mnie. – Co ty, słownik połknęłaś?

Dostał ode mnie mocnego kuksańca w bok i jęknął z bólu, co sprawiło mi przyjemność.

– Wydorosłej – syknęłam.

Dylan był jak nieznośny młodszy brat; nigdy nie chciałabym mieć takiego rodzeństwa.

Zeszliśmy ze wzgórza – ja milcząca, zamyślona, oni rozbawieni, potykali się po ciemku na skalistych drózkach. Z pobliskiego ogniska owionął nas zapach dymu. Dookoła chatki siedziała grupka tubylców. Kolorowe pranie powieszona na byle jakiej linie szarpał niezbyt silny wiatr.

Dylan wdał się ze mną w rozmowę o naszych wieczornych wyczynach, zwłaszcza o upijaniu się w barze.

– Mam ochotę wlać w siebie kilka dużych piw – oznajmiłam dobitnie, mając zamiar zalać się w trupa.

– Twarda z ciebie sztuka – stwierdziła Emma ze swoim miękkim irlandzkim akcentem i się zaśmiała. – Potrafisz tak mnie spić, że ląduję pod stołem, a to nie lada wyczyn.

– Ja właściwie nie piję dużo – powiedziała Karen z lekkim żalem, chwytając Harry'ego za rękę, gdy potknęła się o skałkę.

Emma skwitowała to wyznanie śmiechem.

– Nigdy nie widziałam cię pijanej, Karen.

– Ona ma obsesję kontroli – wtrąciłam, aby dać Harry'emu do myślenia. – I nie pali.

– W akademii medycznej miałem dziewczynę, której w każdy weekend urywał się film – powiedział Harry.

Jego silny, pewny siebie głos sprawiał, że wszyscy automatycznie go słuchali; pewnie wychował się pod okiem rodziców, którzy wsłuchiwali się we wszystko, co miał do powiedzenia.

– Najpierw wymiotowała, gdzie popadnie, a potem była bliska śpiączki. W końcu przestało mi się to podobać, że nie wspomnę, jak przez to pijaństwo niszczyła sobie wątrobę...

– Przestało ci się podobać? – powtórzyła z przekąsem Emma. – A jak mężczyźni się upijają, to jest w porządku?

– I że ty palisz i szkodzisz tak swoim płucom, to też jest okej? – uzupełniła ze śmiechem Karen, dobrodusznie szturchając Harry’ego w bok.

– Ale przynajmniej twoja wątroba jest nienaruszona.

– No tak, jest różnica.

Harry połaskotał Karen i ta, rozchichotana, wpadła na niego.

– Upijanie się nie jest zbyt atrakcyjne – dopowiedział łagodniejszym tonem Harry i niby przypadkiem zarzucił rękę na ramię Karen. – Zwłaszcza jeśli ktoś zaczyna bełkotać i rzyga, gdzie popadnie. Tamta dziewczyna pozwalała sobie na coś takiego w każdy weekend. Stało się to po prostu żenujące.

Łatwo było dosypać jej coś do drinka. Wystarczyła benzodiazepina, którą kupiłam w Bangkoku. Ileż specyfików można nabyć w tutejszych aptekach bez recepty... Wcześniej pomyślałam o diazepamie dla siebie, aby uwolnić się od koszmarnych rojeń, że Sean mógłby mnie wysledzić, ale ujrawszy półki zastawione całymi rzędami słoików wypełnionych wyglądającymi jak słodczyce niebieskimi, białymi i żółtymi tabletkami, wiedziałam, że muszę to wykorzystać. I kupiłam po parę tabletek każdego rodzaju.

Wieczorem pomieszałam je i utarłam na proszek. Później, gdy staliśmy wszyscy zwrócenii plecami do baru i gawędziliśmy, przesunęłam się w stronę Karen. Jej koktajl stał za nią i od czasu do czasu odwracała się, żeby po niego sięgnąć. Zwykle przez cały wieczór wypijała dwa duże piwa. Widywałam ją co najwyżej lekko podchmieloną. Tego wieczoru udało mi się wsypać proszek do jej drinka, kiedy była zajęta flirtowaniem z Harrym.

Przeniknięcie substancji z lekarstw do jej organizmu nie trwało długo. Karen poszła tańczyć, czego nigdy nie robiła. Kiedyś wyznała mi, że w tańcu ma nieskoordynowane ruchy. I miała rację. Mimo ciała baletnicy stać ją było tylko na nieporadne, niezbyt eleganckie, słoniowate ruchy. Tańcząc, potrącała innych; zdumiała mnie ta jej niezręczność. Dla mnie taniec był czymś naturalnym. Przybliżyłam się do niej i Harry’ego, przypominając sobie kroki z kursu salsy, na który chodziłam z Seanem (dopóki nie zrobił się zazdrosny o nauczyciela pokazującego ze mną prawidłowe kroki, po czym wymusił na mnie rezygnację z naszego udziału w zajęciach). Zaczęłam tańczyć obok Harry’ego, który kręcił się w miejscu, jakby zakłopotany tym, że Karen szaleje z rękami nad głową, zapomniawszy o swoich oporach.

– Skarbie, to nie Ibiza – zganił ją jakiś facet, któremu nadepnęła na nogę w skórzanym bucie. Po czym mruknął pod nosem: – Przeklęte ćpunkki.

W oczach Harry’ego dostrzegłam upokorzenie. W końcu chwycił Karen za rękę, powiedział jej, że wystarczy i powinna napić się wody. Poszłam za nimi; ucieszyło mnie, że Karen była spocona i wyglądała nieatrakcyjnie, kiedy potykała się i kurczowo trzymała Harry’ego, chyba w obawie przed upadkiem. Harry zaprowadził ją z powrotem do baru, żeby napiła się wody, czego sam dopilnował. Na jego twarzy malowała się troska.

– Wow – odezwałam się niepotrzebnie. – Tak zalanej Karen jeszcze nie widziałam.

– To pewnie z upału. Musi uzupełnić płyny.

– Czuję się parszywie – zaczęła narzekać Karen, nadal mocno oparta o Harry’ego.

Po chwili jej organizm się zbuntował: dostała torsji i zaczęła rzygać, gdzie popadło. Odskokczyłam, gdy wymioty zabrudziły podłogę, ale Harry jej nie opuszczał, spokojnie pocierał jej plecy i odgarniał włosy z twarzy. Karen była jak szmaciana lalka zawieszona między nami dwojgiem; zarzuciła nam ręce na szyje, a my trochę ją nieśliśmy, a trochę ciągnęliśmy do bungalowu, po czym ostrożnie ułożyliśmy na łóżku. Straciła już świadomość, bełkotała coś do siebie z zamkniętymi oczami, a na jej twarzy lśniła warstwa potu przypominająca folię spożywczą. Zdażyła zarzygać sukienkę, która zadarła jej się w górę ud, odsłaniając majtki.

Harry ukląkł na zimnych płytkach, obciągnął sukienkę Karen i otarł jej czoło mokrym ręcznikiem przyniesionym z łazienki.

– Zadbaj o to, żeby się nie przegrzewała i piła różne płyny, i przewróć ją na bok, jeśli znowu zwymiotuje.

Gdy Harry się podniósł, spanikowałam.

– Dokąd idziesz?

Myślałam, że on będzie dla Karen lekarzem, a ja pielęgniarką, i spędzimy tę noc na serdecznych pogawędkach nad jej bezwładnym ciałem.

Harry zmarszczył brwi.

– Wracam do baru... – odpowiedział, jakbym zadała mu głupie pytanie.

– Zostawiasz Karen ze mną?

Zawahał się.

– Cóż, pomyślałem, że będzie zawstydzona, kiedy się dowie, że widziałem ją w takim stanie. A ty jesteś tutaj jej najbliższą przyjaciółką.

Najbliższą? Dobre sobie. Harry podszedł do mojego miejsca na brzegu łóżka. Stał nade mną. Nagle zapragnęłam czym prędzej ściągnąć mu te szorty i sprawić, że zapomniaby o cholernej Karen Fisher. Tymczasem Harry pochylił się i ścisnął moje ramię.

– Jesteś dobrą przyjaciółką – powiedział. – Zawiadom mnie, jeśli jej stan by się pogorszył. Oby przespała to wszystko.

Rzeczywiście jej się pogorszyło. Już ja o to zadbałam.

Kilka następnych dni Karen spędziła w łóżku. Wpadałam do niej w przerwach między opalaniem się, pływaniem z maską i rurką i piciem. Zapalałam kadzidelka, żeby pozbyć się zapachu po torsjach oraz woni potu. Czasami przychodził ze mną Harry, ale raczej nieobecny duchem, obojętny. Być może przeważało u niego podejście lekarza, bo odniosłam wrażenie, że nie widział już w Karen obiekcie swoich uczuć, tylko pacjentkę.

Zbyt jeszcze niedomagała, żeby wybrać się z nami do Szmaragdowej Jaskini. To był świetny dzień: Harry i ja wygłupialiśmy się, spychaliśmy się nawzajem z łódki i nurkowaliśmy na przemian. Wyobrażałam sobie, jak mogłaby się ułożyć nasza znajomość bez Karen w pobliżu. Lubiłam jej towarzystwo, ale gdy jej nie było, Harry skupiał uwagę na mnie.

Kiedy wracaliśmy do hotelu, byłam w siódmym niebie. Poszłam z całą resztą do baru na drinka, udając, że nie zauważam wymknięcia się Harry'ego. Gdy przyszłam z powrotem do pokoju, Karen siedziała w łóżku i wyglądała lepiej. Na stoliku obok stał połyskliwy ozdobny posążek Buddy mierzący około piętnastu centymetrów. Podniosłam statuetkę. Była piękna, ciężka, wykonana z onyksu.

– Skąd to masz?

– Harry mi kupił – odparła. – Żeby mnie rozchmurzyć.

Dlaczego ja nie wpadłam na podobny pomysł?

Przygnębiona odstawiałam posążek. Nieobecność Karen trwała niespełna tydzień, ale zmieniała się już dynamika grupy: zamiast niepożądanego Dylana to Harry dotrzymywał mi towarzystwa. To mnie szukał, ilekroć wybierał się do wioski albo chciał popływać. Teraz, kiedy Karen miała się lepiej, martwiłam się, że wszystko wróci do poprzedniego stanu.

Byłam wręcz tego pewna. Jakiś tydzień później opuściliśmy Koh Phi Phi i popłynęliśmy stateczkiem do Koh Lanty, gdzie można było pojeździć na słońcach i popływać z maską i rurką po jaskrawej koralowej zatoczce. Wtedy zauważyłam, że Karen i Harry znowu się do siebie zbliżają. Kiedy tylko Karen widziała Harry'ego, na jej twarzy pojawiał się uwydatniający dołki uśmiech, ciągnęło ich ku sobie, spacerowali pod rękę, pogrążeni w rozmowie. Nigdy nie zniżałam się do wypytywania jej, Karen też nie była skłonna do chichotliwych zwierzeń. Takie zachowanie nie było w jej

stylu. Zastanawiałam się, czy nie nadeszła pora, by ruszyć w dalszą drogę bez nich i znaleźć sobie nowych znajomych. Łatwiej byłoby zrobić to tutaj. Zwłaszcza że dotychczasowe znajomości zaczynały mi ciążyć jak balast. Czułam, że tracę władzę nad Karen i Harrym, i wcale mi się to nie podobało.

Po paru tygodniach pewnego wieczoru zapowiedziałam:

– Myślę o powrocie do Bangkoku.

Zrobiło się wietrzniej, często lało jak z cebra i chociaż upał doskwierał mniej niż w maju, nurkowanie i opalanie się przestały mnie bawić.

Wprawdzie kurort, w którym się ostatnio zatrzymaliśmy, miał tuż obok plażę, ale domek letniskowy z jedną sypialnią, który dzieliłam z Karen, był prymitywny. Na widok otworu w ziemi, który miał być naszą toaletą, doznałyśmy szoku, choć się roześmiałyśmy. Dzieliłyśmy też jeden z plażowych hamaków, leżąc naprzeciw siebie ze splecionymi nogami i sącząc koktajle. Słońce zaszło i nad naszymi głowami jarzyły się już tylko drobne światełka. Wcześniej padało, było jednak ciepło, nad ciemnym morzem czuło się wiatr. W oddali, w barze na plaży, widziałyśmy resztę grupy; raz po raz docierały do nas chóralne wybuchy śmiechu.

Karen, uniósłszy brwi, sączyła przez słomkę swój koktajl. Intensywny różowy kolor drinka – jagód i arbuza w połączeniu z wódką – barwił jej usta. Przełknęła ślinę i spytała:

– Chcesz opuścić Koh Lantę?

– Wybrałabym się chętnie na północ. A potem być może dalej, do Nepalu albo Birmy.

Po minie Karen widziałam, że rozważa ten pomysł. Zwilżyła wargi językiem.

– To brzmi naprawdę nieźle.

– Tutaj bardzo mi się podoba – przyznałam, pokazując ręką długi pas piaszczystej białej plaży, perlistą wodę i palmy kołyszące się na wietrze.

Tu był prawdziwy raj, jeden wielki urlop, jedna wielka impreza. W sąsiednim domku plażowym drobna Tajka masowała jakiegoś chłopaka, właściwie siedząc mu na plecach i skwapliwie ugniatając jego ramiona.

– Ale minęło już parę miesięcy. Czas jechać dalej.

Pod podkoszulkiem łomotało mi serce. Jeśli miałabym być szczerą, chciałabym, żeby to Karen była moją towarzyszką podróży, ale inni – nie. Bawiłam się nóżką kieliszka i obserwowałam cały wachlarz odczuć na

twary Karen, jak migoczące światła dyskoteki. Musiała rozstrzygnąć: porzucić Harry'ego czy mnie?

Łyknęła drinka i spytała:

– Kiedy zamierzasz wyjechać?

– Za kilka dni. Chcesz dołączyć? A może wolisz tu zostać?

Staralam się mówić spokojnie, aby pokazać, że jest mi obojętne, co postanowi.

Karen westchnęła.

– Nie jestem pewna. Daj mi się zastanowić.

– Oczywiście – odparłam ze słodkim uśmiechem.

Widać było, że Karen ulżyło, ale ja się nie martwiłam. Już ja dopilnuję, by wybrała mnie.

W następny wieczór bardzo dużo czasu zajęły mi przygotowania do wyjazdu. Na plaży jak zwykle trwała impreza, przez otwarte okno słyszałam muzykę, śmiech i pobrzękiwanie kieliszków. Przyjrzałam się sobie w małym nakrapianym lusterku. Jedząc od miesięcy ryż i ryby, straciłam na wadze prawie sześć i pół kilo, byłam zgrabniejsza i bardziej opalona niż kiedykolwiek przedtem. Moje ciemne włosy lśniły, wyglądałam zdrowo i atrakcyjnie. Użyłam czerwonej szminki i zgarnęłam z twarzy włosy, które znacznie urosły i nie tworzyły już krótkiej fryzurki; wymagały zmiany.

Zaczęłyśmy pić wcześniej i dlatego czułam się już trochę wstawiona, gdy wybrałyśmy się na plażę.

– Nie chcę wypić za dużo – powiedziała Karen. – Po ostatnim razie jeszcze mi wstyd. I dalej nie rozumiem, dlaczego alkohol tak na mnie zadziałał.

Było już ciemno. Schodki udekorowano latarenkami, więc nie błądziłyśmy. W całym barze rozwieszono sznur lampek, dzięki czemu panowała świąteczna atmosfera. Dostrzegłam Harry'ego – stał na plaży z Larsem i Dylanem. Gdy wchodziłyśmy do baru, obrócił głowę w naszą stronę, ale nie podszedł.

– Co się stało Harry'emu? – zapytałam, kiedy stanęłyśmy w kolejce. – Ma minę jak zbity pies.

Karen się skrzywiła.

– Och, Beth. Jesteś nieznośna. Powiedziałam mu, że pewnie wyjedziemy. Nie chce dołączyć, bo już był na północy kraju.

Pamiętałam, że wspomniał o tym, kiedy się poznaliśmy, ale milczałam i tylko współczująco kiwałam głową, pozwalając Karen mówić.

– Moim zdaniem Harry chce podróżować dalej z Dylanem i Larsem. Poznali się w Wietnamie i od tamtej pory trzymają się razem. – Westchnęła. – Emma zamierza jechać z nimi. Harry spytał, czy my nie chcemy dołączyć. Co o tym sądzisz?

– A dokąd zamierzają jechać?

– Chyba do Indii.

– Do Indii? Wątpię, czyby ci się tam spodobało – stwierdziłam. – Złapałabyś biegunkę, a co gorsza, ludzie srają tam na ulicach. I dodam, że stąd jest daleko do Indii.

Karen wyglądała na smutną, wpatrywała się w swoje ręce.

– Wiem, że to daleko, ale od dawna marzę o tym, żeby zobaczyć Tadž Mahal.

– Dla nich to dobry wybór – odpowiedziałam. – Widzieli już Tajlandię. A my dopiero zaczęłyśmy, Karen. Co z Wietnamem i Laosem? Nie zwiedziłam jeszcze Azji Południowo--Wschodniej. Musisz wybrać to, co dla ciebie najlepsze, ale ja jutro ruszam do Bangkoku.

Przerwał nam atrakcyjny barman, pytając, czego się napijemy. Zamówiłyśmy koktajle i w gromadce innych imprezowiczów oddaliśmy się w kierunku plaży. Podeszła do nas Emma, żeby zaciągnąć mnie i Karen do Larsa i Harry'ego. Tymczasem Dylan podrywał w ciemnym kącie jakąś piersiastą blondynkę.

Harry wyglądał tamtego wieczoru jak prawdziwy przystojniak. Słońce sprawiło, że końcówki jego włosów pojaśniały, a skóra przybrała złocisty odcień. Pragnęłam go dotykać i całować jego pełne usta. Karen też nie odrywała od niego wzroku, ale w przeciwieństwie do moich na jej lubieżne spojrzenia reagował.

Harry... Jaką on ma historię? Każdy przecież ma swoją historię.

Głośna muzyka taneczna pulsowała mi w uszach. Umyślnie potrąciłam Harry'ego, żeby rozlał mu się alkohol.

– Ojej, przepraszam – powiedziałam, zabierając mu z ręki szklaneczkę.

Harry spojrzał z niesmakiem na lepki płyn spływający mu po udzie.

– Przyniosę ci nowego drinka.

Karen rozmawiała z Emmą i pewnie nie spostrzegła, że pędzę do baru. Łatwo było rozpuścić leki w drinku Harry'ego, bo nikt na mnie nie patrzył.

Gdy wróciłam, Harry uśmiechnął się do mnie i z wdzięcznością przyjął alkohol.

– Twoje zdrowie, Beth. Nie musiałaś tego robić.

– To była moja wina – odparłam i stanęłam przy nim.

Ktoś podkreślił muzykę i na plaży pojawił się nowy tłumek. Karen i ja zostałyśmy rozdzielone, dzięki czemu znalazłam się sam na sam z Harrym. Zobaczyłam, że rozgląda się za Karen, ujęłam więc jego rękę, abyśmy jeszcze bardziej zmieszali się z tłumem. Harry nadal trzymał szklaneczkę, ale z przyjemnością stwierdziłam, że była już prawie pusta.

– Zatańcz ze mną – poprosiłam swoim najbardziej zmysłowym głosem, poruszając się kusząco w rytmie muzyki.

Harry zaczął się niemrawo kręcić, ale wchłonał nas tłum i w końcu zostaliśmy sami, jak w bańce mydlanej. Harry miał rozszerzone źrenice. „To moja szansa” – pomyślałam. Faktycznie, mogłam się odegrać na Karen. Miałam tylko nadzieję, że patrzy. Pociągnęłam Harry’ego ku sobie i wtuliłam się w niego. W jego oczach dostrzegłam zdziwienie, ale położył rękę na moim biodrze. Wtedy podniosłam głowę i złożyłam dłuższy pocałunek na jego ustach. Moje ręce odnalazły śliczne jasne włoski na karku Harry’ego. Upajałam się jego zapachem przypominającym woń cytryn. W pierwszej chwili wyczułam rezerwę i zaskoczenie moim tupetem, ale później dostosował się do mnie i odwzajemnił pocałunek: nasze języki trafiły na siebie; Harry smakował tę chwilę, tak jak przewidywałam. Trwało to długo, w końcu złapał mnie za pupę i przycisnął swoje biodra do moich, przysuwając mnie tak blisko, że prawie na nim usiadłam. Po moich plecach popłynął jego drink, jednak nie zważałam na to. Wtulona w Harry’ego poczułam, jak twardnieje mu członek. Jak mawiał Sean, potrafiłam uwodzić. W końcu Harry odsunął się ode mnie, jakby otrząsnął się z transu, a w jego oczach zobaczyłam przerażenie, gdy zdał sobie sprawę, czego przed chwilą się dopuścił.

– O Boże, jestem niesamowicie pijany – powiedział, jakby te słowa miały cokolwiek naprawić.

Widziałam, jak kręci głową na wszystkie strony niczym surykotka, próbując wypatrzeć w tłumie Karen.

– Muszę się wysikać – dodał i odszedł, zataczając się.

Kiedy się odwróciłam, napotkałam spojrzenie Karen i ujrawszy zboląły wyraz jej twarzy, zrozumiałam, że wszystko widziała.

Nazajutrz wyruszyliśmy do Bangkoku. Same.

Oczywiście udawałam niewinną. Wyznałam, że to jego sprawka. I że tak jak Dylan jest obleśnym typem. Karen była tak wściekła, że nawet nie pożegnała się z Harrym; odjechałyśmy, zanim wstał. Zaimponowała mi tym. Okazała się wbrew pozorom silną osobą, chociaż spakowała posążek Buddy, który podarował jej Harry.

Być może powinnam była zrozumieć, jak bardzo Karen pokochała tego mężczyznę. Dostrzegam to teraz, po fakcie. I przyznaję, że popełniłam straszliwy błąd. Ale byłam młoda i w gorącej wodzie kąpana. Pełna żalu. Chciałam ukarać Karen za to, że Harry ją wybrał.

Skąd mogłam wtedy wiedzieć, że ostatecznie to ona ukarze mnie?

Coś się między nami zmieniło. W pociągu do Bangkoku uświadomiłam sobie, że Karen łąpie na mnie ukradkiem znad książki – bzdurnego romansidła – i próbuje mnie rozgryźć. Ale przecież dobrze mnie poznała... Wiedziała, w co się pakuje, kiedy usłyszała moje wyzwiska pod adresem tamtych facetów, kiedy przystała na zamianę miejsc, kiedy dała się wytatuować, aby nie uchodzić w moich oczach za tchórzliwą. Chciała zrobić na mnie wrażenie i sprawiać mi przyjemność. Wiedziała zapewne, że Harry podoba się również mnie, ale nie była gotowa mi go odstąpić. No właśnie, gdy to jej odpowiadało, potrafiła okazać się egoistką.

Był koniec sierpnia. Deszcz bębnił o dach pociągu. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele, gdy usiadłyśmy naprzeciwko siebie, zupełnie inaczej niż trzy miesiące wcześniej. Nie było teraz spontanicznego śmiechu, zapoznawczej gadki, puszek piwa i żartów. Karen czytała z wyrazem zawziętości na twarzy, a ja wyglądałam przez okno, śledząc krople deszczu spływające po szybie. Gdy nadeszła pora snu, w milczeniu pościeliłyśmy sobie łóżka. Karen wdrapała się na górę, po czym aż do rana nie dała znaku życia.

„Mnie też będzie brakowało Harry’ego” – chciałam ją zapewnić. Ale tak było dobrze: skoro ja nie mogłam go mieć, ona też nie. Leżałam w ciemności, czasem tylko mignęło światło i docierał do mnie cichy odgłos rozmów innych pasażerów – wszystko to nie pozwalało mi zasnąć.

Zanim dojechaliśmy do Bangkoku, Karen zdążyła mnie znużyć uporczywym milczeniem. Przychodziło mi już na myśl, że powinnam ją splewić. Nie czułam jej podziwu, co najwyżej dezaprobatę. Nazbyt kojarzyło mi się to z zachowaniem Seana.

Prawie cały dzień włóczyłyśmy się po mieście, po raz drugi zwiedziłyśmy Wielki Pałac i obejrzałyśmy posąg leżącego Buddy. Żadna z nas nie miała właściwie celu, obie tkwiłyśmy w swoich światkach, stęsknione za Harrym i resztą grupy, choć nie chciałyśmy się do tego przyznać. Po południu niebo się zachmurzyło i powietrze przesyciło się wilgocią. Wsiadłyśmy na mały rzeczny statek, aby obejrzeć domy budowane na palach. Z zachwytem patrzyłam na wyskakujące z wody ryby z rozdziawionymi pyszczkami, gotowe pochłaniać karmę rzucaną przez naszego przewodnika i znikające potem w mętnej wodzie. Karen siedziała

wpatrzona w dal, ze smutkiem w oczach, obojętna na wszystko, co działo się wokół.

Gdy opuściliśmy statek, Karen odpowiadała na moje pytania półsłówkami, udając zafascynowanie architekturą. Chciałam jej poradzić, żeby się otrząsnęła, w końcu to tylko facet, ale udawałam, że między nami nie dzieje się nic złego, i pograżyłam się w lekturze przewodnika.

– W tym hostelu pewnie jest tanio – powiedziałam, gdy skręciliśmy w brudną boczną uliczkę z budynkami mieszkalnymi w niezbyt przyjemnej dzielnicy. – Jeśli będą wolne pokoje, może zostaniemy tutaj na noc, a jutro rano ruszymy na północ?

Karen ledwo zdobyła się na wzruszenie ramionami.

– Zgoda.

Spojrzała na budynek – wąski, wciśnięty między dwie fasady sklepów, z dużymi oknami i marniejącymi drzewkami bonsai przy wejściu.

Poszła za mną przez hol, po czym zatrzymała się zaciekawiona mozaiką na podłodze, tymczasem ja spytałam o pokoje.

– Dzisiaj nie ma wielkiego tłoku – oznajmiła atrakcyjna Tajka z promiennym uśmiechem.

Miała połyskliwe włosy upięte w kok i niezbyt fortunnie dobraną koralową szminkę na ustach. Poprowadziła nas na drugie piętro i dalej korytarzem – aż do wąskiego pokoju z dwoma piętrowymi łózkami. W otwartym oknie między łózkami bzyczała mucha. Nie było klimatyzacji. Pokój wydał mi się duszny, a jego ściany chyba pochylały się do środka. Powiedziałam, że go bierzemy.

Karen opadła na jedno z łóżek na dole. Miała podkrążone oczy i była blada. Nie rozebrawszy się, zwinęła się w kłębek na pościeli z podciągniętymi do piersi kolanami.

Powiedziałam jej, że chcę zajrzeć do sklepu 7-Eleven na rogu, i zapewniłam, że zaraz wrócę. Gdy przyszłam z powrotem zaopatrzona w torebki chrupków i puszki gazowanych napojów, Karen siedziała z oczami wpatrzonymi w dal, objąwszy kolana, z wyrazem twarzy, którego nie potrafiłam rozszyfrować. Zaproponowałam jej puszkę coli; przyjęła ją w milczeniu. Po otwarciu rozległ się syk i pojawiły się bąbelki.

Poszłam do toalety. Kiedy wróciłam, Karen mocno spała. Jej powieki trzepotały, puszkę coli stała obok – otwarta, ale nietknięta. Sięgnęłam po nią i wypiliśmy napój, żeby się nie zmarnował, po czym usiadłam na łóżku na dole po przeciwnej stronie Karen. Na parapecie między naszymi łózkami

Karen postawiła posązek Buddy. Pod wpływem nagłego impulsu podniosłam go i wsunęłam do swojego plecaka. Karen musiała przestać patrzeć na statuetkę i rozmyślać o Harrym. Tym gestem wyświadczałam jej przysługę.

Sama chyba także zasnęłam, bo kiedy otworzyłam oczy, leżałam na łóżku, jeszcze w ubraniu. Spałam jak zabita, byłam półprzytomna i zastanawiałam się, co mogło mnie obudzić. W całkowitym mroku wydawało mi się, że nadal mam zamknięte oczy, wyczułam też dziwny zapach – przykry i natrętny. Z korytarza dochodziły krzyki, słychać było tupot nóg.

Usiadłam energicznie, uderzając głową o łóżko na górze. Zmrużyłam oczy, by przywykły do ciemności. Ciągłe byłam ospała. Ktoś łomotał w drzwi, jakby chciał się włamać. Co się stało? Wtem drzwi stanęły otworem i pokój wypełnił się dymem: gęsty, czarny, wił się dookoła nóg łóżek, kłuł mnie w oczy i przyprawiał o kaszel. W drzwiach stał strażak. Wykrzykiwał coś po tajsku. Spróbowałam wstać, ale ociężałe nogi odmówiły mi posłuszeństwa i upadłam na podłogę.

– Karen! – zawołałam. – Karen! Wstawaj!

Dym zgęstniał tak, że nie byłam w stanie stwierdzić, czy Karen wstała, czy śpi dalej. Spróbowałam uklęknąć, przy czym dym wdzierał mi się w głąb gardła, grożąc zaccadzeniem. Nie mogłam oddychać i przestałam cokolwiek widzieć. Nagle poczułam ręce, które chwyciły mnie i podniosły, i usłyszałam czyjś głos. Spokojny głos. Uświadomiłam sobie, że należy on do strażaka, który niósł mnie korytarzem. Moje płuca pracowały ponad miarę, gdy próbowałam oddychać, ale wokół nie było powietrza, lecz gryzący dym, który niczym gruba kołdra usiłował dostać mi się do gardła. Dusiałam się. A potem ruszyliśmy ku wyjściu, w stronę ledwo widocznego w dymie prostokąta czarnego nieba, i wreszcie mogłam głęboko, rozpaczliwie odetchnąć świeżym powietrzem.

Strażak zszedł na dół metalowymi schodami, przerzuciwszy mnie sobie przez ramię. Na dole stała grupa nastolatków, którzy zafascynowani i przerażeni obserwowali, jak strażak kładzie mnie na chodniku. Wgramoliłam się na gorący asfalt i patrzyłam, jak ogień niczym żarłoczna bestia pochłania najwyższe piętro hostelu.

Karen. Karen tam jest.

– Moja przyjaciółka! – wykrzyknęłam i wskazałam hostel.

Strażak pobiegł z powrotem do środka i w tym momencie z okropnym trzaskiem eksplodowało jedno z okien, po czym posypały się na nas odłamki szyby. Ktoś krzyknął. Grupa nastolatków skuliła się ze strachu, wszyscy nakryli głowy rękami, a ja patrzyłam na to z przerażeniem. Jakiś policjant wrzasnął do nas najpierw po tajsku, a później po angielsku:

– Cofnijcie się!

Zapanował chaos. Nadjechało więcej wozów strażackich w jaskrawożółtym kolorze, które z rykiem syren stanęły pod hostelem. Ktoś zaprowadził mnie do karetki, ciągle oszołomioną i kaszlącą. Gdy pożar się wzmaczał, mogłam tylko patrzeć, przykryta drapiącym kocem o barwie końskiego łajna, trzęsąc się z zimna mimo upału. Niebawem zabrano mnie do szpitala i zbadano, czy nie zatrulałam się dymem. Kiedy lekarz poprosił mnie o podanie nazwiska, skłamałam. Lepiej było go nie ujawniać, mogło przecież trafić do prasy. Wyobraziłam sobie nagłówek: „Brytyjska turystka przeżyła pożar hostelu w Tajlandii” – Sean dowiedziałyby się niechybnie, gdzie jestem. Nie miałam przy sobie żadnych dokumentów, żadnych szczegółowych danych – zapewne wszystkie, wraz z pozostałym dobytkiem, poszły z dymem.

Tamtej nocy niewiele spałam. W klatce piersiowej czułam ciężar, jakby dym nie opuścił moich płuc. Myślałam o Karen. Czy udało jej się uciec?

Następnego ranka zostałam wypisana ze szpitala. Musiałam wypełnić formularze, więc podałam w nich fałszywe nazwisko. Wróciłam do hostelu. Był nie do poznania – najwyższe piętro spłonęło doszczętnie, poczerniało i migotało w upale, a niższe piętra pokryła warstwa popiołu. W zgliszczach torowali sobie drogę oficjele. Moje rzeczy osobiste uległy zniszczeniu. Gdy spytałam, czy odnaleziono pewną młodą Angielkę, jakiś zmęczony policjant z notesem w ręce pokręcił smutno głową. Spisał moje dane i zapowiedział, że być może policja zechce mnie przesłuchać w toku śledztwa. Ale potem nikt mnie nie wezwał.

Przez następne kilka dni obdzwoniłam wszystkie szpitale, żeby sprawdzić, czy Karen znalazła się w którymś z nich, ale wszędzie słyszałam tę samą odpowiedź: żadna Karen Fisher nie trafiła na izbę przyjęć.

Tamtej nocy w pożarze straciło życie osiem osób: troje członków personelu i pięcioro turystów. Siedem osób ocalało, a dwie uznano za zaginione. Na szczęście hostel akurat nie był zapełniony, w przeciwnym razie ofiar byłoby znacznie więcej. Nasze nazwiska – ani moje, ani Karen –

nie znalazły się w komunikatach. Pożar pochłonął większość rzeczy, żadne dokumenty się nie zachowały, znaleziono tylko zwłoki – czarne, spalone.

Kolejne dni i tygodnie mijały mi w apatii i odrętwieniu, ale musiałam zachowywać pozory. Skontaktowałam się z ambasadą brytyjską, złożyłam wniosek o nowy paszport na panięskie nazwisko, Elizabeth Davies, co pozwoliło mi definitywnie pozbyć się Seana. Nie jestem aż tak dumna, żebym nie potrafiła przyznać, iż tęskniłam za Karen, za jej towarzysztwem; brakowało mi kogoś, z kim mogłam się pośmiać, brakowało mi nawet jej kiepskich żartów.

To zabawne, jak życie potrafi nagle zmienić kierunek, jakby wszystkim rządziła jakaś siła wyższa. Mój tata był pastorem i razem z mamą usiłowali wpoić mi wiarę w Chrystusa. Dlatego do dziś nie wyzbyłam się całkiem przekonania, że coś w tym może być, chociaż jako nastolatka byłam zbuntowana, w wieku piętnastu lat uciekłam z domu i z grupą podobnych do mnie mieszkaliśmy na dziko, póki nie pojawił się Sean.

Powiedziałam Karen, że moi rodzice umarli, ale tak naprawdę mama nas porzuciła. Odeszła od taty i wyrzekła się mnie. Nie widziałam matki od dwunastego roku życia. Zanim uciekła, zwykła wieczorami siadać na krawędzi mojego łóżka i mówić do mnie słowami z Biblii, głądziła, że muszę oczyścić się z grzechu. Często się zastanawiałam, czy sama się na to zdobyła, po tym jak zniknęła z innym mężczyzną z naszej parafii. Chyba że jej takie reguły nie obowiązywały. Tata zrzucał winę na mnie, mawiał, że jestem trudną i zepsutą jedynaczką. I że nie jestem „poukładana”, bo nie dostosowuję się do stylu życia, jakie wiódł on, „filar społeczności” w tej dziwnej zapyziałej wiosce. Kiedy mama od nas odeszła, mój ojciec był raz po raz wzywany do szkoły, bo wagarowałam albo przyłapywano mnie na ukradkowym paleniu za parkowaniem dla rowerów. Gdy nakryto mnie w męskiej toalecie, jak całowałam się z Theo Mastersem, tata był wściekły i powiedział: „Jesteś dziwką jak twoja matka!”. Pokłóciliśmy się i wybiegłam z domu. Nigdy więcej go nie zobaczyłam.

W dzieciństwie wyobrażałam sobie Boga jako lalkarza unoszącego się nad ludźmi, który pociąga za sznurki i podług swoich zachcianek decyduje o tym, jak potoczy się życie każdego z nas.

Ślub z Seanem w młodym wieku był dla mnie ucieczką. On był atrakcyjny – starszy, szarmancki, zamożny, z własnym mieszkaniem. Miał firmę budowlaną. Zaimponował mi, ale wpadłam z deszczu pod rynnę.

Kiedy Karen określiła mnie jako „twardą sztukę”, nie znała nawet połowy faktów.

W Anglii byłam zaledwie od paru dni – pierwszy raz po prawie dziesięciu latach – i właśnie wtedy zobaczyłam jej zdjęcie. Znalazłam je, przeglądając egzemplarz „Mail on Sunday”, który ktoś zostawił w pewnej kafejce, czy raczej speluncie w Huddersfield. Gazeta była sprzed kilku tygodni, z połowy marca dwa tysiące siedemnastego roku, ale mimo to zaczęłam ją czytać. Rozpoznałam nazwisko w nagłówku – własne nazwisko – Elizabeth Elliot. „Co za przypadek...” – pomyślałam, popijając kawę, i zagłębiłam się w lekturze opowieści o nauczycielce, która uratowała dziecko z pożaru. O nauczycielce, która nosiła takie samo imię i nazwisko jak moje. Ja nie zostałam pedagogiem, bo nigdy nie poszłam do kolegium nauczycielskiego, do którego się dostałam. Po prostu nie miałam na to ochoty. Wolałam spędzić jeszcze kilka lat w Tajlandii. Później odbyłam długą podróż dookoła świata, zatrudniałam się w barach i restauracjach i za każdym razem po kilku latach pracy ruszałam dalej. W końcu spotkałam na swojej drodze Hiszpana, Matea, w którym się zakochałam. Żyliśmy szczęśliwie w Barcelonie aż do totalnej katastrofy przed trzema miesiącami.

Wróciłam do Anglii tylko z powodu śmierci taty: chciałam się dowiedzieć, czy ten drań cokolwiek mi zostawił. Byłam jego jedynym dzieckiem i najbliższą krewną i potrzebowałam pieniędzy, bo uciekłam od Matea.

Nie od razu to do mnie dotarło. Dopiero po chwili, gdy uważniej obejrzałam zdjęcie i zauważyłam wielkie piwne oczy i smugę na prawej ręce w bluzce bez rękawów; jej tatuaż był lekko zamazany, trudno byłoby go wypatrzeć, jeśli się go nie szukało. Miała teraz inne włosy: ciemniejsze i krótsze, z obfitą grzywką. To był *mój* dawny styl widoczny na zdjęciu z poprzedniego paszportu.

Nie wierzyłam, że na nią patrzę. Karen Fisher? Jak to możliwe, skoro zginęła w pożarze? Przyjrzałam się uważniej twarzy Karen, dołkom w policzkach, które pojawiły się, gdy uśmiechnęła się do dzieci u jej stóp. Był to surrealistyczny moment. Prawie dziesięć lat żyjesz w przekonaniu, że ktoś zginął, i w pewnym sensie się do tego przyczyniłaś, aż tu nagle taki szok. Siedziałam tam, roztrzęsiona jak po zbyt wielu filiżankach kawy.

Nawet kelnerka do mnie podeszła, żeby sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku.

Dlaczego ona używa mojego nazwiska? Co to wszystko znaczy?

Chciałam, musiałam się dowiedzieć.

O adres nie było trudno. Aż dziw bierze, jak łatwo wyłuskać różne dane z artykułu w gazecie. Nauczycielka. Prywatna szkoła. Bath.

Pojechałam do Bath rannym pociągami. Nigdy wcześniej tam nie byłam, ale widok ładnych georgiańskich budynków i pretensjonalnych niewielkich parków sprawił, że poczułam się źle. Przypomniał mi się York i moje nieszczęśliwe dzieciństwo. Oczywiście Karen nie mogła trafić w inne miejsce, nie wyobrażałam jej sobie w nędznej dzielnicy Sheffield czy Birmingham ani w żadnym innym kosmopolitycznym mieście. Nie była wystarczająco przebojowa. Raczej nijaka. Przez całą drogę rozmyślałam o jej oszustwie. Roztrząsałam to na wszelkie sposoby. Pozwoliła, żebym uwierzyła w jej śmierć. Próbowwała przede mną uciec? A może ją uratowano i trafiła do szpitala? Ale przecież obdzwoniłam wszystkie. Nigdzie jej nie było.

W tamten deszczowy dzień pod koniec marca czekałam przed szkołą ukryta pod parasolką. Poznałam ją natychmiast mimo zmienionej fryzury. Z daleka mogłaby się pewnie wydać mną, przynajmniej tą z dawnych czasów. Teraz miałam włosy prawie do pasa i ogorzałą twarz za sprawą zbyt długiego przebywania na słońcu, przez co można było mi dać więcej niż dwadzieścia dziewięć lat. Karen z kolei wyglądała świeżo i co bardziej irytujące, sprawiała wrażenie szczęśliwej. Na ramiona zarzuciła płaszcz, jedną rękę miała na temblaku, a w drugiej parasolkę w kropki. Nieomal wyskoczyła przez szkolną bramę zegnana przez uczniów i rodziców z życzeniami udanych świąt wielkanocnych. Śledziłam ją w drodze powrotnej do domu. Po dziesięciu minutach zobaczyłam, jak wchodzi do mieszkania w suterenie przy szerokiej ruchliwej ulicy; z wyżej położonego chodnika dostrzegłam, jak w kuchni wita pocałunkiem wysokiego przystojnego blondyna. Moje życie legło w gruzach, a ona miała wszystko.

Zatrzymałam się w pensjonacie kilka ulic dalej i tam mogłam trochę poszperać w internecie. Dowiedziałam się, że zajęła moje miejsce na studiach nauczycielskich w Middlesex. Utkwiło mi w pamięci, że nie miała dyplomu licencjata, a żeby kontynuować naukę, musiała się podać za mnie i posłużyć moim dyplomem. Moja torebka, paszport, legitymacja ubezpieczeniowa... wszystko było w moim plecaku. Sądziłam, że te rzeczy

spłonęły w pożarze. Tymczasem przez te wszystkie lata były najpewniej w rękach Karen.

Nigdy nie czułam do nikogo większej nienawiści niż do Karen w tamtej chwili. Ogromna wściekłość rosła we mnie niczym embrion. Ta suka ukradła mi poprzednie życie. A ja byłam zdeterminowana, by je odzyskać.

Zasięgnąwszy języka w szkole, dowiedziałam się, że jest akurat przerwa wielkanocna. Węszyłam w pobliżu mieszkania Karen, było tam jednak stale ciemno. Pewnego razu spostrzegłam, że jakaś starucha mieszkająca wyżej obserwuje mnie z wykuszowego okna. Przyszło mi na myśl, że może niepotrzebnie się fatygowałam, bo Karen i jej mąż mogą być na urlopie. Ale szczęśliwym trafem w środę zobaczyłam zapalone światło w oknie poniżej chodnika. Było to przed południem, zanosilo się na deszcz, niebo przybrało barwę nikotynowych plam na suficie pustostanu, w którym kiedyś mieszkałam. Zeszłam po schodach gotowa stanąć z nią oko w oko; liczyłam na to, że jej facet jest w pracy. Zapukałam z mocno bijącym sercem, zastanawiając się, jak się zachowam na jej widok, co powiem. Usłyszałam w holu kroki i cichy głęboki kaszel. Zamarłam. To był jakiś mężczyzna. Już miałam uciec po schodach, kiedy drzwi stanęły otworem. I zobaczyłam w nich Seana.

Zmierzyliśmy się wzrokiem, oboje w szoku. Sean wyglądał inaczej: starzej, był bardziej wyniszczony i mniej zadbany. Dawniej był przystojnym, czarującym facetem, któremu nie mogłam się oprzeć, dopóki wreszcie nie dorosłam i nie dotarło do mnie, jakim jest brutalem. Garnitury i długie wełniane płaszcze, które kiedyś sobie upodobał, zamienił na dżinsy i polar. Oczy Seana były bardziej zawzięte, niż je zapamiętałam, on sam wydał mi się grubszy, a jego mięśnie potężniejsze, jakby faszerował się sterydami.

Sean odezwał się pierwszy.

– Beth?

Kiwnęłam głową pełna strachu i zdumiona, że Sean jest w mieszkaniu Karen.

– Co, do cholery, tu robisz? Podobno jesteś w Kornwalii! – oburzył się.

– W Kornwalii?

Zaparło mi dech w piersiach, ledwo mogłam mówić i to ostatnie pytanie zadałam piskliwym głosem. Moje dalsze reakcje uprzedził Sean – chwycił mnie za gardło, wciągnął do holu i rzucił o ścianę, a jego palce zacisnęły się na mojej tchawicy. Drzwi zamknął kopniakiem.

– Tak, w Kornwalii – odparł i splunął.

Wzdrygnęłam się, poczuwszy zapach kawy w jego oddechu. Co ja w nim kiedyś widziałam? Napawał mnie obrzydzeniem.

– Proszę cię... Nie mogę oddychać... – wyjęczałam.

Sean uwolnił z uścisku moje gardło i chwycił mnie za ramiona. Jego palce wbiły mi się w ciało. Na pewno pozostawią po sobie siniaki.

– Podobno jesteś w Kornwalii – powtórzył Sean z zaciśniętymi zębami. – Z tym kutasem, twoim mężem.

– Nie mam męża... poza tobą.

Sean potrząsnął mną tak mocno, że ugryzłam się w język. Poczułam żelazisty smak krwi.

– Nie kłam, głupia dziwko. Co, do cholery, tutaj robisz?

– Nie kłamię! – wykrzyczałam. – Proszę cię... Nie wiem, o czym mówisz. Przyszłam, żeby zobaczyć się z Karen Fisher.

Sean przestał mną potrząsać.

– Z Karen Fisher?

– Poznałam ją, kiedy wyjechałam w podróż – wyjaśniłam, próbując wywinąć mu się z rąk, ale trzymał mnie mocno. – W gazecie zobaczyłam jej fotkę.

– We wszystkich gazetach było *twoje* zdjęcie – wysyczał Sean.

– Nieprawda. Myślałam... myślałam, że ona straciła życie w Tajlandii. Ale Karen przywłaszczyła sobie moją tożsamość. Udaje, że jest mną. Nie wiem dlaczego... nie...

Oczy Seana zabłyśły.

– To znaczy, że nie mieszkasz w tym mieszkaniu z Jamiem Hallem?

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Co więc tu robisz?

– Przyjechałam, żeby skonfrontować się z Karen.

Sean się cofnął, jakbym to ja wymierzyła mu cios.

– Cholera... – wyjęczał i złapał się za głowę, a potem zaczął chodzić po korytarzu tam i z powrotem. – Cholera...

Nie rozumiałam, co go tak rozeźliło.

– Sean, co zrobiłeś? Co zrobiłeś Karen?

Zawsze był sukinsynem zdolnym do manipulowania ludźmi. Dawniej byłam za młoda, żeby się zorientować, ale w tym momencie obleciał mnie strach. Czy Sean zrobił jej krzywdę?

Wtedy właśnie Sean mnie dopadł i zaciągnął za włosy do sypialni.

– Szukam cię od lat. Od dziesięciu pieprzonych lat. Ukradłaś mi dziesięć patyków. Liczyłaś, że ujdzie ci to na sucho? I jeszcze to zdjęcie. Myślałem, że cię znalazłem. A teraz mi mówisz, że to nie ty jesteś na zdjęciu, ale jakaś inna głupia krowa, która cię udaje... – Krzyżąc, pluł; ze złości aż poczerwieniał na twarzy i wybałuszył oczy. – Chętnie wyprułbym ci flaki. Wszystko popsulaś...

Oczy Seana miały błyskawice, mogłam go przejrzeć na wylot i ujrzeć tę nikczemność, którą był przeżarty aż do szpiku kości. Wiedziałam od dawna, że Sean by mnie zabił, jeśli bym mu się napatoczyła. Zdradziłam go, oszukałam, okradłam i uciekłam. Wiedziałam, że nigdy mi tego nie wybaczy. I dlatego właśnie trzymałam się przez tyle lat jak najdalej od niego. Sean podniósł rękę, zaciskając wielką dłoń w pięść, a ja, skulona ze strachu, zakryłam głowę w oczekiwaniu na pierwsze uderzenie. Przypomniało mi się małżeństwo – bił mnie tak, żeby nie zostawiać śladów.

Nagła wibracja, która dobiegła uszu Seana, zaskoczyła go na tyle, że opuścił rękę i wyjął komórkę z tylnej kieszeni brudnych dżinsów. Kiedyś nosił eleganckie i najmodniejsze spodnie. Czyżby przestało mu się powodzić? Gdy zobaczył na ekranie, kto dzwoni, zmarszczył brwi. Na jego twarzy pojawił się zgryźliwy uśmiech.

– Proszę, proszę... – powiedział. – Zobacz, kto to.

Patrzyłam właśnie na jego gruby kark i tatuaż na ręce. Lewy biceps zdobiło kiedyś moje imię, ale zastąpił je brzydki zielony wąż.

Sean stanął między mną a drzwiami, aby na pozór przyjacielskim tonem porozmawiać o jakimś Jimie, który poszukuje skamielin. Po chwili odchrząknął.

– Właściwie się cieszę, że pani dzwoni. Musieliśmy zmienić plany... – zawahał się, zerknąwszy w moim kierunku. – Nasza córeczka wychodzi ze szpitala wcześniej, niż myśleliśmy. Wiem, wiem, to świetna wiadomość. Do londyńskiego mieszkania wracamy dzisiaj wieczorem, najpóźniej jutro. Mogę zostawić państwa klucz u sąsiadki?

O czym on mówi? O jakiej córce? Znowu zobaczyłam ten jego uśmieszek. Cokolwiek sobie umyślił, dobrze się bawił.

– A wracając, proszę oddać klucz na stacji benzynowej. Jeszcze raz pani dziękuję... *Libby*.

Libby?

– Z kim rozmawiałaś? – spytałam Seana, kiedy schował komórkę do tylnej kieszeni spodni.

Wyszczerył zęby. W półmroku jego uśmiech wydał mi się upiorny.

– Wygląda na to, że ta twoja Karen Fisher każe mówić na siebie Libby. Nie Beth.

– Dlaczego ty rozmawiasz z Karen? Co tu się dzieje, Sean?

Popatrzył na mnie tak, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy.

– Ciężko mi to przyznać, ale dałem się nabrać. Ona jest bardziej podobna do ciebie z przeszłości niż ty teraz. Co się z tobą stało? Wyglądasz beznadziejnie.

Ścisnęło mnie w żołądku. Mimo upływu lat jego słowa trafiły w czuły punkt.

– Liczyłem, że trochę się z tobą zabawię, zanim spierdolę ci życie. Ale teraz pewnie nici z tego. – Zaśmiał się cynicznie. – Nawet tę przyjemność mi odebrałaś. Teraz będę musiał pomyśleć o czymś innym dla ciebie.

Co zaplanował? Znałam Seana, mogłam więc podejrzewać, że wpadł na jakiś koszmarny pomysł.

Grałam na zwłokę. Sean zawsze był arogancki. Ujawnienie, co zamierza ze mną zrobić, sprawiłoby mu przyjemność.

– Postanowiłeś mnie zabić?

– Pewnie, że zamierzałem cię sprzątnąć, do cholery. Sądziłaś, że zrobienie mnie w balona ujdzie ci na sucho? Przecież ukradłaś mi pieniądze.

Poczułam w ustach suchość, ale spytałam:

– Jak?

– Deptałem ci po piętach, albo raczej tej, którą wzięłem za ciebie, w Kornwalii. Obserwowałem ją i jej męża, tego mięczaka. Popchnąłem go, kiedy zwiedzali latarnię morską. Nie chciałem mu nic zrobić, tylko oboje wystraszyć, ale ona o mały włos nie spadła z klifu. Wydałaś mi się jakaś odmieniona. Twój chód i śmiech były inne. Ale minęło dziesięć lat... – Sean wzruszył ramionami i złośliwie się uśmiechnął. – Wróciłem tutaj, aby wykraść numer twojego konta i odzyskać dziesięć patyków z odsetkami. I jeszcze jedno: w Kornwalii dodałem trucizny do paru produktów. W lodówce. Umoczyłem twoją bieliznę w zwierzęcej krwi i zakopałem w ogrodzie. Ale pomyliłem się. To nie byłaś ty...

– Moją bieliznę?

– Ten drogi gorset, który ci kupiłem, pamiętasz? Przechowałem go. Przez te wszystkie lata. Wiedziałem, że cię jeszcze zobaczę. Że w końcu cię znajdę. Miałaś ze mną dobrze, to ja zabrałem cię z tego okropnego squatu,

gdzie mieszkałaś na dziko. To ja kupowałem ci ładne rzeczy. A ty tak mi się odpłacałaś...

– Miałam z tobą dobrze? – Mimo strachu nie mogłam milczeć. – Biłeś mnie. Maltretowałeś. Wykorzystałeś moją młodość i bezbronność...

Niespodziewany cios rzucił mnie do tyłu, na łóżko; myślałam, że kość policzkowa mi eksploduje. O sile pięści Seana przesądziła nagromadzona przez dziesięć lat frustracja i złość. Potem Sean usiadł na mnie okrakiem, a ja zaczęłam okładać go rękami, zadając mu bezskuteczne ciosy. Obrócił mnie na brzuch i brutalnie związał mi ręce na plecach czymś, co wbiło się w ciało.

– Wrócę po ciebie – zapowiedział i wstał.

I zostawił mnie tam, w ciemności, z pulsującym po jego uderzeniu okiem.

Kiedy tylko usłyszałam trzaśnięcie drzwi, zajęłam się rozluźnieniem więzów. Usiadłam przy drewnianym zagłówku łóżka i zaczęłam przesuwając nadgarstkami po ostrych krawędziach, aby stopniowo przepiłować to, czym spętano mi ręce. Sean użył jakiejś grubszej taśmy – czy miał ją stale przy sobie? Ten psychol niczym by mnie nie zaskoczył. Spociłam się z wysiłku i pozdzierałam skórę na nadgarstkach, ale w końcu udało mi się rozciąć taśmę. Sean okazał się zbyt dufny. Zapomniał, że nabrałam wprawy, kiedy byliśmy małżeństwem.

Poderwałam się i rozejrzałam po sypialni Karen: nowoczesnej, czystej, ze skandynawskimi meblami z dębiny. Jej toaleta była zastawiona różnymi miksturami i butelkami perfum, w całym tym bałaganie stało zdjęcie Karen i jej męża. Sean nazwał go Jamiem, Jamiem Hallem. Potrzebowałam czegoś twardego, ciężkiego, czym mogłabym się obronić, kiedy wróci Sean. Otworzyłam szafę Karen w nadziei na to, że znajdę but z ostrą szpilką albo grubą książkę, którymi mogłabym uderzyć Seana. Ale w szafie znalazłam tylko sportowe buty i baletki. Żadnych obcasów. I wtedy dostrzegłam coś odpowiedniego, co stało w kącie szafy pod stosem letnich ubrań i torebek. Znałam to. Schyliłam się, żeby po to sięgnąć. Pod palcami poczułam zimny kamień. Posążek Buddy – prezent od Harry'ego. Dlaczego go zachowała? Nie przestała tęsknić? Za człowiekiem, który od niej odszedł?

Sądziłam, że obie, Karen i ja, wyjdziemy na prostą. Dwie silne kobiety, które chciały zapomnieć o przeszłości i nie potrzebowały mężczyzn. Ale ona mnie zdradziła. Myśl o zasłużonej nauczce dla Karen dodawała mi siłę i zapału. Jeśli chodzi o mnie i Seana, mieliśmy bardziej podobne

usposobienia, niż przypuszczał. Być może to nas do siebie przyciągnęło, kiedy byliśmy młodzi. Stanowilibyśmy świetną drużynę, gdyby tylko każde z nas nie starało się ciągle prześcignąć tego drugiego, osiągnąć przewagi. Po chwili przyszedł mi na myśl Mateo – lojalny pocziwiec o wielkich brązowych, sennych oczach. Moje serce zatęskniło do niego. To on chronił mnie przed wszystkim, co mroczne. Sprawił, że zapragnęłam być lepszą osobą. Ale w końcu także Mateo mnie przejrzał.

Pokój tonął w ciemności. Gdzie się podział Sean? Nie śmiałam opuścić sypialni w obawie przed jego nagłym powrotem. W kieszeni ukryłam Buddę, statuetka była wystarczająco ciężka, aby w razie potrzeby posłużyć za broń. Wolałam nie ryzykować, więc zamiast wyjść frontowymi drzwiami, wydostałam się przez okno w sypialni prowadzące do ogrodu. Coraz niksze światło rzucało cienie na wyrosniętą trawę. Zastanawiałam się, co jest za ogrodem. Czy łatwo byłoby uciec? Nie chciałam pozwolić, żeby znowu ogarnął mnie strach, pobiegłam więc czym prędzej przez trawnik. Wtedy usłyszałam wrzask i spojrzałam za siebie; w ferworze ucieczki potknęłam się. Sean wychodził akurat przez okno. Pobiegłam w stronę krzaków, ale on był szybszy i po chwili znalazł się na wyciągnięcie ręki ode mnie. Stłumiłam okrzyk grozy i czmychnęłam za większy krzew, po czym wymacałam w skórzanej kurtce posążek Buddy. Zaczaiłam się. Oddychałam płytko, serce łomotało mi tak, że bałam się, iż Sean je usłyszy.

– Wiem, gdzie jesteś, ty głupia dziwko! – zawołał nieco rozbawiony.

Rozejrzał się wokół krzewu. Wrzasnęłam. Z całą siłą, na jaką mnie było stać, zamachnęłam się i ugodziłam go posążkiem w skroń. Z ulgą i przerażeniem zobaczyłam, jak statuetka uderza go w czaszkę. Sean się zachwiał zszokowany, spojrzał na mnie i runął na plecy niczym ścięte drzewo.

Ogarnął mnie strach tak wielki, że przez dłuższą chwilę stałam jak wryta, zapatrzona na wgłębienie w czaszce i strumień krwi, która nagle wytrysła z tyłu głowy i zabarwiła trawę na czerwono. Potem uklękłam przy nim, na kolanach poczułam wilgoć trawnika. Starałam się nie dotknąć zwłok. Nie mogłam zostawić dowodów.

Ukradkiem podniosłam wzrok. Od budynku dzieliło mnie ponad sześćdziesiąt metrów; w jednych matowych oknach wisiały rozsunięte zasłony, w innych są podniesione rolety. Czy ktoś mnie obserwował? Już

zaczęłam myśleć jak przestępca. Czy ktoś mnie widział w głębi ogrodu, pośród chwastów, w wybujałej trawie?

Czy ktoś widział, jak zabijam męża?

A więc stałam się morderczynią. Zabicie człowieka przyszło mi niespodziewanie łatwo. Gdy moje palce chwyciły statuetkę, poczułam, że chcę wyrządzić Seanowi tak wielką krzywdę, jak tylko potrafię. Że chcę zabić. Nie miałam poczucia winy ani wyrzutów sumienia. I oto Sean zniknął ze sceny. Po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, przestał mi zagrażać. Zmarnował mi dość życia i nie zamierzałam pozwolić na więcej.

Tamtą noc spędziłam w mieszkaniu Karen, zbyt przerażona, by stamtąd odejść. Ale dręczyła mnie myśl o zwłokach Seana w głębi ogrodu. Ile czasu potrzeba na znalezienie trupa? Bałam się, że ktoś mnie widział, na przykład tamta starucha z góry. Oczywiście powęszyłam trochę w mieszkaniu Karen i przekonałam się, że wszędzie użyła mojego nazwiska: do założenia konta oraz wyrobienia kart kredytowych i prawa jazdy. Nic nie ujawniało jej prawdziwej tożsamości. Nie cofnęła się nawet przed kłamstwem wobec męża. Przeżyłam szok, stwierdziwszy, jak mało trudu kosztowało ją podjęcie dalszego życia pod nazwiskiem Elizabeth Elliot. I jak sprytnie dawna Beth zamieniła się w Libby. Być może Karen uznała, że nowe zdrobnienie zabrzmii bardziej dystyngowanie, będzie lepiej pasować do jej nowego życia w klasie średniej. Niewykluczone, że pod innym nazwiskiem Karen chciała uwolnić się od swojej przeszłości.

Jakim cudem przeżyła tamten pożar? Nie mogłam tego zrozumieć. Mnie się poszczęściło, bo zostałam uratowana jako ostatnia. Nikt więcej z hostelu nie ocalał – wiem to od strażaka. Jakim trafem Karen znalazła się tutaj i udaje, że jest mną?

Chyba że tamtego wieczoru nie było jej w hostelu. Chyba że wyszła wcześniej.

Kiedy chowałam do kieszeni jej wyciągi bankowe, mnóstwo pytań krążyło mi po głowie. Dostęp do pieniędzy Karen okazał się łatwy – czterocyfrowy PIN zapisany na karteczce zostawiła ufnie w szafce na dokumenty. Używała też mojego numeru ubezpieczenia. Liczyła najpewniej, że nie żyję, skoro śmiała tak zaryzykować.

I wtedy coś tak mnie uderzyło, że musiałam usiąść na jej sofie. Sądziłam, że to ja kontroluję sytuację. Ale ona okazała się sprytniejsza i śmielsza, niżbym mogła przypuszczać.

Myłam posążek Buddy bardzo długo, musiałam przecież usunąć wszelkie ślady odcisków palców z każdej, nawet najmniejszej powierzchni, każdej fałdki i każdego zagłębienia. Mierzył mnie widok krwi Seana. Odstawiłam potem statuetkę na kredens, żeby Karen ją tam dostrzegła. „I po co całe to zamieszanie?” – pomyślałam. Najpierw całe to zamieszanie z powodu Harry’ego, a później ukryła posążek Buddy, jakby nic dla niej nie znaczył.

Pokrążyłam jeszcze po mieszkaniu: przyjrzałam się zdjęciom Karen i Jamiego na różnych imprezach i urlopach. Wyglądali na szczęśliwych i zwykle towarzyszył im wielki gapowaty pies. Poczułam ulgę, że nie dostrzegłam na zdjęciach żadnych dzieci. Och, Karen. Nie miała pojęcia, że byłam mężatką, i gdy zawarła związek małżeński pod moim nazwiskiem (z tym swoim cudownym Jamiem), popełniła bigamię. *Ona* bigamistką... Ten jedyny błąd Karen sprawił mi przyjemność.

Kiedy niechybnie znajdą ciało Seana, to ją, Karen, obarczą winą. I cała ta przykra historia wyjdzie na jaw. Co pomyśli Jamie, gdy dowie się prawdy o swej nie-tak-doskonałej-żonie? Wystarczyło jedynie stanąć z boku i patrzeć, jak cały jej świat wali się w gruzy.

Szpiegowanie ich po powrocie z Kornwalii było dla mnie źródłem prawdziwie perwersyjnej radości. Obserwowałam rozpad ich życia, kiedy uświadomili sobie, że ktoś wykradł im karty kredytowe i wyczyścił konta, obłądne dociekanie, kto mógłby za tym wszystkim stać, strach odciskający piętno na ich związku. Na swoje nazwisko otworzyłam konto w firmie katalogowej i posłałam Karen pewne rzeczy, żeby odświeżyć jej pamięć o wspólnym pobycie w Tajlandii: perukę w kolorze i stylu jej dawniejszej fryzury oraz plecak podobny do tych, jakie obie wtedy nosiłyśmy.

Wspomnę jeszcze o tej starej babie z piętra wyżej. Kilka razy wysłedziła mnie, jak węszyłam, gdy Karen – *Libby* – była w pracy, która powinna być moja. Sama Karen nie dostrzegła mnie jednak nigdy. Była zbyt zaabsorbowana tym swoim drobnomieszczańskim światkiem.

Nie wiedziałam, na jaki plan się zdecydować. Ciągle nie mogłam się pozbyć myśli, że Karen prawdopodobnie zostawiła mnie w tamtym hostelu. Musiała za to zapłacić.

W któreś popołudnie kręciłam się w uliczce między jej domem a następnym. Gdy czekałam na powrót Karen z pracy, usłyszałam stukanie w wykuszowe okno i zobaczyłam w nim twarz starszej pani wyglądającej zza siatkowych firanek. Kobieta skinęła na mnie. Byłam zaintrygowana i trochę wystraszona. Ale że zaczęło padać, a ja w cienkiej kurtce niecierpliwiałam się już i marzłam, niepewnie ruszyłam do mieszkania tej kobiety. Staruszka tylko uchyliła drzwi, jakby się mnie obawiała. Ta ostrożność nasunęła mi podejrzenie, że być może coś przedtem zobaczyła przez okno. Widziała, jak zabiłam Seana? Natychmiast odsunęłam od siebie tę myśl. Nie zaprosiłaby mnie przecież do domu, jeśli by mnie wtedy widziała.

– Moja droga, czy szuka pani kogoś? – spytała raczej uprzejmie. – Już panią tu widziałam. Czy mogę jakoś pomóc?

Wścibski stary babsztyl. Skłamałam bez trudu.

– Jestem siostrą Libby – wyjaśniłam z grzecznym uśmiechem. – Ale właściwie straciłyśmy kontakt. Nie wiem, czy jestem tu mile widziana...

Wzruszyłam ramionami, nieśmiało odwróciłam oczy i przestąpiłam z nogi na nogę wpatrzona w wiktoriańskie płytki podłogowe. Wtedy starsza

pani, jak przewidziałam, otworzyła drzwi, aby mnie wpuścić do środka. Ręce tak mi skostniały, że aż paliły w przegrzanym mieszkaniu. Gospodyni zaczęła się krzątać, żeby zaparzyć herbatę. Ja tymczasem stanęłam w całkiem sporym salonie i z ciekawością się rozejrzałam. Pokój był przytulny, wypełniony bibelotami. Na ścianach wisiały pozłacane ozdobne talerze. Salon był staroświecki, ale przyjemny, dużo lepiej byłoby dorastać w takim mieszkaniu niż na skromnie umeblowanej plebanii z wizerunkami Chrystusa nad każdym łóżkiem. Mój wzrok padł na zdjęcia nad kominkiem. Wszystkie pokazywały gospodynię na różnych etapach życia, kiedy była młoda, szczęśliwa i zakochana. Ta starsza pani kiedyś była śliczna, jej czarno--białe zdjęcia skojarzyły mi się z fotografiami aktorek ze starych filmów, nosiła podpięte loki i malowała usta na ciemny kolor. Na półce stało staromodne radio, spiker opowiadał coś melodyjnym tonem, jego głos działał na mnie kojąco. Gospodyni zauważyła, że przyglądam się odbiornikowi, więc go ściszyła, z uśmiechem pełnym zażenowania.

– Radio zawsze gra u mnie za głośno, ale dotrzymuje mi towarzystwa.

Skinęłam głową. Zastanawiałam się, czy jest samotna. Jak ja.

– Jestem Evelyn – przedstawiła się. – Proszę usiąść.

Wskazała mi krzesło przy oknie. Na stoliku obok stała taca z imbrykiem i dwiema porcelanowymi filiżankami. Czyżby spodziewała się kogoś? Zaproponowała mi herbatę, odruchowo się zgodziłam, więc Evelyn napełniła filiżanki i wręczyła mi jedną z nich. Siedząc tam w odrętwieniu, niepewna, co chciałabym osiągnąć, poczułam, jak Evelyn ujmuje moją dłoń, a jej wzrok powędrował na bliźnię na mojej kości policzkowej.

– Libby nigdy nie wspominała, że ma siostrę... – rzekła Evelyn.

– Ach, rodzinne niesnaski sprzed lat. Czy mówiła pani dużo o swojej rodzinie?

Evelyn pokręciła głową.

– Nie, raczej nie. Jeden raz wspomniała o śmierci mamy. Libby jest bardzo skryta. Ale to urocza kobieta, na pewno serdecznie panią przyjmie. Niech się pani nie obawia, moja droga.

Nagle poczułam ukłucie zazdrości. Urocza kobieta? Wątpliwe. Ta Evelyn była jak babcia i ze sposobu, w jaki mówiła o Libby, z oczami błyszczącymi z dumy, wywnioskowałam, że bardzo ją lubi. To było moje jedyne pragnienie – dawniej i dziś – aby ktoś okazał mi tyle samo troski. Być może moją matkę było na to stać w zamierzchłej przeszłości, zanim nieszczęście przytłoczyło ją i zmieniło w zgorzkniałą kobietę. A mój ojciec zawsze był

surowy. Kochał Boga i chyba nikogo więcej. Nie zaznałam życia w szczęśliwym domu, wypełnionym śmiechem i miłością. Przyszło mi na myśl, że Evelyn byłaby dobrą matką, dobrą babcią. Moje wewnętrzne zmagania powoli się wyciszały, kiedy tam siedziałam. Pojęłam, że się boję. Pomyślałam o swoim przygnębiającym hotelowym pokoju z jednoosobowym łóżkiem, o własnym osamotnieniu, o swoim niewielkim dobytku jak na trzydzieści lat życia. W tej samej chwili zatęskniłam za swoim dzieckiem. I za Mateem.

Evelyn pochyliła się w moją stronę, spoglądając na mnie życzliwie.

– Co się stało?

I opowiedziałam jej, jak uciekłam od tyrana, zakochałam się po raz pierwszy, spodziewałam się dziecka i jak pozbawiono mnie okrutnie obu osób, które kochałam. A teraz nic mi nie pozostało, tymczasem Libby ma wszystko. Wszystko, co powinno – co mogło – należeć do mnie. W bładniebieskich oczach Evelyn pojawiły się łzy, ujęła moje ręce w swoje gruzłowate dłonie.

– Ach, moja kochana – powiedziała z tak wielkim współczuciem i dawką ciepła, że mnie również napłynęły do oczu łzy. – I Libby nic o tym nie wie?

– My... jak by to powiedzieć? Poróżniłyśmy się przed tymi wydarzeniami. Kiedy byłyśmy dziewczynami. Poszło o chłopaka. Głupia sprzeczka. – Wzruszyłam ramionami. – Wie pani, jak szybko wybuchają takie kłótnie.

Evelyn znowu usadowiła się wygodniej i zaczęła dziergać. Nie potrafiłam oderwać oczu od poruszających się w jej rękach drutów i od kłębka miękkiej wełny o cytrynowym kolorze na jej kolanach. Po chwili zorientowałam się, co dzierga. Buciki dla niemowlęcia.

– Czy ktoś oczekuje dziecka? – spytałam, nie przestając myśleć o własnym martwym noworodku oraz o bólu w oczach Matea, kiedy dotarło do niego, że jednak nie stworzymy szczęśliwej rodziny. Rozbrzmiewał mi w uszach głos ojca, że to kara boska za moją nikczemność.

Oczy Evelyn rozbłysły.

– To buciki dla Libby.

– Libby?

Pytanie uwięzło mi w gardle i drżącą ręką odstawiłam filiżankę ze spodkiem na stolik.

Evelyn pokiwała głową.

– Nie powiedziała mi jeszcze. Ale ja wiem. – Uśmiechnęła się tajemniczo.
– Potrafię odgadnąć, kiedy kobieta jest w ciąży. Dawno, bardzo dawno temu byłam akuszerką.

Usłyszałam dziewczęcy chichot i wtedy poczułam, jak moje ciało sztywnieje pod wpływem szoku. Wzbierała we mnie furia, burząc mi krew w żyłach. Evelyn chyba to dostrzegła, bo nie omieszkała dodać pośpiesznie:

– Och, moja droga, tak mi przykro, pani przecież straciła dziecko, zachowałam się nietaktownie.

Wstałam nagle, przewracając stolik. Filizanka spadła na podłogę, oblewając nóżki mebla zimną herbatą, która utworzyła kałużę na drewnianej podłodze. Evelyn zrzuciła robótkę z kolan, kłębek wełny się rozwinął.

– Ach, moja droga, zaszokowałam panią... Przepraszam...

– Muszę już iść... Nie umiem... – Ucięłam oślepiąca przez nadmiar łez.

To nie fair. Karen na to nie zasługuje. A ma wszystko, czego ja pragnęłam.

Już miałam wychodzić, gdy usłyszałam jęk. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak Evelyn chwyta się za serce. Jej twarz przybrała dziwny szarawy odcień.

– Evelyn! Evelyn!

Podbiegłam do niej, ale upadła do przodu, charcząc. Podniosłam delikatnie jej głowę i zobaczyłam, że w oczach Evelyn nie było już życia. Tak samo jak w oczach Seana. Poczułam nagły chłód w sercu i osunęłam się na podłogę tuż obok krzesła Evelyn. Jedyna od miesięcy życzliwa mi osoba umarła.

Posiedziałam przy Evelyn aż do zmierzchu, a potem tylnymi drzwiami wymknęłam się z jej mieszkania.

Tata miał co do mnie rację. Jestem ucieleśnieniem zła. Mam w sobie diabła. Niszczę wszystko, czego tylko się dotknę.

Część trzecia. Bath

Na twarzy Hartleya dostrzegam samozadowolenie, gdy rzuca przede mnie na stół jakąś fotografię. To czarno-białe zdjęcie mężczyzny z Lizard Point, ale zrobione przed laty, kiedy jego twarz nie była jeszcze tak poorana i wyglądał atrakcyjnie. Więc to był Sean Elliot. Były mąż Beth. Kiedy podróżowałyśmy razem, nigdy nie wspomniała, że go poślubiła, i nigdy nie padło jego imię. Udzieliła mi szczątkowych informacji, wiedziałam tylko, że stosował przemoc i przez niego Beth znalazła się w szpitalu. Rozumiałam, dlaczego nigdy nie mówiła o nim więcej. Tajlandia była jej i moim azylem – miejscem, w którym przeszłość jednej i drugiej nie miała znaczenia. Tak przynajmniej sądziłam.

Beth... Z biegiem lat przywykłam do tego, by o niej nie myśleć, ponieważ poczucie winy byłoby dla mnie wręcz fizyczną udręką.

Kiedy poznałam Beth, naprawdę ją polubiłam. Uważałam ją za osobę z polotem i podziwiałam za odwagę. Gdy napomknęła, że dostała się do kolegium nauczycielskiego, zdumiała mnie, przyznając. Nie potrafiłam wyobrazić jej sobie w roli nauczycielki. Wydała mi się bardzo twarda i cwana, z tą swoją pełną zawziętości twarzą i niewyparzonym językiem. Było też jasne, że ma pretensje do całego świata. Nie pozwalała nikomu źle się traktować, więc podróżując z nią, czułam się bezpieczna. Potrafiła manipulować innymi, co zrozumiałam w miarę wcześniej. Ale później sprawa z Harrym i wszystko, co z niej wynikło, uświadomiły mi, że tak naprawdę Beth jest obrzydliwa.

Co jej mąż robił w moim mieszkaniu? Oczywiście to on zaaranżował zamianę. Sierżant Byrnes powiedział, że ten mężczyzna pracował przy remoncie Kryjówki, więc pewnie miał dostęp do kluczy i dorobił sobie jeden. Ale po co tyle zachodu?

– Czy rozpoznaje pani tego mężczyznę? – pyta zniecierpliwiony Hartley, co sprawia, że wracam do rzeczywistości.

Obok niego siedzi jeszcze jeden detektyw, tym razem kobieta. Jest młoda, tuż po trzydziestce, ma proste, lśniąco i jasne włosy ostrzyżone na pazia. Milczy.

Kręcąc głową, do oczu cisną mi się łzy.

– Bez komentarza – mamroczę tak, jak podpowiedział mi adwokat, który siedzi przy mnie i podtrzymuje mnie na duchu w tym swoim garniturze, z leżącą przed nim na stole otwartą aktówką.

Wkopałam się za głęboko. Przywłaszczyłam sobie tożsamość Beth, nie pomyślawszy ani o jej przeszłości, ani o przyszłych konsekwencjach.

Jak mam wyjawić im prawdę, żeby wszystkiego nie stracić?

Moje życie pod nazwiskiem Karen Fisher było ponure. Po śmierci mamy zostałam z ojcem, okropnym alkoholikiem. Nigdy nas nie bił, pijaństwo nie skłaniało go do przemocy, alkohol po prostu pobudzał go emocjonalnie. Sądzę, że na swój sposób naprawdę kochał mamę. Kłócili się, zwykle o jego picie i raz o romans, który mój ojciec nawiązał z barmanką z pobliskiego pubu. Ale kiedy był trzeźwy (owszem, potrafił długo wytrzymać bez picia, po czym wracał do nałogu), był najukochańszym mężczyzną na świecie. I umiał zaskoczyć mamę kwiatami, zabierał ją na wycieczki – do Scarborough albo Whitby. Nad morzem bardzo się mamie podobało. Ojciec umiał ją też rozbawić: zakradał się do kuchni, kiedy kroїła warzywa, obejmował ją wpół i całował w kark. Odpędzała go słowami: „Odczep się, głuptasie”, ale błysk w jej oczach świadczył o tym, że lubiła te podchody. Nie przelewało nam się nigdy, bo tata ciągle zmieniał pracę z powodu pijaństwa. Mieszkaliśmy w małej wiosce, w skromnym czteropokojowym domu. Mama utrzymywała go w czystości i porządku, był udekorowany bibelotami i poduszkami, które własnoręcznie zrobiła. Dlatego zawsze lubiłam zachodzić do Evelyn – jej ciepłe zagracone mieszkanie przypominało mi rodzinny dom.

Ale mama zmarła nagle i wszystko się zmieniło. Tata wpadł w rozpacz, kiedy jej zabrakło. Wieczorami przeważnie wychodził i pił, późno wracał do domu, zataczając się, i padał na sofę, ciężki i zwalisty, czuć było od niego alkoholem i papierosami. Biorąc przykład z mamy, starałam się dbać o wygląd naszego domu, ale gdy tata był w ciągu, wracał pijany i niszczył to czy owo. Nigdy niczego nie wyrzucał, więc puste puszki, pety i niedojedzone opakowania po chrupkach walały się po całej podłodze. Nieustannie musiałam po nim sprzątać. W końcu zaczęłam opuszczać lekcje, żeby pielęgnować ojca, który podupadł na zdrowiu z powodu przepicia. Kochałam go i pragnęłam, aby doszedł do siebie – strata obojga rodziców byłaby dla mnie tragedią. Na egzaminach końcowych mimo tylu nieobecności w szkole poradziłam sobie nieźle, ale wiedziałam, że matura i późniejsze studia uniwersyteckie nie wchodzą w rachubę. Tata był na

zasiłku, który jednak nie wystarczał, więc musiałam pracować. Jako szesnastolatka skończyłam naukę i podjęłam pracę, jaka mi się trafiła. Zarobki były kiepskie, bo nie miałam żadnych kwalifikacji. Siłą rzeczy musiałam patrzeć, jak koledzy i koleżanki ze szkoły wyjeżdżają z naszej wioski na studia do wielkich miast – Manchesteru, Leeds, Bristolu i Cardiff, o czym ja mogłam tylko pomarzyć. Bardzo szybko straciłam kontakt ze szkolnym towarzystwem.

Później, gdy miałam dwadzieścia lat, wątroba ojca odmówiła w końcu posłuszeństwa. Tata zmarł w wieku zaledwie pięćdziesięciu trzech lat. Nie miałam innej rodziny. Rodzice nie utrzymywali kontaktów z żadnymi krewnymi – domyśliłam się, że ten rozłam nastąpił, kiedy wzięli ślub. Z tej przyczyny nie poznałam żadnych ciotek, wujków ani dziadków. Dom, w którym dorastałam, trafił na rynek nieruchomości, ale tata od tak dawna nie spłacał kredytu hipotecznego, że po sprzedaży zostało mi tylko parę tysięcy. Nie wiedząc, jak pokierować swoim dalszym życiem, doszłam do wniosku, że powinnam zniknąć z miejsca, w którym każdy zna moją smutną historię. Nie miałam nikogo ani niczego, co mogłoby mnie zatrzymać w Yorkshire. Zawsze byłam typem samotnicy; prześlizgiwałam się przez życie tak, aby nikt mnie nie zauważał ani nie żałował.

Kupiłam bilet na pierwszy możliwy lot; traf chciał, że padło na Tajlandię.

W noc pożaru stałam tam znieruchomiła pod wpływem szoku i patrzyłam, jak płomienie liżą budynek hostelu, a z okien wydobywają się obłoki dymu. Wiedziałam, że Beth znalazła się w pułapce. Zapanował chaos – z rykiem nadszedły wozy strażackie i karetka, potem rozległy się krzyki strażaków, którzy wpadali raz po raz do budynku i usiłowali gasić pożar olbrzymimi węzami. W powietrzu czuło się spaleniznę, czarny dym wędrował przez nozdrza aż do gardła. Mdliło mnie. Gdzie była Beth? Pewnie jeszcze w łóżku – gdy wychodziłam, nie widziałam jej. Dopadłam jednego ze strażaków, krzycząc, że moja przyjaciółka została w środku, ale on tylko ze smutkiem pokręcił głową.

Wycofałam się na chwiejących się nogach, bo nie mogłam dłużej na to wszystko patrzeć, i znalazłam inny hostel, by zanocować. Ale sen nie nadchodził, leżałam tylko, zbyt przerażona, żeby się rozplakać.

Rano wróciłam. Z hostelu została wypalona skorupa. Powiedziano mi o ośmiu ofiarach śmiertelnych. Nikt nie wiedział, czy Beth jest jedną z nich.

– Nic nie wiadomo – wyjaśnił jeden z policjantów łamaną angielszczyzną – dopóki nie nastąpi identyfikacja.

Obdzwoniłam kilka szpitali z pytaniem, czy przyjęto w nich Elizabeth Elliot, ale bez skutku. Dopiero gdy zaszyłam się w pokoju hotelowym parę ulic dalej, wstrząśnięta i bliska omdlenia, z nozdrzami jeszcze pełnymi zapachu dymu, dotarło do mnie, że uciekając w pośpiechu z płonącego hostelu, zabrałam plecak Beth, a nie swój.

Wtedy podjęłam błyskawiczną decyzję. Gdy zobaczyłam, co jest w jej plecaku: portfel wypchany gotówką, paszport i legitymacja ubezpieczeniowa, pomyślałam, że wykorzystam to wszystko, żeby móc nadal podróżować, i nie będę tu tkwić, czekając na wydanie nowego paszportu przez ambasadę. Nie wątpiłam, że ogień pochłoniął moje rzeczy.

Usiadłam na łóżku, miałam mętlik w głowie. Zastanawiałam się, jak postąpić; rzeczy Beth leżały przede mną na pomarańczowym kocu. I wtedy go zobaczyłam – posążek Buddy, który podarował mi Harry. Dlaczego statuetka znalazła się w jej bagażu?

Po chwili mój wzrok padł na korespondencję.

Zobaczyłam list z kolegium nauczycielskiego oferujący Beth uczestnictwo w rocznych studiach dokształcających dla anglistów. Podano w nim wszelkie informacje o kursie, miejscu zajęć i czesnym w wysokości dziewięciu tysięcy funtów. Czy te studia będą ciężkie? Z angielskim świetnie sobie radziłam w szkole. Ale nie miałam za sobą studiów uniwersyteckich, nie zrobiłam nawet licencjatu. Beth nagryzmoliła na liście długopisem notatkę, że musi zadzwonić na uczelnię, aby odroczyć rozpoczęcie studiów. Czy to zrobiła?

Wyrzuciłam z głowy tę myśl, przekonując siebie samą, że taka zagrywka nie uszłaby mi na sucho. Najpewniej przeprowadzili z Beth rozmowę kwalifikacyjną. Ale jak dawno temu? Owszem, jesteśmy trochę podobne. Gdybym się ostrzygła i przefarbowała włosy na ciemniejsze, mogłabym udąć, że jestem nią. Przypuszczam, że spotkali się z Beth tylko raz. Wystarczy więc przybliżone podobieństwo. A że obie pochodzimy z Yorkshire, to i akcent mam podobny.

Nie, nie mogłam tego zrobić. Nie starczyłoby mi śmiałości. Postanowiłam zasnąć. Ale cichy głos z tyłu głowy nie dawał mi spokoju. Co innego miałam zrobić? Wrócić na uniwersytet i skończyć licencjat? Na to potrzeba paru lat i wpadłabym w takie długi, że nigdy bym ich nie spłaciła.

Pomyślałam o rodzicach, o życiu, jakie prowadzili. Ja chciałam czegoś więcej.

Następnego dnia zadzwoniłam do kolegium z informacją, że jednak decyduję się na rozpoczęcie nauki we wrześniu. W pobliskim salonie poprosiłam o przefarbowanie moich długich włosów na czekoladowobrązowy kolor i ścięcie ich tak, żebym z fryzury przypominała Beth na jej paszportowym zdjęciu. Spodobało mi się nowe uczesanie, bo uwypukliło moje duże oczy i kości policzkowe, postanowiłam nie zmieniać fryzury i nosiłam taką wiele lat.

Od czasu do czasu nachodziły mnie wątpliwości, które kazały mi przystanąć, i wtedy serce mocno mi biło, a w głowie powstawał zamęt. Co ja sobie myślę? A jeśli mnie przyłapią? Co, jeśli Beth ocalała i sama rozpoczęła studia? Potem jednak przekonywałam siebie, że Beth nie żyje, że nie mogło być inaczej. Gdyby jakimś cudem ocalała, ruszyłaby przecież dalej na północ. Z Tajlandii mogła wyjechać dopiero po otrzymaniu nowego paszportu. Kariera nauczycielska jej nie kusiła, sama mi to powiedziała. A kurs nie trwa dłużej niż rok. To niewiele, gdy trzeba udawać inną osobę.

Kiedy pomysł nabrał realnych kształtów, uznałam, że nie mogę się wyrzec tej szansy. Musiałam ją wykorzystać. Perspektywa zostania nauczycielką, pracy z dziećmi zafascynowała mnie. Miałam obrany cel, do którego mogłam dążyć.

Ta szansa wiązała się z olbrzymim ryzykiem, ale czułam, że muszę ją wykorzystać. Jakby to była moja jedyna możliwość. „Co najgorszego może mnie spotkać?” – pytałam samą siebie. Jeśliby wykryto, że nie jestem prawdziwą Elizabeth Elliot, zostałabym wyrzucona ze studiów. Ale musiałam spróbować. Musiałam pomyśleć o jakiejś przyszłości, bo na nieustanne podróżowanie po prostu nie było mnie stać. Co potem? Co mnie czeka w rodzinnych stronach? Praca w fabryce, rozkładanie towaru na półkach, płaca minimalna, żadnych widoków na karierę... Nie umiałam nawet pisać na klawiaturze. Skądkolwiek Beth pochodziła (o czym wiem od niej niewiele), przynajmniej starczyło jej rozumu – albo miała szczęście – na tyle, żeby zdobyć jakieś kwalifikacje. Obiecałam sobie, że na kursie przyłożę się do nauki. I nie będę rzucać się w oczy. To tylko rok, a właściwie mniej, gdy odliczy się ferie i wakacje.

I tak postąpiłam. Przeistoczyłam się w Elizabeth Elliot. Libby. Później poznałam Jamiego, zakochałam się i z czasem zaczęłam zapominać, że

kiedykolwiek nosiłam nazwisko Karen Fisher.

Kiedy mnie w końcu wypuszczają z komisariatu, z ulgą widzę, że Jamie czeka. Siedzi sztywno, w napięciu na szarym plastikowym krześle w dusznej poczekalni i wygląda, jakby nie spał co najmniej od tygodnia. Jest nieogolony, włosy ma w nieładzie, jakby tarł je niespokojnie. Ma wory pod oczami, a na białym T-shircie widać plamy. Gdy wchodzę do poczekalni, Jamie wstaje i spieszy w moim kierunku.

– Libby... dzięki Bogu. Wszystko w porządku? Postawili ci jakieś zarzuty?

Kręcę głową, a do oczu napływają mi łzy, bo na jego twarzy dostrzegam dowód zatroskania, *miłość*. „On ma mnie za bigamistkę, ale jest tutaj i stoi obok. Nie zasługuję na to”. Jamie otacza mnie ramieniem i prowadzi do samochodu. Jestem zdziwiona, że słońce już zachodzi, a w powietrzu wyczuwam wilgoć. Prawdopodobnie spędziłam w komisariacie wiele godzin.

Wślizguję się do auta i zaczynam się trząść; to opóźniona reakcja na szok. Muszę wszystko wyznać Jamiemu, ale czy on kiedykolwiek mi przebaczy? Dla niego świat jest czarno-biały, a ja okłamuję go, odkąd się poznaliśmy. Wyszłam za niego pod fałszywym nazwiskiem. Dzięki przydzielonemu mi adwokatowi nie musiałam jeszcze niczego ujawniać policji, ale to tylko kwestia czasu.

Przyglądam się profilowi Jamiego za kierownicą: widzę prosty nos, pełne usta i lewe ucho, u góry lekko podwinięte. Zabawny i zakręcony z niego facet. Nie mogę go stracić. Najpewniej chodzą mu po głowie tysiące pytań, ale żadnego nie zadał. Jego twarz sposepniała. Gdy to zauważam, dotykam jego uda; czuję pod palcami szorstką bawełnę.

– Naprawdę cię kocham, Jamie. Chcę, żebyś to wiedział.

Jamie zamiera, po czym z niejakim trudem mówi:

– Przerażasz mnie, Libby.

– Przepraszam, tak bardzo cię przepraszam.

Zabieram dłoń z uda Jamiego i kładę ją na własnych kolanach.

Po chwili widzę, jak jego zmarszczony podbródek drży. Jamie walczy, żeby się nie rozsypać. Wiem, że spodziewa się najgorszego. Myśli, że byłam

wcześniej zamężna, ale to przemilczałam. Czy sądzi również, że mogłam zabić?

Kiedy przyjeżdżamy do Sylvii, ta zaczyna krzątać się wokół mnie, dba o to, żeby było mi jak najwygodniej na sofie, proponuje herbatę i pobrzękując bransoletkami, kładzie mi poduszkę za plecami, jakbym była pacjentką, a nie osobą podejrzaną o morderstwo. Widać po niej, że rozpaczliwie chciałaby się dowiedzieć, co się dzieje. Jamie siedzi nieruchomo przy oknie i wygląda na ulicę. Odkąd wróciliśmy z komisariatu, milczy. Ziggy leży u moich stóp, a ja, ukojona obecnością psa, pochylam się, żeby go pogłaskać.

Jak się zachowa rodzina Hallów, gdy prawda wyjdzie na jaw? Czy mnie wyrzucą? Dokąd pójdę? Niepokój sprawia, że robi mi się niedobrze.

– Gdzie jest Katie? – pytam wychodzącą Sylwią.

– Wyszła. Ze znajomymi.

Sylvia wzrusza obojętnie ramionami, a mnie jest lżej, że nie ma z nami Katie, z jej dociekliwością i krytykanctwem. Czekam, aż teściowa zniknie w kuchni, żeby zwrócić się do Jamiego.

– Musimy porozmawiać.

Jamie nie patrzy na mnie – dalej wygląda przez okno. Ulica jest opustoszała, drzewa rzucają cień, lekki wiatr porusza nimi nieznacznie, przez gałęzie przesączają się ostatnie promienie słońca, jasne niczym błysk latarki. Jest tak cicho, że słyszę nawet świergot ptaka.

– Jay... – zaczynam.

– Wiem – odpowiada chłodno i nagle odwraca głowę w moją stronę. – Wiem, że musimy porozmawiać. Ale nie wiem, czy jestem gotów cię wysłuchać. Twoje słowa zmieniają całe nasze życie. Jezu, Libby... Ty jesteś już mężatką? Żoną tamtego... tamtego mężczyzny? – Wytrącony z równowagi, przez chwilę wodzi ręką po twarzy. – Dlaczego to przemilczałaś? Tam, w Kornwalii? Przecież nie mogłaś go nie rozpoznać. I jak śmiałaś wyjść za mnie, skoro byłaś już jego żoną? O mój Boże, czy nasze małżeństwo w ogóle jest legalne? Czy w ogóle jesteś moją żoną?

Pochylam się.

– Posłuchaj. Mówię ci uczciwie, że przed naszym urlopem w Kornwalii nigdy nie widziałam tamtego mężczyzny.

Na znak niedowierzania Jamie wypuszcza powietrze przez zęby z syknięciem, ale dodaje:

– To prawda, on był mężem Elizabeth Elliot. Ale ja nie jestem tą osobą.

Jamie patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Nie nazywam się Elizabeth Elliot, lecz Karen Fisher.

Oczy Jamiego robią się coraz większe z każdym kolejnym słowem, które wypowiadam, i gdy kończę opowieść, mam wrażenie, że wyskoczą mu z orbit.

Zapada grobowa cisza. W końcu przerywa ją Jamie.

– Twierdzisz, że ukradłaś cudzą tożsamość, by dzięki niej wyjechać z Tajlandii i pójść do kolegium nauczycielskiego...

Kiwam głową.

– A prawdziwa Elizabeth Elliot?

– Zginęła.

Jamie wygląda tak, jakby miał z wymiotować.

– Jak?

– Kiedy byliśmy w Bangkoku, doszło do pożaru hostelu. Ja... – waham się, co powiedzieć, i ściskam w dłoni jednorazową chusteczkę – ...ja zdążyłam wyjść. Ale ona jeszcze była w łóżku.

Jamie patrzy na mnie zszokowany.

– Nie próbowałaś jej uratować?

Kręcę głową.

– Nie... To nie tak. Ja byłam już na zewnątrz, kiedy zdałam sobie sprawę, że hostel się pali. Byłam...

Muszę to wyznać. Ujawnić, że chciałam od niej uciec.

Jamie marszczy brwi.

– Byłaś... i co dalej?

– Byłam... gotowa od niej uciec.

Nigdy nikomu się do tego nie przyznałam.

Brwi Jamiego unoszą się nagle tak wysoko, że prawie znikają pod grzywką.

– Co takiego? Ale czemu? Przecież mówiłaś, że była twoją przyjaciółką...

– Odkryłam, że dopuściła się wobec mnie czegoś okropnego. To długa historia i w tej chwili nieważna. Po prostu zrozumiałam, że nie mogę dłużej jej ufać, i dlatego nie chciałam dalej z nią podróżować.

– I dlatego w środku nocy zwiłałaś, pozwalając, żeby ona zginęła w pożarze?

– Poczucie winy dręczy mnie od lat – mówię ze zwieszoną głową.

Jamie przeczesuje rękami swoje włosy.

– Na miłość boską, Libby... – Jamie nagle urywa i śmieje się ponuro. – To nie twoje imię, zgadza się? To jej imię.

– Ona używała zdrobnienia Beth...

Jamie wstaje tak raptownie, że cofam się na kanapę.

– Nic mnie to nie obchodzi, jakiego zdrobnienia używała! – krzyczy. – Wszystko, co tu słyszę, jest po prostu niewiarygodne. Ja... ja nie mogę...

I wybiega z pokoju.

Sylvia wchodzi z tacą, na której brzęczą filiżanki.

– Wszystko w porządku? – pyta zbyt pogodnie, stawiając tacę na stoliku do kawy.

Wstaję i wymijam ją bez odpowiedzi. Znajduję Jamiego w naszym pokoju. Leży na łóżku i patrzy w sufit z twarzą pozbawioną wyrazu. Mimo odsłoniętych zasłon w pokoju jest raczej ciemno; na twarz Jamiego pada szarawe światło.

Staję nad nim.

– Jay, zrozum, postąpiłam tak, ponieważ musiałam odmienić swoje życie. Było do chrzanu...

Do moich oczu napływają łzy.

Jamie wydaje z siebie pomruk.

– Szkoda, że mi nie powiedziałaś. Czuję się tak, jakbym cię nie znał... I to boli mnie najbardziej. – Siada, żeby na mnie spojrzeć. – Okłamywałaś mnie. Przez pięć lat.

– Wszystko, co powiedziałam o swoim pochodzeniu, o rodzicach, jest prawdą...

– Ale mówiłaś o nich bardzo mało. Zawsze byłaś taka skryta, nie chciałaś opowiadać, skąd pochodzisz. Teraz wiem dlaczego.

– Powiedziałam ci, że moja mama zmarła, bo miała zator. I to prawda. Tyle że... skłamałam na temat studiów.

– I na litość boską, twoje nazwisko...

Jamie kręci głową.

– Dlaczego nie ujawniłaś prawdziwego? Miałaś do mnie pretensje o to, że pomagałem Hannah, zawstydziałaś tym, że zdradziłem ją na uniwerku...

– Jamie przetyka ślinę i zmusza się do dalszego ciągu. – A przez ten cały czas to ty ukrywałaś przede mną takie straszne fakty. Wiedziałem, że coś zataiłaś. I wydawało mi się dziwne, że unikasz jeżdżenia do Yorkshire, nie wspominasz rodziców ani podróży do Tajlandii. Ale takie coś... – wyrzuca

ręce w powietrze – ...tyle oszustw. Trudno mi się pogodzić z tym, że byłaś zdolna do czegoś takiego.

Przysiadam na brzegu łóżka. Po twarzy spływają mi łzy, jestem cała zasmarkana. Ze złością ocieram oczy rękawem i próbuję wytrzeć nos resztką jednorazowej chusteczki.

– A zrozumiałbyś? – pytam, pociągając nosem. – Nikomu nie mogłam tego opowiedzieć. I nikogo nie skrzywdziłam, Jay. Nie miałam pojęcia o ślubie Beth. Miałyśmy dopiero po dwadzieścia jeden lat, kiedy się poznałyśmy. Byłyśmy takie młode. Beth nie chciała tamtego miejsca na studiach, a ja jestem dobrą nauczycielką. Bardzo... – mówię z płaczem, ukrywając twarz w dłoniach, po czym słyszę skrzypienie łóżka i czuję, że Jamie mnie obejmuje – ...bardzo przepraszam. Bardzo, naprawdę bardzo mi przykro – powtarzam te słowa i przywieram twarzą do jego T-shirtu.

Gdy się budzę, w sypialni jest całkiem ciemno i cicho. Zbyt cicho. Czuję, że jestem w pomieszczeniu sama. Moje obawy się potwierdzają, kiedy przewracam się na bok i dostrzegam pustą przestrzeń na miejscu Jamiego. Spałam w ubraniu, ale zrobiło się zimniej. Chwytam kardigan i schodzę na dół na palcach, aby nie zbudzić Sylvii ani Katie.

Jamie siedzi po ciemku w ogrodzie zimowym na jednym z rattanowych krzeseł i patrzy na ogród, skąpany w księżycowym blasku, który sprawia, że przestrzeń wygląda magicznie. Ma na sobie ten sam brudny T-shirt co przedtem oraz bokserki Wallace and Gromit, które kupiłam mu rok wcześniej na Boże Narodzenie. Po cichu zajmuję miejsce przy nim i chwytam jego dłoń. Pozwala mi na to. I siedzimy tak w milczeniu przez wiele godzin.

Zerwanie z przeszłością. Tego chce Jamie. Żadnych więcej kłamstw.

Jedynym sposobem, żeby to osiągnąć, jest ujawnienie prawdy i poniesienie konsekwencji.

Następnego ranka, kiedy siedzimy przy śniadaniu, wtajemniczam we wszystko Sylwię i Katie, tymczasem Jamie spokojnie rozsmarowuje masło na toście. Katie gapi się na mnie i rozdziawia usta.

– Wiedziałam! – oznajmia podekscytowana i wypuszcza z ręki nóż, który spada z brzękiem na jej talerz. – Wiedziałam, że z tobą jest coś *nie tak*.

W oczach Sylvii dostrzegam rozczarowanie, co sprawia mi ból. Spuszczam wzrok.

– Przepraszam – mamroczę.

Jeszcze jedno przeprosiny... Ale to ciągle mało.

– Podeszyłaś się pod dziewczynę, która zginęła! – Katie patrzy na mnie z niedowierzaniem. – Czyż to nie skrajna podłość? – Obraca się w stronę Jamiego. – Mam nadzieję, że tego już jej nie wybaczysz. Okłamuje cię od lat. Jakie jeszcze kłamstwo ci zaserwowała? Czy będziesz mógł jej kiedykolwiek zaufać? Wyszła za ciebie pod fałszywym nazwiskiem. To cholerna bigamistka.

– Nie, Katie, Libby nie jest bigamistką – protestuje ostrzegawczym tonem Jamie.

– No tak... – mówi ostrym tonem Katie. – Ale ufać jej nie można. I podawanie się za inną osobę jest przestępstwem. Nie mogę uwierzyć, że jej bronisz. Jesteś naiwniakiem. – Jej oczy rozbłyskują gniewem, gdy zwraca się do mnie. – A ty jesteś kryminalistką. Liczę, że ujawnisz prawdę policji. Jeżeli ty tego nie zrobisz, to ja się tym zajmę.

Sylvia kładzie dłoń z pomalowanymi paznokciami na ramieniu córki.

– Nie pomagasz, Katie.

Katie strąca z ramienia dłoń matki, po czym zrywa się z miejsca.

– Dlaczego miałabym pomagać tej głupiej krowie? Wychodzę.

Zdejmuje džinsową kurtkę z oparcia krzesła i wypada z pokoju. Po paru sekundach słyszymy trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Patrzę z nieszczęśliwą miną na swój talerz.

Kiedy Sylvia się odzywa, mówi dobitnie, ale jednocześnie łagodnie:

– Przepraszam za Katie. Zawsze była w gorącej wodzie kąpana, Libby. I całkowicie lojalna wobec brata. Trzeba się koniecznie zgłosić na policję. Zadzwoń do mojej pani adwokat, dobrze? Jest najlepsza w Bath. – Sięga ponad stołem i ściska moją rękę. – Należysz do rodziny. Kochamy cię i wesprzemy w tej historii. Prawda, Jamie?

Sylvia zerka na syna, po czym wstaje i wychodzi z pokoju, a ja oniemiała patrzę za nią.

– Zawsze sądziłam, że twoja mama mnie nie cierpi – mówię do Jamiego, gdy idziemy ulicami Bath na spotkanie z prawniczką Sylvii.

Jamie wziął prysznic i prezentuje się dobrze, jest przystojny, w eleganckich dzinsach i płóciennej koszuli z krótkim rękawem nie wygląda na swoje trzydzieści lat. Kiedy rano się ubieraliśmy, urosło mi serce na widok męża, który dobierał swój strój z namysłem, zdobywając się na wysiłek. Dla mnie.

Świeci słońce, niebo jest jasnoblękitne, tylko tu i ówdzie płyną nikłe obłoki. W taki piękny wiosenny dzień ma się wrażenie, że nie może spotkać cię nic złego. Nabieram otuchy, zaczynam wierzyć, że oboje przetrwamy tę historię i Jamie kiedyś mi wybaczy. Wzajemna szczerłość pomoże nam ruszyć dalej. Wiem, że stracę pracę i pewnie nigdy nie wrócę do zawodu, ale bardziej przeraża mnie inna perspektywa – groźba utraty Jamiego.

– Mama bywa wredna, ale jest lojalna. Jak ja.

Jamie chwyta moją dłoń i ściska ją delikatnie. Wtem staje pośrodku chodnika i mało brakuje, aby wpadła na niego jakaś kobieta idąca ze spuszczoną głową. Głośno wyraża irytację i wymija Jamiego.

– O co chodzi? – pytam.

Jamie ma taką poważną minę, że boję się usłyszeć, iż zmienił zdanie. Wokół nas robi się troszkę ciemniej.

Jamie ujmuje moje dłonie i prosi gorąco:

– Musisz mi coś obiecać, Libs. Nigdy więcej nie skłamiesz.

Przełykam ślinę.

– Przysięgam. Nigdy więcej cię nie okłamię.

Dochodzimy do kancelarii adwokackiej i od razu zostajemy wpuszczeni do gabinetu pani mecenas. Melanie Finch to kobieta tuż po pięćdziesiątce, wysoka, szczupła – może się podobać. Jest szatynką o połyskliwych włosach z pasemkiem siwizny nad czołem, czym przypomina Anne Bancroft w Absolwencie. Pani mecenas zapisuje moją opowieść w notesie oprawionym w skórę; mówię na tyle jasno, na ile potrafię. Jamie cały czas

trzyma moją dłoń. Gdy kończę, pani mecenas odchyła się na oparcie krzesła i taksuje mnie wzrokiem.

– Czy dojdzie do procesu? – pyta Jamie.

Adwokatka zerka na Jamiego, po czym zwraca się dobitnie, ale spokojnie, bezpośrednio do mnie:

– Tak, najprawdopodobniej będzie pani miała proces pod zarzutem wykorzystania dla prywatnej korzyści tożsamości zmarłej osoby.

W ustach czuję suchość.

– Czy trafię do więzienia?

Pani mecenas marszczy brwi.

– Przy pierwszym konflikcie z prawem to wątpliwe. Prawdopodobnie dostanie pani wyrok w zawieszeniu, być może skończy się na pracach społecznych. Nie mogę oczywiście tego obiecać, ponieważ tak naprawdę zależy, kto będzie sędził. Ale, Libby, musi się pani liczyć z gorszym oskarżeniem. W waszym ogrodzie znaleziono zwłoki zamordowanego mężczyzny. Pani, i prawdopodobnie także Jamie, będziecie podejrzani. – Prawniczka zagląda do notatek. – Widzę, że inspektor Hartley już z państwem rozmawiał. Cieszę się, że nie otrzymał od pani żadnych informacji. – Ponownie marszczy brwi. – Napisano tutaj, że ofiarę po raz ostatni widziano przy życiu w środę piątego kwietnia w południe, a zgon nastąpił pomiędzy godziną dwunastą w środę a osiemnastą w czwartek. Czy pamięta pani, gdzie wtedy była?

Na mojej twarzy maluje się ulga.

– Tak! – nieomal wykrzykuje. – Byliśmy w Kornwalii. W środę piątego kwietnia Jamie się rozchorował i trafił na izbę przyjęć. Tamtego dnia byliśmy w szpitalu w Falmouth. To można sprawdzić. Nie mogliśmy zamordować Seana. Do Bath wróciliśmy dopiero szóstego kwietnia wieczorem.

Melanie Finch się uśmiecha.

– Oczywiście sprawdzę to, ale te informacje są bardzo obiecujące.

Na następny dzień wyznaczono kolejne przesłuchanie. Melanie udaje się ze mną na komisariat. I radzi, żebym się do wszystkiego przyznała.

Inspektor Hartley i sierżant Trott siedzą w milczeniu, słysząc tylko przesuwającą się taśmę, na którą nagrywam pełne zeznanie.

– To Sean musiał zaaranżować tamtą zamianę, żeby mi coś zrobić, bo myślał, że Beth to ja. Nie widzę innego wyjaśnienia jego działania.

– I skończył jako trup. Bardzo sobie pomógł... – mówi z przekąsem inspektor Hartley.

– Może miał wrogów? Jamie i ja spędziliśmy w Kornwalii cały tydzień. Zatrzymaliśmy się w domu, który należy do szefa Seana. W dniu, kiedy Sean stracił życie, byliśmy w szpitalu. Bo Jamie się zatrzał... żywnością, którą wcześniej przywiózł Sean.

Melanie podsuwa policjantom jakiś dokument.

– Mam tu potwierdzenie ze szpitala w Falmouth – mówi – ale mogą państwo sprawdzić to na własną rękę. Najgorszym czynem, jaki popełniła moja klientka, jest przywłaszczenie cudzej tożsamości.

Inspektor Hartley zerka na mnie zadowolony, że przynajmniej za to nie uniknę kary. Bo owszem, upiekło mi się, ale niezupełnie. Moja kariera legła w gruzach. Świadomość, że nie będę mogła dalej uczyć, łamie mi serce. Jestem w punkcie wyjścia. Od razu jednak myślę o Jamie, miłości mojego życia, który nie przestaje mnie wspierać, i dochodzę do wniosku, że nie przegrałam wszystkiego. Tyle że czeka mnie inna przyszłość – nie taka, jaką sobie wyobrażałam.

Jamie stoi pod komisariatem. Wpadam mu w ramiona z uczuciem niezmiernej ulgi.

– Czy to znaczy, że muszę cię teraz nazywać Karen?

– Mam nadzieję, że nie. Podoba mi się Libby Hall.

– Według prawa nie jesteśmy małżeństwem, masz tego świadomość? – Jamie pochyla się, żeby mnie pocałować. – A to oznacza, że czeka nas powtórka.

– Tym razem będziemy tylko my. – Zarzucam Jamieemu ręce na szyję. – Tylko ty i ja.

Odmiana. Nowy początek. Wreszcie możemy zostawić za nami to, co się wydarzyło.

Nadchodzi maj, utrzymuje się niezła pogoda. Dopiero gdy w pierwszych dniach maja zerkam na kalendarz w telefonie, uświadamiam sobie, że od paru miesięcy nie miałam okresu. Od czasu poronienia miesiączkuje nieregularnie, ale do tej pory okres powinien był się pojawić... Może to wina stresu ostatnich kilku tygodni... Nie śmiem jeszcze mieć nadziei, kiedy wymykam się do sklepu Boots po test ciążowy.

Gdy wracam, wołam Jamiego, który idzie ze mną do łazienki; jest zaintrygowany i unosi brwi z nadzieją. Pochyleni nad białą pałeczką patrzymy, jak na teście pojawiają się dwie kreski. Wynik pozytywny. Oczy Jamiego rozbłyskują, kiedy na mnie spogląda, po czym z okrzykiem radości podnosi mnie i obraca wkoło. Wiruję w jego ramionach i w końcu wybucham śmiechem, gdy zahaczam obcasem o drzwi łazienki.

Przez kilka kolejnych dni jestem na przemian szaleńczo, niesamowicie szczęśliwa i smutna, zaniepokojona. Jedyne wyjście okazała się rezygnacja z pracy. W liście do pani Felicity wyjaśniam, że znalazłam się w sytuacji, w której nie będę mogła dłużej uczyć. Piszę o tym, że popełniłam przestępstwo oraz dopuściłam się oszustwa odnośnie do swoich kwalifikacji, żeby dostać się na studia zawodowe. Wolę nie myśleć o tym, jak bardzo ucierpi reputacja szkoły, kiedy te fakty wyjdą na jaw, a wyjdą niechybnie, gdy rozpocznie się proces. Wyobrażam sobie, jaka to będzie pożywka dla gazet. Nie odbieram telefonów od mojej asystentki Cary; nie śmiem z nią rozmawiać i wolę się przed tym wszystkim ukryć. Wiem jednak, że nie ucieknę. Nie tym razem.

Hannah zrobiła tylko jedną aluzję do mojego oszustwa, i to w dniu, kiedy Jamie i ja dowiedzieliśmy się o dziecku. Stałyśmy w ogrodzie niedaleko starej wozowni i Hannah zmierzyła mnie badawczym wzrokiem. Felix buszował w trawie uradowany, że świeci słońce, a ja trzymałam ręce na brzuchu i nie mogłam powstrzymać uśmiechu od ucha do ucha, ilekroć pomyślałam o dziecku. Nazywamy go Orzeszkiem, bo tak sobie wyobraziliśmy jego rozmiary, chociaż nic o nich nie wiemy. Na razie ukrywamy nowinę – aż do granicy dwunastu tygodni. Hannah była więc niczego nieświadoma, gdy powiedziała spokojnie, ale z zaciętością, której nigdy wcześniej u niej nie słyszałam:

– Nie radzę ci go więcej ranić.

Te słowa mnie zszokowały.

Ale wytrzymałam jej spojrzenie – prowokujące, konfrontacyjne, ostrzegawcze.

– Nie zamierzam – odparłam stanowczym tonem i oddaliłam się od niej.

Teraz jestem tak samo niespokojna jak Katie; obie bez celu chodzimy po domu. Czasem dołączają do nas Hannah i Felix: on po powrocie ze szkoły, a ona po skończonym dniu pracy w agencji nieruchomości. Nie znaczy to bynajmniej, że Hannah zaszczyca mnie rozmową. Wyczuwam, że zależy jej tylko na opiece nad synkiem. Podczas gdy ja spędzam z nim czas, Hannah szuka towarzystwa Katie. Obie są zawsze razem, pogrążone w rozmowie, twarz przy twarzy. Przesiadują w oranżerii, spacerują po ogrodzie lub idą do starej wozowni, zwykle zapominając o Feliksie.

Zdarza się nawet, że zastaję Hannah w kuchni, gdzie przy herbacie rozmawia z Jamiem. Ilekroć tam wchodzę, Hannah robi minę osoby nieprzystępnej, jakby była robotem, któremu wyczerpały się baterie. Wygląda na to, że wigoru dodają jej tylko Jamie i reszta rodziny Hallów. Kiedy widzę Hannah i mojego męża razem, muszę sobie przypominać, że Jamie kocha mnie i że będziemy mieć dziecko. Ale nie potrafię pozbyć się wrażenia, że Hannah byłaby dla niego lepszą żoną. Nie okłamałaby go, jak ja to zrobiłam.

Minął już prawie miesiąc, odkąd mieszkamy u Sylvii, kiedy telefonuje do mnie Melanie Finch. W pierwszej chwili zakładałam, że pani mecenas zamierza mi podać termin rozprawy, ale potem czuję się uszczęśliwiona, bo rzeczowo, spokojnie zawiadamia mnie o niedawnym aresztowaniu jakiejś osoby.

– Wygląda na to, że Sean Elliot miał sporo szemranych interesów i był poszukiwany przez jakichś podejrzanych ludzi. W tym czasie, kiedy Sean został zabity, widziano w pobliżu człowieka, któremu był winien pieniądze. Ty i Jamie możecie wrócić do swojego mieszkania.

Z ulgą odkładałam słuchawkę. Możemy wracać do domu. Biegnę do Jamiego, żeby przekazać mu dobre wieści. Mimo że pobyt u Sylvii był naprawdę miły – miłszy, niżbym przypuszczała – z radością ucieknę przed wrogością Hannah i cichą niechęcią Katie. Ta ostatnia prawie się do mnie nie odzywa. Zasłużyłam na jej niechęć, wiem. Ale skoro Jamie i reszta rodziny mi wybaczyli, to dlaczego ona nie może?

Leżymy z Jamiem w łóżku. On odwraca się w moją stronę i unosi na łokciu. Jego ręka przesuwa się po nieznacznej wypukłości mojego brzucha.

– Libs, chyba zdajesz sobie sprawę, że będziemy musieli sprzedać mieszkanie?

Kiwam głową, choć nie jestem pewna, czy Jamie widzi mnie w tych ciemnościach.

– Odkąd nie pracujesz, nie stać nas na takie lokum. Ja nie zarabiam jeszcze tyle, ile bym chciał, ale trochę kapitału mamy. Musimy się wyprowadzić nieco dalej. Być może do którejś z wiosek w pobliżu Bristolu. Tam dostaniemy więcej przestrzeni za mniejsze pieniądze.

Perspektywa większego mieszkania z dala od tego miasta ogromnie mnie cieszy. Kto wie, może znajdziemy coś z ogródkiem dla Ziggy’ego i Orzeszka.

– Moim zdaniem to dobry pomysł. Nowy początek.

Jamie unosi się jeszcze wyżej.

– A gdybyśmy skorzystali z usług agencji nieruchomości, w której pracuje Hannah? Mogliby nam zrobić wycenę.

Wprawdzie wolałabym nie angażować Hannah, ale się zgadzam. Gdyby Jamie poprosił mnie, żebym biegła nago po ogrodzie, też bym uległa, aby go uszczęśliwić. Aby zachować równowagę.

Jeszcze przed weekendem wracamy do siebie. Zapach mieszkania jest taki sam: nikła woń psa miesza się z zapachem wilgotnych wypranych rzeczy i słodkim aromatem egzotycznego kadzidła. Ziggy cieszy się, bo znowu mu wolno, inaczej niż u Sylvii, wdrapywać się na każdy mebel.

– Dziwnie mi tu wrócić – mówię, opadając na sofę obok Ziggy’ego. – Wszystko się zmieniło.

My się zmieniliśmy. Opuściliśmy mieszkanie w takim pośpiechu, że nie starczyło nam czasu na umycie filiżanek ze stolika do kawy i teraz do listków herbaty na dnie przywierają zielone zarodniki pleśni. Po bałaganie domyślam się, że policja dobrze przeszukała nasze rzeczy. W gabinecie Jamiego opróżniono szuflady, a na podłodze zostawiono cały stos dokumentów. Drzwiczki kredensu są otwarte na oścież. Od Melanie wiemy, że policjanci zabrali to i owo do dalszych badań, więc mieszkanie wygląda, jakby ktoś się do niego włamał. Obcy ludzie przeczesali nasz dobytek. Chętnie sprzedam to lokum.

Jamie wygląda przez okno na ulicę ponad suterrenę i wiem, że pewnie martwią go ludzie, których widzi: anonimowi, nieznanomi mężczyźni, być

może nasi dręczyciele, zwabieni tu za sprawą pornostrony w internecie. Policja zdołała ją wprawdzie usunąć, ale nasze obawy wcale przez to nie zmały, bo zbyt długo widniał tam nasz adres. Jamie wzdycha.

– Tyle się wydarzyło... Nie mieści mi się to wszystko w głowie.

– Wiem, że się powtarzam, ale bardzo mi przykro, Jay. No i mogło być dużo gorzej.

– Co masz na myśli?

W oczach Jamiego widzę powątpiewanie, obawę, że ujawnię nowy sekret, nowe kłamstwo, i to sprawia, że ogarnia mnie smutek. Sama sobie to zgotowałam. Czy kiedykolwiek będzie tak jak dawniej?

– To, co Sean mógł nam zrobić. Jego zabójca, kimkolwiek jest, wyświadczył nam przysługę.

Drzę na samą myśl. On był tutaj, w naszym mieszkaniu. Jakie były jego plany wobec nas? Ukradł pieniądze z naszego konta i wysyłał kartki do sąsiadów podpisane jakoby przez Jamiego. Był przecież psycholem. Dzisiaj po raz pierwszy dociera do mnie, jaki los był udziałem Beth. Nic dziwnego, że pokonała ponad osiem tysięcy kilometrów, aby uciec przed tym człowiekiem.

– Myślę, że on by nas zabił – mówi Jamie z niepokojem. – Dlatego obserwował nas w Kryjówce. Tamta bielizna była najpewniej pomyślana jako swoista groźba. – Marszczy brwi i po chwili komentuje własne domysły: – Raczej nigdy nie poznamy prawdy.

W nocy coś mnie budzi – nagły głośny huk dobiegający z mieszkania nad nami. Siadam wyprostowana w łóżku, moje serce łomocze, a skóra pod nocną koszulą jest gorąca. Jamie dalej chrapie tuż obok. Wsłuchuję się w kojące dźwięki, które rozlegają się w naszym mieszkaniu: warkot lodówki, pobrzękiwanie w rurach, sporadyczne odgłosy samochodów dochodzące z ulicy. Czyżbym się pomyliła? Nadstawiam uszu. Nie. Już mam naciągnąć na siebie kołdrę, gdy znowu słyszę nad głową jakby odgłosy rzucania przedmiotami. W pierwszym odruchu myślę, że ktoś właśnie ograbia mieszkanie Evelyn. Szturcham Jamiego, żeby się obudził.

– Jamie – syczę. – Na górze ktoś jest.

Słyszę pomruk i widzę, że Jamie sięga po komórkę; jej ekran rozjaśnia sypialnię. Mój mąż, rozeźlony, raz po raz mruży oczy, aby przywykły do ciemności.

– A niech cię, jest czwarta rano.

– Słyszałeś? Ten hałas... Ktoś jest w mieszkaniu Evelyn. O Boże, czy nie powinniśmy wezwać policji?

Jamie obudził się na dobre. Jego sterczące włosy wyglądają komicznie. Zwykle wybucham śmiechem, gdy widzę je w takim nieładzie, ale zastrzyk adrenaliny sprawia, że jestem raczej oszołomiona. Jamie przechyliła głowę w bok, podobnie jak nasz pies, i nasłuchuje.

– Nie słyszę żadnego dźwięku.

Serce łomocze mi dalej, kładę więc rękę na piersiach i całą siłą woli próbuję się uspokoić. Nie chcę zaszkodzić naszemu dziecku.

– Słyszałam trzask.

Jamie wodzi rękami po swoich zmierzwionych włosach.

– Nikt tam teraz nie mieszka. Skąd ktokolwiek miałby się tam wziąć?

– Może to włamywacz?

Odkrywam się i wychodzę z łóżka. Staję przy oknie i wyglądam z zaskończonej ulicy. Ulica tonie w mroku, krzak róży za naszym oknem skrobie o szybę pod wpływem wiatru. Nie wiem, czego oczekuję, widzę tylko czarnego kota biegnącego główną ulicą i pokrywą kosza na śmieci na chodniku. Czyżbym to właśnie usłyszała wcześniej? Jak pokrywa spada na ziemię? Odniosłam jednak wrażenie, że dźwięk dobiega z góry. Być może zadziałała moja wyobraźnia, zwłaszcza po stracie Evelyn; mam przecież świadomość, że mieszkanie na górze jest opustoszałe i skończyły się takie drobne dziwactwa jak zbyt głośno grające radio i melodie z ulubionych telenowel sąsiadki, które słyszeliśmy przez sufit. Mimo to czasem zapominam, że już jej tam nie ma, że się nie krząta, nie parzy herbaty i nie dzierga.

– Wracaj do łóżka. – W głosie Jamiego słychać, że jest zaspany. – To było pewnie jakieś zwierzę albo coś takiego.

Kładę się do łóżka i zwijam w kłębek. Czuję ciepło ciała Jamiego, który niebawem znowu śpi jak suseł, a ja leżę w ciemności, całkiem przebudzona. Mieszkanie Evelyn zostało wystawione na sprzedaż. Domyślałam się, że to jej bratanek podjął tę decyzję. Ale... na ile się orientuję, wszystkie zdjęcia, meble, bibeloty i cała odzież nie były ruszane, odkąd umarła. Tęsknię za wizytami u Evelyn, za jej ozdóbkami i przytulnym salonem, gdzie zawsze czułam się bezpieczna. Czy ktoś tam teraz jest? Chyba że znowu popadam w paranoję? Uspokajam się, że to nie byłoby dziwne po wydarzeniach minionych miesięcy.

Całą niedzielę poświęcamy na gorączkowe porządki w mieszkaniu, bezskutecznie usiłujemy pozbyć się zapachu psa z kanapy i dywanów.

Zapalam świece, odkurzam, ścieram meble, przywracam wszędzie porządek. Zajmuje mi to trzy godziny. Gdy jest już po wszystkim, dochodzę do wniosku, że odniosłam sukces. Wreszcie jesteśmy gotowi. Jutro możemy się skontaktować z agencją nieruchomości i rozpocząć proces przeprowadzki.

Jamie zabiera Ziggy'ego na spacer, tymczasem ja kończę sprzątanie kuchni. Następnego dnia czeka mnie wizyta u lekarza. Według moich obliczeń jestem w szóstym albo siódmym tygodniu ciąży, co wyjaśniałoby mdłości od czasu urlopu w Kornwalii, jak widać, spowodowane nie tylko niepokojem. Staram się nie myśleć, skąd weźmiemy pieniądze, skoro nie mogę już pracować jako nauczycielka, ani o tęsknocie do mojej klasy i szkoły, postanawiam zachować optymizm.

Wiem, że mam szczęście. I jestem pewna, że wszystko się poukłada. Przyłapuję się na tym, że nucę przy ścieraniu blatu w kuchni, włączam też radio i szukam w różnych stacjach czegoś do tańca. Mimo wszystko jestem nastawiona pozytywnie. Mam dobry dzień. Błękitne niebo jest lekko zamglone, jest ciepło, ale nie tak gorąco jak wcześniej. Odkąd wyzbyliśmy się kłamstw, czuję taką bliskość z Jamiem, jakiej nigdy wcześniej między nami nie było. On nie przestaje używać zdrobnienia Libby, co mnie naprawdę cieszy. Karen to w moich oczach już inna osoba.

Tańczę gige w rytm piosenki Justina Timberlake'a, gdy słyszę trzaśnięcie frontowych drzwi. To pewnie Jamie, który wraca przed czasem ze spaceru. Biegnę do holu uszczęśliwiona, że zobaczę męża i pokażę mu, jak ładnie wygląda mieszkanie po generalnych porządkach, ale zauważam jego zmartwioną minę.

– Co się dzieje?

W tym momencie dostrzegam Ziggy'ego. Pies padł na podłogę osowiały. Pochyliłam się nad nim.

– Ziggy, mały, czy z tobą wszystko w porządku?

Mierzwię jego łeb, ale on ledwo się rusza. Piszczy tylko żałośnie, a mnie ściska się serce.

Jamie odpina smycz, ale się nie prostuje. Kuca, żeby się ze mną zrównać, i mówi:

– Chyba będziemy musieli zabrać go do weterynarza, Libs. Coś mu dolega.

Ziggy nagle zaczyna się dławić, a ja wpadam w panikę, czuję, jak twarz mi płonie, tymczasem psa dopadają konwulsje, wywraca oczy do tyłu.

– Co się dzieje? – krzyczę, wstając.

– To jakiś atak. Trzeba go zanieść do samochodu. Jedźmy, lecznica jest otwarta przez całą dobę.

Ziggy jest taki ciężki, że razem musimy wnieść jego dygoczące ciało do auta. Kładziemy go na tylnym siedzeniu, po czym biegnę z powrotem do domu po ręcznik i koc. Gdy wracam, Ziggy nie ma już konwulsji, leży spokojnie. Zbyt spokojnie. Wsiadam na tył obok niego i kładę rękę na jego brzuchu, pełna nadziei, póki unosi się i opada.

– On jest nieprzytomny. Szybko, Jay. Jedźmy do tej lecznicy! – wrzeszczę.

Jamie pobladł. Rusza na pełnym gazie, a ja zerkam wyżej i jestem pewna, że widzę w oknie cień kogoś, kto nas obserwuje spomiędzy żółknących siatkowych firanek w mieszkaniu Evelyn.

35. Beth

Obserwuję i gram na czas.

Widziałam, jak policja pojawiła się, a potem odjechała, zwłoki Seana zabrano w worku. Byłam świadkiem przeczesywania ogrodu oraz mieszkania przez ekspertów medycyny sądowej. A gdy nabrałam pewności, że policja nie wróci, i gdy ekipa śledcza zniknęła, wprowadziłam się do mieszkania Evelyn. Nie miałam wyboru. Muszę oszczędzać, a pensjonat, w którym tkwiłam od sześciu tygodni, jest zbyt drogi. I muszę odwiedzić adwokata mojego taty, żeby sprawdzić, czy ten drań, mój ojciec, nie zostawił mi w spadku jakichś pieniędzy. Kiedy zobaczyłam w gazecie zdjęcie Karen, zapomniałam na chwilę o swoich zamiarach.

Wczoraj tamci przyjechali wreszcie, rozbawieni wysiedli z samochodu z uśmiechami na twarzach i wygłupiając się, zaprowadzili to swoje gapowate psisko do mieszkania. Znaleźli się znowu w swoim dawnym życiu tak łatwo, jakby włożyli ulubione dżinsy.

A więc policja wypuściła ją do domu, co oznacza, że nie uznała jej za podejrzaną. Wiem, że mnie policja nie będzie szukać. Jestem duchem, marą, bo nie zostawiam śladów, kiedy przychodzę i znikam. Za wszystko zapłaciłam gotówką – jej gotówką.

Łatwo zaszkodzić osobie, która sądzi, że nie żyje.

Nie mam wielkiego dobytku. Prawie wszystko zostawiłam w Barcelonie. Zachowałam tylko torbę z odzieżą, paszport i komórkę. I fotografię. Co wieczór oglądam to zdjęcie, jedyną pamiątkę po mojej pięknej księżniczce. Śpię na górze, w jednym z pokoiów gościnnych Evelyn, którego sądząc po wyglądzie, nigdy nie używała. Na wszystkim jest gruba warstwa kurzu, także na ramach obrazów i dywanach. Powietrze jest tu stęchłe, nieświeże.

Za oknem wisi szyld z napisem „Na sprzedaż”. Trochę ryzykuję, pozostając tutaj, bo lada chwila mogą się pojawić kupujący, którzy sfruną się niczym ptaszyska, by pogrzebać w stercie rzeczy miłej starszej pani, i będą krakać urzeczeni staroświeckością. Ale to niska cena za przebywanie w pobliżu Karen.

Bo przecież muszę ją bardziej zranić, zadać jej większy ból. Ona jeszcze nie zaczęła wystarczająco cierpieć.

W niedzielę słyszę jakieś zamieszanie. Biegnę do okna, rozsuwam siatkowe firanki Evelyn i jeszcze udaje mi się zobaczyć Karen i Jamiego, którzy kładą psa na tylne siedzenie auta. Nie przepadam za psami, wolę koty, jak na mój gust psy są zaborcze i zbyt im zależy na ludzkiej miłości. Pragnę, żeby Karen cierpiała, ale zaręczam, że nawet ja nie chciałabym, żeby męczył się jej pies. To w końcu tylko bezbronne zwierzę.

Karen zwraca wzrok w stronę mojego okna, w jej oczach widzę ból i wzbierające łzy, więc szybko chowam się w cieniu. Znikam z oczu. Tak jak lubię.

36. Libby

Powiedziano nam, że Ziggy jest w stanie krytycznym. Nie mogę powstrzymać łez ciekących mi po policzkach i całuję go w aksamitną sierść między nosem a mordką, gdzie rosną mu wąsy. Ten fragment jego sierści lubię najbardziej.

– Kocham cię – szepczę. – Jutro wrócimy.

Serce mi się kraje, kiedy patrzę, jak Ziggy leży na zimnym metalowym stole u weterynarza, z rurką w łapie i zamkniętymi oczami.

– Chyba nie zniosę jego śmierci – mówię, łkając, obojętna na to, że leci mi z nosa coś, co miesza się ze łzami, które ściekają po policzkach na bawełnianą bluzkę.

– On nie umrze – pociesza mnie Jamie i ujmuje moją dłoń; jego jest gorąca i lepka. – Wydobrzeje.

Sztuczny uśmiech i udawana wesołość Jamiego przekonują mnie, że mój mąż nie wierzy w to, co mówi. Nie spuszcza zaczerwienionych oczu z naszego ukochanego psa.

Weterynarz – ma na imię Owen – wchodzi w zielonym fartuchu, trzymając w dłoniach ręcznik. Choć jest dość młody, emanuje z niego spokój i powaga. Zajmuje się Ziggym, odkąd go mamy.

– W nocy wasz pies będzie tutaj w dobrych rękach – mówi weterynarz. – Proszę się nie martwić. Zrobimy, co w naszej mocy. Odtrucie powinno się udać. Zadzwoń, gdy tylko nastąpi jakaś zmiana.

Trucizna?

Mocno ściskam rękę Jamiego, kiedy idziemy do samochodu.

– On został otruty, Jay. Kto mógł go tak skrzywdzić?

Przychodzi mi na myśl tajemnicza postać, którą – jestem tego pewna – widziałam w mieszkaniu Evelyn. Dlaczego nie mogę się uwolnić od podejrzenia, że ktoś nie przestaje nas obserwować, i to mimo śmierci Seana Elliota?

– Może Ziggy zjadł coś na spacerze – mówi Jamie. – Ale ja zawsze uważam, a on był już nieswój, zanim wyszliśmy. Nie był sobą. Wydawał się spokojniejszy, nie sądzisz?

Wsiadamy do auta i przez dłuższą chwilę tkwimy pod lecznicą, bo trudno nam odjechać. Pozostawienie Ziggy'ego w tym miejscu wydaje nam

się nie w porządku. Dotykam brzucha. Chociaż jest tylko lekko wypukły, czego prawie nie widać, już czuję, że spoczywa na mnie przytłaczająca odpowiedzialność za to maleństwo. Przed sobą widzę przyszłość, wcześniejszą nadzieję zastępuje obawa przed niebezpieczeństwami czyhającymi na nasze ukochane dziecko. Silny niepokój przyprawia mnie o drżenie. Czy donoszę dziecko? A jeśli znowu coś się stanie?

– Nie chcę go opuszczać, Libs – mówi Jamie; jego pełen żalu głos przerywa ciszę, która zapanowała w aucie.

Wtem wybucham płaczem, a ja patrzę zszokowana na jego rozedrgane ramiona. Nie pamiętam, abym widziała go naprawdę płaczącego, w mojej obecności nigdy aż tak się nie rozsłochał. Przeraza mnie to. Wyciągam rękę, dotykam jego ramienia, szepczę kojąco, dodaję otuchy sobie i jemu. Wtedy Jamie odwraca się i bierze mnie gwałtownie w ramiona, tkwimy tak długo, przytuleni, nad drążkiem zmiany biegów, w niewygodnej pozycji.

Słońce właśnie zachodzi, gdy dojeżdżamy do domu, nasza strona ulicy jest pogrążona w cieniu. Zdaję sobie sprawę, że mam opuchniętą twarz i podkrążone oczy, i cieszę się, że na ulicy jest spokojnie, jak często tu bywa w niedzielne wieczory. W cieniu czuję chłód, w bluzce z krótkim rękawem drzę, tymczasem Jamie wyciąga z kieszeni klucz.

Mieszkanie wydaje nam się takie puste, kiedy Ziggy nie wybiega na powitanie. Znowu dopada mnie smutek, gdy na podłodze zauważam rzuconą w pośpiechu smycz, podnoszę ją i tulę, wdychając zapach Ziggy'ego.

Jamie pochyła się, żeby rozwiązać sznurowadła, i wtedy dostrzegam kopertę wetkniętą do połowy do skrzynki na listy. Na pewno wcześniej jej tu nie było. A może jednak? Jeśli nawet była, to nie zauważylibyśmy jej, bo zaabsorbował nas pies. Wyciągam kopertę i ją otwieram, czego od razu żałuję. Słowa rozmazują mi się przed oczami. Okropne, naprawdę okropne słowa.

– Co to? – pyta Jamie, zaglądając mi przez ramię. – Przysłano ci dokumentację medyczną? Prosiłaś o nią?

– To... nic ważnego.

Próbuję wcisnąć kartki z powrotem do koperty, ale nie chcą wejść, zginają się w niewłaściwą stronę.

– Libby, co się dzieje?

– Nic... To nic ważnego... Wstawię wodę...

Wsuwam kartki pod pachę i pędzę do kuchni, ale Jamie idzie od razu za mną.

– Dlaczego jesteś taka tajemnicza? Dlaczego poprosiłaś o swoją dokumentację medyczną?

Teraz nie mogę mu powiedzieć, że nie prosiłam o te papiery. Kładę je na blacie zapisaną stroną do dołu i nastawiam wodę. Gdy się odwracam, Jamie trzyma papiery w ręce.

Wściekła wyrywam mu je.

– To osobiste dokumenty! – krzyczę. – Na co, do cholery, sobie pozwalasz?

Jamie patrzy na mnie ze zboląłą miną.

– Osobiste? Nosisz w łonie nasze dziecko. Dlaczego nie mogę obejrzeć twojej dokumentacji medycznej? Chętnie pokażę ci swoją, ja nie mam nic do ukrycia. A ty? – Taksuje mnie surowym wzrokiem.

Żadnych więcej kłamstw. Obiecałam mu to.

– Przepraszam... – mówię, tłumiąc płacz.

W milczeniu podaję mu trzy kartki A4 i mogę tylko patrzeć, jak przebiega wzrokiem po pierwszej stronie i posepnieje.

Gdy kończy lekturę, zerka na mnie.

– Miałaś aborcję?

Rozważam, czy nie lepiej skłamać i powiedzieć, że to dokumentacja prawdziwej Elizabeth Elliot, a nie moja. Ale to nie ma sensu. Daty nie będą się zgadzać. Jamie wie, kiedy przestałam używać nazwiska Karen Fisher. Kiwam głową i patrzę na swój brzuch, jakbym zdradziła dziecko, które rośnie w moim łonie.

– Dlaczego?

Wzdycham.

– Bo nie byłam z ojcem dziecka. Poznałam go w Tajlandii. Nie wiedziałam, że zaszłam w ciążę. Właśnie wtedy wróciłam do Anglii z nową tożsamością, żeby zacząć wszystko od początku. Byłam na uczelni dopiero od miesiąca, gdy się dowiedziałam, że jestem w ciąży. Nie mogłam... nie mogłam donosić tamtego dziecka. Musiałabym ze wszystkiego zrezygnować.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Patrzemy na siebie. Jego oczy pociemniały, widzę w nich rozczarowanie.

– Bo... – słyszę w głowie głos Katie, i to tak wyraźnie, jakby stała z nami w kuchni: „Przyznanie się do własnej niedoskonałości wcale nie dowodzi,

że ktoś jest słaby” – ...bo nie chciałam, abyś źle mnie oceniał. Nie chciałam splamić swojego wizerunku w twoich oczach – mówię szczerze. – Jestem osobą, która kocha dzieci. Jestem nauczycielką. I pozbyłam się własnego dziecka.

– Naprawdę tak myślisz? Według ciebie tak bym to odebrał? Nie zrozumiałbym? Nie jestem przeciwnikiem aborcji. Nie oceniłbym cię źle. Bolał mnie kłamstwa. Zapytałem cię o coś. Zapytałem, czy jest coś jeszcze, o czym mi nie powiedziałaś. To była dobra okazja. Ale z niej nie skorzystałaś. Libby, nie uważam, że jesteś doskonała. Wcale tego nie oczekuję. – Jamie kręci głową z zakłopotaniem. – Co ty, u diabła, sobie myślisz, Libby? Karen? Jakkolwiek brzmi twoje prawdziwe imię. *Kim* ty, do cholery, *jesteś*?

– Jestem Libby! – wykrzykuję. – Twoją Libby.

Jamie zaciska szczęki i powoli, z rozmysłem, mówi:

– Nie, nie jesteś nią.

Po chwili rzuca we mnie dokumentami, które chwytam i przyciskam do piersi. Kiedy je zgniatam, papier szeleści pod palcami. Jamie wybiega. Idę za nim i w milczeniu patrzę, jak wkłada sportowe buty, które dopiero co zdjął. Później bierze kurtkę z wieszaka przy drzwiach i bez słowa opuszcza mieszkanie.

Wieczorem płacząc zwinięta w kłębek, przykryta kołdrą po czubek głowy, aż w końcu zasypiam. Jamie wraca do domu późno. Słyszę, jak obija się o meble. Czyżby pił? Z kim spędził ten czas? Z mamą? Z Hannah? Gdy nie przychodzi do łóżka, opatulam się podomką i idę do salonu, gdzie widzę go leżącego na sofie; zasnął tam w ubraniu i słychać, jak chrapie.

Rano budzi mnie telefon. Intuicja mi podpowiada, że dzwoni weterynarz. Wysłuchuję, jak Owen łagodnym tonem zawiadamia mnie, że mimo najlepszych chęci nie udało mu się uratować Ziggy’ego, bo jego serce odmówiło posłuszeństwa. Mój telefon komórkowy upada, zbija się wyświetlacz, przecinając w poprzek fotografię na tapecie, na której jesteśmy razem: ja, Jamie i Ziggy. Szczęśliwa rodzina.

Biegnę do łazienki, gdzie wymiotuję do sedesu, po czym opieram głowę o jego krawędź i zapach detergentu wywołuje kolejne torsje.

Ziggy nie żyje. Jeszcze raz uświadamiam sobie ogrom tej straty i po mojej opuchniętej twarzy znowu płyną łzy. Budzę Jamiego z ciężkim sercem, jest mi przykro, że muszę oznajmić mu coś tak okropnego. Jamie przewraca się na plecy. Pachnie stęchłym potem i alkoholem.

– Nie chcę z tobą rozmawiać – mówi i zamyka oczy.

– Jay, chodzi o Ziggy’ego.

Jamie natychmiast otwiera oczy; są przekrwione, w kącikach lepkie.

– Co takiego? – pyta, siadając. – Co się stało?

– On... – Na twarzy czuję spływające łzy. – On nie przeżył.

– Nie... – Jamiemu łamie się głos i mimo tego, co zaszło między nami, obejmuję go i pozwalam, żeby się wypłakał.

Później Jamie, umyty i ogolony, siada na sofie jak najdalej ode mnie. Boli mnie ten dystans. Zawsze siadaliśmy tak, że nasze ciała stykały się ze sobą – palcami u nóg czy rąk albo udami.

Jamie odchrząkuje.

– Posłuchaj. Kiedy się ubierałaś, zadzwoniłem do Owena. Wiemy, że Ziggy został otruty. Ale nie wiemy czym. Użyto oczywiście silnego środka. Żeby zabić. – Mrużąc oczy, Jamie dopowiada: – Moim zdaniem ktoś otruił go celowo.

Przechodzą mnie ciarki.

– Co takiego?

– Libs, on łyknął więcej trucizny, niż jest w niektórych jagodach albo w naparstnicy. W jego krwi było bardzo wysokie stężenie toksyny. Wystarczające, żeby zatrzymać pracę serca. Opowiedziałem Owenowi o Seanie. O wszystkim. I podejrzewam, że Sean nie działał w pojedynkę.

Nie dociera to do mnie.

– Ale kto mu pomagał?

– Czy Beth miała innych wrogów? A ty? Z kim jeszcze podróżowałyście?

Wzruszam ramionami.

– Reszty właściwie dobrze nie znałam.

Wyjątkiem był Harry. Chociaż po tamtej historii z Beth chyba jego też wcale nie znałam. Pomyliłam się co do niego.

– Podróżowaliśmy razem kilka miesięcy, ale nie rozumiem, po co tamci mieliby zrobić coś takiego.

Jamie marszczy brwi.

– Jesteś pewna? A facet, z którym zaszłaś w ciążę?

Ostre słowa Jamiego ranią mi serce, obruszam się.

– Harry nie zrobiłby czegoś takiego. Bo i po co?

– Nosiałaś w łonie jego dziecko. A kiedy od niego odeszłaś, usunęłaś płód.

Spuszczam wzrok i bawię się obrączką.

– On nie wiedział o ciąży. I pewnie nawet nie pamięta mojego nazwiska. Byłam prawdopodobnie jedną z wielu.

Jamie odchrząkuje, przebiera nogami i unika kontaktu wzrokowego.

– Jest jeszcze coś. Tego ci do tej pory nie wyjawilem. Sam odkryłem to w piątek. Czekałem na właściwy moment, ale później wynikła sprawa z Ziggym... – Jamie urywa, łamie mu się głos.

– Co? Co chcesz mi powiedzieć?

– Nie chcę cię przerazić. Ale sprawdziłem to w banku. Tamte pieniądze. Pobrano je *po* naszym powrocie z Kornwalii. Sean był już wtedy martwy.

– Co takiego? – Nie wierzę własnym uszom. – To nie Sean je ukradł?

– Nie mógł. I jeszcze te rzeczy z katalogu. Przesłano je później. Ale stronę internetową zrobiono wcześniej. Najpewniej wymyślił ją Sean. Ale nie poszło mu już tak szybko z jej uruchomieniem.

Chwytam się za głowę. Czuję, że za chwilę mi pęknie. To miał być szczęśliwy okres w naszym życiu, pierwszy rok małżeństwa, oczekiwanie na dziecko. Dlaczego wszystko potoczyło się tak źle?

Jamie kręci się niespokojnie, jak zawsze, kiedy chce mi zadać trudne pytanie.

– O co chodzi?

– Czy jest szansa... – Jamie się waha, gładzi się po twarzy. – Czy twoim zdaniem jest szansa, że Beth *nie* zginęła w pożarze hostelu?

Kręcę głową.

– To wykluczone.

Nie mogę mu wyjawić, dlaczego jestem tego taka pewna.

– Nie mogła przeżyć. Już ci to wyjaśniłam. Spała jak suseł, w naszej sypialni. Ja wyszłam z tego cało, bo nie było mnie w hostelu.

– Ale mówiłaś, że kilka innych osób też przeżyło.

– Obdzwoniłam wszystkie szpitale. Rano wróciłam do hostelu. Nic nie znalazłam. – Nagle czuję chłód i staranniej opatulam się swetrem. – Posłuchaj, Jay. Wiem, że boli cię odejście Ziggy’ego. Mnie boli ono tak samo. Ale nie możemy zakładać, że ktoś otruił naszego psa z premedytacją, że ktoś postanowił go zabić.

Być może nie chcę w to uwierzyć. Nie chcę dodatkowo obciążać sumienia śmiercią psa.

– Jeśli chodzi o resztę, ktoś chyba wykorzystał okazję. Może ten, kto zabił Seana, powęszył w naszym mieszkaniu i postanowił nas ograbić, więc wykradł dane naszych kont bankowych... – Nachyliłam się w stronę Jamiego i kładę rękę na jego dłoni. – Jay, chcę, abyśmy mieli to wszystko za sobą. To jest takie okropne: odejście Ziggy’ego, moja utrata pracy... Ale przynajmniej spodziewamy się dziecka...

Jamie odtrąca moją rękę i wstaje.

– Nie mogę. Przykro mi. Potrzebuję czasu.

Ogarnia mnie strach. Jamie wydaje się rozwścieczony, nieprzystępny. Tracę go.

– Dobrze – mamroczę. – Przepraszam. Za kłamstwa. Kocham cię. Chcę odzyskać twoje zaufanie.

Jamie dotyka karku, wcale na mnie nie patrzy. Spogląda na beżowy dywan, który przydałoby się uprać. Ramiona ma opuszczone. Wygląda na załamane. Chciałabym pomóc mu się pozbierać, ale nie pozwoli mi na to.

– Ja... ja nie chcę zostawiać cię tutaj samej. Ale potrzebuję trochę czasu dla siebie. W ciągu dnia będę pracował u mamy. Ale codziennie wieczorem będę wracał, żebyś nie była tu sama. – Kładzie ręce na kolanach. Nie patrząc na mnie, dodaje cicho: – Ale, Libs, nie jestem pewien, czy będę umiał ci wybaczyć to nowe kłamstwo.

Odczuwam fizycznie pewien niepokój. To chyba żal, że straciłam psa i Jamiego, że zaprzepaściłam własne życie – dobre, szczęśliwe. Wprawdzie nie było doskonałe, bo mieliśmy kłopoty finansowe i musiałam rywalizować z jego matką, Hannah i Katie, ale dzisiaj są to właściwie błahostki. Jeśli usłyszę od Jamiego, że to koniec naszego związku, wszystko straci sens.

Staram się za dnia zająć czymkolwiek, ale brakuje mi pomysłów, tak samo jak codziennej pracy. Idę na wizytę do lekarza i dowiaduję się, że jestem mniej więcej w dziewiątym tygodniu ciąży. Pani doktor oznajmia,

że na rokowania jeszcze za wcześnie, bo dopiero w trzynastym tygodniu można wykluczyć ryzyko poronienia. Próbuję o tym nie myśleć, kiedy wracam pieszo do domu. Ten wietrzny, dżdżysty dzień idealnie pasuje do mojego nastroju. Mijane budynki przyobleczone w szarość wyglądają mrocznie w nikłym świetle. Raz po raz wybucham płaczem, gdy zalewają mnie emocje związane z Ziggyem i Jamiem. Odnoszę wrażenie, jakbym traciła kontakt z rzeczywistością, nie potrafię się powstrzymać i przechodzę obok szkoły, w której pracowałam. Z przeciwnej strony ulicy obserwuję dzieci na boisku, ukryta pod parasolką, żeby mnie nie zauważyły. Chciałabym podbiec do Zaca McMurraya i go pocieszyć, bo upadł i zdarł sobie kolano, oraz do Katriny Simmons, która tkwi samotnie przy znaku, przy którym zbierają się dzieci potrzebujące pomocy, i dzielnie próbuje nie płakać, mimo że na jej maleńkiej twarzączce maluje się zmartwienie. Tak bardzo brakuje mi wszystkich tych maluchów; czuję, jak ciężar w piersiach narasta niczym guz, aż z trudem łapię powietrze. Pamiętam atak paniki w ogrodzie zimowym Sylvii, dlatego teraz oddycham głęboko, tak jak mnie nauczyła. Wdycham powietrze nosem, a wypuszczam ustami. Wdech. Wydech.

Mieszkanie wydaje mi się większe, puste i nieprzyjazne. Od czasu do czasu słyszę trzask albo skrzypienie desek podłogowych z mieszkania nade mną oraz echa głosów, zastanawiam się wtedy, czy to nie omamy. Planowaliśmy, że wystawimy nasze mieszkanie na sprzedaż, ale kto wie, czy teraz jest to możliwe. Jeśli Jamie zechce się rozstać, będę musiała poszukać czegoś dla siebie. Ilekroć o tym myślę, muszę tłumić nadchodzący atak paniki wywołany myślami o życiu jako samotna matka, bez pieniędzy, na zasiłku, o ile w ogóle mogłabym się o niego ubiegać. Gdzie bym mieszkała? Przyszłość jest taka niepewna.

Dni mijają, zlewając się ze sobą. Jamiego widuję tylko wieczorami. Razem zjadamy obiadokolację, właściwie nie rozmawiamy i później kładziemy się w jednym łóżku, ale mam wrażenie, że rozdziela nas niewidzialna ściana. Jamie mówi, że potrzebuje czasu, a ja uzbrajam się w cierpliwość, bynajmniej go nie ponaglę. W niektóre dni wędruję bez celu po ulicach i wyobrażam sobie, że Ziggy idzie obok z wywieszonym językiem i ciągnie za smycz. Kusi mnie, żeby zadzwonić do Cary, ale wstyd mi z nią rozmawiać, podobnie jak z innymi.

Pewnego dnia wpada Florrie z domową zapiekanką. Siada przy mnie i ujmuje moją rękę, mówiąc, że zawsze będzie moją przyjaciółką,

cokolwiek się stanie między mną a jej bratem. Jacob jest zajęty oglądaniem kanału CBeebies. Odwiedziny Florrie podnoszą mnie na duchu i przez kilka następnych dni czuję się trochę mniej osamotniona.

Zmuszam się do codziennych spacerów. Czasami jestem pewna, że słyszę za sobą głośne kroki, i wtedy od razu włosy na karku stają mi dęba, ale kiedy się rozglądam, widzę tylko puste wąskie uliczki; czasem zjawi się jakiś przechodzień albo dociekliwy turysta zerknie w górę na zabytkowy budynek czy też spojrzy na witrynę sklepu.

Jamie co wieczór pyta o dziecko. Chce wiedzieć, czy miewam mdłości lub nagłe bóle i czy dobrze się odżywiam w ciągu dnia. Ale gdy próbuję wysondować, co się dzieje z naszym związkiem, znowu pojawia się ściana, a twarz męża jest pozbawiona wyrazu, więc przestaję dociekać.

W pewną środę, gdy mój nowy tryb życia trwa już prawie dziesięć dni, świeci słońce, a niebo jest czyste, nieomal błękitne, pokryte bardzo lekką mgiełką. Kiedy ruszam na codzienny spacer obok szkoły, słyszę wiertarkę albo może odgłos koszenia trawy. Wspiąwszy się po schodach, dostrzegam na chodniku Hannah wpatrzoną w okna mieszkania Evelyn. Za każdym razem, kiedy ją widzę, zdumiewa mnie jej wzrost – jest prawie tak wysoka jak Jamie. Hannah ma na sobie zakiet w gołęzim kolorze i dopasowaną do niego ołówkową spódnicę. Wygląda elegancko, atrakcyjnie, jej jasne włosy układają się w łagodne fale na ramionach.

– Hannah... – odzywam się, gdy jestem na szczycie schodów, na równi z nią. – Co tu robisz?

Widzę po jej minie, że jest zaskoczona moim widokiem, jakby zapomniała, że mieszkam w ciemnych czeluściach suterenu, w tym moim prywatnym lochu. Hannah trochę się jąka. Dostrzegam smużkę szminki na jej zębach i zastanawiam się, czy jej o tym powiedzieć; muszę rozstrzygnąć, jak będzie lepiej: albo ją zawstydzę, albo oszczędzę jej zakłopotania.

– Ach tak, to ty, Libby. Używasz jeszcze tego zdrobnienia? – pyta Hannah, nie bez cienia ironii.

Kiwam głową, bo nie mam odwagi się odezwać.

Hannah poprawia na ramieniu torbę na zakupy, po czym wskazuje mieszkanie Evelyn.

– Czekam na ludzi, których mam oprowadzić. Ale się spóźniają.

Wygląda na poirytowaną i wyobrażam sobie, że wolałaby być gdziekolwiek indziej, byleby nie rozmawiać ze mną. Może czuje się jak zdrajczyni, gawędząc z żoną Jamiego, z którą on obecnie nie mieszka.

Hannah unika kontaktu wzrokowego, wpatruje się tylko w mieszkanie Evelyn. Nigdy nie miałyśmy zbyt wielu tematów do rozmów, ale teraz, stojąc na tym nierównym chodniku, tkwimy w sytuacji niezręcznej dla nas obu. Zauważam chwast rosnący w szczelinie między dwiema płytami chodnikowymi.

Nie cierpię siebie za to pytanie, ale muszę je zadać.

– Czy... czy rozmawiałaś z Jamiem?

Hannah odwraca się w moją stronę i lustruje mnie chłodnym wzrokiem.

– Wiem od niego, że spodziewacie się dziecka. Gratuluję.

Wypowiada te słowa z zaciśniętymi zębami, jakby kosztowało ją to wiele wysiłku.

Bawię się guzikiem przy kurtce.

– Dziękuję... Właściwie... nie jest to łatwe. Martwimy się po tamtym pierwszym poronieniu. Obiecaliśmy sobie, że powiemy o ciąży dopiero po dwunastym tygodniu. A teraz nam się nie układa...

Hannah zaciska usta.

– Tak, Jamie opowiedział mi o wszystkim. Jadamy razem luncha, odkąd on pracuje u swojej mamy. Cieszy mnie to, że mogę tam przy nim być. Po śmierci Ziggy'ego i po tym wszystkim.

Drażni mnie gadulstwo Jamiego. Wyobrażam sobie te miłe luncha w starej wozowni, to, jak Hannah trzepocze rękami, kiedy Jamie zwierza się jej, jak to się nieszczęśliwie ożenił.

– Przypuszczam, że jeśli podejmiecie decyzję o separacji, nie będziecie potrzebowali rozwodu. Jamie mówi, że jego zdaniem wasz ślub jest nieważny, bo posługiwałaś się nieprawdziwym nazwiskiem.

Zabolało, jakby kopnięto mnie w brzuch. Rozwód? Czy jest aż tak źle? Liczę, że Jamie kiedyś mi wybaczy. A Hannah nie odpuszcza.

– I nie przeczę, że los samotnej matki jest niełatwy. Przyznam ci się, że Felix jest absorbujący. A jego ojciec nie chce się nim zajmować.

Nigdy przedtem nie usłyszałam tyle od Hannah.

Płonie mi twarz.

– No tak, jednak Jamie nie będzie taki jak tamten człowiek. Nawet jeśli się rozstaniemy – mówię.

– Wiem. Jamie będzie wzorowym ojcem. Zawsze tak uważałam. Jego stać na poświęcenie. – Hannah uśmiecha się do siebie, chyba przypomina sobie coś osobistego. – A dokąd się wybierasz?

Patrzy na mnie i jestem pewna, że krytycznie ocenia mój strój: mam na sobie dzinsową kurtkę, od siedmiu albo i więcej lat tę samą, bawełniane spodnie w pasiasty wzór oraz znoszone buty Birkenstock, a na paznokciach pozdzierany różowy lakier.

– Po prostu idę na spacer.

– To smutne, że straciłaś pracę. Najpierw cię zawiesili, bo rodzice mieli o coś pretensje. Okropne – mówi Hannah.

Zastanawiam się, skąd ona to wie. O skargach rodziców powiedziałam tylko Jamiemu. On mógł oczywiście wypaplać to Hannah. Właściwie to nie była tajemnica. Zaczynam podejrzewać, że Jamie często jej się zwierza.

– Czy dyrekcja szkoły wie, że nie jesteś Elizabeth Elliot?

– Tak, zrezygnowałam z pracy.

– Pewnie to był dla nich zawód. Ale i tak musieliby cię zwolnić? A uczyłaś tam, jeśli się nie mylę, angielskiego?

Hannah świetnie się bawi, a ja gryzę się w policzek, żeby nie zareagować równie kąśliwie. Kiwam głową.

– Popęłniłam parę głupich błędów. Chyba każdemu się zdarza – mówię, po czym, aby zmienić temat, pytam, jakie są efekty oględzin mieszkania.

Hannah marszczy brwi i odgarnia niesforny lok.

– Takie sobie. Pokazywaliśmy mieszkanie tylko raz czy dwa. Ono wymaga generalnego remontu. Wymiany kabli i tak dalej. Ale zbliża się lato, więc liczymy na większe zainteresowanie.

– Szkoda, że takie mieszkanie stoi puste.

Hannah mruży oczy.

– Ależ nie, wcale nie stoi puste. Mieszka tam bratanica pani Goodwin. Do dnia sprzedaży.

– Ach tak...

Bratanica? Nie pamiętam, aby Evelyn o niej wspominała.

Hannah zerka na swój masywny złoty zegarek.

– Czas na mnie. Zdaje się, że są już moi potencjalni klienci.

Mruży oczy i zakrywa je przed słońcem, spoglądając w głąb ulicy. W naszym kierunku spacerowym krokiem zmierza dwoje młodych ludzi trzymających się pod rękę.

Już zamierzam odejść w przeciwną stronę, ale coś sobie przypominam.

– Hannah – mówię głośnym szeptem. – Masz na zębach trochę szminki.

Hannah wygląda na poirytowaną, ale sięga do przepastnej torebki po lusterko. Po chwili uśmiecha się fałszywie i zaczyna mówić piskliwym

tonem, bo tymczasem podeszli do nas klienci, a ja znikam, bardziej niż dotąd zdeterminowana, żeby odzyskać Jamiego.

Podczas spaceru dzwonię do Jamiego na komórkę. Po drugim sygnale odbiera i pyta:

– Czy z małościem wszystko w porządku?

– Tak. Dopiero co wpadłam na Hannah. Pokazuje teraz jakimś ludziom mieszkanie Evelyn. Zdaje się, że mieszka tam jej bratanica. Nigdy nie słyszałam od Evelyn o kimś takim. O bratanku owszem, ale nie o bratanicy.

Mówienie podczas szybkiego spaceru zapiera mi dech w piersiach, więc zwalniam tempo.

– To pewnie dlatego słyszałaś hałasy z tamtego mieszkania – stwierdza Jamie, ale w jego głosie słyhać roztargnienie; wiem, że prawdopodobnie przeszkodziłam mu w pracy.

Głęboko wdycham świeże powietrze. Czuję zapach skoszonej trawy, benzyny oraz nowej nawierzchni na mijanym podjeździe. Jakaś starsza pani plewi chwasty w swoim ogrodzie. Przygarbione plecy i siwe włosy kojarzą mi się z Evelyn. Znowu dopada mnie smutek.

– Hannah mi przekazała, że wszystko jej powiedziałaś. O nas. I o naszych problemach.

Zapada grobowa cisza. Po chwili Jamie pyta:

– Zadzwoniłaś tylko po to, żeby się pokłócić? Na to będzie czas wieczorem.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale Jay, wszystko, co się u nas dzieje, jest naszą prywatną sprawą.

Głos Jamiego łagodnieje.

– Wiem, Libs. I nie powiedziałem nic Hannah. Nie mógłbym tego zrobić. Nasze sprawy nie powinny nikogo obchodzić.

Brzmi to jak szczere wyznanie. Ale w takim razie skąd Hannah wie o dziecku?

– Brakuje mi ciebie. Tego, co nas łączyło.

Moje oczy napęłniają się łzami i przez chwilę nic nie widzę. Muszę przerwać i oprzeć się o ścianę.

Znowu zapada cisza.

– Chciałbym umieć...

– Wybaczyć?

Odpowiedź nie pada, bo nie musi. Milczenie Jamiego mówi wszystko.

Gdy wracam do mieszkania, dostrzegam zmianę sugerującą, że ktoś tu był. Spod stołu w kuchni wysunięto jedno krzesło, z boku stoi szklanka, której tam nie było, kiedy wychodziłam z domu. Czyżby Jamie zjawił się pod moją nieobecność? Wypowiadam jego imię, sprawdzając pokój za pokojem, ale mieszkanie okazuje się puste. Wspomniałby o swej wizycie w czasie naszej rozmowy. W powietrzu unosi się dziwny zapach. Ten sam, który poczułam po powrocie z Kornwalii. Zapach czegoś pikantnego, podobny do aromatu zapalanej niedawno świecy zapachowej, chociaż ja nie mam świec tego rodzaju.

Zaintrygowana wchodzę do sypialni i patrzę na zarośnięty ogród Evelyn. Prezentuje się jeszcze gorzej niż tego dnia, gdy znaleźliśmy ciało Seana. Liście rosnących obok siebie drzew wystają poza uszkodzone ogrodzenie, bluszcz wije się wokół niektórych roślin i je dusi, kępy chwastów sterczą z ziemi, trawnik przemienił się w bagno i został rozdeptany przez policjantów. I wtedy coś zauważam. Brudny ślad stopy na jednej z kremowych płytek patia, tuż pod oknem naszej sypialni.

Ogarnia mnie panika. Ślad wygląda na świeży, sprzed paru godzin. W nocy padał ulewny deszcz, który obudził mnie około dwunastej. Gdyby ślad był wczorajszy, musiałby zniknąć.

A może pozostał po tamtej parze, która wcześniej oglądała mieszkanie Evelyn? Albo po Hannah? Mogła zajrzeć przez okno do środka, żeby obejrzyć naszą sypialnię. Albo też pozostawiła go tajemnicza bratanica, która przebywa w mieszkaniu Evelyn.

Nie wiem, dlaczego to robię. Być może coś mnie tknęło, bo nie pamiętam żadnej informacji o bratanicy, albo wpłynęło na mnie wcześniejsze zachowanie Hannah, ale nagle zaczynam szukać w kuchennej szufladzie zapasowego klucza do mieszkania Evelyn.

Zanim zdążę się rozmyślić, biegnę na górę pod pretekstem hałasu, który usłyszałam. Bratanica Evelyn nie musi wiedzieć o moim porannym spotkaniu z Hannah. Uspokojona obracam klucz w zamku i drzwi stają otworem. Z ciężkim sercem wchodzę do holu, przypominając sobie swoją ostatnią wizytę w tym mieszkaniu i podświadomie licząc, że zobaczę Evelyn na krześle przy oknie, zajętą jakąś robótką. Niezmiennym dzierganiem.

Dopiero w salonie czuję zapach, który uderzył mnie wcześniej w suterenie. Świeca zapachowa? Kadzidło? Gdzie zetknęłam się z nim

wcześniej?

Rozglądam się. Pokój wygląda jak za życia Evelyn, tyle że warstwa kurzu osiadła na ozdóbkach, mahoniowym stoliku do kawy i ramie obrazu. Wchodzę do kuchni. Jest inna niż nasza, połączona z jadalnią – ta jest długa i wąska, z elementami wyposażenia po obu stronach i tylnymi drzwiami pośrodku. Otwieram szafki. Wszystko jest chyba na swoim miejscu, w jednej szafce znajduję kilka puszek pomidorów i jedną z tuńczykiem, a w innej ustawione rzędem filiżanki i szklanki. Wracam do salonu. Jest zbyt uporządkowany i za mało w nim śladów ludzkiej obecności. Zapewne nikt tu nie mieszka.

Z niepokojem wchodzę po schodach jeszcze wyżej, by sprawdzić pokoje, z których Evelyn rzadko korzystała. Zatrzymuję się na tym poziomie. Jest tutaj trochę przerażająco i staromodnie, ściany są ciemne, pokryte boazerią. Zapach kadzidła tu nie dotarł, w pomieszczeniach czuć wilgoć i stęchliznę. Sprawdzam każdą sypialnię. Gdzie przebywa ta „bratanica”? Kiedy docieram do ostatniego pokoju, dochodzę do wniosku, że najpewniej śpi tutaj. Kołdra jest pognieciona, a na nocnym stoliku leży książka. Sięgam po nią – to powieść, opis na okładce obiecuje mroczny, zagmatwany thriller. Tymczasem na dywan z brązowym wzorem spada wymiętoszone, sfatygowane zdjęcie. Podnoszę je, by mu się przyjrzeć. Przedstawia mężczyznę o miłych ciemnych oczach. Uderza mnie smutek, który maluje się na jego twarzy. Tak wyraźnie wyziera ze zdjęcia, że jest nieomal namacalny. Mężczyzna trzyma w ramionach maleństwo z ciemną czupryną spowite w żółty kocyk. Oczy niemowlęcia są zamknięte. Po fakturze skóry i nienaturalnej bledości cery domyślam się z łomoczącym mi z wrażenia sercem, że niemowlę umarło. Przytłoczona odkryciem wsuwam zdjęcie z powrotem do książki i szybko wracam na parter.

Kim jest osoba przebywająca w mieszkaniu Evelyn?

Czuję się niezręcznie, że jeszcze tu jestem. Zbieram się do wyjścia, gdy mój wzrok pada na mahoniowy kredens i leżącą na nim plastikową teczkę. Podnoszę ją i obracam w rękach. Ma format A4 i jest przezroczysta, widzę więc schowane w niej papiery. Otwieram teczkę i z rozczarowaniem stwierdzam, że nie ma w niej nic ciekawego, to tylko reklamy domów. Teczka należy chyba do Hannah. Mimo wszystko przeglądam papiery. I natrafiam na jakąś kartkę. Marszczę brwi i wysuwam ją z teczki. Na pierwszej stronie widnieje ozdobny napis: „Dla osoby, którą kocham”, a tuż pod nim ilustracja przedstawiająca dwa obejmujące się pingwiny. Do kogo

to Hannah wysłała kartki? Wiem, że nie powinnam, ale rozkładałam kartkę. Zdaje mi się, że czas stanął w miejscu. Słyszę tylko łomotanie własnego serca.

Ciągle o Tobie myślę.

Jamie XXX

Drżą mi ręce, gdy patrzę na te słowa. Czy Jamie wysłał to do Hannah? Czy ją kocha? Na pewno nie! Wydał mi się taki szczerzy, taki prawdomówny, kiedy go o to zapytałam. Ale mogłam popchnąć go do tego swoimi kłamstwami. Charakter pisma nie przypomina jego bazgrołów, tekst jest napisany drukowanymi literami: małymi, kwadratowymi i porządnymi. Wsuwam kartkę do wewnętrznej kieszeni kurtki. Być może Jamie wręczył ją Hannah przed laty, gdy jeszcze byli razem, a ona zatrzymała kartkę na zawsze. Chociaż papier nie wygląda, jakby miał dziesięć lat... Hannah mogła jednak przechować kartkę w bezpiecznym miejscu, gdzie nie wyblakła ani nie pożółkła z biegiem lat...

Już mam wyjść z salonu, gdy słyszę, że ktoś otwiera kluczem frontowe drzwi. Zamieram niezdecydowana, jak się zachować. Mogłabym się ukryć, ale wiem, że byłoby to śmieszne. Muszę czekać, aby bezczelnie oznajmić osobie, która tu przebywa, że jestem sąsiadką i po prostu sprawdzam mieszkanie, bo usłyszałam hałas. Odkładam teczkę na miejsce i wychodzę do holu.

To Hannah. Odwrócona do mnie plecami, zamyka drzwi do mieszkania. Jest wyraźnie zaskoczona, gdy staje ze mną twarzą w twarz.

– Libby, co ty tutaj robisz? – pyta. Wygląda na udręczoną, ale taksuje mnie chłodnym wzrokiem.

– Powinnam ciebie zapytać o to samo – mówię, żeby zyskać trochę czasu.

Hannah idzie w moją stronę, kwadratowe obcasy jej lekkich butów hałasują na podłogowych płytkach.

– Zostawiłam tutaj teczkę. A jak ty weszłaś do mieszkania?

– Mam zapasowy klucz.

– Wiesz pewnie, że nie możesz tutaj być ot tak.

– Ja... usłyszałam hałas.

Rozważam, czy teraz się z nią skonfrontować i powiedzieć o tym, co odkryłam. Wolę jednak poczekać, dopóki nie porozmawiam z Jamiem i nie dam mu szansy na wyjaśnienia.

Hannah mruży oczy, jakby mi nie dowierzała.

– Mówiłam ci, że przebywa tu bratanica pani Goodwin. Mieszkanie jest nadal własnością rodziny. Wkraczasz na cudzy teren. – W roztargnieniu wbiega do salonu i zabiera teczkę. Trzymając ją przy piersi, wycofuje się przez hol. – Czy możesz zamknąć za sobą drzwi? – pyta. – Jestem spóźniona, a muszę odebrać Felixa. – I wychodzi, trzaskając drzwiami.

Oddycham z ulgą.

Macam kurtkę, by się upewnić, że nie zgubiłam kartki, którą chcę pokazać Jamiemu. Potem sama ruszam w stronę drzwi. Już mam chwycić za klamkę, gdy słyszę skrzywienie schodów.

Zastygam. Wiem, że ktoś jest za moimi plecami, czuję na sobie czyjś wzrok. Powoli się odwracam i widzę ją, stojącą na schodach do mieszkania Evelyn. Po tylu latach. Bardzo się zmieniła. Ma długie potargane włosy, sięgające prawie do pasa. Jej oczy są podkrążone, a twarz ściągnięta, harda. Pod prawym okiem, na kości policzkowej, widzę znikającego siniaka. Kilka sekund mija w zupełnej ciszy. Słyszę, jak sąsiad wystawia pojemniki na śmieci, dobiega mnie śpiew ptaków i donośne miauczenie kota, ale jakby z daleka; mam wrażenie, że na świecie jesteśmy tylko my dwie.

– Proszę, proszę, czyż to nie mała Karen Fisher? – mówi ona.

39. Beth

Widzę jej rozdziawione usta i pobladłą twarz. Wygląda, jakby zobaczyła ducha – to banalny frazes, wiem, ale w tym przypadku trafny. Ona naprawdę sądziła, że zginęłam.

Skąd ta pewność?

– B... Beth – mówi, jękając się.

Trzyma się kaloryfera, żeby nie stracić oparcia, na jej górnej wardze dostrzegam strużkę potu. Kiedy była zdenerwowana, zawsze się pociła. Pamiętam jej marudzenie z powodu tatuazu.

– Czyż nie mamy wiele do nadrobienia? – pytam, schodząc po schodach.

Karen zerka niespokojnie za siebie, jakby kalkulowała, czy udałoby jej się uciec. Zanim wykonuje jakikolwiek ruch, chwytam jej rękę nad łokciem i ściskam tak mocno, żeby zostawić ślady.

– Mam nadzieję, że nigdzie się nie wybierasz.

– Ja... nie...

Karen patrzy na mnie, jakby nie potrafiła uwierzyć w moją obecność. W jej oczach jest także strach. On mnie elektryzuje, dodaje mi animuszu, podpowiada aktualny cel. Czekałam na ten dzień, odkąd sześć tygodni temu znalazłam jej fotkę w gazecie.

– Co, zobaczyłaś ducha? – sztywnie ze złośliwym uśmiechem i prowadzę Karen do salonu. – Chyba powinniśmy pogadać, nie sądzisz?

Ona otwiera i zamyka usta niczym atrapa brzuchomówcy, ale nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Śmieszę mnie to. Jak zawsze między nami tą, która rządzi, jestem ja. I nic się nie zmieniło, co bardzo mnie cieszy.

– Beth... – odzywa się, jednak mocnym ciosem w klatkę piersiową powalam ją na sofę. – Mogę to wyjaśnić.

Siadam naprzeciwko, na krześle przy kominku, pod zdjęciami Evelyn.

– Dalej. Zamieniam się w słuch.

Zakładam nogę na nogę, czym wywołuję brzęczenie łańcuszków na moich motocyklowych butach. Karen z zaskoczeniem zerka na to obuwie.

– Czy ty... mnie śledzisz? – pyta.

– Od wielu tygodni. – Sadowię się wygodniej, znowu ze złośliwym uśmiechem. – To ja przysyłałam ci paczki. I wyczyściłam ci konto. Nie

było to trudne, bo mamy ten sam numer ubezpieczenia. Właściwie wszystko mamy takie samo...

– Byłaś w moim mieszkaniu?

Wzruszam ramionami, zajęta oglądaniem dziury na kolanach swoich dzinsów.

– Niewykluczone.

– I... jak tam weszłaś? – pyta Karen zbulwersowana.

– Mam swoje sposoby. Tyle pożytku dla mnie ze znajomości z Seanem.

Karen waha się i prześlizguje po mnie wzrokiem, jakby jeszcze nie wierzyła, że siedzę naprzeciwko.

– Jak mnie znalazłaś?

– Zobaczyłam twoje zdjęcie w gazecie. Okazałaś się małą bohaterką... Tak wiele dzieci ocalałaś. Szkoda, że nie pomogłaś ani mnie, ani innym ludziom, którzy zginęli w hostelu.

Karen z zawziętą miną wysuwa podbródek.

– Myślałam, że nie żyjesz...

Pochyliłam się, opierając łokcie na kolanach.

– Interesuje mnie jedno: jak się wydostałaś?

Karen ucieka wzrokiem, spogląda na wzór na dywanie Evelyn.

– Ja... ja byłam już poza hostelem.

– Wiedziałam! – wykrzykuję triumfalnie. – Wiedziałam, że krył się za tym jakiś wybieg. Nie doceniłam cię. Co zrobiłaś, Karen?

Podnosi głowę. Patrzy czujnie. Wygląda jak zwierzę w pułapce. Ale jej mina się zmienia, hardziej i Karen świdruje mnie wzrokiem, szczerząc zęby.

– Znienawidziłam cię po tamtej historii z Harrym. Wiedziałaś o mojej ciąży?

Nie wiedziałam, ale później zaczęłam coś podejrzewać. W Bangkoku Karen była blada i apatyczna. Sądziłam, że to z powodu miłości do Harry'ego.

– Poznałam prawdę z twojej, albo raczej powinnam powiedzieć: „mojej”, dokumentacji medycznej.

– Nie chciałam takiego zakończenia. A że nadarzyła się okazja, postanowiłam z niej skorzystać.

Wpatruję się w Karen. Nie widzę w niej żadnej zmiany. Nie poczuwa się do odpowiedzialności.

– A więc wszystko jest w porządku, tak? Bo nie chciałaś tak się zachować. Karen, powiedz mi jednak, jak się wydostałaś?

Karen ogląda swe dłonie, a ja widzę, że znowu ogarnął ją strach.

– Ja... dosypałam jakieś leki do coca-coli. Nie wiem jakie. Znalazłam je u ciebie w torbie. A potem zostawiłam cię tam, bo wiedziałam, że będziesz za bardzo oszołomiona, by mnie szukać.

– Odurzyłaś mnie?

Pamiętam, że kręciło mi się w głowie, kiedy dym w pokoju wyrwał mnie ze snu na naszym piętrowym łóżku.

Wstaję z łomoczącym sercem.

– To dlatego byłaś taka pewna, że nie żyję. Bo sądziłaś, że jestem zbyt odurzona, żeby się uratować. Pewnie tych leków było za mało, skoro jednak się obudziłam. I odratowano mnie.

Karen wstaje, chce być na równi ze mną, widzę jej zaciśnięte pięści i poczerwieniałą twarz.

– Nie wiem, po co w tym wszystkim chcesz grać jakąś cholerną ofiarę – wyrzuci z siebie. – To były twoje leki. Kiedy je znalazłam, zrozumiałam, co mi zrobiłaś. I Harry’emu na tamtej imprezie. Jesteś złą kobietą, Beth. Wszystko popsulaś. Ja go kochałam. Kochałam Harry’ego, a ty wszystko popsulaś. Dlatego kiedy byłaś w toalecie, dosypałam czegoś do swojej coli i później udałam, że śpię, żebyś ty ją wypila. Tak też się stało. Zawsze byłaś suką.

Ogarnia mnie złość, uderzam Karen w twarz. Ona dyszy i cofa się przede mną, dotykając policzka.

– Ja też go kochałam! – wykrzykuję. – Też go kochałam, ale ty go sobie przywłaszczyłaś. To, co ja czułam, wcale cię nie obchodziło. Nawet mi nie powiedziałaś, że się z nim spotykasz. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami, Karen. Wiedziałaś, że uciekłam z toksycznego związku. I że przeżyłam piekło. Harry byłby dla mnie dobry. Ale ciebie to nie obchodziło, prawda? Jesteś egoistyczną suką. Zrobiłaś krzywdę niewłaściwej osobie, kiedy się zmyłaś z moim paszportem i moją tożsamością, i przywłaszczyłaś sobie moje życie.

Karen, rozwścieczona, mówi już niewyraźnie:

– Nie przywłaszczyłaś sobie twojego życia, bo żadnego *nie miałaś*! I tak zamierzałaś odpuścić studia nauczycielskie, a ja byłam zdesperowana. Czy wyrzodziłam komuś krzywdę? Myślałam tak: skoro zginęłaś, twoje miejsce na prestiżowych studiach się zmarnuje.

– Dobre sobie. Sądziłaś, że nie żyję, i nie mogłaś się doczekać, żeby zostać mną. Jeślibym zginęła, to byłaby twoja wina, Karen. Twoja!

Pada na sofę, policzki ma mokre od łez. Wygląda nędznie i mizernie. Uświadamiam sobie nagle, że wcale nie obchodzi mnie Harry. Ona zresztą też. Wszystko to było oderwaniem się od myśli o Liliannie. Tak naprawdę powinnam wrócić do domu, do Hiszpanii. Do Matea. Spróbować się dogadać. On dzwoni do mnie codziennie. Nie odbieram telefonów, ale przysyła mi błagalne esemesy, prosi, żebym wróciła do domu, do niego, i martwi się, czy jestem bezpieczna. Pisze, że ciągle mnie kocha i że powinniśmy się wspierać w żałobie. I pomyśleć później o kolejnym dziecku. Nie zastąpi nam Lilianny, bo to niemożliwe, ale mamy jeszcze szansę być szczęśliwi.

Ale czy ja w ogóle zasługuję na szczęście?

Opadam na krzesło i zapalam papierosa. Zaciągam się głęboko. Drżą mi ręce. Co ja teraz robię? Wcale nie jestem lepsza od Karen. Mam na koncie trochę głupstw i świństw. Bo byłam rozgoryczona, zazdrosna, nieszczęśliwa. W poprzednim życiu zawsze ktoś mnie kontrolował, jak nie ojciec, to Sean. A gdy pojawia się tak cudowny mężczyzna jak Mateo, myślę, że na niego nie zasługuję. Zależało mi ogromnie na tym, żeby zranić Karen, ukarać ją, ale kiedy jestem tutaj, po tym jak zniszczyłam jej małżeństwo i karierę, wszystko to wydaje mi się... *rozczarowujące*.

Bo nie uśmierza bólu.

I nie wskrzesza mojego dziecka.

– Przepraszam. Za tę historię z Harrym – mówię w końcu.

Karen unosi głowę.

– Naprawdę przepraszasz?

Rozmazał jej się tusz do rzęs, pod oczami widzę czarne smugi. Wyglądają jak zasinienia po mocnym uderzeniu.

– Wtedy tego nie żałowałam – przyznaję. – Dopiero później. Tak, było mi głupio. Myślałam, że nie żyjesz. Sądziłam, że zostałaś w tamtym pokoju. Nie dotarło do mnie, że zniknęłaś, zanim wybuchł pożar.

– A zamiana mieszkań? Zaaranżowałaś ją w odwecie?

Kręcę głową i znowu się zaciągam.

– Nie. To był pomysł Seana. Jak wiesz, byliśmy ciągle małżeństwem. On okazał się świrem...

Karen śmieje się gorzko.

– Tak, zaczynam to rozumieć.

– Sean myślał, że w gazecie jest moje zdjęcie. Chciał się zemścić. Za to, że od niego uciekłam i zabrałam jego pieniądze. Ukartował więc całą tę zamianę, a potem próbował straszyć ciebie i twojego męża, bo pomylił cię ze mną.

– Wypchane zwierzęta... zakrwawiona bielizna... To też jego pomysły?

– Wypchane zwierzęta?

Karen kiwa głową.

– W zamrażarce znaleźliśmy martwe wypchane zwierzęta...

Wzdrygam się.

– Chodzi o moje lęki. Wypchane zwierzęta wywołują u mnie fobię. Wiem, że to dziwne, ale potwornie się ich boję. On wiedział, że jeśli to naprawdę ja, ich widok straszliwie mnie przerazi... a bielizna zapewne miała być ostrzeżeniem. Gdybym to wszystko zobaczyła, zrozumiałabym, że to on. Że mnie odnalazł.

Karen odgarnia z oczu grzywkę. Ta fryzura jej pasuje bardziej niż mnie. Policzek, w który ją uderzyłam, jest jeszcze zaróżowiony; głupio mi, że straciłam panowanie nad sobą.

– Tyle zachodu z jego strony – mówi Karen. – W tamtym domu nikt nie mieszkał od miesiący. Sean miał mnóstwo czasu na opracowanie i realizację swojego planu.

Gaszę papierosa na jednym ze spodków Evelyn.

– Zdziwiłoby cię, do czego był zdolny, co robił, kiedy byliśmy razem. Wiesz, że zamierzał mnie zabić? Pojawiłam się w twoim mieszkaniu, żeby cię znaleźć, a drzwi otworzył mi właśnie on.

– Och, Beth...

– Jestem bardzo zmęczona – mówię i zdaję sobie sprawę, że to prawda. – Znienawidziłam cię, kiedy znalazłam twoje zdjęcie w gazecie. Miałaś wszystko, co mogło należeć do mnie. Szczęśliwą rodzinę... – zerkam na jej brzuch – ...i dziecko w drodze.

– Skąd wiesz...?

– Od Evelyn.

Karen pobladła.

– Poznałaś ją?

– Była dla mnie miła. Zobaczyła, że kręcę się w pobliżu...

– Ach tak.

Marszczę brwi.

– A co masz na myśli?

Karen śmieje się cicho.

– Podejrzewam, że wyobraziła sobie Jamiego z inną kobietą. Widziała cię w pobliżu i doszła do wniosku, że Jamie ma romans. Próbowwała mnie ostrzec.

Przełykam ślinę.

– Byłam przy niej. Kiedy umierała.

– Byłaś *tutaj*?

Kiwam głową, powstrzymując łzy cisnące mi się do oczu na myśl o tamtym dniu.

– Zbierałam się do wyjścia, gdy Evelyn miała zawał. To się stało tak nagle. Tak szybko.

– A Sean? Czy to ty go zabiłaś?

Nie ma sensu zaprzeczać.

– W obronie własnej. Uciekałam od niego. Zabiłby mnie. Jedno z nas musiało zginąć: albo ja, albo on.

– O Boże – mówi cicho Karen, błędząc wzrokiem. – O Boże, co teraz zrobisz, Beth? Pójdiesz na policję? Przyznasz się, że zabiłaś Seana?

Już nie wiem, jak postąpić.

40. Libby

Powinam była się domyślić, że wróciła, kiedy tylko weszłam do mieszkania Evelyn. Ten zapach... jest wszędzie. W powietrzu, na jej ubraniach i włosach. Raptem przypominam sobie, skąd go znam. Z tamtego pokoju w Koh Lancie. Upał, mdlący zapach kadzidła, wrażenie, że jest mi niedobrze. Beth zawsze bawiła się kadzidełkami, jakby chciała odprawić nabożeństwo.

Siedzi teraz na krześle przy kominku. Mimo skórzanej kurtki i butów do jazdy na motorze, które sugerowałyby hardość, wygląda na bezbronną.

Zastanawiam się, czy nie przeżywa jakiegoś załamania. I dochodzę do wniosku, że właściwie mało o niej wiem. Tyle, że w młodym wieku straciła rodziców, i to wszystko. Przychodzi mi na myśl zdjęcie, które znalazłam na górze. Jej dziecko zmarło.

Policzek mnie piecze. Ale zasłużyłam na ten cios. I zasługuję na każdą krzywdę z jej strony.

– Beth – odzywam się delikatnie – widziałam na górze zdjęcie. Czy to twoje dziecko?

Beth odwraca się ku mnie ze smutkiem w oczach i patrzy uważnie na moją twarz.

– Kiedy wchodziłaś do pokoju, musiałam się schować pod łóżkiem. – Nagle wygląda na wyczerpaną, jakby straciła całą wolę walki. – Tak, to moje dziecko. Lilianna. Były komplikacje... Umarła... Urodziłam ją martwą... – Głos jej się załamuje.

– Och, Beth, bardzo ci współczuję – mówię, dotykając swojego brzucha.

Po jej policzkach płyną łzy. Nigdy nie widziałam, jak płacze. To jest tak niespodziewane i zaskakujące, że mogę tylko na nią patrzeć. Beth ociera łzy, chyba jest zakłopotana.

– Było ciężko – mówi po chwili.

– Wyobrażam sobie. Sama poroniłam. Wiem, że to inna sytuacja... Ale...

Beth bierze się w garść. Unosi rękę.

– Nie rozmawiajmy o tym. Nie jesteśmy przyjaciółkami, Karen. Już nie.

– Wiem. To wiem.

Beth ogląda dziurę na kolanach swoich dżinsów, dotyka postrzępionej tkaniny.

– Jak ci się żyje z moją tożsamością?

Mimo woli wybucham śmiechem.

– Nie tak łatwo, jak myślisz. Na uczelni było ciężko. Bez dyplomu uniwersyteckiego musiałam się bardzo przykładac do nauki, aby uzyskać kwalifikacje nauczycielskie. To była prawdziwa harówka. Nie mogłam pójść na kurs prawa jazdy...

Beth wygląda na zdezorientowaną.

– Dlaczego?

– Bo ty już masz prawo jazdy. Jak miałabym pójść na taki kurs, skoro jestem już po egzaminie?

– A jakiś kurs przypominający albo coś takiego?

Śmieję się znowu.

– O tym nie pomyślałam. Usiadłam raz za kółkiem, ale nie miałam pojęcia, jak pokierować autem, więc mało brakowało, żebym zabiła Jamiego i siebie. Od tamtej pory więcej nie próbowałam.

Beth się uśmiecha, ale w jej oczach tego nie widać. Chyba wcale mnie nie słucha.

– Co teraz zrobimy? – pytam. – Jakie kroki podejmiemy?

Nagle tknęła mnie okropna myśl.

– Czy to ty otrułaś Ziggy’ego?

Beth marszczy brwi.

– Kim jest Ziggy?

– To mój pies. Zdechł. Weterynarz powiedział, że Ziggy został otruty.

Beth wygląda na rozwścieżoną.

– Oczywiście, że go nie otrułam. Owszem, chciałam cię zranić, doprowadzić do twojego rozstania z Jamiem. Chciałam, żebyś cierpiała tak jak ja, ale nigdy nie skrzywdziłabym zwierzęcia.

Jej oburzający ton przekonuje mnie, że mówi prawdę. Mam mętlik w głowie. Jeżeli to nie ona zabiła Ziggy’ego, to kto go otruł? Czy doszło po prostu do nieszczęśliwego wypadku?

Beth wstaje, robię to samo. Jestem ciekawa dalszego ciągu. Zabiła Seana. Jest morderczynią. Czy mnie też zaatakuje? Nie sądzę. Zabiła Seana, jak sama mówi, w obronie własnej i ja w to wierzę. Też bym tak postąpiła w tamtych okolicznościach. Zabić albo zostać zabitym. Zauważyłam u Beth pewną zmianę, odkąd tu siedzimy. Domyślałam się, że z wolna dotarło do niej, że wszystko, o czym rozmawiamy, jest trywialne, nieważne wobec ogromu spraw najistotniejszych.

– Co teraz zrobisz? – pytam jeszcze raz. – Jak wiesz, aresztowano kogoś w związku ze śmiercią Seana. Nie jestem pewna, czy komuś postawiono zarzut morderstwa, ale prawdopodobnie Sean miał spore długi. Jakieś szemrane interesy.

– Nie dziwi mnie to. Znałam Seana.

– Możesz odejść. Ja jedna wiem, że tu byłaś, ale niczego nie ujawnię.

Beth mruży oczy.

– Zrobiłabyś to dla mnie? Dlaczego?

– Wyrządziłam ci ogromną krzywdę. Odurzyłam cię. Mogłaś zginąć w tamtym pożarze. Przywłaszczyłam sobie twoją tożsamość i nakłamałam w sprawie swoich kwalifikacji, czego nie powinnam była się dopuścić. Beth, zasługuję na wszystko, co mnie spotkało. A teraz chcę iść dalej. Uratować swój związek z Jamiem. Dać nam drugą szansę.

Dostrzegam sceptycyzm Beth.

– Ja też cię okradłam.

– Cóż, jest nas dwie – mówię cierpko. – Powiedzmy, że jesteśmy kwita.

Stoimy i patrzymy na siebie. Nagle ona zaskakuje mnie szybkim, ale nieśmiałym przytuleniem.

Wychodzę powoli z mieszkania Evelyn. Czuję, że Beth obserwuje w oknie, jak idę do siebie. Zastanawiam się, co ona teraz pocznie. Czy wróci do swojego obecnego życia? Życzę jej szczęścia. Wyrządziłyśmy sobie nawzajem krzywdę. Chciałabym, żeby ten cały koszmar był wreszcie za nami.

Bo tak naprawdę zawdzięczam jej wszystko.

41. Beth

Patrzę, jak Karen odchodzi, i wiem, że po moim żalu, goryczy i złości prawie nie ma śladu. Niech ona żyje sobie dalej jako Libby Elliot, jeśli tego pragnie. Bo ja chcę wieść swoje życie jako Elizabeth Perez, żona Matea. Chcę do niego wrócić. Jeżeli on się zgodzi.

Gdy przed trzema laty Mateo poprosił mnie o rękę, powiedziałam mu, że nie mogę odnaleźć Seana, żeby otrzymać rozwód, ale mimo to zamieszkaliśmy razem i żyliśmy jako małżeństwo. Wreszcie znalazłam kogoś, kto mnie pokochał, kto nie stosował wobec mnie przemocy psychicznej ani fizycznej, jak moi rodzice i Sean. Mateo to dobry człowiek. Zaczynałam odzyskiwać równowagę. Ale gdyby nie śmierć Lilianny, sprawy nie potoczyłyby się tak źle.

Kiedy położna przekazała mi tamtego okropnego dnia wiadomość o śmierci Lilianny w moim łonie, pomyślałam, że sprawdzają się ojcowskie proroctwa, które rzucał mi w twarz, kiedy byłam nastolatką. Mówił, że jestem zła i mam diabła za skórą. Wierzyłam, że Lilianna została mi odebrana, bo jestem zła. I nie zasłużyłam na bycie matką.

Moje nadzieje i marzenia umarły razem z córeczką. Liczyłam, że zabiorę ją do dziecięcego pokoju, który pomalowaliśmy na jaskrawożółto, że włożymy ją do łóżeczka, które Mateo składał całe popołudnie, że będzie się bawić pluszowymi zabawkami i nosić starannie poukładane w jej szafce śpioszki, kamizelki, pieluszki i maleńkie skarpetki. Jednak nigdy nie zobaczyłam jej pierwszych kroczków i nie usłyszałam pierwszych słów. Nigdy nie zobaczę, jak jeździ na rowerze, idzie do szkoły, przeżywa pierwszą miłość i wychodzi za mąż. Wszystko to utraciłam, a potem dręczyła mnie tęsknota za nią i za życiem, jakie ją ominęło.

Ponowne spotkanie z Karen, konfrontacja z nią i nasza rozmowa podziałały na mnie w pewnym sensie terapeutycznie. Jakbyśmy zamknęły jakiś rozdział w życiu. Nie jestem dumna ze swego zachowania w Tajlandii ani z tego, jak potem w Anglii nękałam Karen. Ale muszę wybaczyć – i sobie, i jej.

Odurzyła mnie, żebym nie wyruszyła za nią. Tak bardzo mnie nienawidziła. A ja przecież na to zasłużyłam.

Na zewnątrz robi się ciemno, a ja siedzę przy oknie na krześle Evelyn i dzwonię do Matea. We łzach słucham jego ciepłego seksownego głosu i przenoszę się myślami właśnie tam, do naszego domu niedaleko plaży, z werandą i drewnianymi podłogami, gdzie na morskiej bryzie powiewają kolorowe ręczniki suszące się na sznurku; nagle tak bardzo chcę z nim być, że aż czuję fizyczny ból.

– Beth... dzięki Bogu, że z tobą wszystko w porządku. Odchodziłem tutaj od zmysłów ze zmartwienia! – krzyczy Mateo, gdy odbiera telefon.

– Bardzo przepraszam – mówię ze ściśniętym od płaczu gardłem. – Bardzo przepraszam, że uciekłam. Po prostu strasznie mi smutno. Bardzo mi jej brakuje...

– Wiem, skarbie, wiem, proszę cię, wracaj do domu. Ja też cię potrzebuję.

– Trudno mi uwierzyć, że jeszcze chcesz mojego powrotu. Po tym wszystkim, na co cię naraziłam.

– Oczywiście, że chcę, hermosa chica.

Nazwał mnie piękną dziewczyną. Moje serce ulatuje pod niebiosa.

– Kocham cię. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, przeleję je na twoje konto, ale proszę... proszę, wróć...

I wtedy śmieję się przez łzy, zapowiadam powrót do domu już następnego dnia i zapewniam go o swojej miłości. I znowu przepraszam.

Po niespełna dwudziestu czterech godzinach Mateo czeka na lotnisku. Kiedy mnie nie było, zapuścił brodę, na mój widok szklą mu się oczy. Biegnę do niego; podnosi mnie, obraca i z radością na twarzy składa pocałunki na mych ustach i powiekach. Przesuwa palec po kości policzkowej, jakby chciał usunąć widocznego tam siniaka, a ja odczuwam prawdziwą radość, tak nagłą i czystą, że zapiera mi dech w piersiach. Seana już nie ma. Już nigdy nie będę musiała się go bać. Mogę być szczęśliwa u boku Matea.

Przytulam się do niego, płaczę i się śmieję, a kiedy wychodzimy przez automatyczne drzwi, on opiekuńczym gestem otacza mnie ramieniem, jakby się bał, że znowu zniknę. W końcu mogę przestać uciekać. Wreszcie jestem bezpieczna. *Wreszcie jestem w domu.*

42. Libby

Zapada zmierzch, a ja czekam na Jamiego. Ale on nie przychodzi.

Muszę go zapytać o tę kartkę. Dzwonię, ale włącza się poczta głosowa.

Pewnie jest u mamy. Z Hannah.

Muszę zawalczyć o męża. O nasz związek. Bo wszystko okaże się daremne. Zamawiam taksówkę i po dziesięciu minutach jestem w drodze do domu Sylvii.

Otwiera bardzo zdziwiona moim widokiem.

– Co tu robisz? – pyta, ale ją wymijam.

– Gdzie oni są?! – krzyczę.

– Libby – mówi Sylvia dosadnie. – Co się dzieje?

Spokojnie zamyka drzwi.

– Gdzie jest Jamie?

Sylvia krzyżuje ręce na piersiach.

– W jadalni... Co się dzieje?

Ale ja jestem już gdzie indziej.

Wszyscy siedzą w eleganckiej jadalni, ściany mają niebiesko-zielony kolor, wzorzyste zasłony wiszą na oszklonych drzwiach, które prowadzą do ogrodu. Zebrali się wokół owalnego stołu, są tu Katie i Gerard, Hannah i Jamie.

Kiedy wkraczam, na twarzy Jamiego widzę takie przerażenie, że gotowa jestem się roześmiać. Reszta przygląda mi się z zaciekawieniem. Katie prychnęła. Hannah się czerwieni i zastyga z makaronem na widelcu przy ustach.

– O, tu jesteś, Jamie. Planujesz dzisiaj powrót do domu?

Jego nóż i widelec spadają na talerz, po czym Jamie wstaje, odsuwając krzesło.

– Libby, co cię tu sprowadza? – Jamie marszczy brwi. – I co się stało z twoją twarzą? Twój policzek. Jest cały czerwony.

Dotykam swojej twarzy, czuję gorąco. W tym momencie rozważam, czy nie uciec od tego wszystkiego. Od Jamiego. Zacząć wszystko od nowa. Kiedyś już uciekłam. Sięgam do kieszeni kurtki, wyciągam kartkę i rzucam ją na stół...

– Znalazłam coś – mówię.

Hannah również odkłada widelec i patrzy na mnie z odrazą. Katie i Gerard też nie spuszczają ze mnie wzroku, ale w ich oczach dostrzegam podekscytowanie. Można by pomyśleć, że czekają na jakieś dobre przedstawienie.

– Skąd... skąd to masz? – pyta Hannah.

Jamie sięga po kartkę.

– Chwileczkę... To jest...

Z nieprzyjemnym wyrazem twarzy zwraca się do Hannah i pyta:

– Po co ci takie coś?

Hannah wierci się zażenowana. Unika wzroku Jamiego. Zagryza wargi i wygląda, jakby miała się rozpłakać. Zastanawiam się przez chwilę, gdzie jest jej synek. Katie i Gerard bez cienia skrępowania obserwują nas dalej. Nie mam wątpliwości, że doskonale się bawią.

Mimo wszystko żal mi Hannah, którą całe towarzystwo świdruje teraz spojrzzeniami. Wszyscy patrzą na nią krytycznym wzrokiem.

– Jamie, Hannah, czy nie możemy przejść do salonu i o tym porozmawiać? – proponuję.

Hannah odsuwa swoje krzesło tak energicznie, że je przewraca.

– Nie lituj się nade mną – rzuca.

Sylvia, stojąca w drzwiach, jest wyraźnie wstrząśnięta.

– Naprawdę chcesz rozegrać to tutaj? – pyta Jamie.

Nasze spojrzenia spotykają się ponad głową Hannah i pojawia się między nami nic porozumienia. Natychmiast pojmuję, że to na pewno nie Jamie napisał tę kartkę.

– Wysyłałaś te kartki do naszej sąsiadki Anyi, prawda? Chciałaś mi wmówić, że Jamie ma romans – mówię.

Z błyskiem w oczach Hannah przystępuje do ataku.

– Ty na niego nie zasłużyłaś – oznajmia z okrutnym śmiechem. – Powinien był ożenić się ze mną, a nie z taką kościstą wywłoką jak ty.

– Starczy tego, Hannah – mówi stanowczo Sylvia.

– A tamte rzeczy? – pyta Jamie.

Mogłabym wyjaśnić, że to Beth przysyłała prospekty i plecak, że to ona wyczyściła nasze konto. Ale milczę i czekam. Napięcie w pokoju stało się już nieznośne. Po minie Jamiego widzę, że się wściekł.

– A Ziggy?

Hannah spuszcza głowę.

– Nie chciałam, żeby zdechł. Zależało mi tylko na poróżnieniu was obojga. Liczyłam, że wrócisz – wyjaśnia zwrócona w stronę Jamiego, po czym sięga po jego dłoń, on jednak odtrąca jej rękę. – Że wrócisz do mnie.

– Nigdy tak nie będzie, Hannah – mówi Jamie z kamiennym wyrazem twarzy.

Wiem, że musi się powstrzymać, by nie nakrzyczeć na nią za to, co zrobiła Ziggy'emu.

– Przykro mi, jeśli cię ranię, ale kocham Libby. I z nią chcę być. Ty i ja to dawne dzieje.

Następuje krótki, przerażający moment, w którym spodziewam się z jej strony fizycznego ataku na Jamiego albo na mnie. Hannah jednak wymija nas oboje i wychodzi spokojnie. Po paru sekundach słyszymy, jak trzaskają frontowe drzwi.

Pracuję na pół etatu w pobliskiej kawiarni, gdzie nikt o nic nie pyta i gdzie dostaję do ręki gotówkę. Aktu oskarżenia jeszcze nie ma. Melanie sądzi, że coś mi zarzucą, ale jeżeli przyznam się do winy, to – taką ma nadzieję – w najgorszym razie zostanę skazana na prace społeczne. Brakuje mi nauczania i moja przyszłość rysuje się tak niepewnie, że przepełnia mnie strach. Ale przynajmniej mam Jamiego i dziecko, za co mogę być naprawdę wdzięczna. Wystawiliśmy mieszkanie na sprzedaż i liczymy, że szybko uda się je spieniężyć. Nowy początek.

Kiedy Hannah przyznała się do pisania tamtych kartek i do tego, że przez nią zdechł Ziggy, Sylvia oznajmiła, że oczekuje od niej wyprowadzki ze starej wozowni. I ma się trzymać z daleka od Jamiego. Zaimponowała mi takim postawieniem sprawy. Zbliżyłyśmy się w ciągu tych kilku ostatnich tygodni. Wreszcie czuję, że Sylvia widzi we mnie właściwą synową.

Odbywamy z Jamiem wiele rozmów o naszym związku. Odnoszę wrażenie, że przede wszystkim rozmawiamy, chętnie dzielimy się skrywanymi myślami i obojgu nam zależy, żeby wyjaśnić swoje intencje, oczyścić atmosferę.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że spędzając czas z Hannah, karmiłem ją złudną nadzieją – przyznaje pewnej nocy Jamie, kiedy leżymy już w łóżku. – Jeszcze jestem w szoku, kiedy myślę, do czego się posunęła. Otrucie Ziggy’ego, kartki i oszustwo. Czy to ona przysyłała tamte rzeczy z katalogów? Nie przyznała się do tego, ale... stać by ją było na coś takiego.

Nie powiedziałam mu prawdy, bo musiałabym wspomnieć o Beth. A chcę, by to pozostało tajemnicą, moją i jej.

– Znam Hannah od lat – mówi dalej Jamie. – Od czasu, kiedy byliśmy osiemnastolatkami. Skąd wiemy, co ludzie, których znamy, naprawdę myślą? Ta historia sprawia, że nie chcę już nikomu ufać.

Tulę się do niego i próbuję go pocieszyć.

– Znasz mnie, a ja znam ciebie, Jay. Możesz mi ufać. Zapewniam cię. Teraz musimy patrzeć w przyszłość. Dla nas. I dla Orzeszka. I to, co było, niech pozostanie za nami.

Jamie odwraca się do mnie.

– Żadnych więcej kłamstw?

Uśmiecham się i całuję go w usta.

– Żadnych więcej kłamstw.

Myślę, że można kogoś znać i wiedzieć, co naprawdę kryje się w jego sercu. Nigdy nie ufałam Hannah, bo wiedziałam o jej zazdrości. Patrzyłam, jak wodzi wzrokiem za Jamiem, i byłam pewna, że mnie nie znosi, bo za niego wyszłam. Idziemy przez życie, działając najlepiej, jak umiemy, popełniamy błędy, nieświadomie – a czasem umyślnie – krzywdzimy ludzi. Ale skąd możemy wiedzieć, czy skrzywdzeni nie wezmą odwetu? Skąd wiemy, jak długo będą chować urazę i jak bardzo będą czuć się zranieni?

Obserwuję męża, który śpi z ręką na oczach, przez co widzę tylko jego pełne usta i podbródek, jakby rzeźbiony, oraz wgłębienie między szyją a obojczykami. Wiem, że Jamie mnie kocha, ale jak mogę być pewna, że na swój sposób nie prowokował Hannah? Że trochę winy spada na niego, choć nie jest w pełni jej świadomy? Za co jesteśmy w rzeczywistości odpowiedzialni?

Kłamstwa... Te będą zawsze. Błahe kłamstewka, z których nie zwierzamy się ani małżonkom, ani przyjaciółom. Czasem dla ich, a czasem dla naszego dobra.

Wiem, że obiecałam mówić mężowi o wszystkim, zwierzać mu się, i przyrzekłam przestać udawać kogoś doskonałego. Ale o Beth nie mogę mu powiedzieć. Tak jak nie może usłyszeć o tym, że jej wybaczyłam. Bo sama nie jestem bez winy.

Kiedy znalazłam leki, których użyła Beth, żeby dosypać je do mojego drinka, gniew i żal rozpleniły się w moim wnętrzu niczym chwasty i zaczęły zżerać mnie od środka. Z winy Beth straciłam Harry'ego; zmanipulowała nas oboje. Wsypałam leki do swojej coca-coli, gdy ona była w toalecie. Potem, po jej powrocie, udałam, że śpię. Szybko ją te leki odurzyły. Poczekaliśmy i upewniłam się, że Beth pogrążyła się w głębokim śnie, po czym chwyciłam coś, co uznałam za swój plecak, zarzuciłam go na ramiona i wymknęłam się z ciemnego pokoju. Później wznieciłam ogień w damskiej toalecie, która była za rogiem, w pobliżu naszej sypialni. Zapaliłam jedną z zapalek Beth i wrzuciłam ją do pełnego papierowych ręczników kosza na śmieci. Zakładałam, że wybuchnie niewielki pożar. Wystarczający, by spowodować zamieszanie, jeśli Beth się obudziła. Sądziłam, że gdy w hostelu włączy się alarm przeciwpożarowy, nastąpi

ewakuacja gości i Beth zostanie przesłuchana, tak jak wszyscy inni. A ja zyskam na czasie, by uciec jak najdalej. Skąd mogłam wiedzieć, że alarm przeciwpożarowy w hostelu był zepsuty i pożar wymknie się spod kontroli? Że będą ofiary w ludziach? Całe życie próbuję to odpokutować. Staram się być dobrym człowiekiem i dobrą nauczycielką. I będę dobrą matką.

Dopiero gdy znalazłam się na chodniku przed hostelem, zobaczyłam, że z jednego okna na drugim piętrze wydobywa się gęsty czarny dym, i wtedy zrozumiałam swój błąd. Pożar rozprzestrzenił się dużo szybciej, niż przewidywałam. Wbiegłam do pobliskiego hotelu, krzycząc, by wezwali straż pożarną, a potem w rozpacz mogłam tylko obserwować przyjazd wozów strażackich i myśleć o Beth pogrążonej we śnie pod wpływem środków odurzających, niezdolnej do ucieczki.

Przez te wszystkie lata byłam przekonana, że Beth nie żyje, myślałam, że ją zabiłam. Ponoszę winę za to, że tamtej nocy zginęli ludzie. I nigdy sobie tego nie wybaczę.

Konsekwencje... Nie można od nich uciec.

Jamie przewraca się we śnie, cicho pomrukując, i zarzuca mi rękę na piersi. Obejmuję brzuch, wtulam się w Jamiego i rozmyślam o nowym życiu, które powstaje w moim łonie. Jesteśmy bezpieczni, my troje. To moja druga szansa i zrobię wszystko, żeby jej nie zmarnować.

Epilog

Nasze mieszkanie było wystawione na sprzedaż zaledwie od tygodnia, kiedy pojawiła się oferta kupna. Znaleźliśmy dla siebie uroczy domek, niedaleko, bo w Saltford, i to nad rzeką. Jest tam ogród i jak tylko się przeprowadzimy, pomyślimy o kupnie szczeniaka. Chcemy zacząć go tresować, zanim dziecko przyjdzie na świat. Firma Jamiego rozwija się dobrze, a ja miałam już kontrolne USG w dwudziestym tygodniu ciąży. Czekamy na chłopca. Moje T-shirty opinają już pokaźny brzuch. Wkrótce będę musiała kupować odzież dla ciężarnych. Ekscytuje mnie perspektywa innego trybu życia. Nie jest to całkiem po mojej myśli, bo zawsze będzie mi brakowało pracy nauczycielki, ale nie mogę się doczekać, aż zostanę mamą.

Jest ciepły letni dzień, na lekko zamglonym błękitnym niebie unoszą się delikatne chmury. Segreguję dokumenty, aby był porządek, kiedy nadejdzie pora przeprowadzki. Siedzę pośrodku jadalni, obłożona dookoła papierami.

Z pustym kubkiem przechodzi obok Jamie. Wygląda na zmęczonego i nieobecnego, jak zawsze, gdy absorbuje go praca, jakby nie mógł oderwać się na chwilę od cyferek, kodów i czego tam jeszcze, o czym musi pomyśleć. Wstawia wodę.

- Kawy?
- Pamiętaj, że piję bezkofeinową – mówię, głaszcząc brzuch.
- Wiem.

Jamie się śmieje, bo powtarzamy ten dialog, ilekroć on proponuje mi coś do picia. Stukanie do drzwi tak nas zaskakuje, że zaintrygowani wymieniamy spojrzenia. Mało kto pojawia się u nas w środku dnia. Sylvia też wtedy nie wpada. Często czeka na nasze odwiedziny, bo sama nie chce być „intruzem”.

Idę otworzyć drzwi i zaskoczona widzę w nich inspektora Hartleya. Serce podchodzi mi do gardła. Nie dostałam żadnych informacji o możliwych zarzutach. Melanie Finch nie kontaktowała się ze mną od tygodni.

– Elizabeth Elliot... – zaczyna inspektor, niepotrzebnie pokazując legitymację policyjną, bo przecież dobrze wiem, kim jest.

– Nazywam się Elizabeth Hall...

– Aresztuję panią jako podejrzaną o zamordowanie Seana Elliota. Może pani odmówić składania zeznań, ale nieujawnienie w śledztwie faktu, na który powoła się pani dopiero w sądzie, może zaszkodzić pani obronie. Cokolwiek pani zezna, może posłużyć jako materiał dowodowy.

– Co takiego? – pytam już niezbyt wyraźnie i patrzę na inspektora z niedowierzaniem. – Nie może pan tego zrobić. Zostałam wcześniej aresztowana w tej samej sprawie i wypuszczona. Proszę mnie już nie nękać. Myślałam, że oskarżyliście inną osobę... Myślałam...

Wpadam w histerię. Jamie przybiega do holu i blednie na widok policjanta, który stoi za progiem.

– Co pana znów tu sprowadza?

– Mamy nowe dowody sugerujące, że pańska żona jest odpowiedzialna za śmierć Seana Elliota, panie Hall. A teraz, pani Elliot, albo pójdzie pani z nami bez oporu, albo...

Kręcę głową.

– W porządku. Wszystko się wyjaśni. Wiem, że nic złego nie zrobiłam. Proszę mi pozwolić włożyć buty.

Wsuwam stopy w baletki, po czym idę za inspektorem Hartleyem do policyjnego samochodu, który czeka pod domem.

– Libs, zadzwonię do Melanie Finch. Spotkamy się w komisariacie! – krzyczy Jamie, biegnąc za mną.

Jamie stoi na chodniku w skarpetach. Ja tylko kiwam głową i czuję, że ściska mnie w żołądku. Ktoś pomaga mi wsiąść na tylne siedzenie policyjnego auta.

Nie potrafię powstrzymać łez, kiedy Melanie Finch informuje mnie o ostatnich wydarzeniach. Siedzimy w pokoju widzeń. Innym niż poprzednio, mniejszym, bez okien i ze stęchłym powietrzem. Pani mecenas siedzi naprzeciwko mnie i spoza okularów patrzy na mnie z powagą.

– Oni są w posiadaniu ozdoby, która należy do pani i według nich posłużyła jako narzędzie zbrodni – mówi.

Jej szminka jest zbyt czerwona i razi na tle całej twarzy, przez co usta wyglądają prawie komicznie. Póki mówi, nie potrafię oderwać od nich wzroku.

– Ozdoby?

– Chodzi o posążek Buddy – mówi pani mecenas i podsuwa mi fotografię. – Czy należy do pani?

Jestem zdziwiona. Dostałam go od Harry'ego i ten posążek stał na moim kredensie. Schowałam go do szafy na ubrania, pod stertą odzieży. Jak to możliwe, że policja ma tę statuetkę?

– Tak, należy do mnie. Skąd oni go wzięli?

Pani mecenas mruga, jej oczy, schowane za okularami, są ogromne.

– Chwilowo nie wolno mi tego ujawnić.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Kształt posążka odpowiada kształtowi rany na głowie ofiary i są na nim pani odciski palców.

To znaczy, że Beth zabiła Seana moim posążkiem Buddy. A co zrobiła później? Czyżby starła swoje odciski palców i zostawiła figurkę na moim kredensie, żebym go znalazła? Gdybym go nie wzięła do ręki, nie ruszała z miejsca, to wszystko nigdy by się nie wydarzyło.

Popijam wodę z plastikowego kubka. Drżą mi ręce.

– Tak. To możliwe. Statuetka jest moja. Ale to nie ja zabiłam Seana. Musi mi pani uwierzyć, Melanie. To nie byłam ja. W dniu śmierci Seana byłam w Kornwalii, razem z Jamiem, pamięta pani?

Melanie siada wygodniej na swoim krześle i taksuje mnie wzrokiem. W pokoju jest bardzo gorąco, brakuje powietrza. Bluzka przywiera mi do skóry i wyczuwam już mokrą plamę na plecach. Melanie zdejmuje okulary i palcami przesuwają po oczach. Wygląda na zmęczoną.

– Czy nie wie pani przypadkiem więcej, niż ujawnia? – pyta, zakładając ponownie okulary.

Przykro mi, Beth. Biorę głęboki wdech i wyjawiam wszystko.

Gdy kończę, Melanie patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Twierdzi więc pani, że prawdziwa Elizabeth Elliot nie zginęła w pożarze, lecz wróciła tutaj, wściekła, że ukradła pani jej tożsamość, a potem zabiła swojego męża?

Kiwam głową.

– Tak, właśnie tak.

– Muszę panią o to zapytać, Libby. Czy popełniła pani ten czyn? Czy zabiła pani Seana Elliota?

– Nie. Wyjaśniłam przecież. Zamordowała go prawdziwa Elizabeth Elliot. Ja tego nie zrobiłam. Nazywam się Karen Fisher.

Pani mecenas zagląda do notatek i posępnieje.

– Hm, tutaj napisano, że prawdziwa Karen Fisher zginęła w pożarze. W Tajlandii. W roku dwa tysiące ósmym. Jej dokumenty znaleziono

w trakcie czynności porządkowych. Podejrzewa się, że ktoś podłożył ogień, Libby.

– To były *moje* dokumenty. Zabrałam plecak prawdziwej Elizabeth Elliot, kiedy uciekałam z hostelu. Prawdziwa Elizabeth Elliot była tutaj. Kilka miesięcy temu. Przebywała w mieszkaniu mojej sąsiadki. Widziałam ją. I rozmawialiśmy.

Wyczuwam, że Melanie już nie słucha, i z przerażeniem dochodzę do wniosku, że ona mi nie wierzy, podejrzewa mnie o zmyślanie.

– Proszę zdać się na mnie – mówi i wstaje.

Siedzę i czekam. Melanie wraca w końcu z inspektorem Hartleyem i sierżantem Trott. Adwokatka siada przy mnie, a policyjni detektywi – naprzeciwko.

– Mamy tu dosyć dowodów, żeby panią obciążyć – mówi inspektor Hartley; jego stalowe oczy budzą grozę. – Sprawa trafi później do sądu koronnego. Ale byłoby dużo łatwiej, pani Elliot, gdyby przyznała się pani do winy.

– Nie przyznam się, bo nic złego nie zrobiłam! – wykrzykuję.

– Ustaliliśmy już, że ta ozdoba jest pani własnością – mówi inspektor.

– Tak... należy do mnie.

– I są na niej pani odciski palców, niczyje więcej.

Wiercę się, czuję kropelki potu na górnej wardze. Jak to możliwe?

– Wiem od samej Beth, że go zabiła. W obronie własnej. On był strasznym psycholem. Zamierzał ją zabić. Znalazłam posążek na swoim kredensie. Zwykle trzymałam go w szafie na ubrania. Zdjęłam go z kredensu i odłożyłam na miejsce. Przyjęłam po prostu, że wcześniej znalazł go Jamie i postawił na kredensie...

– Kto może za panią ręczyć? Kto jeszcze widział tę Beth? Pani mąż? Ktokolwiek inny? – pyta pani sierżant; jej młodą twarz okalają jasne włosy.

Postanawiam kierować odpowiedzi do niej. Jest w moim wieku, może mnie zrozumie i będzie życzliwsza niż Hartley.

Kręcę głową.

– Nie, nikt. Ale mogą państwo sprawdzić banki, prawda? I paszporty... Wydaje mi się, że ona przyjechała z zagranicy. Straciła ostatnio dziecko, poroniła. Jest trochę niezrównoważona.

Na twarzy inspektora Hartleya maluje się sceptycyzm.

– Nie wierzę pani. Sądzę, że zabiła pani byłego męża, a potem wymyśliła pani tę bzdurną historię o zamienionych w Tajlandii tożsamościach, aby się

wyłączyć. Moim zdaniem zabiła pani eksmeża, bo groził donosem. Nieprawdaż, Elizabeth?

– Nie... nie.

Przeżywam koszmar.

– Jak miałabym to zrobić? Byliśmy w Kornwalii. Jamie trafił do szpitala.

Inspektor Hartley uśmiecha się ironicznie. Z ostrym nosem i małymi oczkami wygląda jak lis.

– Tak, sprawdziliśmy to. Opuściła pani szpital piątego kwietnia o wpół do siódmej rano. Sean Elliot został zabity między trzecią po południu tego samego dnia a osiemnastą następnego. A więc miała pani dosyć czasu na dojazd do Bath, zabicie go i powrót do Kornwalii jeszcze przed spotkaniem z mężem w godzinach porannych następnego dnia.

Wytrącona z równowagi wodzę ręką po twarzy.

– Ale dlaczego? Dlaczego miałabym to zrobić?

– Mamy tu billing rejestrujący pani rozmowę z panem Elliotem około... – pani sierżant zagląda do notatek – ...około jedenastej przed południem.

Policjantka podsuwa mi pod nos wykaz numerów telefonicznych. Swój rozpoznaję natychmiast.

– Istotna uwaga do nagrania: pokazuję pani Elliot billingi – dodaje pani sierżant, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Tak, dzwoniłam pod ten numer, ale byłam przekonana, że rozmawiam z Philipem Heywoodem, a nie z Seanem Elliotem.

Pani sierżant pozostaje niewzruszona.

– Sądzę, że kiedy pani z nim rozmawiała, dotarło do pani, co on zamierza zrobić. I sądzę, że wtedy zaaranżowała pani osobisty kontakt w swoim mieszkaniu w Bath i tam go zabiła – mówi.

Myliłam się, uznając ją za życzliwszą z nich dwojga.

– Nie. Miałam złamaną rękę. Prawą. Nie mogłabym prowadzić auta. Zresztą nawet nie umiem – wyjaśniam z płaczem.

– Ma pani prawo jazdy i samochód z automatyczną skrzynią biegów. Jestem pewien, że potrafiłaby pani prowadzić ze złamaną ręką, gdyby zdjęła temblak w razie pilnej potrzeby, która zaistniała w tym przypadku.

– Ja... nie... ja nie umiem prowadzić. Karen Fisher nie umie jeździć samochodem.

Pani sierżant spokojnie mnie przesłuchuje, czym jestem poirytowana. Po chwili pyta:

– Czy zdarzają się pani gwałtowne wybuchy gniewu, Elizabeth?

– Nie, bynajmniej.

Policjantka zerka na coś, co ma przed sobą, przy czym jej włosy przechylają się do przodu. Chowa je za ucho.

– Mamy tu zeznania mężczyzny o nazwisku James Penton, który twierdzi, że go pani zaatakowała.

James Penton. Dociera do mnie, o kogo chodzi. O Jima.

– Zaatakowałam? To nieprawda. Wypchnęłam go, bo wszedł na cudzy teren i węszył dookoła Kryjówki. Chciałam tylko, żeby zostawił nas w spokoju. Chyba można powiedzieć, że go szturchnęłam, ale nie mocno...

Przerażona patrzę na Melanie Finch. Na policyjnych detektywów. Ale oni tylko mi się przypatrują z poważnymi minami.

Oficjalnie oskarżono mnie o zabójstwo Seana.

Czekam teraz na proces. Chociaż jestem w ciąży, nie wypuszczono mnie za kaucją z powodu kalibru tej zbrodni. O ironio, pewnie obawiają się, że ucieknę, mimo że przebywam w Anglii od czasu powrotu z Tajlandii.

Melanie Finch próbowała mnie pocieszać, mówiąc o dobrej linii obrony. Ale wiem, że ona kłamie. Nie mamy żadnego dowodu, że Beth była kiedykolwiek w kraju. Melanie postanowiła ją odnaleźć, ale brakuje dokumentu, który potwierdziłby zamieszkiwanie prawdziwej Beth Elliot w Anglii. A za granicą może być gdziekolwiek.

Jamie często mnie odwiedza. On jeden mi wierzy, ale nawet ja dostrzegam u niego malejące poświęcenie, które prawdopodobnie zniknie, gdy usłyszy w sądzie o wszystkich faktach. Gdybym zasiadała w ławie przysięgłych, też bym sobie nie uwierzyła. Tak się wkopałam, że jestem Elizabeth Elliot, iż nikt nie chce wierzyć, że nazywam się Karen Fisher. Poprosiłam Melanie, by porozmawiała z moimi starymi znajomymi ze szkoły albo z kolegami z pracy w pobliskim supermarkecie z prośbą o zidentyfikowanie mojej osoby. Ktoś pewnie jeszcze mnie pamięta. Nie byłam aż tak niewidzialna. Melanie szuka tych kontaktów, ale dała mi delikatnie do zrozumienia, że tak naprawdę prawdziwe nazwisko niewiele znaczy, skoro odciski palców na narzędziu zbrodni są moje.

– Jeżeli jednak uda się dowieść, że jesteś Karen Fisher, to motyw zabicia Seana będzie mniej przekonujący – wyjaśniła mi Melanie. – I twoja historia stanie się bardziej wiarygodna dla ławy przysięgłych. Nie traćmy więc nadziei.

Nadzieja... Tyle mi zostaje, kiedy czekam w areszcie śledczym. To odwet. Za Tajlandię. Za pożar hostelu. Co prawda nie zabiłam Seana

Elliota, ale jestem odpowiedzialna za śmierć siedmiu innych osób. Nie jestem bez winy. Tamta jedna szalona noc tak wiele mnie kosztuje. Jeśli zostanę uznana za winną, umknie mi wiele lat życia mojego syna. Nie zobaczę jego pierwszych kroków, nie usłyszę pierwszego śmiechu ani pierwszych słów. To będzie najgorsza kara.

W samotnej celi mam dużo, aż za dużo czasu na myślenie, na uleganie obsesjom. Jakim sposobem policja dotarła do twardego dowodu? Beth przyznała się, że była w moim mieszkaniu. Czy poszła po statuetkę i przesłała ją policji, bo wiedziała o moich odciskach palców na całej jej powierzchni? To jedyne sensowne wytłumaczenie. Całe życie upłynęło jej na oglądaniu się za siebie i wrobienie mnie było dla niej jedynym sposobem, żeby zapewnić sobie wolność.

Beth i Libby. Libby i Beth. Jesteśmy do siebie bardziej podobne, niż chciałybyśmy się przyznać. Wiem, że sama nie postąpiłabym inaczej, żeby ratować swoją skórę. Bo obie ocalałyśmy. Musiałyśmy ocaleć. I z tej opresji też wyjdę cało. Udowodnię swoją niewinność. Beth nie może wygrać.

Podziękowania

Serdeczne podziękowania kieruję do wspaniałych redakterek, Maxine Hitchcock oraz Eve Hall, które uczyniły tę książkę znacznie lepszą, niż byłaby bez ich udziału, oraz Eugenie Todd za sokoli wzrok. Dziękuję całemu zespołowi wydawnictwa Penguin, który wykonuje świetną pracę, poczynawszy od projektu okładki, a skończywszy na dziale sprzedaży. Jestem wam ogromnie wdzięczna.

Dziękuję cudownej Juliet Mushens, najlepszej agentce na świecie (z najsympatyczniejszymi kotami na świecie!), i Nathalie Hallam. Obie jesteście niesamowite, a ja mam szczęście, że współtworzę Team Mushens.

Dziękuję grupie The Prime Writers, tak miłej i życzliwej we wspieraniu pisarzy; wyrazy wdzięczności kieruję zwłaszcza do Sarah Vaughan – za wszystkie leksykalne podpowiedzi, które mnie motywowały i trzymały z dala od Facebooka!

Koleżankom po piórze dziękuję za pogawędki, wsparcie, spotkania i wspólny śmiech. To wy: Fiona Mitchell, Joanna Barnard, Liz Tipping, Gilly Macmillan i Nikki Owen.

Dziękuję wszystkim blogerom. Stale podziwiam was za to, jak dużo czytacie i recenzujecie, a także za wsparcie, jakiego udzielacie nam, pisarzom.

Dziękuję osobom, które zechciały kupić moje książki, dzielić się nimi, polecać je i wybierać w bibliotekach, jak również tym, które nawiązały ze mną kontakt na Twitterze lub Facebooku – wasze maile wiele dla mnie znaczą.

Dziękuję wspaniałym przyjaciołom i przyjaciółkom, którzy zechcieli czytać i polecać moje książki, a nawet włączać je do zbioru dyskusyjnego klubu książki. Jesteście najlepsi! Nicky Jones, różowy puszysty jednorożec jest dla ciebie!

Na koniec dziękuję mojej rodzinie. Mamie Lindzie i siostrze Samancie za to, że były moimi pierwszymi czytelniczkami, dziękuję wam także za wsparcie i dobre rady. Tacie Kenowi dziękuję za niezachwianą wiarę we mnie, bo zawsze wierzył, że nadejdzie taki dzień, kiedy moje utwory zostaną wydane. Podziękowania kieruję również do mojego ojczyma Johna i macochy Laury – najlepszych przybranych rodziców – oraz mojego męża

Tya za podpowiedzi fabularne, szczere wytykanie różnych niezręczności i nieustanną wiarę we mnie. Poszcęściło mi się, że mogę was nazwać moją rodziną. Kocham was.

I wreszcie dziękuję moim dzieciom. Ciebie, Claudio, i ciebie, Isaaku, kocham najbardziej na świecie. Dziękuję codziennie moim szczęśliwym gwiazdom, że mam was oboje. Ta książka jest dla was (tyle że przeczytacie ją dopiero, kiedy będziecie starsi!).

-
- ¹ Aluzja do popularnej XIX-wiecznej bajki angielskiej o Złotowłosej i trzech niedźwiadkach, mającej kilka wersji. W jednej z nich Złotowłosa próbowała trzech łóżek przed snem, aż dopiero ostatnie okazało się w sam raz (przyp. red.).
- ² William Congreve, *The Mourning Bride*, autor przekładu nieznany.

Redaktor inicjujący: Joanna Maciuk, Ewelina Węgrzyn, Elżbieta Kalinowska

Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Marian Leon Kalinowski

Redakcja: Berenika Wilczyńska

Korekta: Krystian Gaik, Magdalena Matuszewska, Agnieszka Trzeszkowska

Projekt okładki i zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: Mariusz Banachowicz

Skład i łamanie: Cyprian Zadrozny

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel. (22) 828 98 08

faks (22) 395 75 78

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-8566-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo